REBIS

ERICH MARIA
REMARQUE

CZAS ŻYCIA I CZAS ŚMIERCI

ERICH MARIA

REMARQUE

CZAS ŻYCIA I CZAS ŚMIERCI

Przełożył
Juliusz Stroynowski

DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Dla P.G.

I

Śmierć inny miała zapach w Rosji niż w Afryce. W Afryce, pod ciężkim ostrzałem angielskiej artylerii, zwłoki także długo nieraz leżały między liniami niepogrzebane, ale słońce operowało szybko. Nocą wiatr przynosił ckliwy, duszący i ciężki zaduch – trupy pęczniały od gazów i unosiły się w świetle obcych gwiazd niesamowicie, jakby jeszcze walczyły, w milczeniu, bez nadziei, każdy z osobna, ale już następnego dnia zaczynały się kurczyć, tulić do ziemi, nieskończenie zmęczone, jakby chciały się w niej ukryć – a gdy później je zabierano, były lekkie i wysuszone; z tych zaś, które gdzieś znajdowano po tygodniach, pozostawały niemal tylko szkielety klekocące w zbyt obszernych nagle mundurach. To była sucha śmierć – w piasku, słońcu i wietrze. W Rosji śmierć była mazista i cuchnąca.

Padało od wielu dni. Śnieg tajał. Przed miesiącem pokrywał jeszcze wszystko przeszło dwumetrową warstwą. Zniszczona wieś, która początkowo zdawała się składać jedynie ze zwęglonych dachów, wyrastała teraz bezgłośnie z obsuwającego się śniegu, co noc o kawałek wyżej. Ukazały się gzymsy okien, kilka nocy

później – framugi drzwi, potem schodki wiodące w zmurszałą biel. Śnieg tajał i tajał, a spod niego wyłaniały się trupy.

Były to stare trupy. O wieś walczono kilka razy – w listopadzie, w grudniu, w styczniu i teraz, w kwietniu. Zdobywano ją i opuszczano, i znów zdobywano; nadciągnęły zamiecie śnieżne i zawiały zwłoki – w ciągu godziny nieraz tak głęboko, że sanitariusze wielu nie mogli już odnaleźć – aż wreszcie każdy niemal dzień pokrywał spustoszenie nową warstwą bieli, jak pielęgniarka przykrywa zakrwawione łóżko białym prześcieradłem.

Najpierw wyłoniły się styczniowe trupy, leżały najwyżej. Nastąpiło to na początku kwietnia, wkrótce potem, gdy śnieg zaczął się obsuwać. Ciała ich były sztywne i zamarznięte, a twarze niby z szarego wosku.

Pochowano je jak deski. Na wzniesieniu za wsią, gdzie śnieg nie leżał tak wysoko, odgarnięto go i wyrąbano zamarzniętą ziemię. Była to uciążliwa praca. Pochowano tylko Niemców. Rosjan rzucono do otwartej szopy. Gdy mróz zelżał, zaczęli cuchnąć. Kiedy zaś odór stał się nie do zniesienia, trupy przysypano śniegiem. Nie warto było ich grzebać; zdawano sobie sprawę, że wsi nie da się utrzymać długo. Pułk znajdował się w odwrocie. Nadciągający Rosjanie sami będą mogli pochować swych zabitych.

Przy grudniowych trupach znaleziono broń należącą do poległych w styczniu. Karabiny i granaty ręczne zapadły się głębiej niż ciała, nieraz także i hełmy. Tym trupom łatwiej było wyjąć spod munduru znaki rozpoznawcze, topniejący śnieg zmiękczył sukno. Otwarte usta wypełniała woda jak u topielców. Niektórym odtajały już kończyny. Gdy zwłoki odnoszono, były

jeszcze sztywne, ale tu i ówdzie dyndała zwisająca ręka, jakby dawała znaki – przeraźliwie obojętnie i niemal plugawie. Gdy leżeli w słońcu, u wszystkich najpierw tajały oczy. Traciły swój szklany połysk, a źrenice mętniały. Lód w nich topniał i powoli wypływał – jakby płakali.

Nagle znów chwycił silny mróz i trzymał przez kilka dni. Śnieg zeskorupiał w lód i przestał opadać. Ale potem na nowo powiał zgniły, parny wiatr.

Początkowo widać było tylko szarą plamę w więdnącej bieli. W godzinę później pojawiła się kurczowo wyciągnięta ręka.

– Jeszcze jeden tam leży – odezwał się Sauer.

– Gdzie? – spytał Immermann.

– Tam, przed cerkwią. Spróbujemy go wykopać?

– Po co? Wiatr sam go wygrzebie. Śnieg jest tam jeszcze głęboki, co najmniej na jeden lub dwa metry. Ta przeklęta wieś leży niżej aniżeli wszystko dokoła. Czy koniecznie chcesz, żeby ci się lodowata woda nalała do butów?

– Pewno, że nie. – Sauer spojrzał w stronę kuchni. – Może wiesz, co dostaniemy dziś do żarcia?

– Kapustę. Kapustę z wieprzowiną, kartoflami i wodą. Z tą wieprzowiną to oczywiście bujda.

– Kapusta! Wiadomo! Już po raz trzeci w tym tygodniu! – Sauer rozpiął spodnie i zaczął się załatwiać. – Przed rokiem jeszcze szczałem wielkim łukiem – oświadczył rozgoryczony. – Ostro, po wojskowemu, jak się należy. Dobrze się czułem. Pierwszorzędne żarcie! Marsz naprzód, codziennie tyle a tyle kilometrów! Myślałem, że wkrótce będę znów w domu. Teraz sikam jak cywil, smutnie i bez przyjemności.

Immermann wsunął rękę pod mundur i drapał się leniwie.

– Mnie by tam nie obchodziło, jak szczam, bylebym tylko znowu był cywilem.

– Mnie też. Ale wygląda na to, że wiecznie pozostaniemy żołnierzami.

– Racja. Bohaterowie do zasranej śmierci. Tylko esesowcy szczają jeszcze wielkim łukiem.

Sauer zapiął spodnie.

– Mogą sobie na to pozwolić. My odwalamy brudną robotę, a te dranie zagarniają całą chwałę. My walczymy dwa, trzy tygodnie o jakieś przeklęte miasto, a ostatniego dnia przychodzi SS i zwycięsko wkracza przed nami. A przy tym jakie mają zaopatrzenie! Zawsze najgrubsze płaszcze, najlepsze buty i największe kawały mięsa!

Immermann uśmiechnął się złośliwie.

– Teraz SS także już nie zajmuje miast. Teraz i oni się cofają. Tak samo jak my.

– Nie tak jak my. My nie palimy i nie rozstrzeliwujemy każdego, kogo złapiemy.

Immermann przestał się drapać.

– Co się z tobą dzieje? – spytał zaskoczony. – Nagle ludzkie uczucia! Uważaj, żeby cię Steinbrenner nie usłyszał, bo szybko wylądujesz w karnej kompanii. Popatrz, śnieg przed cerkwią się zapadł! Teraz widać już kawałek ramienia.

Sauer spojrzał w tamtą stronę.

– Jeżeli dalej tak będzie topniało, jutro te zwłoki zawisną na jakimś krzyżu. Leżą na odpowiednim miejscu. Akurat na cmentarzu.

– Tam jest cmentarz?

– No chyba. Już zapomniałeś? Staliśmy tu przecież w czasie naszej ostatniej ofensywy, w końcu października. Nie byłeś wtedy z nami?

– Nie.

– A gdzie byłeś? W szpitalu?

– W karnej kompanii.

Sauer gwizdnął przez zęby.

– W karnej kompanii! Do diabła! Za co?

– Były komunista.

– Co? I oni cię wypuścili? Jakim cudem?

– Człowiek ma szczęście. Jestem dobrym mechanikiem. Widać bardziej potrzebują mnie tutaj niż tam.

– Możliwe. Ale jako komunista! I w dodatku tu, w Rosji! Że też nie wysłali cię gdzie indziej! – Sauer spojrzał na Immermanna z nagłą podejrzliwością.

Immermann uśmiechnął się ironicznie.

– Nie bój się, nie zostałem szpiclem. I nie zamelduję o tym, co powiedziałeś o SS. To miałeś na myśli, prawda?

– Ja? Bynajmniej. Nie przyszło mi to nawet do głowy! – Sauer sięgnął po menażkę. – Przyjechała już kuchnia polowa! Prędko, bo dostaniemy same pomyje.

Ręka rosła i rosła. Wydawało się, że to nie śnieg taje, lecz właśnie ręka wyrasta powoli z ziemi, jak jakaś widmowa groźba lub wołanie o pomoc.

Dowódca kompanii przystanął.

– Co to jest?

– Pewnie jakiś Iwan, panie poruczniku.

Rahe popatrzył uważniej. Z daleka można było rozpoznać kawałek spłowiałego rękawa.

– To nie Rosjanin.

Feldfebel Mücke poruszał palcami w butach. Nie znosił swego dowódcy. Wprawdzie stał przed nim wyprężony jak struna – karność przede wszystkim! – aby jednak zaznaczyć swoją pogardę, niewidocznie poruszał palcami w butach. „Głupie bydlę – pomyślał. – Bałwan!"

– Trzeba go wydobyć – powiedział Rahe.

– Wedle rozkazu!

– Postawcie do tego od razu kilku ludzi. Nie jest to piękny widok.

„Mazgaj – pomyślał Mücke. – Gówniarz! Widok mu się nie podoba! Jakby to był pierwszy trup, którego widzimy!"

– To niemiecki żołnierz – odezwał się Rahe.

– Wedle rozkazu, panie poruczniku. Ale od czterech dni znajdujemy tylko Rosjan.

– Każcie go wydobyć. Wtedy zobaczymy, co to za jeden.

Rahe zawrócił do swojej kwatery.

„Zarozumiała małpa – pomyślał Mücke. – Ma piec, ciepły dom, a na szyi dynda mu Krzyż Rycerski. Ja nie mam nawet Żelaznego Krzyża I klasy, choć zasłużyłem na to chyba nie mniej niż on na swoją blaszaną rupieciarnię".

– Sauer! – krzyknął. – Immermann! Chodźcie tutaj! I weźcie ze sobą łopaty! Jest tam jeszcze kto? Graeber! Hirschland! Berning! Steinbrenner, obejmiecie komendę! Widzicie tę rękę? Wykopać i pochować, jeżeli to Niemiec! Założyłbym się, że to nie nasz.

Steinbrenner przyczłapał powoli.

– Założymy się? – spytał. Miał wysoki, chłopięcy głos i bezskutecznie usiłował mówić basem. – O ile?

Mücke zawahał się.

– Trzy ruble – powiedział po chwili. – Trzy ruble okupacyjne.

– Pięć! Poniżej pięciu nie zakładam się.

– Zgoda, niech będzie pięć. Ale gotówką!

Steinbrenner zaśmiał się. Jego zęby zabłysły w bladym słońcu. Miał dziewiętnaście lat, blond włosy i twarz gotyckiego anioła.

– Naturalnie, gotówką! Jakżeby inaczej?

Mücke nie bardzo lubił Steinbrennera, ale się go bał i wolał być ostrożny. Steinbrenner przyszedł z SS. Miał złotą odznakę Hitlerjugend. Należał wprawdzie do kompanii, ale wszyscy wiedzieli, że jest donosicielem i szpiclem gestapo.

– Dobrze już, dobrze. – Mücke wyciągnął z kieszeni papierośnicę z wiśniowego drewna. Na wieczku wypalony był wzór w kwiaty. – Zapalisz?

– No pewnie!

– Steinbrenner! Führer nie pali – odezwał się niedbale Immermann.

– Stul pysk!

– Sam stul pysk, ty bękarcie!

– Widać zbyt dobrze ci się powodzi! – Długie rzęsy Steinbrennera uniosły się w górę; spojrzał z ukosa na Immermanna. – Zapomniałeś już o wszystkim, co?

Immermann zaśmiał się.

– Tak łatwo nie zapominam, Maks. Wiem, co masz na myśli. Ale i ty nie zapominaj, co ja powiedziałem: führer nie pali. Tylko

tyle. Mam na to czterech świadków. A führer naprawdę nie pali. Wszyscy o tym wiedzą.

– Dosyć tego ględzenia – przerwał Mücke. – Weźcie się do kopania. Rozkaz dowódcy kompanii.

– No to jazda! – Steinbrenner zapalił papierosa, którego mu dał Mücke.

– Odkąd to wolno palić na służbie? – spytał Immermann.

– To nie służba. – Mücke był wyraźnie zirytowany. – Przestańcie wreszcie gadać i wykopcie tego Rosjanina. Hirschland, wy też.

Hirschland zbliżył się. Na jego widok Steinbrenner zarechotał:

– Wykopywanie trupów to w sam raz robota dla ciebie, Izaak! Dobrze to zrobi twojej żydowskiej krwi. Taka praca wzmacnia ciało i ducha. Jazda, bierz się do roboty!

– Jestem w trzech czwartych Aryjczykiem – powiedział Hirschland.

Steinbrenner dmuchnął mu dymem z papierosa prosto w twarz.

– Tak ty uważasz! W moim pojęciu jesteś ćwierć-Żydem i tylko wspaniałomyślności führera zawdzięczasz, że pozwolono ci walczyć ramię przy ramieniu z prawdziwymi niemieckimi żołnierzami. Jazda, wykop tego Ruska! Zbytnio już śmierdzi dla delikatnego nosa naszego porucznika.

– To nie Rosjanin – odezwał się Graeber, który ułożył tymczasem pomost z desek i zaczął odgarniać śnieg z ramion i piersi trupa. Teraz widać było wyraźnie przesiąkły wodą mundur.

– Nie Rosjanin? – Steinbrenner szybko i pewnie jak tancerz przebiegł po chwiejnych deskach i przykucnął obok Graebera. –

Rzeczywiście! To niemiecki mundur! – Odwrócił się. – Mücke, to nie Rosjanin! Wygrałem!

Feldfebel zbliżył się ociężale. Spoglądał w głąb dołu, z którego brzegów powoli spływała woda.

– Nic nie rozumiem – mruknął. – Prawie przez cały tydzień znajdowaliśmy tylko Rosjan. To widać jakiś z grudnia, tylko zapadł się głębiej.

– Równie dobrze może to być któryś z października – powiedział Graeber. – Wtedy nasz pułk tędy przechodził.

– Bzdura! To żaden z naszych.

– Owszem. Doszło tu wówczas do nocnego starcia. Rosjanie cofnęli się, a my musieliśmy zaraz iść dalej.

– Słusznie – potwierdził Sauer.

– Bzdura! Nasze odwody na pewno znalazły i pogrzebały wszystkich poległych. Na pewno!

– To wcale nie jest takie pewne. Pod koniec października była już nielicha śnieżyca, a my posuwaliśmy się wtedy jeszcze szybko naprzód.

– Już drugi raz to mówisz. – Steinbrenner spojrzał przeciągle na Graebera.

– Jeśli chcesz, możesz to usłyszeć jeszcze raz. Wtedy przeszliśmy do przeciwnatarcia i posunęliśmy się o ponad sto kilometrów.

– A teraz cofamy się, tak?

– Teraz wróciliśmy na to samo miejsce.

– Chcesz powiedzieć, że się cofamy? Tak czy nie?

Immermann ostrzegawczo szturchnął Graebera.

– A może idziemy naprzód? – spytał Graeber.

– Po prostu skracamy front – wtrącił Immermann, spoglądając szyderczo w twarz Steinbrennera. – Od roku już. Strategiczna konieczność, aby wygrać wojnę. Każdy o tym wie.

– On ma pierścionek na palcu – powiedział nagle Hirschland. Kopał dalej i odgarnął śnieg z drugiej ręki trupa.

Mücke nachylił się.

– Rzeczywiście! Nawet złoty! To ślubna obrączka.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę.

– Strzeż się Steinbrennera – szepnął Immermann do Graebera. – Przez tę świnię możesz stracić urlop. Zadenuncjuje cię jako defetystę. Czyha na takie okazje.

– On tylko robi z siebie ważnego. Lepiej sam uważaj. Na ciebie jest jeszcze bardziej cięty.

– Mnie wszystko jedno. I tak nie dostanę urlopu.

– To odznaki naszego pułku – zawołał Hirschland, rozgrzebując śnieg rękami.

– A więc już na pewno nie Rosjanin, co? – Steinbrenner wyszczerzył zęby do feldfebla.

– Nie, nie Rosjanin – przyznał gniewnie Mücke.

– Dawaj pięć rubli! Szkoda, że nie założyliśmy się o dziesięć.

– Nie mam przy sobie pieniędzy.

– A gdzie je chowasz? W banku? Jazda, dawaj forsę!

Mücke z wściekłością spojrzał na Steinbrennera. Wydobył zawieszoną na piersi sakiewkę i odliczył pieniądze.

– Pechowy dzień, do diabła!

Steinbrenner schował wygraną. Graeber nadal pomagał Hirschlandowi odgrzebywać trupa.

– Zdaje się, że to Reicke – powiedział nagle.

– To podporucznik Reicke z naszej kompanii. Spójrzcie na naramienniki. A tu, u prawej ręki, brak mu kawałka palca.

– Bzdura! Reicke był raniony i odesłano go na tyły. Tak nam później powiedziano.

– A jednak to Reicke.

– Odgarnijcie mu śnieg z twarzy!

Graeber i Hirschland kopali dalej.

– Ostrożnie z łopatą! – zawołał Mücke. – Nie rozwalcie mu głowy!

– On już i tak nic nie czuje – powiedział Immermann.

– Stul pysk, ty komunisto! Tu spoczywa niemiecki oficer, który padł na polu chwały.

Spod śniegu wynurzyła się twarz. Była mokra i robiła osobliwe wrażenie. W oczodołach pełno jeszcze było śniegu, jakby rzeźbiarz nie zdążył wykończyć maski i pozostawił ją ślepą. Między sinymi wargami mocno błyszczał złoty ząb.

– Nie mogę go poznać – mruknął Mücke.

– To na pewno on. Wtedy straciliśmy tylko tego jednego oficera.

– Wytrzyjcie mu oczy.

Graeber zawahał się. Po chwili delikatnie zmiótł śnieg rękawiczką.

– To on – powtórzył.

Mücke był wyraźnie podniecony. Sam objął teraz komendę. Ponieważ chodziło o oficera, uważał, że powinna się tym zająć wyższa szarża.

– Podnieście go! Hirschland i Sauer za nogi, Steinbrenner i Berning za ręce. Graeber, uważajcie na głowę! Tylko jednocześnie – raz, dwa, hoop...

Zwłoki poruszyły się.

– Jeszcze raz! Raz, dwa, hop!

Zwłoki poruszyły się znowu. Spod nich, ze śniegu, dobiegło jakby głuche westchnienie. To ze świstem wdarło się tam powietrze.

– Panie feldfeblu! – krzyknął nagle Hirschland. – Noga odpada!

W istocie, but się obsuwał. Ciało przegniło w skórzanej cholewie i rozpadało się teraz.

– Puśćcie! Opuśćcie go z powrotem! – wrzeszczał Mücke.

Ale było już za późno. Zwłoki wyśliznęły się i but pozostał w ręku Hirschlanda.

– Czy jest tam w środku noga? – zapytał Immermann.

– Odstawcie but na bok i kopcie dalej! – krzyknął Mücke do Hirschlanda. – Kto mógł przypuszczać, że on już tak przegnił. A wy, Immermann, bądźcie cicho. Trzeba mieć szacunek dla śmierci!

Immermann spojrzał na Mückego zdumiony, ale zamilkł.

W kilka chwil później odgarnęli resztę śniegu wokół ciała. W mokrym mundurze znaleźli portfel z dokumentami. Pismo, choć zamazane, dało się jeszcze odcyfrować. Graeber miał rację – to był podporucznik Reicke, który na jesieni dowodził plutonem w ich kompanii.

– Musimy o tym natychmiast zameldować – powiedział Mücke. – Zostańcie tu! Zaraz wrócę!

Ruszył w stronę domu, w którym mieszkał dowódca kompanii. Był to jedyny budynek w niezłym stanie. Przed rewolucją mieszkał tu chyba pop. Rahe siedział w dużej izbie. Mücke spojrzał nienawistnie na wielki rosyjski piec, w którym płonął

ogień. Na przypiecku spał owczarek dowódcy. Feldfebel złożył meldunek i Rahe wyszedł razem z nim.

Podporucznik długo przyglądał się zwłokom Reickego.

– Zamknijcie mu oczy – powiedział wreszcie.

– Nie da rady, panie poruczniku – odparł Graeber. – Powieki już przegniły. Urwą się.

Rahe spojrzał w stronę zrujnowanej cerkwi.

– Zanieście go na razie tam. Czy mamy trumnę?

– Mieliśmy kilka na szczególne okazje, ale zostawiliśmy – meldował Mücke. – Zdobyli je Rosjanie. Mam nadzieję, że im się przydadzą.

Steinbrenner zaśmiał się. Rahe nawet się nie uśmiechnął.

– Czy można by sklecić jakąś trumnę?

– Za długo to potrwa, panie poruczniku – odpowiedział Graeber. – Ciało już się rozpada. Zresztą we wsi nie ma odpowiedniego drewna.

Rahe skinął głową.

– Złóżcie go więc na płachtę brezentową. Zostanie w niej pochowany. Wykopcie grób i zbijcie krzyż.

Graeber, Sauer, Immermann i Berning zanieśli rozpadające się zwłoki do cerkwi. Za nimi szedł, ociągając się, Hirschland z butem, w którym tkwiły szczątki nogi.

– Feldfebel Mücke! – odezwał się Rahe.

– Tak jest, panie poruczniku!

– Przyślą nam dzisiaj czterech schwytanych partyzantów rosyjskich. Jutro rano mają być rozstrzelani. Nasza kompania dostała taki rozkaz. Spytajcie w waszym plutonie, kto pójdzie na ochotnika. Jeżeli nikt się nie zgłosi, kancelaria wyznaczy ludzi.

– Tak jest, panie poruczniku!

– Diabli wiedzą, dlaczego akurat my to musimy robić. Zresztą w tym bałaganie...

– Melduję się na ochotnika – powiedział Steinbrenner.

– Dobrze. – Twarz Rahego pozostała bez wyrazu. Wykopaną w śniegu dróżką zawrócił do domu.

„Z powrotem do swojego pieca – pomyślał Mücke. – Co za mazgaj! Wielka mi rzecz, rozstrzelać kilku partyzantów. Tak jakby oni nie rozwalali setkami naszych towarzyszy!”

– Jeżeli Rosjanie przyjdą wcześniej, mogliby od razu wykopać grób i dla Reickego – rzekł Steinbrenner. – Nie będziemy mieli z tym roboty, odwalą wszystko za jednym zamachem. Co, panie feldfeblu?

– Niech i tak będzie! – Mückego żółć zalewała. „Belferska dusza – pomyślał o swoim dowódcy. – Chuda szczapa w rogowych okularach. Poruczniczyna jeszcze z pierwszej wojny! Teraz też nie dochrapał się awansu. Dzielny, to prawda, ale któż z nas nie jest dzielny? Nie ma jednak natury wodza...”

– Co sądzicie o Rahem? – zwrócił się do Steinbrennera.

Ten spojrzał na niego zdziwiony.

– To nasz dowódca kompanii.

– Zgoda, ale poza tym?

– Poza tym? Co poza tym?

– Nic – burknął Mücke.

– Dosyć głęboko? – spytał najstarszy Rosjanin.

Był to mężczyzna lat około siedemdziesięciu, z brudną, siwą brodą i ciemnoniebieskimi oczami. Mówił łamaną niemczyzną.

– Stul pysk, bolszewiku, mów tylko wtedy, kiedy cię pytają – warknął Steinbrenner. Był bardzo ożywiony. Wzrokiem śledził kobietę, która znajdowała się wśród partyzantów. Była młoda i krzepka.

– Głębiej – powiedział Graeber; pilnował jeńców razem ze Steinbrennerem i Sauerem.

– Dla nas? – spytał znów Rosjanin.

Steinbrenner przyskoczył szybko i zwinnie i z całej siły uderzył go na odlew w twarz.

– Powiedziałem ci już, dziadku, że masz zamknąć pysk. Co ty sobie wyobrażasz? Tu nie jarmark!

Uśmiechnął się. W jego twarzy nie było złości. Malowało się na niej jedynie zadowolenie, jakie widać czasem u dziecka, gdy znęca się nad schwytaną muchą.

– Nie, ten grób nie jest dla was – odparł Graeber.

Rosjanin nawet nie drgnął. Stał spokojnie i tylko patrzył na Steinbrennera. Ten również go obserwował. Twarz mu się nagle zmieniła: była teraz napięta i czujna. Przypuszczał, że Rosjanin rzuci się na niego, i czekał tylko na pierwszy odruch. Nie miałoby wielkiego znaczenia, gdyby go teraz zastrzelił; ten człowiek i tak został skazany na śmierć i nikt by nawet nie spytał, czy Steinbrenner działał w obronie własnej czy nie. Dla niego jednak nie było to obojętne. Graeber zastanawiał się, czy prowokowanie Rosjanina było dla Steinbrennera tylko pewnego rodzaju sportem, czy też tkwiła w nim jeszcze resztka jakiejś dziwacznej pedanterii, która kazała mu szukać pretekstu, aby i morderstwo miało pozór legalności. Zapewne chodziło o jedno i drugie. O jedno i drugie równocześnie. Graeber nieraz już zdołał to zaobserwować.

Rosjanin nie poruszył się. Krew ciekła mu z nosa i wsiąkała w brodę. Graeber rozmyślał, jak by on sam postąpił w podobnej sytuacji: czy rzuciłby się na wroga, wiedząc, że czeka go natychmiastowa śmierć, czy też przyjąłby wszystko spokojnie, w zamian za kilka godzin, za jeszcze jedną noc życia. Sam nie wiedział.

Rosjanin powoli schylił się i sięgnął po kilof. Steinbrenner cofnął się o krok. Był gotowy do strzału. Ale Rosjanin nie wyprostował się. Znów zaczął kopać na dnie dołu. Steinbrenner uśmiechnął się szyderczo.

– Kładź się – rozkazał.

Rosjanin odstawił kilof i położył się w dole. Leżał bez ruchu i tylko kilka grudek śniegu spadło na niego, gdy Steinbrenner podszedł do grobu.

– Dosyć długi? – spytał Steinbrenner Graebera.

– Chyba tak. Reicke nie był wysoki.

Rosjanin spojrzał w górę. Miał szeroko otwarte oczy. Wydawało się, że to błękit nieba w nich się odbija. Broda wokół jego ust falowała lekko przy oddychaniu. Przez chwilę jeszcze Steinbrenner spoglądał na niego z góry.

– *Raus!* – zawołał wreszcie.

Rosjanin wygramolił się z dołu. Mokra ziemia oblepiła mu kaftan.

– No dobrze – powiedział Steinbrenner, spoglądając na kobietę. – Teraz pójdziemy kopać groby dla was. Nie muszą być tak głębokie. Nic się nie stanie, jeśli was latem lisy zeżrą.

Był wczesny ranek. Nad horyzontem wstawał bladoróżowy świt. Śnieg skrzypiał pod nogami, nocą znów chwycił przymrozek.

Czerniły się wykopane groby.

– Cholera! – zaklął Sauer. – Wszystko zwalają na nas! Dlaczego my to mamy robić, a nie SD[1]? To przecież specjaliści od rozwalania ludzi. My jesteśmy porządnymi żołnierzami. Dlaczego więc my? I to już po raz trzeci.

Graeber opuścił karabin. Palce mu zgrabiały od zimnej stali; naciągnął rękawice.

– SD zajęte jest na tyłach.

– To prawda. Ci panowie nie pchają się na front. Czy Steinbrenner nie służył dawniej w SD?

– Podobno był w obozie koncentracyjnym. Jako komendant bloku czy ktoś w tym rodzaju.

Nadeszli pozostali. Z nich wszystkich tylko Steinbrenner był ożywiony i wyspany. Twarz miał zaróżowioną jak dziecko.

– Słuchajcie! – zawołał. – Tę krowę zostawcie dla mnie!

– Jak to dla ciebie? – spytał Sauer. – Już nie zdążysz jej zrobić bachora. Trzeba było wcześniej spróbować.

– Toteż próbował – powiedział Immermann.

– Skąd ty o tym wiesz? – Steinbrenner odwrócił się gniewnie.

– Tylko że ona go nie dopuściła.

– Coś taki cwany? – warknął Steinbrenner. – Gdybym chciał, mógłbym mieć tę czerwoną krowę.

– Albo i nie!

– Dość tego gadania! – Sauer odgryzł kawałek prymki. – Jeśli ma ochotę sam ją rozwalić, proszę bardzo. Nie będę mu przeszkadzał. Nie palę się do tego.

– Ja też nie – oświadczył Graeber.

Pozostali milczeli. Zrobiło się widniej. Hirschland spojrzał na zegarek.

– Śpieszy ci się, Izaak? – spytał Steinbrenner. – Powinieneś się cieszyć, że cię wyznaczono. Taka egzekucja to doskonałe lekarstwo na twoje żydowskie sentymenty. – Splunął. – Rozstrzeliwać taką bandę! Szkoda amunicji! Należałoby ich wszystkich powiesić! Tak robimy gdzie indziej!

– Na czym? – Sauer rozejrzał się dokoła. – Znajdź tu jakieś drzewo. A może mamy jeszcze budować szubienicę? Z czego?

– Już idą – powiedział Graeber.

Nadszedł Mücke, prowadząc czworo Rosjan. Dwaj żołnierze szli przed nimi, dwaj za nimi. Na przedzie kroczył starzec, za nim szła kobieta, na końcu – dwaj młodsi mężczyźni. Nie czekając rozkazu, wszyscy czworo ustawili się szeregiem przed grobami. Tylko kobieta spojrzała jeszcze w głąb dołu, nim się odwróciła. Miała na sobie czerwoną wełnianą spódnicę.

Z domu dowódcy kompanii wyszedł podporucznik Müller z pierwszego plutonu. Zastępował Rahego przy egzekucji. To absurdalne, ale często jeszcze zachowywano pozory. Nie wiadomo było, czy tych czworo Rosjan jest partyzantami czy nie, lecz przesłuchano ich i skazano jak najbardziej formalnie, choć nie dano im najmniejszej możliwości obrony. Cóż było zresztą do udowodnienia? Podobno mieli broń. Teraz zostaną rozstrzelani z zachowaniem całego rytuału i w asyście oficera. Jakby im to w gruncie rzeczy nie było obojętne.

Podporucznik Müller miał dwadzieścia jeden lat. Przed sześcioma tygodniami przydzielono go do tej kompanii. Popatrzył na skazanych i odczytał wyrok.

– Krowa dla mnie – szepnął Steinbrenner.

Graeber spojrzał na kobietę. Stała spokojnie przed grobem w swojej czerwonej spódnicy. Była młoda, silna, zdrowa i stworzona do rodzenia dzieci. Nie rozumiała ani słowa z tego, co czytał Müller, ale wiedziała, że to wyrok śmierci. Wiedziała, że za kilka minut życie, które tak silnie tętniło w jej żyłach, ustanie na zawsze. A mimo to stała spokojnie, jak gdyby nigdy nic, i wydawało się jedynie, że marznie z lekka w porannym chłodzie.

Graeber zauważył, że Mücke, zaaferowany, szepcze coś do ucha podporucznikowi. Müller podniósł wzrok.

– Nie można tego potem zrobić?

– Lepiej teraz, panie poruczniku. Wygodniej.

– Dobrze. Róbcie, jak chcecie.

Mücke wystąpił naprzód.

– Powiedz temu tam, żeby ściągnął buty – zwrócił się do starego Rosjanina, który rozumiał po niemiecku, i wskazał na młodszego jeńca.

Stary przełożył rozkaz towarzyszowi. Mówił cicho i niemal śpiewnie. Tamten, wątły mężczyzna, nie zrozumiał początkowo, o co chodzi.

– Prędzej! – warknął Mücke. – Buty! Ściągaj buty!

Starzec powtórzył swoje słowa. Wreszcie młodszy zrozumiał i spiesznie, jak ktoś, kto zaniedbał obowiązku, zaczął ściągać buty. Zataczał się przy tym, stojąc na jednej nodze.

„Dlaczego się tak śpieszy? – myślał Graeber. – Chce umrzeć o minutę prędzej?”

Mężczyzna podniósł buty i podał je usłużnie Mückemu. Były dobre. Mücke burknął coś i wskazał na bok. Rosjanin odstawił

buty i wrócił do szeregu. Stał teraz na śniegu w brudnych onucach, z których wystawały żółte paluchy; podkurczał je zmieszany.

Mücke zlustrował pozostałych Rosjan. U kobiety zauważył futrzane rękawice. Kazał je dołożyć do butów. Przez chwilę jeszcze przyglądał się czerwonej spódnicy. Była niezniszczona i z dobrego materiału. Steinbrenner zachichotał ukradkiem, ale Mücke zostawił kobietę w spokoju. Nie wiadomo, czy bał się Rahego, który ze swego okna mógł obserwować egzekucję, czy też nie wiedział po prostu, co począć ze spódnicą. Cofnął się.

Kobieta powiedziała szybko kilka słów po rosyjsku.

– Spytajcie ją, czego jeszcze chce – odezwał się podporucznik Müller. Był bardzo blady, pierwszy raz w życiu brał udział w egzekucji.

Mücke spytał starego Rosjanina.

– Ona nic nie chce. Przeklina was tylko.

– Co?! – zawołał Müller, nie dosłyszawszy.

– Przeklina was – powtórzył Rosjanin głośniej. – Przeklina was i wszystkich Niemców, którzy znajdują się na rosyjskiej ziemi! Przeklina wasze dzieci! Ona życzy wam, aby jej dzieci zabijały tak kiedyś wasze dzieci, jak wy nas teraz zabijacie.

– Co za bezczelność! – Mücke wlepił wzrok w kobietę.

– Ona ma dwoje dzieci – ciągnął dalej starzec. – A ja mam trzech synów.

– Dosyć, Mücke – zawołał Müller nerwowo. – Nie jesteśmy spowiednikami. Baczność!

Żołnierze znieruchomieli. Graeber, który znów ściągnął rękawice, mocniej ujął karabin. Duży i wskazujący palec

przywarły do zimnej stali. Obok niego stał Hirschland. Zżółkł, lecz stał nieporuszony. Graeber postanowił celować w pierwszego Rosjanina z lewej strony. Początkowo, gdy przydzielono go do plutonu egzekucyjnego, strzelał w powietrze. Ale później już tego nie robił. W ten sposób nie oddawało się przysługi skazańcom. Inni postępowali podobnie i zdarzało się, że prawie wszyscy rozmyślnie chybiali. Egzekucję powtarzano, tak że jeńcy rozstrzeliwani byli dwukrotnie. Raz wprawdzie jakaś kobieta, gdy nie została trafiona, padła na kolana i ze łzami w oczach dziękowała za tę jedną czy dwie minuty życia, które w ten sposób jeszcze zyskała. Graeber niechętnie ją wspominał. Zresztą tego rodzaju historie już się więcej nie zdarzyły.

– Cel!

Nad muszką karabinu Graeber widział Rosjanina. Był to ów starzec z brodą i niebieskimi oczami. Celownik rozcinał mu twarz na dwoje. Graeber obniżył lufę. Ostatnim razem odstrzelił skazańcowi szczękę. „Pierś jest pewniejsza" – pomyślał. Spostrzegł, że Hirschland unosi wyżej lufę i chce strzelać ponad głowy.

– Mücke cię widzi! – szepnął. – Opuść niżej! Bardziej na bok!

Hirschland obniżył wylot karabinu.

– Ognia! – padła komenda.

Rosjanin jak gdyby się uniósł i chciał podbiec do Graebera. Wygiął się niby postać odbita w krzywym zwierciadle ustawionym w jarmarcznej budzie. Wygiął się i runął w tył, do grobu. I tylko nogi jego sterczały na zewnątrz.

Dwaj inni padli tam, gdzie stali. Ten bez butów w ostatniej chwili poderwał ręce, aby osłonić twarz. Jedna dłoń zwisała teraz

na ścięgnach jak łachman. Rosjanom nie skrępowano rąk ani nie zawiązano oczu. Po prostu zapomniano o tym.

Kobieta upadła do przodu. Żyła jeszcze. Wspierając się na ręku, uniosła głowę i patrzyła na żołnierzy. Na twarzy Steinbrennera malowało się zadowolenie. On jeden w nią celował. Dostała kulą w brzuch. Steinbrenner był celnym strzelcem.

Stary Rosjanin wycharczał coś z grobu i zamilkł. Tylko kobieta jeszcze żyła. Wpiła oczy w żołnierzy i syczała, ale nikt już nie mógł przetłumaczyć jej słów. Leżała wsparta na rękach, jak wielka kolorowa żaba, która nie może się już poruszać, i syczała, ani na chwilę nie odwracając oczu. Nie zauważyła nawet, że z boku zbliża się rozeźlony Mücke. Syczała i syczała i dopiero w ostatniej chwili spostrzegła rewolwer. Szarpnęła głową i wgryzła się w dłoń feldfebla. Mücke zaklął i lewą ręką trzasnął ją w szczękę. Gdy kobieta rozwarła usta, strzelił jej w tył głowy.

– Cholera! – warknął Müller. – Nie umiecie celować?

– To Hirschland, panie poruczniku – zameldował Steinbrenner.

– Nie, to nie Hirschland – odezwał się Graeber.

– Milczeć! – wrzasnął Mücke. – Czekajcie, aż was zapytają. – Spojrzał na Müllera. Podporucznik stał nieruchomo, był bardzo blady. Mücke pochylił się nad pozostałymi Rosjanami. Jednemu z nich przyłożył rewolwer za ucho i strzelił. Głowa odskoczyła i znów spoczęła bezwładnie. Mücke schował rewolwer, obejrzał rękę i owinął ją wyciągniętą z kieszeni chustką.

– Trzeba zajodynować – powiedział Müller. – Gdzie tu jest sanitariusz?

– W trzecim domu na prawo, panie poruczniku.

– Idźcie tam zaraz.

Mücke oddalił się. Müller popatrzył na trupy. Kobieta leżała na rozmiękłej ziemi twarzą w dół.

– Wrzućcie ją do dołu i zasypcie – powiedział. Był strasznie rozdrażniony, sam nie wiedząc dlaczego.

---

[1] SD – Sicherheitsdienst – Służba Bezpieczeństwa SS.

II

W ciągu nocy dudnienie artylerii na horyzoncie znowu się wzmogło. Niebo było czerwone, a błyski wystrzałów stały się wyraźniejsze. Przed dziesięcioma dniami pułk wycofano z frontu na odpoczynek. Ale Rosjanie podchodzili coraz bliżej. Front przesuwał się z każdym dniem. Nie istniały już jakieś dokładne linie. Rosjanie atakowali. Atakowali już od miesięcy. I od miesięcy pułk znajdował się w odwrocie.

Graeber obudził się. Przez chwilę nasłuchiwał grzmotów, próbował znowu zasnąć, nie zdołał jednak. Po jakimś czasie wciągnął buty i wyszedł na dwór.

Noc była jasna i niezbyt mroźna. Zza lasu na prawo dochodziły odgłosy detonacji. Jak przezroczyste meduzy wisiały w powietrzu rakiety świetlne, rozsiewające jarzące się krople. Gdzieś dalej reflektory polowały na samoloty.

Graeber przystanął i spojrzał w górę. Bezksiężycowe niebo usiane było gwiazdami. Nie widział ich; widział tylko, że to noc wymarzona dla lotników.

– Piękna pogoda na urlop – rozległ się obok czyjś głos. Był to Immermann, który stał na warcie. Pułk znajdował się wprawdzie poza linią frontu, ale partyzanci docierali wszędzie, toteż co noc wystawiano warty. – Za wcześnie przyszedłeś. Jeszcze pół godziny do zmiany. Idź, połóż się. Już ja cię obudzę. W twoim wieku zawsze można spać. Ile masz lat? Dwadzieścia trzy?

– Tak.

– No więc?

– Nie jestem zmęczony.

– Gorączka przedurlopowa, co? – Immermann spojrzał badawczo na Graebera. – Swoją drogą, masz szczęście! Urlop!

– Jeszcze go nie mam. W ostatniej chwili mogą odwołać wszystkie urlopy. Już trzy razy mnie to spotkało.

– Zdarza się. Od kiedy ci przysługuje?

– Od dziewięciu miesięcy. Zawsze coś włazi w paradę. Ostatnim razem dostałem postrzał lędźwi. Zbyt lekki, aby puścili do domu.

– A to pech! Ale ty chociaż jesteś na liście. Ja – nie. Politycznie niepewny, kandydat do bohaterskiej śmierci i nic więcej. Mięso armatnie i nawóz dla Tysiącletniej Rzeszy.

Graeber obejrzał się.

– Prawdziwie niemieckie spojrzenie! – powiedział Immermann ze śmiechem. – Nie bój się, wszyscy chrapią. Steinbrenner też.

– Wcale o tym nie myślałem – zaperzył się Graeber. O tym właśnie myślał.

– Tym gorzej! – Immermann znowu wybuchnął śmiechem. – To już stało się naszą drugą naturą. Człowiek nawet tego nie spostrzega. Zabawne, że w naszych bohaterskich czasach

denuncjanci wyrastają jak grzyby po deszczu. To daje dużo do myślenia, prawda?

Graeber milczał przez chwilę.

– Jeśli tak dobrze wszystko wiesz, powinieneś bardziej wystrzegać się Steinbrennera – powiedział wreszcie z wahaniem.

– Gwiżdżę na Steinbrennera. Więcej on może zaszkodzić wam niż mnie. Właśnie dlatego, że nie jestem ostrożny. U takich jak ja to oznaka szczerości. Za dużo wazeliny budziłoby tylko nieufność bonzów. Stara dewiza byłych partyjniaków: nie zwracać na siebie uwagi.

Graeber chuchał w dłonie.

– Zimno – odezwał się.

Wolał nie wdawać się w dyskusje polityczne. Lepiej było nie wtrącać się do niczego. Chciał dostać urlop, to wszystko, po co więc ryzykować? Immermann miał rację: nieufność stała się najbardziej powszechnym zjawiskiem w Trzeciej Rzeszy. Prawie nigdzie człowiek nie czuł się całkiem bezpiecznie. A jeśli człowiek nie czuje się bezpiecznie, winien trzymać język za zębami.

– Kiedy byłeś w domu po raz ostatni? – zapytał Immermann.

– Mniej więcej przed dwoma laty.

– Cholernie dawno. Zdziwisz się.

Graeber nic nie odpowiedział.

– Zdziwisz się – powtórzył Immermann. – Tyle tam zmian.

– Co za zmiany?

– Duże. Przekonasz się.

Graebera ogarnął strach. Poczuł ściskanie w dołku. Znał to uczucie, opadało go od czasu do czasu, nagle i bez uchwytnej

przyczyny. Wszystko było możliwe w tym świecie, w którym od dawna już nie było nic pewnego.

– Skąd ty o tym wiesz? – zapytał. – Przecież nie byłeś na urlopie.

– Nie, ale wiem. W karnej kompanii słyszy się więcej niż tutaj.

Graeber wstał. Po co tu przyszedł? Nie chciał się wdawać w żadne rozmowy. Chciał być sam. Ach, gdyby już mógł się stąd wydostać! Ta myśl go opętała. Chciał być sam, sam przez kilka tygodni, sam ze swoimi myślami – nic więcej. Tyle było spraw do przemyślenia. Nie tu – tam, w ojczyźnie. Chciał być sam i z dala od wojny.

– Czas na zmianę warty – odezwał się. – Pójdę po swoje graty i zbudzę Sauera.

Dudnienie na horyzoncie przewalało się nadal w grzmotach i błyskach wybuchów. Graeber wpatrywał się w dal. Jesienią 1941 roku führer oświadczył, że Rosjanie są wykończeni – i tak też wtedy wyglądało. Jesienią 1942 roku powtórzył to jeszcze raz i nadal tak wyglądało. Potem jednak nadeszły niezrozumiałe dni pod Moskwą i Stalingradem. Nagle wszystko się zmieniło. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Rosjanie znów mieli artylerię. Horyzont znów zaczął grzmieć. Ten grzmot rozbił w puch wszystkie mowy führera i nie ustawał ani na chwilę, pędząc przed sobą niemieckie dywizje drogą odwrotu. Nie mogli tego pojąć, ale nagle rozeszły się pogłoski o odcięciu i poddaniu się całych armii i już wkrótce jasne było dla każdego, że zwycięstwa zamieniły się w ucieczkę. Jak w Afryce, gdy byli już u wrót Kairu.

Graeber ciężkim krokiem szedł drogą wokół wsi. Poświata bezksiężycowej nocy wypaczała wszystkie perspektywy; odbita

w śniegu, zacierała proporcje i odległości. Domy jak gdyby się oddaliły, a las przybliżył. Wszędzie wyczuwało się wrogość i niebezpieczeństwo.

Lato roku 1940 we Francji. Spacerek do Paryża. Wycie sztukasów nad zaskoczonym krajem. Drogi zatłoczone uchodźcami i armią w rozsypce. Koniec czerwca; pola, lasy, pochód przez niezniszczony kraj, a potem owo miasto pełne srebrzystego światła, ulic, kawiarni, miasto, które przyjęło ich bez jednego wystrzału. Czy wówczas się zastanawiał? Czy był zaniepokojony? Nie. Wszystko uważał za słuszne. Niemcy, napadnięte przez żądnych wojny wrogów, broniły się – to wszystko. I choć przeciwnik nie był przygotowany, choć prawie nie stawiał oporu – nawet to nie wydawało się dziwne.

A potem, w Afryce, w czasie zwycięskich marszów i podczas nocy spędzanych na pustyni, nocy pełnych gwiazd i chrzęstu czołgów – czy zastanawiał się? Nie, nie myślał o tym nawet w czasie odwrotu. To była Afryka, obcy kraj, między nim a ojczyzną rozciągało się Morze Śródziemne, za nim – Francja, potem dopiero Niemcy. O czym tu było rozmyślać, nawet w obliczu porażki? Nie można wszędzie zwyciężać.

Ale potem przyszła Rosja. Rosja, klęska i ucieczka. A tu nie ma morza, które by powstrzymało nieprzyjaciela; droga odwrotu wiedzie prosto do Niemiec. Przy tym rozgromionych zostało nie kilka dywizji jak w Afryce – tutaj cofała się cała armia niemiecka. Wtedy nagle zaczął się zastanawiać. On i wielu innych. To zrozumiałe; póki odnoszono zwycięstwa – wszystko było w porządku, a co nie było w porządku, pomijano milczeniem lub usprawiedliwiano wzniosłym celem. Jakim celem właściwie? Czyż

medal nie ma zawsze dwóch stron? I czyż jedna z nich nie jest zawsze ponura i nieludzka? Czemu wcześniej tego nie widział? I czy doprawdy nie widział? Czyż nie odczuwał często zwątpienia i wstrętu, choć zawsze je od siebie odpędzał?

Usłyszał kaszel Sauera. Graeber minął kilka spalonych chat i wyszedł mu na spotkanie. Sauer wskazał na północ. Potężna, wzmagająca się pożoga drgała na horyzoncie. Słychać było odgłosy wybuchów; snopy płomieni strzelały w górę.

– Czy i tam już są Rosjanie? – spytał Graeber.

Sauer potrząsnął głową.

– Nie, to nasi saperzy palą i niszczą jakąś miejscowość.

– To znaczy, że znów się cofamy?

– No chyba!

Przysłuchiwali się w milczeniu.

– Od dawna już nie widziałem całej chałupy – powiedział po chwili Sauer.

Graeber wskazał kwaterę Rahego.

– No, ta jest jeszcze względnie cała.

– I ty to nazywasz „cała”? Z dziurami od kul, spalonym dachem i zawaloną stajnią? – Sauer westchnął głośno. – Niezniszczonej drogi nie widziałem już chyba od lat.

– Ja też nie.

– Wkrótce zobaczysz. W kraju.

– Tak, dzięki Bogu!

Sauer spoglądał na łunę pożaru.

– Czasem, gdy się widzi, ile naniszczyliśmy tu, w Rosji, strach człowieka ogarnia. Jak sądzisz, co oni by z nami zrobili, gdyby doszli do naszych granic? Pomyślałeś kiedy o tym?

– Nie.

– A ja tak. Mam zagrodę w Prusach Wschodnich. Pamiętam dobrze, jak uciekaliśmy w 1914 roku, gdy przyszli Rosjanie. Miałem wtedy dziesięć lat.

– Jeszcze daleko do granicy.

– To zależy. To może diablo szybko nastąpić. Pamiętasz, jak prędko posuwaliśmy się na początku?

– Nie. Wtedy byłem w Afryce.

Sauer znów spojrzał na północ. Rozlała się tam jedna wielka ściana ognia, a potem dobiegły odgłosy kilku potężnych detonacji.

– Widzisz, co my tu robimy? A teraz pomyśl, gdyby Rosjanie zrobili kiedyś to samo u nas – co by wtedy pozostało?

– Nie więcej niż tutaj.

– O tym właśnie myślę! Czy ty tego nie rozumiesz? O tym się wciąż myśli, to przecież zrozumiałe.

– Nie doszli jeszcze do granicy. Słyszałeś przedwczoraj na wykładzie politycznym, na który nas zagnano, że skracamy nasze linie tylko dlatego, by uzyskać dogodne pozycje wyjściowe do wykorzystania naszych nowych, tajnych broni.

– Ach, bzdura! Kto jeszcze w to wierzy? Po co wobec tego gnaliśmy tak daleko naprzód? Powiem ci coś: jak dojdziemy do naszej granicy, musimy zawrzeć pokój. Nie ma innego wyjścia.

– Dlaczego?

– Ależ chłopie, jeszcze się pytasz? Żeby nie zrobili z nami tego, co my z nimi. Nie rozumiesz?

– Tak. Ale jeżeli oni nie zgodzą się na pokój?

– Kto?

– Rosjanie.

Sauer, zaskoczony, wlepił wzrok w Graebera.

– Przecież muszą! My im proponujemy pokój, a oni muszą się zgodzić. Pokój to pokój! Wojna się skończy, a my będziemy uratowani.

– Muszą? Zgodzą się tylko na bezwarunkową kapitulację. Zajmą wtedy całe Niemcy, a ty i tak stracisz swoją zagrodę. Pomyślałeś kiedyś o tym czy nie?

Sauer osłupiał.

– Pewnie, że i o tym myślałem – odpowiedział po chwili. – Ale to jednak co innego. Gdy jest pokój, to nie wolno już niszczyć. – Przymrużył oczy, znowu był tylko chytrym chłopem. – U nas więc wszystko zostanie niezniszczone. Tylko u innych będzie zrujnowane. A kiedyś wreszcie będą musieli wynieść się z Niemiec. I w ten sposób to my faktycznie wygramy wojnę.

Graeber nic nie odpowiedział. „Po cóż znowu wdaję się w rozmowę? – pomyślał. – Chciałem tego uniknąć. Gadanie nic nie pomoże. Czego się już zresztą w ciągu tych lat nie omawiało i nie rozpamiętywało? Gadanie jest bezcelowe, a przy tym niebezpieczne. A tamto inne, co nadciąga bezgłośnie i powoli, jest zbyt groźne, zbyt niejasne i posępne, aby o tym mówić. Mówi się o służbie, o żarciu i o zimnie. Ale nie o tamtym ani o umarłych”.

Graeber zawrócił ku wsi. Aby umożliwić przejście przez roztopy, ułożono na drogach belki i deski. Deski uginały się, gdy po nich stąpał, i łatwo było się z nich ześliznąć. Pod nimi chlupała woda.

Doszedł do niewielkiej, zrujnowanej cerkwi, gdzie złożono zwłoki podporucznika Reickego. Drzwi stały otworem. Wieczorem znaleziono zwłoki jeszcze dwóch żołnierzy i Rahe rozkazał, aby wszystkich trzech pochować nazajutrz z honorami wojskowymi.

Jednego żołnierza, frajtra, nie udało się zidentyfikować. Twarz miał wyżartą i brak było znaku rozpoznawczego. Brzuch jego był także rozszarpany, a wątroba wyżarta. Prawdopodobnie lisy lub szczury. Które z nich – pozostało nierozstrzygnięte.

Graeber wszedł do cerkwi. Czuć tu było saletrą, zgnilizną i trupim odorem. Latarką przeszukał kąty. W jednym z nich stały dwie potłuczone figury świętych. Obok, przysypany nawianym śniegiem, leżał zardzewiały rower bez kół i łańcucha. Kilka podartych worków na zboże wskazywało, iż był tu kiedyś magazyn. Pośrodku na brezentowych płachtach leżeli umarli. Leżeli surowi, odpychający i samotni i nic ich już nie obchodziło.

Graeber zamknął drzwi i ruszył dalej drogą dookoła wsi. Cienie rozpościerały się wokół ruin i nawet słabe światło wydawało się zwodnicze. Wszedł na pagórek, gdzie wykopano groby. Dół dla Reickego poszerzono, aby pochować z nim razem obu żołnierzy.

Słyszał cichy szmer wody spływającej do dołu. Matowo połyskiwała rozkopana ziemia. Wsparty był o nią krzyż z nazwiskami. Jeśli kogoś zainteresuje, kto pod nim spoczywa, będzie mógł się dowiedzieć jeszcze przez kilka dni, nie dłużej – wkrótce wieś stanie się znów terenem walki.

Ze wzniesienia Graeber objął wzrokiem okolicę. Była jałowa, posępna i zdradliwa. Światło zwodziło, to wyolbrzymiało przedmioty, to zacierało ich kontury, i nic nie budziło zaufania. Wszystko tu było obce, wrogie i zmrożone samotnością. Nic nie dawało oparcia ani ciepła. Wszystko było bezkresne jak ten kraj. Bezgraniczne i obce. Obce z wyglądu i z ducha. Graeber zadrżał z zimna. Do tego więc doszedł.

Grudka ziemi oderwała się z usypanego pagórka; słychać było, jak głucho stoczyła się do dołu. Czy w tej zmarzłej na kamień ziemi żyją jeszcze robaki? Może – jeśli skryły się dostatecznie głęboko. Ale czy mogą żyć parę metrów pod ziemią? I czym się tam żywią? Jeśli przeżyły, to od jutra wystarczy im na pewien czas pożywienia.

„W ostatnich latach dosyć go miały – pomyślał. – Wszędzie, gdzieśmy byli, mogły się nażreć do przesytu. Dzięki nam dla robactwa Europy, Azji i Afryki nadszedł złoty wiek. Zostawiliśmy im całe armie trupów. Nie tylko ciała żołnierzy, ale także ciała kobiet i dzieci, i rozdarte bombami ciała starców. Obfitość wszelkiego dobra. W legendach robactwa żyć będziemy przez wieki jako łaskawi bogowie obfitości".

Graeber odwrócił się. Trupy, za dużo było trupów. Najpierw ginęli tamci, przeważnie tamci. Potem jednak śmierć coraz silniej wdzierała się w ich własne szeregi. Pułki trzeba było stale uzupełniać; ubywało coraz więcej towarzyszy, którzy walczyli z nim od początku, i teraz pozostała ich nieliczna garstka. Z przyjaciół był tu już tylko jeden – Fresenburg, dowódca czwartej kompanii. Inni zginęli albo zostali przeniesieni, znajdowali się w lazaretach albo wrócili do domów jako niezdolne do służby kaleki – jeśli mieli szczęście. Niegdyś wyglądało to zupełnie inaczej. Inaczej też się nazywało.

Usłyszał kroki nadchodzącego Sauera.

– Stało się coś? – spytał.

– Nie. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę jakieś szmery. Ale to tylko szczury w szopie, gdzie leżą Rosjanie. – Sauer wskazał na

pagórek, pod którym zakopano rozstrzelanych partyzantów. – Ci chociaż mają grób.

– Tak. Sami go sobie wykopali.

Sauer splunął.

– Właściwie można zrozumieć tych biedaków. Przecież niszczymy ich własny kraj.

Graeber spojrzał na niego. W nocy nachodzą człowieka inne myśli niż w dzień, ale Sauer to stary żołnierz, tak łatwo się nie rozczula.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Dlatego, że się cofamy?

– No chyba! Wyobraź sobie, że i oni kiedyś mogą tak postępować z nami!

Graeber milczał przez chwilę. „Nie jestem lepszy od niego – pomyślał. – Odsuwałem to wszystko od siebie, odsuwałem, jak długo się dało".

– Dziwne – odezwał się. – Człowiek zaczyna rozumieć innych dopiero wtedy, kiedy sam ma tyłek w ogniu. Gdy komuś się dobrze powodzi, nie pomyśli o tym.

– Pewnie, że nie! To chyba jasne!

– Tak. Ale nie świadczy zbyt pochlebnie o człowieku.

– Nie świadczy pochlebnie? Kto by o to pytał, kiedy chodzi o własną skórę? – Sauer spojrzał na Graebera ze zdumieniem i odrobiną irytacji. – Wy, uczone facety, zawsze macie jakieś dziwne pomysły! Ani ja, ani ty nie zaczęliśmy tej wojny i nie jesteśmy za nią odpowiedzialni. Spełniamy tylko swój obowiązek. A rozkaz to rozkaz. Może nie?

– Tak – odparł Graeber, znużony.

III

Huk salwy rozpłynął się szybko w szarej wacie chmur zalegających niebo. Przycupnięte na murach wrony nawet się nie poderwały. Odpowiedziały jedynie krótkim krakaniem, które wydawało się głośniejsze niż strzały. Przyzwyczajone były do większych hałasów.

Trzy postacie na brezentowych płachtach leżały do połowy zanurzone w rozmiękłym śniegu. Żołnierza bez twarzy zawinięto w płachtę. Reicke leżał pośrodku. Rozmiękły but z resztką nogi ułożono na właściwym miejscu, ale w czasie transportu z cerkwi obsunął się i zwisał teraz w dół. Nikt go już nie chciał poprawić. Wyglądało to, jakby Reicke chciał się głębiej zagrzebać w ziemi.

Sypali mokre grudy. Po wypełnieniu dołu pozostała jeszcze kupka ziemi.

– Czy mamy ubić? – spytał Mücke Müllera.

– Co?

– Czy ubić grób, panie poruczniku? Zmieścimy jeszcze resztę ziemi, a na wierzchu możemy położyć parę kamieni. Ze względu na lisy i wilki.

– One się tam nie dostaną. Grób jest dosyć głęboki. A poza tym... – Müller pomyślał, że lisy i wilki mają dosyć żarcia na polach i nie potrzebują rozkopywać grobów. – Nonsens – powiedział. – Skąd wam to przyszło do głowy?

– Zdarzało się.

Mücke spoglądał na Müllera bez wyrazu. „Jeszcze jeden tępy bałwan – pomyślał. – Oficerami zostają zawsze niewłaściwi ludzie. A właściwi giną. Tak jak Reicke".

Müller potrząsnął głową.

– Z reszty ziemi usypcie pagórek. Tak się należy. I osadźcie krzyż od strony głowy.

– Tak jest, panie poruczniku.

Müller kazał sformować kompanię i odmaszerować. Komenderował głośniej, niż trzeba. Zawsze mu się zdawało, że starzy żołnierze nie traktują go poważnie. Tak też było w istocie.

Sauer, Immermann i Graeber usypali pagórek z reszty ziemi.

– Krzyż nie utrzyma się długo – powiedział Sauer. – Ziemia zbyt luźna.

– Pewno.

– Nawet trzech dni nie ustoi.

– Czy Reicke to twój krewny? – spytał Immermann.

– Stul pysk! Z niego był porządny chłop. Ale skąd ty możesz o tym wiedzieć? Nie zetknąłeś się z nim w karnej kompanii.

Immermann zaśmiał się.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Karna kompania... ty nieuświadomiony cymbale! – Nagle ogarnęła go wściekłość. – Tam byli lepsi ludzie niż wy tutaj.

– Osadźmy wreszcie ten krzyż – powiedział Graeber.

Immermann odwrócił się.

– Ach, nasz urlopnik. Jak mu się spieszy!

– A tobie by się nie spieszyło, co? – spytał Sauer.

– Ja nie dostanę urlopu, przecież o tym wiesz, ty gnojku.

– No chyba. Bobyś nie wrócił.

– Może bym i wrócił.

Sauer splunął.

Immermann zaśmiał się pogardliwie.

– Może bym nawet zameldował się z powrotem na ochotnika.

– Tak, może. Z tobą i tak nigdy nic nie wiadomo. Gadać to ty potrafisz. A kto wie, jakie masz tajemnice.

Sauer podniósł krzyż. Zaostrzonym końcem wbił go w ziemię i kilka razy uderzył łopatą. Krzyż zapadł głęboko.

– Widzisz – rzekł do Graebera. – Nawet trzech dni nie ustoi.

– Trzy dni to i tak długo – powiedział Immermann. – Dam ci dobrą radę, Sauer. Za trzy dni śnieg na cmentarzu opadnie i będziesz mógł się tam dostać. Wtedy przyniesiesz kamienny krzyż i osadzisz go tutaj. Uspokoi to twoją służalczą duszyczkę.

– Rosyjski krzyż?

– Czemu nie? Bóg jest międzynarodowy. A może i On już nie?

Sauer odwrócił się.

– Ale z ciebie wesołek! Naprawdę międzynarodowy wesołek!

– Stałem się nim dopiero. Stałem się, Sauer. Dawniej byłem inny. A z krzyżem to twój pomysł. Sam to wczoraj zaproponowałeś.

– Wczoraj! Wczoraj myśleliśmy, że to Rosjanin, ty krętaczu!

Graeber podniósł łopatę.

– Idę. Chyba już skończyliśmy?

– Tak, urlopniku – odparł Immermann. – Tak, ty wzorze ostrożności! Tutaj skończyliśmy.

Graeber nie odpowiedział. Schodził z pagórka.

Oddział rozlokował się w piwnicy; światło wpadało tu przez dziurę w pułapie. Pod dziurą przykucnęli czterej żołnierze i grali w skata na pokrywie skrzyni. Kilku innych spało po kątach. Sauer pisał list. Piwnica należała prawdopodobnie do jakiegoś bonzy partyjnego; była duża i dość sucha.

Wszedł Steinbrenner.

– Słyszeliście ostatni komunikat?

– Radio jest zepsute.

– Co za świństwo! Trzeba je naprawić.

– To napraw je, osesku – odezwał się Immermann. – Człowiek, który o nie dbał, stracił głowę przed dwoma tygodniami.

– Co się popsuło?

– Nie mamy już baterii.

– Nie ma baterii?

– Nie. – Immermann spojrzał ironicznie na Steinbrennera. – Ale może będzie grało, jeśli wsadzisz sobie druty do nosa, zawsze miałeś głowę naładowaną elektrycznością. Spróbuj.

Steinbrenner odgarnął włosy.

– Są ludzie, co zamykają pysk, dopiero gdy go sobie solidnie poparzą.

– Nie mów tak tajemniczo, Maks – odparł Immermann spokojnie. – Już mnie sypnąłeś kilka razy. Wszyscy o tym wiedzą. Gorliwy z ciebie chłopak. To ci się chwali. Na nieszczęście jestem wybornym mechanikiem i dobrym erkaemistą. Tacy są tu w tej

chwili bardziej potrzebni niż ty. Dlatego ci się nie udaje. Ile ty właściwie masz lat?

– Stul mordę!

– Mniej więcej dwadzieścia, co? A może dopiero dziewiętnaście? Mimo to masz już bogatą przeszłość. Przez pięć czy sześć lat polowałeś na Żydów i zdrajców narodu. Moje uznanie! Ja, mając dwadzieścia lat, polowałem tylko na dziewczynki.

– To widać!

– Tak, to widać.

U wejścia zjawił się Mücke.

– Co tu się znowu dzieje?

Nikt nie odpowiedział. Mückego uważano za skończonego durnia.

– Pytałem, co tu się dzieje.

– Nic, panie feldfeblu – odparł Berning, który siedział najbliżej. – Rozmawialiśmy tylko.

Mücke spojrzał na Steinbrennera.

– Czy coś się stało?

– Przed dziesięcioma minutami nadano ostatni komunikat.

Steinbrenner wyprostował się i rozejrzał wkoło. Nikogo to nie interesowało. Tylko Graeber słuchał. Karciarze spokojnie grali dalej. Sauer nie uniósł głowy znad listu. Śpiący nie przerwali chrapania.

– Baczność! – krzyknął Mücke. – Ogłuchliście? Ostatnie wiadomości! Uwaga! To służbowe!

– Tak jest! – powiedział Immermann.

Mücke spojrzał na niego. Twarz Immermanna była skupiona i bez wyrazu. Gracze, nie składając kart, odłożyli je na deskę

grzbietami do góry. W ten sposób oszczędzali każdą sekundę, aby móc natychmiast podjąć grę. Sauer przerwał pisanie listu.

Steinbrenner wyprężył się.

– Ważne wiadomości! Nadane w „Godzinie Narodu”! Z Ameryki donoszą o wielkich strajkach! Przemysł stalowy sparaliżowany. Większość zakładów amunicyjnych unieruchomiona. Sabotaże w przemyśle lotniczym. Wszędzie demonstracje za natychmiastowym pokojem. Rząd zachwiany. Oczekuje się przewrotu.

Przerwał. Nikt się nie odezwał. Śpiochy, których zbudziły jego słowa, drapały się. Przez otwór w powale woda kapała w podstawione wiadro. Mücke sapał głośno.

– Nasze łodzie podwodne blokują całe wybrzeże amerykańskie. Wczoraj zostały zatopione dwa duże transporty wojskowe i trzy statki ze sprzętem wojennym; wynosi to łącznie trzydzieści cztery tysiące ton w jednym tylko tygodniu. Anglia zdycha z głodu w swoich ruinach. Nasze łodzie podwodne przerwały wszelką komunikację morską. Nowa, tajna broń jest gotowa. Między innymi zdalnie kierowane bezzałogowe bombowce, które mogą lecieć do Ameryki i z powrotem bez lądowania. Wybrzeże atlantyckie przekształcono w potężną twierdzę. Jeśli wróg spróbuje dokonać inwazji, wpędzimy go do oceanu jak w roku 1940. *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!* – odpowiedziała niezdecydowanie mniej więcej połowa oddziału.

Gracze znów ujęli karty. Grudka śniegu spadła z pluskiem do wiadra.

– Chciałbym siedzieć w porządnym schronie – burknął Schneider, rosły mężczyzna z krótką, rudą brodą.

– Członku partii Steinbrennerze, czy przyniosłeś także wiadomości z frontu rosyjskiego? – spytał Immermann.

– Bo co?

– Bo my jesteśmy tutaj. Niektórych z nas to interesuje. Na przykład naszego kolegę Graebera. Urlopnika.

Steinbrenner zawahał się. Nie dowierzał Immermannowi. Ale jego partyjne sumienie zwyciężyło.

– Skracanie frontu jest już prawie na ukończeniu – oświadczył. – Rosjanie są wyczerpani olbrzymimi stratami. Przygotowano już nowe, rozbudowane pozycje do przeciwnatarcia. Zgrupowanie naszych rezerw zostało zakończone. Naszej kontrofensywie przy użyciu nowej broni nic nie zdoła się oprzeć.

Uniósł rękę, po chwili ją opuścił. Nie zdobył się na to, aby ponownie powiedzieć: *Heil Hitler!* Rosja i Hitler jakoś do siebie nie pasowali. Trudno było powiedzieć coś porywającego o Rosji; każdy sam zbyt dobrze widział, co się dzieje. Steinbrenner stał się nagle podobny do gorliwego ucznia, który podejmuje jeszcze rozpaczliwe wysiłki, aby zdać egzamin.

– To oczywiście bynajmniej nie wszystko. Najważniejsze wiadomości są ściśle tajne. Nie wolno ich ogłaszać nawet w „Godzinie Narodu". Ale jedno jest całkowicie pewne: jeszcze w tym roku zniszczymy wroga.

Nieco przygaszony odwrócił się, aby powędrować do następnej kwatery. Za nim wyszedł Mücke.

– Popatrzcie, co za wazeliniarz! – mruknął jeden ze śpiochów, położył się z powrotem i zachrapał.

Gracze w skata podjęli licytację.

– Zniszczymy! – odezwał się Schneider. – Niszczymy ich dwa razy do roku. – Popatrzył w karty. – Melduję dwadzieścia.

– Rosjanie to urodzeni zdrajcy – oświadczył Immermann. – W wojnie fińskiej udawali, że są znacznie słabsi, niż byli w istocie. Podły bolszewicki wybieg!

Sauer uniósł głowę.

– Dasz ty wreszcie spokój? Tak dobrze jesteś poinformowany o komunistach, co?

– No pewnie. Jeszcze przed paru laty byli naszymi sprzymierzeńcami. A to o Finlandii powiedział marszałek Rzeszy, Göring, osobiście. Masz jakieś zastrzeżenia?

– Przestańcie się wreszcie sprzeczać, chłopcy – mruknął któryś spod ściany. – Co wam się dzisiaj stało?

Zapadła cisza. Tylko karty klaskały nadal o deskę, a woda kapała z pułapu. Graeber skulił się na swoim posłaniu. On wiedział, co się stało. Zawsze tak było po egzekucjach i pogrzebach.

Późnym popołudniem nadeszły gromady rannych. Część od razu odesłano dalej. Przybyli z szarobiałej równiny w swych zakrwawionych bandażach i ciągnęli w drugą stronę, w kierunku bladego widnokręgu. Wydawało się, że nigdy nie znajdą szpitala i zatoną gdzieś w szarobiałej dali. Większość milczała. Wszyscy byli głodni.

Dla pozostałych, którzy nie mogli iść i dla których zabrakło ambulansów, urządzono prowizoryczny lazaret w cerkwi. Rozbity dach uszczelniono i śmiertelnie znużony lekarz, który przybył z dwoma sanitariuszami, zaczął operować. Póki było widno, drzwi

stały otworem, a rannych wnoszono i wynoszono. Białe światło nad stołem operacyjnym wyglądało niby jasny namiot w złotawym mroku cerkwi. W kącie poniewierały się resztki obu figur świętych. Wyciągnięte ramiona Marii nie miały dłoni. Chrystusowi brak było nóg; wyglądało to, jakby ukrzyżowano kalekę. Ranni nie krzyczeli zbyt często. Lekarz miał jeszcze środki znieczulające. Woda gotowała się w kotłach i niklowanych miskach. Amputowane kończyny powoli zapełniały cynową wannę przyniesioną z domu dowódcy kompanii. Nie wiadomo skąd zjawił się pies. Warował przy drzwiach i wracał, choć go przepędzano.

– Skąd on się tu wziął? – spytał Graeber. Wraz z Fresenburgiem stał w pobliżu domu, w którym dawniej mieszkał pop.

Fresenburg przypatrywał się kudłatemu psu, który drżał i wyciągał łeb.

– Prawdopodobnie z lasów.

– Czegóż by szukał w lasach? Tam nie ma nic do żarcia.

– Jest. I to dosyć. Nie tylko w lasach. Wszędzie.

Podeszli bliżej. Pies bacznie odwrócił głowę, gotów do ucieczki. Obaj mężczyźni przystanęli.

Pies był wysoki i chudy, miał szarobrunatną sierść i długi, wąski łeb.

– To nie jest wiejski kundel – powiedział Fresenburg. – To rasowy pies.

Gwizdnął cicho. Zwierzę nadstawiło uszu. Fresenburg gwizdnął znowu i przemówił do niego.

– Myślisz, że czeka tu na żarcie? – spytał Graeber.

Fresenburg potrząsnął głową.

– Żarcia wszędzie ma dosyć. Nie po to przyszedł. Tu jest światło i coś jakby dom. I tu są ludzie. Pewnie szuka towarzystwa.

Z cerkwi wyniesiono nosze. Leżał na nich żołnierz zmarły podczas operacji. Pies odskoczył o kilka metrów, bez wysiłku, miękko, jakby wyrzucony sprężyną. Potem zatrzymał się i popatrzył na Fresenburga. Ten nadal do niego przemawiał i powoli zrobił krok w jego stronę. Pies natychmiast cofnął się przezornie, przystanął jednak i nieznacznie pomerdał ogonem.

– Boi się – powiedział Graeber.

– Tak, oczywiście. Ale to rasowy pies.

– I ludożerca.

Fresenburg odwrócił się.

– Wszyscy jesteśmy ludożercami.

– Dlaczego?

– Jesteśmy ludożercami. I podobnie jak temu psu, wydaje nam się jeszcze, że jesteśmy dobrzy. I tak samo jak on szukamy odrobiny ciepła i światła, i przyjaźni.

Fresenburg uśmiechnął się jedną połową twarzy. Druga była prawie nieruchoma wskutek przecinającej ją głębokiej blizny; robiła wrażenie martwej. Graeber doznawał zawsze osobliwego uczucia na widok tego uśmiechu, który zamierał na połowie twarzy, jak gdyby napotykał jakąś przeszkodę. Wydawało się to wcale nie przypadkowe.

– Niczym nie różnimy się od innych ludzi. Jest wojna, to wszystko tłumaczy.

Fresenburg potrząsnął głową i otrzepał laską śnieg z butów.

– Nie, Ernst. Zatraciliśmy zdolność porównywania. Przez dziesięć lat izolowano nas, izolowano w ohydnej, o pomstę do

nieba wołającej, nieludzkiej i śmiesznej pysze. Ogłoszono nas narodem panów, któremu inni mają służyć jako niewolnicy. – Zaśmiał się z goryczą. – Naród panów! Słuchać każdego głupca, każdego szarlatana, każdego rozkazu – co to ma wspólnego z narodem panów? Tutaj masz odpowiedź. A trafia ona, jak zwykle, częściej niewinnych niż winnych.

Graeber spojrzał na niego zaskoczony. Fresenburg był tutaj jedynym człowiekiem, któremu naprawdę całkowicie ufał. Obaj pochodzili z tego samego miasta i znali się od dawna.

– Jeśli tak dokładnie zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę, dlaczego jesteś tutaj?

– Dlaczego tu jestem? Zamiast siedzieć w obozie koncentracyjnym? Albo być rozstrzelanym za odmowę wykonania rozkazu?

– Nie to miałem na myśli. Ale w 1939 roku byłeś chyba za stary, aby cię powołano do wojska? Czemu więc zgłosiłeś się na ochotnika?

– Wówczas byłem za stary. Od tego czasu dużo się zmieniło. Teraz biorą jeszcze starsze roczniki. Ale nie o to chodzi. To nie jest usprawiedliwienie i nie zmienia faktu, że tu się znalazłem. Człowiek wmawiał sobie wówczas, że nie wolno mu zawieść ojczyzny w czasie wojny, bez względu na to, o co się ona toczy, z czyjej winy wybuchła i kto ją zaczął. To była wymówka, tak samo jak poprzednia, że współpracuje się, aby zapobiec jeszcze gorszym rzeczom. Bo i to była wymówka przed samym sobą. Nic więcej! – Gwałtownie uderzył kijem w śnieg. Pies bezgłośnie odskoczył za cerkiew. – Kusiliśmy Boga, Ernst, rozumiesz?

– Nie – odparł Graeber. Nie chciał rozumieć.

Fresenburg milczał przez chwilę.

– Nie możesz tego zrozumieć – powiedział spokojniej. – Jesteś za młody. Znasz tylko ten małpi taniec historii i wojnę – nic więcej. Ale ja brałem udział w poprzedniej wojnie. I pamiętam okres międzywojenny.

Uśmiechnął się znowu; jedna połowa jego twarzy uśmiechała się, druga pozostała nieruchoma. Uśmiech pełzał ku niej jak znużona fala, ale nie mógł jej pokonać.

– Chciałbym być śpiewakiem operowym – powiedział Fresenburg. – Tenorem z pustą głową i przekonywającym głosem. Albo starcem. Albo dzieckiem. Nie, dzieckiem nie. Ze względu na to, co nas jeszcze czeka. Wojna jest przegrana, o tym chyba wiesz?

– Nie.

– Każdy generał mający choćby odrobinę poczucia odpowiedzialności dawno by ją zakończył. Walczymy tu o nic. O nic – powtórzył. – Nie walczymy nawet o znośne warunki pokoju. – Wskazał ręką w stronę horyzontu. – Z nami nikt już nie będzie pertraktował. Srożyliśmy się jak Attyla i Dżyngis-chan. Złamaliśmy wszystkie układy i ludzkie prawa. My...

– To wina SS – powiedział Graeber zrozpaczony. Spotkał się z Fresenburgiem, by uniknąć Immermanna, Sauera i Steinbrennera; chciał z nim pomówić o starym, spokojnym mieście nad rzeką, o lipowej alei i o młodości; ale teraz było mu jeszcze gorzej niż przedtem. W ciągu ostatnich dni wszystko wydawało się jak urzeczone. Od tamtych nie oczekiwał pomocy; liczył jednak na Fresenburga, którego z powodu zamieszania w czasie odwrotu dawno już nie widział; i właśnie od niego słyszy

teraz to, do czego tak długo nie chciał się przyznać, to, co dopiero w domu chciał przemyśleć, to, czego najbardziej się obawiał.

– SS – odparł Fresenburg pogardliwie. – Tylko za nich jeszcze walczymy. Za SS, za gestapo, za kłamców i spekulantów, za fanatyków, morderców i szaleńców – aby jeszcze rok dłużej mogli pozostać u władzy. Tylko i jedynie za to. Wojna od dawna jest przegrana.

Ściemniło się. Drzwi cerkwi zamknięto, aby nie przedostawało się światło. W oknach widać było ciemne postacie zawieszające koce. Uszczelniono także wejścia do piwnic i schronów. Fresenburg spojrzał w tamtą stronę.

– Staliśmy się kretami. Także w naszych przeklętych duszach. Pod tym względem zrobiliśmy wspaniałe postępy.

Graeber wyjął z kieszeni napoczętą paczkę papierosów i podsunął ją Fresenburgowi. Ten odmówił:

– Wypal je sam. Albo zabierz ze sobą. Ja mam dosyć...

Graeber potrząsnął głową.

– Weź.

Fresenburg uśmiechnął się przelotnie i wziął papierosa.

– Kiedy jedziesz?

– Nie wiem. Urlop nie jest jeszcze zatwierdzony.

Graeber zaciągnął się głęboko i wypuścił dym. Jak to dobrze mieć papierosy. Nieraz nawet lepiej niż przyjaciół. Papierosy nie wywołują rozterki. Są nieme i dobre.

– Nie wiem – powtórzył. – Od pewnego czasu w ogóle nic już nie wiem. Dawniej wszystko było jasne i proste, a teraz wszystko się pogmatwało. Chciałbym zasnąć i przebudzić się w innych czasach.

Ale to nie takie łatwe. Diablo późno zacząłem myśleć. Nie jest to powód do dumy.

Fresenburg potarł grzbietem dłoni bliznę na twarzy.

– Nie przejmuj się. W ciągu ostatnich dziesięciu lat propaganda tak nam dudniła w uszach, że trudno było usłyszeć cokolwiek innego. Zwłaszcza to, co nie miało donośnego głosu: wątpliwości i sumienie. Znałeś Pohlmanna?

– Był naszym nauczycielem historii i religii.

– Kiedy będziesz w domu, odwiedź go. Może jeszcze żyje. Pozdrów go ode mnie.

– Dlaczego miałby nie żyć? Przecież nie jest żołnierzem.

– Nie.

– Więc na pewno żyje. Ma nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat.

– Pozdrów go ode mnie.

– Dobrze.

– Muszę już iść. Powodzenia. Chyba się już nie zobaczymy.

– Przed moim powrotem już nie. Ale to niedługo. Tylko trzy tygodnie.

– Tak, słusznie. A więc wszystkiego dobrego.

– Nawzajem.

Grzęznąc w śniegu, Fresenburg poczłapał do swojej kompanii zakwaterowanej w ruinach sąsiedniej wioski. Graeber spoglądał za nim, póki przyjaciel nie zniknął w mroku. Potem zawrócił. Przed cerkwią spostrzegł ciemną sylwetkę psa. Drzwi otwarto i przez chwilę padała z nich wąska smuga światła. Przed wejściem rozwieszono brezentowe płachty. Nawet ta odrobina jasności promieniowała ciepłem i mogłaby przywieść na myśl ojczyznę, gdyby człowiek nie wiedział, do czego to światło służy.

Zbliżył się do psa. Zwierzę odskoczyło. Graeber spostrzegł obie uszkodzone figury świętych stojące w śniegu przed cerkwią. Obok leżał połamany rower. Wyniesiono wszystko; w cerkwi potrzebny był każdy skrawek miejsca.

Szedł dalej w stronę piwnicy, gdzie kwaterował jego pluton. Blada zorza wieczorna rozciągała się nad ruinami. Nieco w bok od cerkwi leżały trupy. W topniejącym śniegu znaleziono jeszcze trzy z października. Były w rozkładzie i wyglądały już niemal jak ziemia. Obok ułożono zwłoki tych, którzy zmarli w cerkwi dopiero dziś po południu. Były blade i wrogie, i obce, i jeszcze nieuległe.

IV

Przebudzili się. Piwnica dygotała. W uszach huczało. Zewsząd sypał się gruz. Stojąca za wsią artyleria przeciwlotnicza szalała.

– Uciekajmy stąd! – zawołał któryś z nowych.

– Spokój! Nie zapalać światła!

– Uciekajmy z tej pułapki na szczury!

– Dokąd, idioto? Spokój! Co, do diabła, jesteście jeszcze rekrutami?

Głuchy łoskot znów wstrząsnął piwnicą. Coś zawaliło się w ciemności. Z hukiem posypały się kamienie, gruz i drzewo. Przez otwór w pułapie przemykały blade błyski.

– Zasypało kilku!

– Spokój! To tylko kawał muru!

– Uciekajmy, zanim nas tu pogrzebie!

Przed rozjaśnionym wejściem do piwnicy ukazały się jakieś postacie.

– Durnie! – zaklął ktoś. – Zostańcie na dole! Tu chociaż nie ma odłamków.

Ale tamci nie zwracali na to uwagi. Nie dowierzali nieumocnionej piwnicy. Mieli rację; tak samo jak ci, którzy

pozostali. Była to sprawa przypadku; równie dobrze można było zostać zasypanym, jak zabitym przez odłamek.

Czekali. Żołądek podchodził każdemu do gardła, wstrzymywali oddech. Czekali na następny wybuch. Teraz grzmotnie gdzieś blisko. Ale nie grzmotnęło. Zamiast tego usłyszeli kilka eksplozji znacznie bardziej oddalonych.

– Cholera! – zaklął ktoś. – Gdzie są nasze myśliwce?

– Nad Anglią.

– Stul pysk! – wrzasnął Mücke.

– Nad Stalingradem! – dodał Immermann.

– Stul pysk!

W przerwach między strzałami artylerii przeciwlotniczej słychać było huk samolotów.

– Są, są! – zawołał Steinbrenner. – To nasze!

Wszyscy nadstawili uszu. Przez wycie silników słabo przeciekał ogień karabinów maszynowych. Trzy eksplozje nastąpiły jedna po drugiej. Wybuchły bezpośrednio za wsią. Blade światło rozjaśniło piwnicę i w tejże chwili wdarła się do środka rozszalała biel, czerwień i zieleń; ziemia uniosła się i rozpękła wśród burzy grzmotów, błysków i ciemności. W zamierającym huku słychać było krzyki z zewnątrz i trzask walących się murów piwnicy. Graeber wygramolił się spod deszczu padającego tynku. „Cerkiew” – pomyślał i poczuł w sobie taką pustkę, jakby składał się tylko ze skóry, a wszystko inne zostało z niego wyciśnięte. Wejście do piwnicy ocalało; majaczyło szaro w ciemności, gdy oślepione oczy znów odzyskały zdolność widzenia. Graeber poruszył się. Nie był raniony.

– Do diabła! – powiedział obok niego Sauer. – Ależ to było blisko! Chyba cała piwnica jest do chrzanu.

Wyczołgali się. Hałas na zewnątrz wybuchł na nowo. Między jedną a drugą detonacją słychać było wykrzykiwane przez Mückego rozkazy. Odprysk kamienia trafił go w czoło. W migotliwym świetle czerniła się krew spływająca mu po twarzy.

– Jazda! Wszyscy razem! Odkopywać! Kogo brak?

Nikt nie odpowiedział, pytanie było zbyt idiotyczne.

Graeber i Sauer usuwali gruz i kamienie. Robota szła powoli. Przeszkadzały im żelazne belki i wielkie bryły kamienia. Prawie nic nie widzieli, tylko blade niebo i błyski wybuchów.

Graeber odgarnął gruz i poczołgał się wzdłuż zawalonej części piwnicy. Twarzą dotykał niemal rumowiska, a rękami szukał dokoła siebie. Nasłuchiwał z natężeniem, aby poprzez hałas usłyszeć wołanie lub jęki, a jednocześnie obmacywał rumowisko w poszukiwaniu ludzkich członków. To było lepsze niż kopanie na chybił trafił. Dla zasypanych każda sekunda jest droga.

Nagle napotkał rękę, która się poruszała.

– Tu ktoś jest! – zawołał i zaczął usuwać gruz, szukając głowy. Nie mógł jej znaleźć i pociągnął za rękę. – Gdzie jesteś? Powiedz coś! Odezwij się! Gdzie jesteś? – krzyczał.

– Tu – szepnął tuż przy jego uchu zasypany. – Nie ciągnij. Przywaliło mnie.

Ręka znów się poruszyła. Graeber odrzucał tynk, wreszcie znalazł twarz i dotknął ust.

– Tutaj! – zawołał. – Pomóżcie mi!

Tylko kilku ludzi mogło się pomieścić w kącie i kopać. Graeber usłyszał głos Steinbrennera:

– Posuń się! Pilnuj, żeby mu twarzy nie zasypało! My podejdziemy do niego z tej strony!

Graeber przycisnął się do ściany. Tamci szybko pracowali w ciemności. Rwali i odwalali rumowisko.

– Kto to? – spytał Sauer.

– Nie wiem. – Graeber nachylił się nad zasypanym. – Ktoś ty?

Zasypany odpowiedział coś, ale Graeber nie zrozumiał.

– Żyje jeszcze? – spytał Steinbrenner.

Graeber dotknął twarzy zasypanego. Nie poruszała się.

– Nie wiem – odpowiedział. – Przed paru minutami żył jeszcze.

Znów rozpoczął się zgiełk. Graeber przylgnął niemal do twarzy tamtego.

– Zaraz cię wyciągniemy – zawołał. – Słyszysz mnie?

Zdawało mu się, że czuje na policzku słaby oddech, ale nie był pewien. Nad nim dyszeli ciężko Steinbrenner, Sauer i Schneider.

– Już nie odpowiada.

– Nie możemy kopać. – Sauer uderzył łopatą, aż zadźwięczało. – Dalej są żelazne belki i zbyt wielkie głazy. Potrzebujemy światła i narzędzi.

– Tylko bez światła! – wrzasnął Mücke. – Kto zapali światło, zostanie rozstrzelany.

Sami wiedzieli, że palenie światła w czasie nalotu równa się samobójstwu.

– Głupie bydlę – zaklął Schneider. – Myśli, że wszystkie rozumy pozjadał!

– Nic nie poradzimy. Musimy poczekać, aż się rozwidni.

– Tak.

Graeber przykucnął oparty o ścianę. Wpatrywał się w niebo – wycie z góry wdzierało się do piwnicy. Nie mógł niczego rozpoznać. Słyszał tylko niewidzialną, szalejącą śmierć. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nieraz tak wyczekiwał, a bywało już gorzej.

Ostrożnie przesunął ręką po nieznajomym obliczu – wolnym teraz od brudu i pyłu. Dotknął warg, zębów. Otwarte usta zamknęły się. Poczuł lekkie ukąszenie w palce. Zęby zacisnęły się i po chwili puściły.

– On jeszcze żyje!

– Powiedz mu, że dwóch ludzi poszło szukać narzędzi.

Graeber znów dotknął warg zasypanego. Nie poruszały się już. Poszukał ręki wśród gruzu i przytrzymał ją. Ręka również nie odpowiadała. Graeber trzymał ją mocno; to było wszystko, co mógł zrobić. Siedział tak i czekał, aż minie nalot.

Przynieśli narzędzia i wydobyli zasypanego. Był to Lammers, wątły mężczyzna w okularach. Znaleźli także okulary; leżały na ziemi o metr dalej, nieuszkodzone. Ale Lammers nie żył.

Graeber poszedł na wartę ze Schneiderem. Gęste od wybuchów powietrze czuć było spalinami. Część cerkwi zawaliła się. Tak samo dom dowódcy kompanii. Graeber zastanawiał się, czy Rahe ocalał. Potem dostrzegł jego chudą i wysoką sylwetkę w półcieniu za domem; Rahe obserwował prace przy uprzątaniu gruzów cerkwi. Część rannych została zasypana. Reszta leżała na polu, na rozpostartych kocach i brezentowych płachtach. Nie jęczeli. Oczy ich skierowane były do góry. Nie o pomoc. Bali się nieba. Graeber minął świeże leje po bombach. Cuchnęły i były na śniegu tak czarne, jakby wcale nie miały dna. Kłębiła się w nich mgła.

W pobliżu pagórka, gdzie znajdowały się groby, natrafili na mniejszy lej.

– Możemy go użyć na grób – powiedział Schneider. – Mamy dosyć zabitych.

Graeber potrząsnął głową.

– Skąd weźmiesz ziemię, żeby go zasypać?

– Zgarnie się z brzegów.

– To nie wystarczy. Dół i tak pozostanie. Grunt dokoła jest wyższy. Łatwiej będzie wykopać nowe groby.

Schneider podrapał się w rudą brodę.

– Czy groby muszą być zawsze wyższe niż ziemia wokół?

– Chyba nie. To tylko taki zwyczaj.

Poszli dalej. Graeber spostrzegł, że na grobie Reickego brak krzyża. Wybuchy cisnęły go gdzieś w noc.

Schneider zatrzymał się, nasłuchując.

– Diabli biorą twój urlop – powiedział.

Teraz nasłuchiwali obaj. Front ożywił się nagle. Nad horyzontem zwisały świetlne parasole i rakiety. Ogień artylerii przybrał na sile i stał się bardziej regularny. Słychać było łomot min.

– Ogień zaporowy – odezwał się Schneider. – To znaczy, że znów nas poślą na pierwszą linię. Nici z urlopu!

– Chyba tak.

Nasłuchiwali nadal. Schneider miał rację. To, co słyszeli, nie brzmiało jak lokalny atak. Była to silna koncentracja artylerii na nieustabilizowanym froncie. Jutro rano zacznie się prawdopodobnie generalny szturm. W ciągu nocy nadciągnęła mgła i widzialność stawała się coraz gorsza. Rosjanie ruszą

naprzód, ukryci za oparem mgły, jak przed dwoma tygodniami, kiedy kompania straciła czterdziestu dwóch ludzi.

Urlop diabli wzięli. Graeber i tak nigdy naprawdę nie wierzył, że go dostanie. Nawet nie napisał o tym do rodziców. Od czasu gdy został żołnierzem, był w domu tylko dwa razy, a ostatni urlop wydawał się już tak odległy, że niemal nierealny. Prawie dwa lata. A może dwadzieścia lat? To na jedno wychodzi. Nawet nie odczuwał rozczarowania. Tylko pustkę.

– W którą stronę chcesz pójść? – spytał Schneidera.

– Wszystko mi jedno. Na prawo?

– Dobrze. To ja pójdę na lewo.

Nadciągnęła mgła, gęstniejąc szybko. Brodziło się w niej jak w ciemnej, mlecznej zupie. Sięgała już po szyję, falowała i kłębiła się zimnicą. Głowa Schneidera odpływała na niej w dal. Graeber ruszył na lewo, szerokim łukiem wokół wsi. Od czasu do czasu całkowicie tonął we mgle. Potem wyłaniał się znowu i na obrzeżu mlecznej powierzchni dostrzegał barwne światła frontu. Ogień się wzmagał.

Nie wiedział, jak długo szedł, gdy nagle usłyszał kilka pojedynczych strzałów. „Schneider – pomyślał. – Prawdopodobnie nerwy go poniosły". Znowu rozległy się strzały, a potem okrzyki. Pochylił się do przodu, zatonął w osłonie mgły i czekał z karabinem gotowym do strzału. Okrzyki słychać było coraz bliżej, ktoś go wołał. Odezwał się.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj.

Na chwilę wychylił twarz z mgły i dla ostrożności uskoczył w bok. Nikt nie strzelił. Głos słyszał teraz zupełnie blisko, ale we

mgle i nocą trudno było ustalić odległość. Potem spostrzegł Steinbrennera.

– Świnie! Kropnęli Schneidera! Dostał prosto w głowę!

To byli partyzanci. Przyczołgali się we mgle. Ruda broda Schneidera stanowiła doskonały cel. Prawdopodobnie spodziewali się zaskoczyć kompanię we śnie, ale przeszkodziły im roboty przy uprzątaniu gruzów; Schneidera jednak kropnęli.

– Co za banda! I nie możemy ich ścigać w tej przeklętej zupie!

Twarz Steinbrennera była wilgotna od mgły. Oczy mu błyszczały.

– Mamy patrolować we dwójkę – powiedział. – Rozkaz Rahego. I nie za daleko.

– Dobrze.

Szli tak blisko siebie, że mogli się jeszcze rozpoznać. Steinbrenner uważnie wypatrywał we mgle i ostrożnie skradał się do przodu. Był dobrym żołnierzem.

– Chciałbym złapać którego – szepnął. – Wiedziałbym, co z nim zrobić: szmata w pysk, żeby nikt nie usłyszał, ręce i nogi związać – i potem dopiero do roboty! Nie uwierzysz, jak daleko można wyciągnąć oko, nim się je wyrwie. – Uczynił rękami ruch, jakby miażdżył coś powoli.

– Wierzę ci – odparł Graeber. „Gdyby Schneider poszedł w lewo, zamiast w prawo – pomyślał – byliby mnie kropnęli". Niewiele przy tym odczuwał. Nieraz już tak bywało. Życie żołnierza zależy od przypadku.

Szukali, póki ich nie zluzowano, nikogo jednak nie znaleźli. Ogień na froncie przycichł. Nastał ranek. Rozpoczął się atak.

– Ruszyli – powiedział Steinbrenner. – Chciałbym teraz tam być! Podczas takiego ataku wielu pada i zawsze potrzebni są zastępcy. W ciągu kilku dni można zostać podoficerem.

– Albo być zmiażdżonym przez czołg.

– Ach, człowieku! Wy, stare capy, tylko o tym myślicie. W ten sposób daleko się nie zajdzie. Nie wszyscy giną.

– Pewnie, że nie. Inaczej nie byłoby wojen.

Wczołgali się z powrotem do piwnicy. Steinbrenner rozłożył koc i wyciągnął się na swoim legowisku. Graeber popatrzył na niego. Ten dwudziestoletni chłopak zamordował więcej ludzi niż tuzin starych żołnierzy razem. Nie w walce: za frontem i w obozach koncentracyjnych. Nieraz tym się chwalił i dumny był ze swego wyjątkowego okrucieństwa.

Graeber położył się i usiłował zasnąć, ale nie mógł. Nasłuchiwał dudnienia frontu. Steinbrenner natychmiast zapadł w sen.

Dzień nastał szary i wilgotny. Front szalał. Czołgi były w akcji. Na południu linia frontu została już odepchnięta. Samoloty huczały. Transporty toczyły się po równinie. Wracali ranni. Kompania czekała na rozkaz ruszenia na linię.

O godzinie dziesiątej Graebera wezwano do Rahego. Dowódca kompanii przeniósł swoją kwaterę. Mieszkał teraz w drugiej części murowanego domu, która jeszcze ocalała. Obok mieściła się kancelaria.

Pokój Rahego był na parterze. Urządzenie składało się ze stołka o trzech nogach, rozwalonego wielkiego pieca, na którym leżały koce, polowego łóżka i stołu. Przez rozbite, załatane tekturą okno widać było lej od bomby. W izbie panował ziąb. Na stole stała kuchenka spirytusowa, grzała się na niej kawa.

– Zatwierdzono wasz urlop – powiedział Rahe. Nalewał kawę do kolorowego kubka bez ucha. – Jednak zatwierdzono. Dziwicie się, co?

– Tak jest, panie poruczniku.

– Ja też. Papiery są w kancelarii. Odbierzcie je stamtąd i starajcie się natychmiast zmykać. Spróbujcie, może zabierze was jakiś samochód. Każdej chwili spodziewam się wstrzymania wszystkich urlopów. Jak was nie będzie, to was nie będzie, zrozumiano?

– Tak jest, panie poruczniku.

Wydawało się, że Rahe chce jeszcze coś powiedzieć. Potem jednak rozmyślił się, obszedł stół dookoła i podał Graeberowi rękę.

– Wszystkiego dobrego i zmykajcie stąd jak najprędzej. Urlop należał się wam już od dawna. Zasłużyliście na niego.

Odwrócił się i podszedł do okna. Było dla niego za niskie. Musiał się pochylić, aby wyjrzeć.

Graeber wykonał w tył zwrot i obszedł dom, zmierzając w stronę kancelarii. Gdy przechodził koło okna, zobaczył ordery na piersi Rahego. Głowy nie widział.

Pisarz kompanii podsunął mu ostemplowany i podpisany papier.

– Masz szczęście – powiedział mrukliwie. – Nawet nieżonaty, co?

– Nie. Ale to mój pierwszy urlop od dwóch lat.

– Szczęściarz! – powtórzył pisarz. – Urlop, kiedy tu się robi gorąco.

– Nie wybierałem sobie terminu.

Graeber poszedł z powrotem do piwnicy. Nie liczył już na urlop, toteż nie był przygotowany. Nie miał zresztą wiele do pakowania. Szybko zebrał swoje rzeczy. Był między nimi rosyjski emaliowany obrazek święty, który chciał podarować matce. Znalazł go gdzieś po drodze.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył przed sobą Hirschlanda trzymającego w ręku kawałek papieru.

– O co chodzi? – spytał Graeber i pomyślał: „Urlop odwołany! Złapali mnie w ostatniej chwili".

Hirschland rozejrzał się. W piwnicy nie było nikogo.

– Jedziesz? – szepnął.

Graeber odetchnął.

– Tak.

– Czy mógłbyś... tu jest adres... czy mógłbyś powiedzieć mojej matce, że u mnie wszystko w porządku?

– Bo co? Nie możesz sam tego napisać?

– Owszem, tak – szepnął Hirschland. – Ale oni mi nie wierzą. Matka mi nie wierzy. Myśli, że z powodu...

Urwał i podał Graeberowi karteczkę.

– Tutaj jest adres. Jeśli przyjdzie ktoś z mojej kompanii, to może mu uwierzy... rozumiesz? Ona myśli, że nie mam odwagi napisać prawdy...

– Tak – odparł Graeber. – Rozumiem. – Wziął kartkę i włożył ją do książeczki wojskowej.

Hirschland podsunął mu paczkę papierosów.

– Weź... na drogę...

– Dlaczego?

– Ja nie palę.

Graeber spojrzał na niego. To prawda, nigdy nie widział Hirschlanda palącego.

– Dobrze, dziękuję – powiedział i wziął papierosy.

– I nie mów nic o tym... – Hirschland zrobił gest w kierunku frontu. – Tylko, że tu spokojnie.

– Oczywiście. Cóż innego miałbym powiedzieć?

– Dziękuję.

Hirschland odwrócił się szybko.

„«Dziękuję»? – pomyślał Graeber. – Za co mi dziękuje?"

Znalazł miejsce w sanitarce. Samochód pełen rannych wpadł do dziury w śniegu; pomocnik kierowcy wyleciał z kabiny i złamał rękę. Graeber zajął jego miejsce.

Wóz jechał oznaczoną palikami i wiechciami słomy drogą, która wiodła łukiem koło wsi. Graeber widział kompanię zebraną na placu przed cerkwią.

– Ci jadą na linię – powiedział kierowca. – Pójdą do akcji. Zasrana historia! Człowieku, skąd Rosjanie biorą tyle tej artylerii!

– Tak...

– Czołgów też mają dosyć. Tylko skąd?

– Z Ameryki. Albo z Syberii. Podobno mają tam całą kupę fabryk.

Kierowca wyminął ugrzęzłą w śniegu ciężarówkę.

– Rosja jest za wielka. Za wielka, mówię ci. Człowiek się w niej gubi.

Graeber przytaknął i owinął nogi kocem. Przez chwilę czuł się jak dezerter. Sformowana kompania ciemniała na wiejskim placyku. A on odjeżdża. On jeden. Inni pozostają tutaj, idą na front, a on odjeżdża. „Zasłużyłem sobie na to. Rahe też to

powiedział... Ale dlaczego o tym myślę? Po prostu boję się, że ktoś mnie dogoni i zawróci".

Kilka kilometrów dalej napotkali samochód z rannymi, który obsunął się z drogi i utknął w śniegu. Zatrzymali się i zajrzeli do sanitarki. Dwaj żołnierze zmarli. Wyładowali trupy, a na ich miejsce zabrali trzech rannych z drugiego wozu. Graeber pomagał ich ładować. Dwaj mieli amputowane nogi, trzeci – postrzał twarzy; mógł siedzieć. Ci, którzy pozostali, krzyczeli i przeklinali. Byli to ciężko ranni na noszach – zabrakło dla nich miejsca. Jak wszyscy ranni, bali się, że w ostatniej chwili dogoni ich jeszcze wojna.

– Co się stało? – spytał kierowca sanitarki szofera tamtego wozu.

– Oś złamana.

– Oś złamana? W śniegu?

– Był taki, co złamał palec, dłubiąc w nosie. Nigdy o tym nie słyszałeś, ty żółtodziobie?

– Jasne. W każdym razie masz chociaż szczęście, że skończyła się prawdziwa zima. Inaczej wszyscy zamarzliby ci na śmierć.

Pojechali dalej. Kierowca oparł się na siedzeniu.

– Zdarzyło mi się to przed dwoma miesiącami – zaczął. – Miałem kłopoty ze skrzynią biegów. Posuwałem się naprzód bardzo wolno. Ludzie mi przymarzli do noszy. Nic nie mogłem poradzić. Kiedy wreszcie dojechaliśmy do celu, sześciu żyło jeszcze. Ręce, nogi i nosy naturalnie odmrożone. Być ranionym w Rosji, w zimie, to nie żarty. – Wyjął prymkę i odgryzł kawałek. – A ci, co mogli chodzić, szli na piechotę! Nocą, w czasie mrozów.

Chcieli siłą zająć nasz samochód. Czepiali się drzwi i stopni jak rój pszczół. Musieliśmy ich spychać.

Graeber w roztargnieniu kiwnął głową i obejrzał się. Wsi nie było już widać. Zniknęła za śnieżną zawieją. Nic już nie istniało prócz nieba i równiny, po której jechali na zachód. Było południe. Słońce świeciło blado poprzez szarzyznę. Śnieg lekko migotał. I nagle Graeber poczuł, jak coś w nim wybuchło gorącą falą, i po raz pierwszy uświadomił sobie, że uszedł, że uchodzi śmierci, ciągle dalej i dalej; wpatrywał się w rozjeżdżony śnieg niknący pod kołami metr za metrem i czuł, że metr za metrem zbliża się ku ocaleniu, ku zachodowi, ku ojczyźnie, ku niepojętemu życiu za zbawczym horyzontem.

Kierowca potrącił go, zmieniając biegi. Graeber wzdrygnął się. Poszukał w kieszeniach i wyłowił paczkę papierosów, tę od Hirschlanda.

– Weź – powiedział.

– *Merci* – odparł kierowca, nie odwracając głowy. – Nie palę. Tylko żuję.

V

Kolejka wąskotorowa zatrzymała się. Mały, zamaskowany dworzec oblany był słońcem. Z paru okolicznych domów pozostały już tylko ruiny; zbudowano więc kilka baraków, których dachy i ściany pomalowano na barwy ochronne. Na torach stały wagony kolejowe. Przeładowywali je rosyjscy jeńcy. Kolejka wąskotorowa łączyła się tu z linią szerokotorową.

Rannych umieszczono w jednym z baraków. Ci, którzy mogli chodzić, usiedli na grubo ciosanych ławach. Przyłączyło się do nich kilku urlopników. Starali się jak najmniej rzucać w oczy, w obawie, że ktoś zwróci na nich uwagę i odeśle z powrotem.

Dzień był przygnębiający. Zwiędłe światło igrało nad śniegiem. Z oddali dochodził warkot silników samolotowych. Nie płynął z powietrza; widocznie gdzieś w pobliżu znajdowało się ukryte lotnisko. Później eskadra samolotów przeleciała nad dworcem i zaczęła wznosić się w górę, aż wyglądała jak stado skowronków. Graeber rozmarzył się. „Skowronki – pomyślał. – Pokój”.

Wystraszyli ich dwaj żandarmi polowi.

– Dokumenty!

Żandarmi byli zdrowi i silni, cechowała ich pewność siebie właściwa tylko ludziom, którym nie zagraża niebezpieczeństwo. Mundury ich były bez zarzutu, broń wyczyszczona, a każdy z nich ważył co najmniej o dwadzieścia funtów więcej niż którykolwiek z urlopników.

Żołnierze w milczeniu okazywali dokumenty urlopowe. Żandarmi badali je skrupulatnie. Kazali pokazać sobie także książeczki wojskowe.

– Jedzenie możecie wyfasować w baraku numer trzy – powiedział wreszcie starszy z nich. – I umyjcie się. Jak wy wyglądacie! Chcecie wrócić do ojczyzny jak świnie?

Grupa powędrowała do baraku numer trzy.

– Przeklęte szpicle! – klął jakiś żołnierz z czarną, zarośniętą twarzą.

– Hardzi w pysku i z daleka od frontu! A traktują nas, jakbyśmy byli przestępcami.

– Pod Stalingradem rozstrzelali jako dezerterów dziesiątki żołnierzy, którzy pogubili swoje pułki – powiedział inny.

– Byłeś pod Stalingradem?

– Gdybym był pod Stalingradem, nie siedziałbym teraz tutaj. Z tego kotła nikt się nie wydostał.

– Słuchaj – powiedział starszy podoficer. – Na froncie możesz sobie gadać, co chcesz. Ale tutaj jest inaczej. Od teraz trzymaj gębę na kłódkę, tak będzie dla ciebie lepiej, zrozumiałeś?

Ustawili się z menażkami w ręku. Kazano im czekać przeszło godzinę, żaden jednak nie opuścił swojego miejsca. Marzli, ale czekali. Byli do tego przyzwyczajeni. Wreszcie dostali porcję zupy; pływało w niej trochę mięsa, jarzyn i kilka kartofli.

Żołnierz, który nie był pod Stalingradem, obejrzał się ostrożnie.

– Ciekaw jestem, czy żandarmi dostają to samo żarcie?

– Nie masz innych zmartwień? – odezwał się pogardliwie podoficer.

Graeber jadł zupę. „Jest przynajmniej ciepła – pomyślał. – W domu będzie inaczej. Matka będzie gotowała. Może zrobi smażoną kiełbasę z cebulką i kartofelkami, a na deser budyń malinowy z sosem waniliowym".

Musieli czekać, aż się ściemni. Żandarmeria polowa kontrolowała ich jeszcze dwukrotnie. Przybywało coraz więcej rannych. Z każdym transportem wzrastało zdenerwowanie urlopników. Bali się, że każą im pozostać. Wreszcie, po północy, zestawiono pociąg. Zrobiło się zimniej, gwiazdy jasno świeciły na niebie. Wszyscy ich nienawidzili; oznaczały dobrą widoczność dla lotników. Przyroda sama w sobie od dawna już nie miała znaczenia, była tylko dobra lub zła w odniesieniu do wojny. Jako osłona lub jako niebezpieczeństwo.

Załadowano rannych. Trzech wyniesiono od razu z powrotem. Już nie żyli. Nosze ze zmarłymi pozostały na peronie; ściągnięto z nich koce. Nigdzie nie paliło się światło.

Teraz przyszła kolej na rannych, którzy mogli chodzić. Kontrolowano ich dokładnie. „Nie dostaniemy się – pomyślał Graeber. – Jest ich zbyt wielu, a pociąg już przepełniony". Tępo wpatrywał się w noc. Serce biło mu gwałtownie. Nad nim buczały niewidoczne samoloty. Wiedział, że to niemieckie, ale bał się. Bał się znacznie bardziej niż na froncie.

– Urlopnicy! – zawołano wreszcie.

Grupa rzuciła się naprzód. Znów zjawiła się żandarmeria polowa. Po południu, w czasie ostatniej kontroli, każdy urlopnik dostał karteczkę, którą teraz musiał oddać. Wdrapali się do wagonu. Siedziało tam już kilku rannych. Urlopnicy tłoczyli się i popychali. Ktoś głośno wykrzykiwał rozkazy. Wszyscy musieli znowu wysiąść i ustawić się na peronie. Potem zaprowadzono ich do następnego wagonu, gdzie również siedzieli już ranni. Pozwolono im wsiąść. Graeber znalazł miejsce pośrodku. Nie chciał siedzieć przy oknie. Wiedział, co mogą wyrządzić odłamki.

Pociąg nie odjeżdżał. W przedziale było ciemno. Wszyscy czekali. Na peronie uciszyło się, ale pociąg stał nadal. Dwóch żandarmów prowadziło jakiegoś żołnierza. Przeszedł oddział Rosjan taszczących skrzynki z amunicją. Potem zjawiło się kilku esesowców, którzy głośno ze sobą rozmawiali. Pociąg wciąż jeszcze nie ruszał. Ranni pierwsi zaczęli kląć. Mogli sobie na to pozwolić. Na razie nic im więcej nie groziło.

Graeber oparł głowę o ścianę wagonu. Próbował zasnąć, aby przebudzić się, gdy pociąg będzie już w biegu, ale nie mógł. Nasłuchiwał każdego dźwięku. W ciemności widział oczy sąsiadów. Odbijało się w nich matowe światło śniegu i gwiazd, padające z zewnątrz. Nie było dosyć jasno, aby rozpoznać twarze. Tylko oczy. Przedział pełen był ciemności i niespokojnych oczu, a między nimi jaśniała martwa biel opatrunków.

Pociąg szarpnął i zaraz znów stanął. Słychać było wołania. Po jakimś czasie trzasnęły drzwi. Dwoje noszy wyniesiono na peron. Dwóch zmarłych więcej. „Dwa miejsca więcej dla żyjących – pomyślał Graeber. – Oby tylko w ostatniej chwili nie przybyli nowi, bo musielibyśmy wysiąść!” Wszyscy myśleli o tym samym.

Pociąg znów szarpnął. Peron zaczął się powoli przesuwać.

Żandarmi, jeńcy, esesowcy, stosy skrzyń – a potem nagle była równina. Wszyscy wychylili się. Wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć. Pociąg chyba znów stanie. On jednak sunął i sunął i urywany stukot powoli przechodził w równomierny rytm. Widać było czołgi i armaty. Żołnierze oglądali się za pociągiem. Graeber poczuł się nagle bardzo znużony. „Do domu! – pomyślał. – Mój Boże, nawet nie mam odwagi się cieszyć".

Rano padał śnieg. Zatrzymano się na jakimś dworcu, aby wyfasować kawę. Dworzec leżał na skraju małej mieściny, z której niewiele pozostało. Wyładowano zmarłych. Pociąg manewrował. Graeber pobiegł ze swą namiastką kawy z powrotem do przedziału. Nie śmiał go powtórnie opuścić, aby pójść po chleb.

Przez pociąg przechodził patrol, wyławiając lekko rannych; mieli pozostać w miejscowym szpitalu. Wiadomość szybko rozniosła się po wagonach. Ranni w rękę szturmowali klozety, aby się w nich ukryć. Walczyli o miejsce. Z wściekłością i rozpaczą wypychali jeden drugiego, chcąc zamknąć drzwi.

– Idą! – zawołał nagle ktoś z zewnątrz.

Kłąb ludzi rozproszył się. Dwaj żołnierze wtargnęli do ubikacji i zatrzasnęli za sobą drzwi. Inny, którego przewrócono w tłoku, spoglądał na swą rękę, unieruchomioną w łubkach. Niewielka czerwona plama powiększała się. Inny znów otworzył drzwi prowadzące na przeciwną stronę peronu i z wysiłkiem zsunął się w śnieżną zadymkę. Przylgnął na zewnątrz do pociągu. Reszta pozostała na swoich miejscach.

– Zamknij drzwi – powiedział ktoś. – Bo zaraz się domyślą.

Graeber zatrzasnął drzwi. Przez chwilę widział w kotłującym się śniegu bladą twarz żołnierza, który przykucnął na dole.

– Chcę wrócić do domu – powiedział ranny z krwawiącym opatrunkiem. – Dwa razy już trafiłem do tych przeklętych lazaretów etapowych i za każdym razem wysyłali mnie z powrotem na front, bez urlopu. Ja chcę do domu. Zasłużyłem na to.

Pełen nienawiści wpatrywał się w zdrowych urlopników. Nikt mu nie odpowiedział. Trwało to długo, nim nadszedł patrol. Dwaj żandarmi sprawdzali przedziały, kilku innych pilnowało na peronie rannych, których wygarnięto z wagonów. Jednym z kontrolujących był młody lekarz w stopniu podoficera. Pobieżnie przeglądał papiery rannych.

– Proszę wysiąść – mówił obojętnie, patrząc już na kartę następnego.

Jakiś żołnierz nie ruszył się z miejsca. Był to mały, szary człowieczek.

– Jazda, dziadku – powiedział żandarm, który towarzyszył lekarzowi. – Nie słyszeliście?

Żołnierz siedział dalej. Miał obandażowane ramię.

– Jazda! Wysiadać! – powtórzył żandarm.

Żołnierz nie ruszył się. Zacisnął wargi i spoglądał przed siebie, jakby nic nie rozumiał. Żandarm stanął przed nim rozkraczony.

– Czekacie na specjalne zaproszenie? Wstawać!

Żołnierz wciąż zachowywał się tak, jakby nic nie słyszał.

– Wstawać! – wrzasnął teraz żandarm. – Nie widzicie, że mówi do was przełożony? Chcecie trafić przed sąd wojenny?

– Spokojnie – odezwał się lekarz. – Tylko spokojnie. – Miał różową twarz pozbawioną rzęs. – Krwawicie – tłumaczył żołnierzowi, który przedtem walczył o miejsce w klozecie. – Trzeba wam założyć świeży opatrunek. Proszę wysiąść.

– Ja... – zaczął ranny i urwał. Spostrzegł nagle, że wszedł drugi żandarm; razem z pierwszym ujęli teraz szarego żołnierza pod zdrowe ramię i podnieśli do góry. Żołnierz, nie poruszając twarzą, wydał piskliwy skrzek. Drugi żandarm schwycił go teraz wpół i jak lekki pakunek wypchnął z przedziału. Czynił to bezosobowo, bez brutalności. Żołnierz już nie krzyczał. Zniknął w tłumie na peronie.

– No więc? – spytał lekarz.

– Czy będę mógł jechać dalej, kiedy założą mi świeży opatrunek, panie kapitanie? – spytał ranny.

– To się okaże. Możliwe. Najpierw musicie iść na opatrunek.

Żołnierz wysiadł z twarzą przepełnioną rozpaczą. Zwrócił się do podoficera-lekarza, tytułując go kapitanem, ale i to nic nie pomogło. Żandarm nacisnął drzwi klozetu.

– Naturalnie – odezwał się pogardliwie. – Nie mają lepszych pomysłów. Zawsze to samo. Otworzyć! – rozkazał. – Natychmiast!

Drzwi się uchyliły. Wyszedł jeden z ukrywających się tam żołnierzy.

– Spryciarz, co? – warknął żandarm. – Po co się zamykacie? Chcecie się bawić w chowanego?

– Mam biegunkę. Chyba po to jest klozet.

– Tak? Właśnie teraz? I ja mam w to uwierzyć?

Żołnierz rozchylił płaszcz, ukazując Żelazny Krzyż I klasy. Spojrzał na pierś żandarma; była pusta.

– Tak – odparł spokojnie. – Ma pan w to wierzyć.

Żandarm zaczerwienił się. Lekarz uprzedził go.

– Proszę wysiąść – powiedział, nie patrząc nawet na żołnierza.

– Pan nie sprawdził, co mi jest.

– Widzę to po opatrunku. Proszę wysiąść.

Żołnierz uśmiechnął się przelotnie.

– Dobrze.

– Jesteśmy chyba gotowi, co? – spytał lekarz nerwowo.

– Tak jest. – Żandarm obrzucił wzrokiem urlopników. Każdy z nich trzymał swoje papiery w ręku. – Tak, jesteśmy gotowi – oświadczył i wysiadł za lekarzem.

Drzwi do klozetu otworzyły się bezszelestnie. Wyszedł z nich frajter. Twarz jego była mokra od potu. Opadł na ławkę.

– Poszedł? – szepnął po chwili.

– Zdaje się.

Frajter długo siedział w milczeniu. Pot z niego spływał.

– Będę się za niego modlił – powiedział wreszcie.

Wszyscy podnieśli wzrok.

– Co?! – spytał ktoś z niedowierzaniem. – Chcesz się jeszcze modlić za tę świnię, żandarma?

– Nie, nie za tę świnię. Za tego, który był razem ze mną w klozecie. Poradził mi, żebym został w środku, że on już wszystko załatwi. Gdzie on jest?

– Na peronie. Wszystko załatwił. Doprowadził tego grubego wieprza do takiej wściekłości, że już więcej nawet nie szukał.

– Będę się za niego modlił.

– Nie mam nic przeciwko temu, możesz się modlić.

– Tak, na pewno. Nazywam się Lüttjens. Na pewno będę się za niego modlił.

– Dobrze. Ale teraz zamknij mordę. Módl się jutro. Albo poczekaj przynajmniej, aż pociąg ruszy – powiedział ktoś.

– Będę się modlił. Ja muszę do domu. Jak trafię tu do szpitala, to nie dostanę urlopu. A ja muszę do Niemiec. Moja żona ma raka. Ma trzydzieści sześć lat. Trzydzieści sześć lat skończyła w październiku. Już od czterech miesięcy leży w łóżku.

Udręczonym wzrokiem wodził od jednego do drugiego. Nikt mu nie odpowiedział. Była to codzienna historia.

W godzinę później pociąg ruszył. Żołnierz, który ukrył się na zewnątrz wagonu, nie pokazał się więcej.

„Prawdopodobnie złapali go" – pomyślał Graeber.

W południe wszedł jakiś podoficer.

– Czy ktoś z was chce się ogolić?

– Co?

– Ogolić. Jestem fryzjerem. Mam doskonałe mydło, jeszcze z Francji.

– Golić? Kiedy pociąg jest w biegu?

– Oczywiście. Właśnie goliłem w wagonie oficerskim.

– Ile to kosztuje?

– Pięćdziesiąt fenigów. Pół marki, tanio, biorąc pod uwagę, że muszę wam najpierw ostrzyc brody.

– Dobrze. – Jeden z urlopników wyciągnął pieniądze. – Ale jak mnie zatniesz, to nic nie dostaniesz.

Golibroda odstawił miseczkę i wyjął z kieszeni nożyczki i grzebień. Miał przy sobie dużą torbę papierową, do której wrzucał włosy. Potem zaczął namydlać. Piana była tak biała,

jakby mydlił śniegiem. Pracował przy oknie. Był zręczny. Trzech żołnierzy kazało się ogolić. Ranni odmówili. Graeber usiadł jako czwarty. Przyglądał się trójce, która była już gotowa. Dziwnie wyglądali, twarze mieli czerwone i pocętkowane od zimna i wiatru, niżej jaśniały białe podbródki. W połowie były to twarze żołnierzy, w połowie – piecuchów. Graeber słyszał skrobanie brzytwy. Golenie poprawiło mu humor. To już jakby cząstka ojczyzny, zwłaszcza że obsługuje go przełożony. Miał wrażenie, że już jest w cywilu.

Po południu znów się zatrzymali. Na peronie stała kuchnia polowa. Poszli fasować jedzenie. Lüttjens został w przedziale. Graeber widział, że szybko porusza wargami. Trzymał przy tym zdrową rękę tak, jakby składał ją z jakąś drugą, niewidoczną. Lewa, obandażowana, zwisała w kurtce. Dostali kapuśniak. Był letni.

Do granicy dotarli wieczorem. Pociąg został opóźniony. Urlopników poprowadzono do odwszenia. Oddali ubrania i siedzieli nadzy w baraku, aby wytępić wszy na swych ciałach. Izba była ciepła, woda ciepła, a mydło silnie pachniało karbolem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Graeber siedział w naprawdę ciepłym pomieszczeniu. Wprawdzie i na froncie miewali czasami piece, ale mogli ogrzać tylko część ciała zwróconą do ognia; druga strona marzła. Tutaj cała izba była ciepła. Nareszcie kości mogły odtajać. Kości i mózgownica. Mózgownica dłużej była zamrożona.

Siedzieli wkoło, szukali wszy i bili je. Graeber nie miał wszy głowowych. Mendy i wszy odzieżowe nie przechodzą na głowę, to stara zasada. Wszy respektują nawzajem swoje terytoria, nie znają wojen.

Ciepło uczyniło go sennym. Widział blade ciała kolegów, odmrożenia na nogach i czerwone szramy po bliznach. Nagle przestali być żołnierzami. Ich mundury wisiały gdzieś w parze; byli nagimi ludźmi bijącymi wszy i ich rozmowy stały się natychmiast inne. Nie mówili już o wojnie. Mówili o jedzeniu i o kobietach.

– Ona ma dziecko – powiedział jeden z nich, nazwiskiem Bernhard. Siedział obok Graebera i przeglądając się w małym lusterku, wyłapywał wszy z brwi.

– Dwa lata nie byłem w domu, a dziecko ma dopiero cztery miesiące. Ona utrzymuje, że ma czternaście miesięcy i że to moje. Ale matka pisała mi, że to jakiegoś Rosjanina. Zresztą ona dopiero przed dziesięcioma miesiącami zaczęła mi o tym pisać. Przedtem nigdy. Co wy na to?

– Zdarza się – odpowiedział łysy żołnierz obojętnie. – Na wsi jest dużo dzieci jeńców wojennych.

– Tak? No, ale co ja mam teraz zrobić?

– Ja bym babę wyrzucił – oświadczył inny, owijając sobie nogi świeżym bandażem. – To świństwo.

– Świństwo? Dlaczego świństwo? – Łysy żachnął się. – W czasie wojny te sprawy wyglądają inaczej niż zwykle. Trzeba to zrozumieć. Co to, chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopak. Ona pisze, że podobny do mnie.

– Jeżeli chłopak, możesz go zatrzymać. Przyda się. Na wsi zawsze potrzebna jest pomoc.

– Ale to przecież pół-Rosjanin...

– No i co z tego? Rosjanie są Aryjczykami. A ojczyzna potrzebuje żołnierzy.

Bernhard odłożył lusterko.

– Takie proste to znów nie jest. Łatwo ci mówić. Nie tobie się przydarzyło.

– A może wolałbyś, żeby to jakiś dekujący się tłusty buhaj ojczyźniany zrobił twojej żonie bachora?

– Pewnie, że nie.

– No widzisz.

– Mogła na mnie poczekać – powiedział Bernhard cicho i z zażenowaniem.

Łysy wzruszył ramionami.

– Niektóre czekają, a niektóre nie. Nie można zbyt wiele wymagać, kiedy się całe lata nie wraca do domu!

– Jesteś żonaty?

– Chwała Bogu – nie.

– Rosjanie nie są Aryjczykami – powiedział nagle milczący dotychczas żołnierz o spiczastej, szczurzej twarzy i małych ustach.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Mylisz się – odparł łysy. – Oni są Aryjczykami. Przecież byliśmy z nimi sprzymierzeni.

– To są podludzie, bolszewiccy podludzie, a nie Aryjczycy. Takie są ustawy.

– Mylisz się. Polacy, Czesi i Francuzi są podludźmi. Rosjan uwalniamy tylko od komunistów. To Aryjczycy. Ma się rozumieć, z wyjątkiem komunistów. Może nie są takimi Aryjczykami jak my, tylko zwykłymi Aryjczykami do roboty. Ale nie będą wytępieni.

Szczur zdumiał się.

– Oni byli zawsze podludźmi – oświadczył. – Wiem dokładnie. Najzwyklejszymi podludźmi.

– To się dawno zmieniło. Tak jak z Japończykami. Oni też są teraz Aryjczykami, odkąd zawarli z nami przymierze wojenne. Żółtymi Aryjczykami.

– Obaj nie macie racji – odezwał się basem niezwykle owłosiony żołnierz. – Rosjanie nie byli podludźmi, kiedy jeszcze byli naszymi sprzymierzeńcami. Ale są nimi teraz. Tak się przedstawia ta sprawa.

– Więc co mam zrobić z dzieckiem?

– Oddać władzom – orzekł szczur autorytatywnie. – Bezbolesna śmierć, i tyle. Cóż by innego?

– A co z żoną?

– To jest sprawa sądu. Napiętnowanie, ogolenie głowy, więzienie, obóz koncentracyjny albo stryczek.

– Dotychczas nic jej nie zrobili – powiedział Bernhard.

– Chyba jeszcze nic nie wiedzą.

– Wiedzą. Moja matka doniosła.

– To znaczy, że w urzędach siedzą łapownicy i niedorajdy. Im także należy się obóz koncentracyjny albo szubienica.

– Ach, daj mi spokój – oświadczył Bernhard, nagle rozwścieczony, i odwrócił się.

– Francuz byłby z tego wszystkiego może jeszcze najlepszy – powiedział łysy. – Wedle ostatnich badań to są tylko półpodludzie.

– To zwyrodniali ludzie średniego gatunku. – Bas spojrzał na Graebera, który zauważył lekki uśmieszek na jego szerokiej twarzy.

Jakiś krzywonogi mężczyzna z zapadniętą klatką piersiową, który wędrował niecierpliwie po izbie, podszedł teraz do nich.

– My jesteśmy nadludzie – powiedział. – A wszyscy inni – podludzie, to jasne, ale kto jest właściwie zwykłym człowiekiem?

Łysy zastanowił się.

– Szwedzi – powiedział po chwili. – Albo Szwajcarzy.

– Albo dzicy – oświadczył bas. – Tylko dzicy.

– Białych dzikusów nie ma już przecież – powiedział szczur.

– Nie? – Bas popatrzył na niego przenikliwie.

Graeber drzemał. Słyszał, jak tamci znów zaczęli mówić o kobietach. Niewiele o tym wiedział. Ojczyste teorie rasowe nie pasowały do jego wyobrażeń o miłości. Nie chciał kojarzyć tego pojęcia z myślą o doborze hodowlanym, drzewach genealogicznych i o zdolności rozrodczej. Jako żołnierz poznał tylko kilka prostytutek w krajach, w których walczył. Były tak samo rzeczowe jak dziewczęta z Bund Deutscher Mädel[2], ale one przynajmniej traktowały miłość jako swój zawód.

Otrzymali z powrotem rzeczy i ubrali się. Nagle stali się znów strzelcami, frajtrami, feldfeblami i podoficerami. Mężczyzna z rosyjskim dzieckiem okazał się podoficerem. Bas również. Szczur był żołnierzem taborowym. Gdy spostrzegł, że tamci są podoficerami, wyniósł się cichaczem. Graeber obejrzał swój mundur. Był jeszcze ciepły i przesiąknięty odorem kwasu. Pod sprzączkami szelek znalazł kolonię zdechłych wszy. Były zagazowane. Wyskrobał je.

Zaprowadzono ich do baraku. Oficer polityczny wygłosił do nich przemówienie. Stał na podwyższeniu pod portretem führera i wyjaśniał, że teraz, gdy udają się do ojczyzny, ciąży na nich szczególna odpowiedzialność. Nie wolno im opowiadać, co się dzieje na froncie, ani o stanowiskach, miejscowościach,

oddziałach, ruchach wojsk i miejscach postoju. Wszędzie czają się szpiedzy. Należy więc bezwzględnie zachować milczenie. Gadulstwo będzie surowo karane. Niewłaściwa krytyka jest również zdradą kraju. Wojnę prowadzi führer, on wie, co czyni. Sytuacja na froncie jest doskonała. Rosjanie są na wykończeniu, ponieśli niesłychane straty; przygotowuje się przeciwnatarcie. Wyżywienie jest pierwszorzędne, duch w wojsku wyśmienity. Raz jeszcze ich uprzedza, że podawanie jakichkolwiek nazw miejscowości lub rozmieszczenia wojsk stanowi zdradę stanu. Defetyzm także. Gestapo czuwa wszędzie. Wszędzie!

Oficer przerwał na chwilę, po czym innym już tonem oświadczył, że mimo nawału pracy führer czuwa nad wszystkimi żołnierzami. Zarządził on, aby każdy urlopnik przywiózł ze sobą do ojczyzny prezent. W tym celu zostaną im wydane paczki żywnościowe. Należy je przekazać rodzinie w domu na dowód, że żołnierzom na froncie tak dobrze się powodzi, iż mogą nawet przywozić ze sobą podarunki. Kto otworzy paczkę w drodze i zje ją sam, będzie ukarany. Ujawni to kontrola na dworcach docelowych. *Heil Hitler!*

Stali na baczność. Graeber oczekiwał, że teraz zabrzmi *Deutschland, Deutschland über alles!* i *Horst-Wessel-Lied*. Trzecia Rzesza bogata była w pieśni. Ale nic nie nastąpiło. Natomiast padł rozkaz:

– Kto jedzie do Nadrenii – trzy kroki wystąp!

Kilku żołnierzy wystąpiło przed front.

– Urlopy do Nadrenii zostały wstrzymane – oświadczył oficer. – Dokąd więc chcecie pojechać? – zwrócił się do najbliżej stojącego.

– Do Kolonii.

– Przecież właśnie wam powiedziałem, że Nadrenia jest zamknięta. Dokąd chcecie więc jechać?

– Do Kolonii – powtórzył żołnierz. – Jestem z Kolonii.

– Do Kolonii nie wolno, czy wy tego nie rozumiecie? Do jakiego innego miasta chcecie się udać?

– Do żadnego innego miasta. W Kolonii mam żonę i dzieci. Byłem tam ślusarzem. Moja karta urlopowa wystawiona jest do Kolonii.

– To widzę. Ale nie możecie tam jechać. Zrozumcież wreszcie! Kolonia jest chwilowo zamknięta dla urlopników!

– Zamknięta? – spytał były ślusarz. – Dlaczego?

– Zwariowaliście? Kto tu ma prawo pytać, wy czy władze?

Podszedł kapitan i szepnął coś oficerowi. Ten skinął głową.

– Urlopnicy jadący do Hamburga i Alzacji – wystąpić! – rozkazał teraz.

Nikt nie wystąpił.

– Nadreńczycy zostaną tutaj! Reszta – w miejscu w lewo zwrot! Ustawić się do odbioru paczek żywnościowych!

Znów czekali na dworcu. Po jakimś czasie dołączyli do nich Nadreńczycy.

– Co się stało? – spytał bas.

– Słyszałeś przecież.

– Nie puszczają do Kolonii? Dokąd więc teraz jedziesz?

– Do Rothenburga. Mam tam siostrę. Ale co będę robił w Rothenburgu? Przecież mieszkam w Kolonii. Co się stało w Kolonii? Dlaczego nie mogę tam pojechać?

– Uwaga! – powiedział jakiś żołnierz i wskazał na dwóch esesowców, którzy właśnie przechodzili, skrzypiąc butami.

– Gwiżdżę na nich! Co będę robił w Rothenburgu? Gdzie moja rodzina? Była w Kolonii. Co się tam stało?

– Może twoja rodzina też jest w Rothenburgu.

– Na pewno nie. Tam nie ma miejsca. Zresztą moja żona i moja siostra nie znoszą się nawzajem. Co się stało w Kolonii?

Ślusarz patrzył bezradnie na pozostałych. Miał łzy w oczach. Jego grube wargi drżały.

– Dlaczego wy możecie jechać do domów, a ja nie? Po tylu latach. Co się stało? Co się stało z moją żoną i dziećmi? Najstarszy ma na imię Georg. Ma jedenaście lat. Co się stało?

– Słuchaj – odezwał się bas – nic na to nie poradzisz. Wyślij żonie telegram, niech przyjedzie do Rothenburga. Inaczej w ogóle jej nie zobaczysz.

– A podróż? Kto za nią zapłaci? I gdzie będziemy mieszkać?

– Jeśli tobie nie wolno jechać do Kolonii, to i twojej żony stamtąd nie wypuszczą – wtrącił szczur. – To murowane. Takie są przepisy.

Ślusarz otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Dlaczego nie? – spytał po chwili.

– Sam się zastanów.

Ślusarz rozejrzał się.

– Przecież wszystko nie może być zniszczone! To niemożliwe!

– Bądź zadowolony, że nie odesłali cię od razu z powrotem na front – powiedział bas. – I to mogło się zdarzyć.

Graeber przysłuchiwał się w milczeniu. Poczuł dreszcz, przeniknęło go wewnętrzne zimno. Znów podkradło się owo niepojęte i niesamowite, które na froncie długo wokół niego krążyło, nie dawało się uchwycić, umykało i znów powracało,

patrzyło stugębnym, upiornym obliczem, nie mając w istocie żadnego. Spojrzał na szyny. Wiodły do ojczyzny, do bezpieczeństwa, do ciepła; tam wreszcie zazna spokoju, to jedyna nadzieja, jaka mu jeszcze pozostała. A teraz nagle znów poczuł, że „tamto” skrada się za nim, słyszał obok siebie jego niesamowity oddech i nie mógł go odpędzić.

– Urlop – powiedział żołnierz z Kolonii gorzko. – Taki ma być mój urlop? Co teraz?

Spoglądali na niego w milczeniu, jakby nagle ukazała im się jakaś ukryta w nim choroba. Był niewinny, lecz napiętnowany nieszczęściem, więc nieznacznie odsunęli się od niego. Byli zadowoleni, że nie ich to spotkało, ale sami jeszcze nie czuli się pewni – dlatego się odsunęli. Nieszczęście jest zaraźliwe.

Pociąg powoli wjeżdżał do hali. Był czarny i przysłonił resztę światła.

---

[2] Bund Deutscher Mädel – Związek Dziewcząt Niemieckich – hitlerowska organizacja młodzieżowa.

VI

Rankiem krajobraz się zmienił. Wyłonił się jasny z wiotkiej mgły porannej. Graeber siedział teraz przy oknie, przylgnąwszy twarzą do szyby. Widział ziemię uprawną i pola upstrzone jeszcze śniegiem, a pod nim czarne, równomierne bruzdy pługa i bladozielony połysk młodego zboża. Żadnych lejów od granatów; żadnych zniszczeń. Rozległa, płaska równina. Żadnych rowów strzeleckich; żadnych bunkrów. Kraj rodzinny.

Potem ukazała się pierwsza wieś. Kościół, na którym migotał krzyż. Budynek szkolny z kręcącym się powoli blaszanym kogucikiem na dachu. Szynk i stojący przed nim ludzie. Otwarte drzwi domów, dziewczyny z miotłami, furmanka, pierwszy odblask słońca w szybach, które były całe. Nienaruszone dachy, niezniszczone domy, drzewa bez obłamanych gałęzi, ulice, które były ulicami, dzieci idące do szkoły. Dzieci nie widział Graeber już od dawna. Westchnął głęboko. To, o czym marzył, istniało. Istniało tutaj. Mimo wszystko!

– Od razu jakoś inaczej wygląda, prawda? – zauważył podoficer od drugiego okna.

– Zupełnie inaczej.

Mgła rozpraszała się coraz bardziej. Na horyzoncie wyrastały lasy. Wzrok sięgał daleko. Druty telegraficzne towarzyszyły pociągowi. Kołysały się do góry i na dół – linie nutowe nieskończonej, niemej melodii. Ptaki ulatywały z nich jak pieśni. Krajobraz był spokojny. Dudnienie frontu umilkło. Ani śladu samolotów. Graeber miał uczucie, jakby od tygodni już był w drodze. Nawet wspomnienie towarzyszy nagle przybladło.

– Jaki dzień dziś mamy? – spytał.

– Czwartek.

– Aha, czwartek.

– Oczywiście. Wczoraj była przecież środa.

– Jak myślisz, dostaniemy gdzieś kawę?

– Na pewno. Przecież tu jest wszystko jak dawniej.

Kilku żołnierzy wyciągnęło chleb z tornistrów i zabrało się do jedzenia. Graeber czekał; chciał popić chleb kawą. Przypomniał sobie śniadania w domu przed wojną. Matka nakrywała stół obrusem w niebieską i białą kratę, był miód i bułeczki, i gorące mleko do kawy. Kanarek śpiewał, a latem słońce padało na pelargonie w oknie. Bywało, że rozcierał ciemnozielony listek między palcami i wdychając obcy, mocny zapach, myślał o dalekich krajach. Dalekich krajów widział w ostatnich latach dużo, ale nie tak, jak o tym wówczas marzył.

Wyjrzał znowu. Nagle poczuł dziwną ufność. Na polu stali robotnicy rolni i patrzyli za pociągiem. Były wśród nich kobiety w chustkach na głowie. Podoficer otworzył okno i pomachał im ręką. Nie odpowiedzieli.

– Nie, to nie, chamy – powiedział podoficer rozczarowany.

Po kilku minutach zobaczył inne pole i podoficer znów pomachał ręką. Tym razem wychylił się daleko z okna. Ale i teraz nikt mu nie odpowiedział, choć ludzie wyprostowali się i spoglądali na pociąg.

– I za takich walczymy – mruknął podoficer gniewnie.

– Może to jeńcy, którzy tu pracują. Albo cudzoziemscy robotnicy.

– Było wśród nich sporo kobiet. Chociaż one mogłyby pomachać.

– Może to Rosjanie. Albo Polacy.

– Bzdura. Wcale na to nie wyglądali. A jeśli nawet, muszą być wśród nich i Niemcy.

– To pociąg z rannymi – powiedział łysy. – Takiego nikt nie pozdrawia.

– Osły! – oświadczył podoficer. – Wsiowe durnie i dziewki od krów! – Gwałtownym ruchem podciągnął okno do góry.

– W Kolonii ludzie są inni – powiedział ślusarz.

Pociąg jechał dalej. Raz zatrzymał się na dwie godziny w jakimś tunelu. Nie mieli światła, a w tunelu było zupełnie ciemno. Przyzwyczaili się wprawdzie żyć pod ziemią, ale mimo to po jakimś czasie tunel podziałał na nich przygnębiająco.

Palili. Jarzące się punkciki papierosów poruszały się w ciemności jak świetliki.

– Prawdopodobnie uszkodzenie lokomotywy – odezwał się podoficer.

Nasłuchiwali. Nie słyszeli samolotów ani detonacji.

– Czy któryś z was był już kiedy w Rothenburgu? – spytał żołnierz z Kolonii.

– To podobno stare miasto – powiedział Graeber.

– Byłeś tam?

– Nie. A ty nigdy nie byłeś?

– Nie. Co ja tam będę robił?

– Trzeba było jechać do Berlina – powiedział szczur. – Urlop ma się tylko raz. A w Berlinie można się dobrze zabawić.

– Nie mam pieniędzy na Berlin. I gdzie bym mieszkał? W hotelu? Ja chcę do swojej rodziny.

Pociąg szarpnął.

– Nareszcie – odezwał się bas. – Myślałem już, że zostaniemy tu pogrzebani.

Światło sączyło się szaro w ciemności. Za chwilę rozsrebrzyło się i znów ujrzeli krajobraz, jak gdyby jeszcze wdzięczniejszy niż przedtem. Wszyscy cisnęli się do okien. Popołudnie było jak wino. Mimo woli szukali świeżych lejów od bomb, ale nic nie dostrzegli. O kilka stacji dalej wysiadł bas. Potem podoficer i dwaj inni. W godzinę później Graeber zaczął rozpoznawać okolicę. Zapadał zmierzch. Między drzewami zwieszał się niebieski woal. Nie poznawał nic konkretnego – domów, wsi ani pasm wzgórz – to przemówił do niego sam krajobraz. Napływał ze wszystkich stron, słodki, oszałamiający i pełen dawnych wspomnień. Był niewyraźny, nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, stanowił zaledwie przeczucie powrotu, a nie sam powrót; ale właśnie dlatego działał o wiele silniej. Majaczyły w nim mroczne aleje snów, które nie miały kresu.

Nazwy stacji stały się bardziej swojskie. Przemykały miejscowości zapamiętane z wycieczek. We wspomnieniach poczuł nagle zapach poziomek i jodłowej żywicy, i wrzosów w słońcu. Za kilka minut powinno już być miasto. Graeber przygotował swoje rzeczy. Stał i czekał na widok pierwszych ulic.

Pociąg zatrzymał się. Po peronie biegali ludzie. Graeber wyjrzał. Usłyszał nazwę miasta.

– A więc wszystkiego dobrego – powiedział żołnierz z Kolonii.

– Jeszcze nie jesteśmy na miejscu. Dworzec leży w śródmieściu.

– Może go przenieśli. Lepiej się dowiedz.

Graeber otworzył drzwi. W półmroku zobaczył wsiadających ludzi.

– Czy to Werden? – spytał.

Kilka osób uniosło głowy, ale nikt nie odpowiedział – zbyt im się śpieszyło. Wysiadł. Potem usłyszał wołanie:

– Werden! Wysiadać!

Ujął rzemienie tornistra i przecisnął się w stronę kolejarza.

– Czy pociąg nie dojeżdża do dworca?

Kolejarz zmierzył go zmęczonym spojrzeniem.

– Pan do Werden?

– Tak.

– Tam na prawo, za peronem. Stamtąd odchodzi autobus.

Graeber szedł wzdłuż peronu. Nie znał go. Był nowy i sklecony ze świeżego drewna. Odnalazł autobus.

– Jedzie pan do Werden? – spytał kierowcę.

– Tak.

– Czy pociąg nie idzie już przez miasto?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo dojeżdża tylko dotąd.

Graeber spojrzał na kierowcę. Zdał sobie sprawę, że dalsze pytanie jest bezcelowe. I tak nie otrzyma rozsądnej odpowiedzi. Powoli wdrapał się do autobusu. W kącie znalazł wolne miejsce.

Na dworze wszystko było teraz spowite mrokiem. Spostrzegł tylko nowe widocznie tory kolejowe, połyskujące w ciemności. Wymijały miasto pod kątem prostym. Pociąg właśnie przetaczano. Graeber wcisnął się głębiej. „Może zrobili to ze względów bezpieczeństwa" – pomyślał bez przekonania.

Autobus ruszył. Był to stary gruchot pędzony marną benzyną. Silnik kaszlał. Minęło ich kilka mercedesów. W jednym siedzieli oficerowie Wehrmachtu, w dwóch innych – oficerowie SS. Pasażerowie autobusu widzieli, jak tamci mijali ich w pędzie, ale żaden nie powiedział ani słowa. Prawie nikt nie mówił w czasie jazdy. Tylko jakieś dziecko śmiało się i bawiło w przejściu. Była to dziewczynka mniej więcej dwuletnia, blondyneczka z niebieską kokardką we włosach.

Graeber zobaczył pierwsze ulice. Były nietknięte. Odetchnął. Jeszcze kilka minut i trzęsący się gruchot stanął.

– Wszyscy wysiadać!

– Gdzie jesteśmy? – spytał Graeber siedzącego obok mężczyznę.

– Na Bramschestrasse.

– Dalej nie jedziemy?

– Nie.

Mężczyzna wysiadł. Graeber podążył za nim.

– Przyjechałem na urlop – powiedział. – Po raz pierwszy od dwóch lat. – Musiał się przed kimś wywnętrzyć.

Mężczyzna miał świeżą bliznę na czole, brakowało mu dwóch przednich zębów.

– Gdzie pan mieszka?

– Hakenstrasse osiemnaście.

– To na Starym Mieście.

– Tuż obok. Na rogu Luisenstrasse. Widać stamtąd kościół Świętej Katarzyny.

– Tak... tak... – Mężczyzna spojrzał w ciemne niebo. – No, więc zna pan drogę.

– Oczywiście. Tego się nie zapomina.

– Pewnie, że nie. Wszystkiego dobrego.

– Dziękuję.

Graeber szedł przez Bramschestrasse. Spoglądał na domy. Były całe. Widział okna, wszystkie były ciemne. „Obrona przeciwlotnicza – pomyślał. – Oczywiście". To dziecinne, a jednak nie spodziewał się tego; wyobrażał sobie, że miasto będzie oświetlone. A przecież powinien był o tym wiedzieć z czasów ostatniego urlopu. Przyśpieszył kroku. Zobaczył piekarnię, w której nie było chleba. Za szybą stało kilka papierowych róż w szklanym wazonie. Potem minął sklep spożywczy. Okno wypełniały puste opakowania. Dalej – warsztat siodlarza. Graeber przypomniał sobie ten sklep. Na wystawie stał tu dawniej wypchany brązowy koń. Zajrzał do środka. Koń wciąż jeszcze tam stał, a przed nim, także jak dawniej, z pyskiem uniesionym jak do szczekania – stary, wypchany czarno-biały terrier. Graeber zatrzymał się na chwilę przed tą wystawą, która nie zmieniła się mimo wszystko, co zaszło w ciągu ostatnich lat; potem ruszył dalej. Nagle poczuł się w domu.

– Dobry wieczór – powiedział do jakiegoś nieznajomego stojącego przed następnymi drzwiami.

– ...wieczór – odparł ten po chwili, zdumiony.

Buty Graebera stukały po bruku. Wkrótce odstawi ciężkie buciory i wyszuka swoje lekkie cywilne obuwie. Umyje się

w gorącej wodzie i włoży czystą koszulę. Szedł coraz szybciej. Miał wrażenie, że ulica faluje mu pod nogami, jakby była żywa lub naładowana elektrycznością. Potem poczuł nagle zapach dymu.

Przystanął. To nie był dym z komina ani ze spalonego drewna; to był swąd pożaru. Rozejrzał się. Domy stały nietknięte, dachy były nienaruszone. Niebo nad nimi rozległe i granatowe.

Poszedł dalej. Ulica wychodziła na mały placyk z zieleńcem. Swąd spalenizny stał się intensywniejszy. Jakby zwisał w nagich koronach drzew. Graeber węszył; nie mógł ustalić, skąd dolatuje ten zapach. Był teraz wszędzie, jak popiół spadający z nieba.

Na następnym rogu zobaczył pierwszy zwalony dom. Drgnął. W ciągu ostatnich lat nie widział nic prócz ruin i nie robiło to już na nim wrażenia; ale w tę kupę gruzów wpatrywał się, jakby po raz pierwszy w życiu widział zniszczony budynek.

„To tylko jeden dom – pomyślał. – Tylko jeden jedyny dom. Nie więcej. Wszystkie inne jeszcze stoją". Przebiegł obok ruin, węsząc. Zapach spalenizny nie pochodził stąd. Ten dom został już dawno zniszczony. Może był to przypadek – jakaś bomba zrzucona bez wyboru w czasie powrotnego lotu.

Spojrzał na tabliczkę z nazwą ulicy. Bremerstrasse. Do Hakenstrasse jeszcze daleko, co najmniej pół godziny. Szedł prędzej. Prawie nie spotykał ludzi. Pod ciemnymi łukami bram paliły się małe niebieskie żarówki. Były osłonięte, a w ich bladym świetle brama wyglądała niby chora na gruźlicę.

Potem natknął się na pierwszy zniszczony narożnik. Tym razem było to kilka domów. Pozostały z nich tylko fundamenty. Sterczały w górę czarne i widlaste. Pogięte stalowe belki zwisały między nimi jak ciemne węże ryjące w kamieniach. Część gruzu

już uprzątnięto. Również te ruiny były stare. Graeber przeszedł tuż obok nich. Wspinając się na rumowisko, które tarasowało chodnik, spostrzegł czarne cienie; wyglądały w ciemności jak pełzające olbrzymie żuki.

– Hej! – zawołał. – Jest tam kto?

Zagrzechotały kamienie, posypał się tynk, cienie smyrgnęły. Graeber słyszał gwałtowne dyszenie; spostrzegł, że to on sam tak głośno oddycha.

Pędził teraz. Swąd spalenizny gęstniał. Zniszczenia były coraz większe. Doszedł do Starego Miasta, zatrzymał się i patrzył przed siebie znieruchomiałym wzrokiem. Dawniej stały tu rzędy drewnianych domów o wysuniętych szczytach, spadzistych dachach i barwnych malowidłach. Nie było ich już. Zamiast nich ujrzał bezładne pogorzelisko, zwęglone belki, fundamenty, zwały kamieni, resztki ulic, a nad tym wszystkim kłębiący się białawy opar. Domy spłonęły jak suche wióry.

Biegł dalej. Chwycił go nagle dziki strach. Przypomniał sobie, że w pobliżu domu jego rodziców znajdowała się mała huta miedzi. Mogła stanowić cel. Potykając się, pędził przez ulice, przez dymiące, jeszcze wilgotne ruiny, potrącał ludzi, gnał naprzód, brnąc przez rumowiska, i naraz stanął. Nie wiedział, gdzie jest.

Miasto, które znał od dzieciństwa, było tak zmienione, że nie mógł znaleźć drogi. Dawniej orientował się według fasad domów, teraz pozostały z nich zgliszcza. Spytał przemykającą obok kobietę, jak trafić na Hakenstrasse.

– Co? – spytała przestraszona. Była bardzo brudna, ręce przyciskała do piersi.

– Na Hakenstrasse.

Kobieta uczyniła nieokreślony ruch.

– Tam... w głębi... za rogiem...

Poszedł w tym kierunku. Po jednej stronie stały zwęglone drzewa. Korony i mniejsze gałęzie były spalone, pnie i konary sterczały jeszcze. Wyglądały jak olbrzymie czarne ręce wyciągające się z ziemi ku niebu.

Graeber usiłował się zorientować. Stąd powinien już dojrzeć wieżę kościoła Świętej Katarzyny. Nie widział jej. Może i kościół się zawalił. Nikogo już więcej nie pytał. Gdzieś spostrzegł stojące nosze. Ludzie usuwali gruzy. Wokoło biegali strażacy. Woda kląskała w gęstym dymie. Posępny płomień zawisł nad hutą miedzi. Odnalazł Hakenstrasse.

VII

Tabliczka umocowana była na pogiętym słupie latarni. Wskazywała skośnie w dół, w stronę leja, gdzie leżały odłamki muru i żelazne łóżko. Ominął lej i znów zaczął biec. Nieco dalej spostrzegł niezniszczony dom.

– Osiemnasty – szepnął – to musi być numer osiemnasty! Boże, spraw, żeby osiemnasty stał!

Zawiódł się. Stała tylko fasada. W ciemności cały dom wydawał się nietknięty. Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że reszta jest zawalona. Ściśnięty stalowymi belkami, zawisł w górze fortepian. Pokrywa była zerwana, a klawisze połyskiwały jak groźnie wyszczerzone zęby w olbrzymiej paszczy wielkiego przedpotopowego potwora.

Graeber podbiegł do szeroko otwartej bramy frontowej.

– Hej tam! – krzyknął ktoś. – Uwaga! Dokąd pan leci?

Nie odpowiedział. Nagle nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie powinien stać dom jego rodziców. Przez wszystkie te lata miał go przed oczyma, każde okno, wejście, schody – ale teraz, tej nocy, wszystko mu się pomieszało. Nie wiedział nawet, po której stronie ulicy się znajduje.

– Uważaj pan! – wrzasnął znów ten sam głos. – Chcesz, żeby ci mur na łeb zleciał?

Graeber zajrzał przez bramę. Zobaczył fragment schodów. Poszukał numeru domu. Zbliżył się komendant obrony przeciwlotniczej.

– Co pan tu robi?

– Czy to numer osiemnasty? Gdzie jest osiemnasty?

– Osiemnasty? – Komendant poprawił hełm na głowie. – Gdzie jest osiemnasty? Gdzie był osiemnasty, chciał pan powiedzieć.

– Co?

– No chyba. Nie ma pan oczu?

– To nie jest osiemnasty?

– To nie był osiemnasty! Był! „Jest" już nie istnieje. „Był" – to właściwe słowo.

Graeber chwycił mężczyznę za klapy.

– Słuchaj pan – powiedział groźnie. – Nie mam ochoty wysłuchiwać dowcipów. Gdzie jest osiemnasty?

– Proszę mnie natychmiast puścić albo wezwę policję. Nie ma pan tu nic do szukania. Tutaj się odgruzowuje. Zostanie pan aresztowany.

– Nie boję się. Przyjechałem z frontu.

– Wielkie rzeczy! Myśli pan, że tu nie ma frontu?

Graeber puścił go.

– Mieszkam pod osiemnastym. Hakenstrasse osiemnaście. Moi rodzice tutaj mieszkają...

– Na tej ulicy nikt już nie mieszka.

– Nikt?

– Nikt. Ja chyba lepiej wiem. Sam też tu mieszkałem. – Mężczyzna wyszczerzył nagle zęby. – Mieszkałem. Mieszkałem! – wrzasnął. – W ciągu czternastu dni mieliśmy tu sześć nalotów. A wy, żołnierze, przeklęte łotry, zbijacie bąki na froncie. Zdrowi i weseli jesteście, to widać! A moja żona? Tu... – Wskazał na dom, przed którym stali. – Kto ją odkopie? Nikt! Zabita! To bezcelowe, powiadają ci z oddziałów ratowniczych. Za dużo mają innej pilniejszej roboty. Za dużo zasranych akt i zasranych biur, i zasranych urzędów, które trzeba ratować. – Zbliżył do Graebera swą chudą twarz. – Coś wam powiem, żołnierzu! Człowiek nigdy nie wie, co się dzieje, póki sam nie oberwie. A gdy już wie, jest za późno. Wy, frontowy żołnierzu! – Splunął. – Dzielny żołnierzu frontowy z blaszaną rupieciarnią! Osiemnasty jest tam dalej. Tam, gdzie kopią.

Graeber zostawił go i odszedł. „Tam, gdzie kopią – pomyślał. – Tam, gdzie kopią! To nieprawda! Zaraz się przebudzę i będę w bunkrze, przebudzę się w piwnicy bezimiennej rosyjskiej wioski i Immermann tam będzie, i będzie klął, i Mücke, i Sauer... tutaj jest Rosja, to nie Niemcy. Niemcy są nietknięte i bezpieczne, to..."

Usłyszał wołania i stuk łopat, potem ujrzał ludzi na tlących się ruinach. Ulicą płynęła strumieniem woda z pękniętej rury. Migotała w świetle zaciemnionych lamp.

Pobiegł do mężczyzny, który wydawał rozkazy.

– Czy tu jest osiemnasty?

– Co? Wynoście się stąd! Czego tu szukacie?

– Szukam moich rodziców. Pod osiemnastym. Gdzie są?

– Człowieku, skądże mam wiedzieć? Nie jestem Panem Bogiem!

– Czy ocaleli?

– Niech pan spyta gdzie indziej. To nas nie obchodzi. My tylko odkopujemy.

– Są tu zasypani?

– Oczywiście. Myśli pan, że kopiemy dla przyjemności? – Mężczyzna odwrócił się do pracujących. – Przestać! Cisza! Willmann, stukajcie!

Robotnicy wyprostowali się. Byli to ludzie w swetrach, ludzie w brudnych białych kołnierzykach, ludzie w kombinezonach, ludzie w spodniach wojskowych i cywilnych marynarkach. Byli brudni, a po twarzach spływał im pot. Jeden z nich przyklęknął na gruzach i młotkiem stukał w wystającą rurę.

– Spokój! – krzyknął kierownik robót.

Nastała cisza. Człowiek z młotkiem przycisnął ucho do rury. Słychać było oddechy mężczyzn i szmer osypującego się tynku. Z dala dochodziły sygnały ambulansów i straży pożarnej. Człowiek z młotkiem zastukał ponownie. Potem wstał.

– Jeszcze odpowiadają. Stukają szybciej. Mają już pewnie niewiele powietrza.

Kilka razy szybko zastukał w odpowiedzi.

– Do roboty! – krzyknął kierownik. – Dalej! Tu, na prawo! Spróbujmy tędy wsunąć rurę, musimy doprowadzić tam powietrze.

Graeber stał jeszcze przy nim.

– Czy to schron przeciwlotniczy?

– Oczywiście. Cóż by innego? Myśli pan, że ktoś by tu jeszcze stukał, gdyby to nie był schron?

Graeber przełknął ślinę.

– Są tam ludzie z tego domu? Komendant obrony przeciwlotniczej powiedział mi, że tu nikt już nie mieszka.

– Ten komendant ma fioła. Tu na dole są ludzie, którzy stukają, to nam wystarczy.

Graeber odpiął tornister.

– Jestem silny. Chciałbym pomóc w odkopywaniu. – Spojrzał na kierownika robót. – Muszę... Może moi rodzice...

– Niech będzie! Willmann, macie tu jeszcze jednego na zmianę. Jest tam jakaś wolna siekiera?

Najpierw ukazały się zmiażdżone nogi. Zdruzgotała je i przygniotła drewniana belka. Człowiek żył jeszcze. Był przytomny. Graeber wpatrywał się w jego twarz. Nie znał go. Przepiłowali belkę i podsunęli nosze. Człowiek nie krzyczał. Wywrócił tylko oczy białkami do góry.

Poszerzyli przejście i znaleźli dwa trupy. Obydwa były zupełnie zmiażdżone. Na ich spłaszczonych twarzach nic się nie uwydatniało, nosy zniknęły, zęby wyglądały jak dwa rzędy płaskich pestek niesymetrycznie rozrzuconych jak zapieczone migdały. Graeber nachylił się. Ujrzał ciemne włosy – jego najbliżsi mieli jasne. Wyciągnęli zwłoki. Leżały na ulicy płaskie i dziwaczne.

Zrobiło się jaśniej, wzeszedł księżyc. Niebo przybrało łagodny, bezbarwny niemal, ciemnoniebieski kolor.

– Kiedy był nalot? – spytał Graeber, gdy go zluzowano.

– Wczoraj w nocy.

Graeber spojrzał na swe ręce. Były czarne w niematerialnym świetle. Krew, która z nich spływała, była także czarna. Nie wiedział, czy to jego własna. Nie pamiętał nawet, że gołymi

rękami wydrapywał gruz i odłamki szkła. Pracowali dalej. Gryzący dym wżerał się w oczy i napełniał je łzami. Ocierali je rękawem, ale za chwilę łzy znów napływały.

– Hej, żołnierzu! – zawołał ktoś za nim. Graeber odwrócił się. – Czy to wasz tornister? – spytał jakiś mężczyzna rozpływający się w jego załzawionych oczach.

– Gdzie?

– Tam. Ktoś z nim właśnie umyka.

Graeber chciał się już odwrócić.

– Ukradnie go – powiedział mężczyzna i pokazał ręką. – Możecie go jeszcze złapać. Szybko! Zastąpię was tutaj.

Graeber nie był już zdolny do myślenia. Po prostu usłuchał głosu i ręki. Pobiegł w dół ulicy i spostrzegł, że ktoś gramolił się przez kupę gruzów. Dogonił go. Jakiś stary człowiek wlókł za sobą tornister. Graeber przydeptał rzemień. Stary puścił zdobycz, odwrócił się, uniósł ręce do góry i wydał cienki, przenikliwy skrzek. W świetle księżyca usta jego były duże i czarne, a oczy błyszczały.

Podszedł do nich patrol – dwaj esesowcy.

– Co się tu dzieje?

– Nic – odparł Graeber i zarzucił sobie tornister na ramię.

Skrzeczący mężczyzna zamilkł. Oddychał gwałtownie i głośno.

– Co tu robicie? – spytał jeden z esesowców, starszawy oberscharführer. – Dokumenty.

– Pomagam odkopywać. Tam, dalej. W tym domu mieszkali moi rodzice. Ja muszę...

– Książeczka wojskowa! – powiedział oberscharführer ostrzej.

Graeber wlepił w nich wzrok. Nie miało sensu sprzeczać się o to, czy SS ma prawo kontrolować żołnierzy. Było ich dwóch i obaj uzbrojeni. Poszukał swej karty urlopowej. Esesowiec wydobył latarkę kieszonkową i czytał. Kawałek papieru był przez chwilę tak jasno oświetlony, jakby żarzył się od środka. Graeber czuł drżenie mięśni. Wreszcie latarka zgasła i oberscharführer zwrócił mu dokument.

– Mieszkacie na Hakenstrasse osiemnaście?

– Tak – odparł Graeber, szalejąc z niecierpliwości. – Właśnie tam odkopujemy zasypanych. Szukam swojej rodziny.

– Gdzie?

– Po tamtej stronie. Tam gdzie kopią. Nie widzi pan?

– To nie jest osiemnasty – powiedział oberscharführer.

– Co?

– To nie jest osiemnasty, to dwudziesty drugi. Osiemnasty jest tutaj. – Wskazał na ruinę, z której wystawały żelazne belki.

– Czy aby na pewno? – wymamrotał Graeber.

– Oczywiście. Teraz wszędzie tu wygląda jednakowo. Ale to jest osiemnasty, wiem dokładnie.

Graeber spojrzał na ruiny. Nie dymiły.

– Tej części ulicy wczoraj nie bombardowano – powiedział oberscharführer. – Zdaje mi się, że to było przed tygodniem. A może jeszcze dawniej.

– Nie wie pan... – Graeber zająknął się, po chwili jednak ciągnął dalej. – Nie wie pan, czy mieszkańcy ocaleli?

– Tego nie wiem. Ale zawsze się część wyratuje. Może waszych rodziców wcale nie było w domu. W czasie alarmu większość ludzi udaje się do wielkich schronów.

– Dokąd mam się zwrócić? Kto mnie może poinformować, gdzie są teraz?

– W nocy niczego się nie dowiecie. Ratusz jest zburzony i wszędzie panuje bałagan. Spytajcie jutro rano w biurze dzielnicowym. Co mieliście z tym człowiekiem?

– Nic. Sądzi pan, że pod gruzami jeszcze są ludzie?

– Wszędzie leżą zabici. Gdybyśmy chcieli ich wszystkich wykopać, musielibyśmy mieć do tego sto razy więcej rąk do pracy. Te przeklęte świnie bombardują całe miasto bez wyjątku. – Oberscharführer odwrócił się, chcąc odejść.

– Czy tutaj jest strefa zakazana? – spytał Graeber.

– Dlaczego?

– Tak twierdzi komendant obrony przeciwlotniczej.

– Ten komendant ma bzika. Zresztą nie pełni już swych funkcji. Możecie tu zostać, jak długo wam się podoba. Nocleg znajdziecie może w Czerwonym Krzyżu. Tam, gdzie był dworzec. Jeśli będziecie mieli szczęście.

Graeber poszukał wejścia. W jednym miejscu gruz został uprzątnięty, ale nigdzie nie było otworu prowadzącego do piwnicy. Wdrapał się na ruiny. W środku sterczała resztka schodów. Stopnie i poręcze ocalały, ale bezsensownie prowadziły w pustkę. Dalej leżały sterty gruzu. W niszy stał aksamitem obity fotel, prosto i porządnie, jakby go tam ktoś ostrożnie umieścił. Tylna ściana domu runęła skośnie poprzez ogród i spiętrzyła się na pozostałych ruinach. Coś tamtędy przemykało. Graeberowi wydało się, że to ów starzec, którego spotkał przedtem, ale zaraz spostrzegł, że to był kot. Odruchowo podniósł kamień i cisnął za nim. Nagle opadła go absurdalna myśl, że zwierzę nadgryzało

zwłoki. Szybko przedostał się na drugą stronę. Poznał teraz, że to był numer osiemnasty; mały skrawek ogrodu pozostał niezniszczony, stała tu jeszcze drewniana altanka z ławeczką, a za nią kikut lipy. Ostrożnie obmacał korę drzewa i wyczuł żłobiny wyrytych liter, które sam wyciął przed laty. Odwrócił się. Księżyc stał teraz nad ścianą ruiny i oświetlał scenerię. Był to wulkaniczny krajobraz, nieludzki i obcy, coś, co może być snem, ale nigdy rzeczywistością. Zapomniał, że w ciągu ostatnich lat niemal nic innego nie widywał.

Tylne wejścia zdawały się beznadziejnie zasypane. Graeber nasłuchiwał. Postukał w jedną z żelaznych belek i znów nasłuchiwał. Naraz usłyszał jakby ciche kwilenie. „To pewnie wiatr – pomyślał – nic innego, tylko wiatr". Potem usłyszał je znowu. Rzucił się w stronę schodów. Kot zeskoczył przed nim ze stopni, na których się schronił. Graeber nasłuchiwał dalej. Czuł, że drży. I naraz ogarnęła go niezbita pewność, że jego rodzice leżą pod gruzami, że jeszcze żyją i że zamknięci w ciemnościach drapią zrozpaczonymi, pokaleczonymi rękami i wzywają go.

Zaczął odrzucać kamienie i gruz, opamiętał się jednak i pognał z powrotem. Upadł, potłukł kolana, zsunął się po gruzie i kamieniach na ulicę i pobiegł do domu, gdzie całą noc pracował z innymi.

– Chodźcie! To nie osiemnasty! Osiemnasty jest po tamtej stronie! Pomóżcie mi odkopać!

– Co? – spytał kierownik robót i wyprostował się.

– To nie osiemnasty! Moi rodzice są tam...

– Gdzie?

– Tam! Szybko!

Kierownik spojrzał w tamtą stronę.

– To stara historia – powiedział łagodnie i bardzo oględnie. – O wiele za późno, żołnierzu. Musimy pracować tutaj.

Graeber zrzucił tornister z ramion.

– To moi rodzice! Patrzcie! Ja mam rzeczy, jedzenie. Mam pieniądze...

Mężczyzna podniósł na niego czerwone, łzawiące oczy.

– Więc mamy tych tutaj zostawić, żeby zginęli?

– Nie... ale...

– No właśnie... Ci żyją jeszcze...

– Może będziecie mogli później...

– Później? Nie widzi pan, że ludzie padają ze zmęczenia?

– Przepracowałem tu całą noc. Możecie więc mi także...

– Człowieku – kierownik robót rozzłościł się nagle – bądź rozsądny! Kopanie tam nie ma już najmniejszego sensu. Niechże pan zrozumie! Przecież nawet pan nie wie, czy tam ktoś jeszcze leży pod gruzami. Raczej nie, bobyśmy coś o tym wiedzieli. A teraz zostaw nas pan w spokoju!

Chwycił kilof. Graeber nie ruszył się. Patrzył na plecy pracujących ludzi.

Patrzył na nosze. Patrzył na obu sanitariuszy, którzy nadeszli. Woda z pękniętej rury zalewała ulicę. Czuł, że opuszczają go siły. Pomyślał, że powinien dalej pomagać przy odkopywaniu, ale już nie mógł. Zawlókł się z powrotem do tego, co niegdyś było domem numer osiemnaście.

Spojrzał na ruiny. Raz jeszcze począł odwalać kamienie, wkrótce jednak zaprzestał. To niemożliwe. Po odrzuceniu gruzu pojawiły się żelazne szyny, beton i bloki kamienia. Dom był

solidnie zbudowany, toteż ruina była teraz prawie niedostępna. „Może naprawdę zdołali uciec – pomyślał. – Może ich ewakuowano i teraz są w jakiejś wsi na południu Niemiec. Albo w Rothenburgu. Może śpią gdzieś w łóżkach. Matko, taka we mnie pustka. Nie mam już głowy ani żołądka”.

Przysiadł koło schodów. „Drabina Jakubowa – pomyślał. – Jak to było? Schody wiodące do nieba? I czyż to nie aniołowie wchodzili po nich i schodzili? Gdzie są teraz aniołowie? Zamienieni w samoloty. Gdzie jest wszystko? Gdzie jest ziemia? Czyżby istniała tylko dla grobów? Kopałem groby, wiele grobów. Co tu robię? Dlaczego nikt mi nie pomaga? Widziałem tysiące ruin, ale żadnej nie widziałem nigdy naprawdę. Dopiero dzisiaj. Dopiero tę. Ale ta jest inna, zupełnie inna. Dlaczego pod nią nie leżę? Powinienem pod nią leżeć”.

Nastała cisza. Zabrano ostatnie nosze. Księżyc powędrował wyżej; jego sierp lśnił bezlitośnie nad miastem. Znów zjawiła się kotka. Długo obserwowała Graebera. Ślepia jej błyskały zielonkawo w niematerialnym świetle. Podeszła ostrożnie i kilkakrotnie okrążyła go bezszelestnie. Potem zbliżyła się, otarła o jego nogi, wygięła grzbiet i zamruczała. Wreszcie przyczołgała się i ułożyła obok niego. Graeber już tego nie zauważył.

VIII

Ranek wstał promienny. Przez dłuższą chwilę Graeber nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje, tak już przywykł do sypiania w ruinach. Potem nagle powróciło wszystko.

Oparł się o schody i usiłował zebrać myśli. Kotka przysiadła nieco dalej, pod na wpół zasypaną wanną, i myła się spokojnie. Nic ją nie obchodziły zgliszcza i ruiny.

Graeber spojrzał na zegarek. Było jeszcze za wcześnie, aby pójść do biura dzielnicowego. Wstał powoli; stawy mu zesztywniały, ręce miał pokrwawione i brudne. W wannie znalazł nieco czystej wody – prawdopodobnie pozostałość po gaszeniu pożaru lub po deszczu. Ujrzał w niej swoją twarz, była mu obca. Wyjął z tornistra kawałek mydła i zaczął się myć. Woda sczerniała, a ręce znów zaczęły krwawić. Potrzymał je na słońcu, aby wyschły. Potem obejrzał swoje ubranie: spodnie były podarte, bluza brudna. Wytarł mundur mokrą chustką. Nic więcej nie mógł zrobić.

W tornistrze miał chleb, w manierce resztkę kawy. Jadł chleb i popijał kawą. Poczuł nagle dotkliwy głód. Gardło miał tak zaschnięte, jakby całą noc krzyczał. Zbliżyła się kotka. Graeber ułamał kawałek chleba i podał jej. Kotka wzięła ostrożnie,

odniosła dalej i przycupnąwszy, zaczęła jeść. Obserwowała przy tym Graebera. Miała czarną sierść i tylko jedną łapkę białą. W szkiełku leżącym między gruzami błyskało słońce. Graeber podniósł tornister i zeszedł na ulicę.

Na dole przystanął i rozejrzał się. Nie poznawał sylwetki miasta. Wszędzie widniały szczerby jak w uszkodzonej szczęce. Zielona kopuła katedry zniknęła. Kościół Świętej Katarzyny zawalił się. Dachy dookoła były sparszywiałe i nadżarte, jakby olbrzymie przedpotopowe owady rozkopały mrowisko. Na Hakenstrasse stały tylko pojedyncze domy. Miasto nie przypominało niczym ojczyzny, której oczekiwał; wyglądało jak jedno z miast w Rosji.

W domu, z którego pozostał jedynie fronton, otworzono drzwi. Wyszedł z nich komendant obrony przeciwlotniczej. Sprawiało to niesamowite wrażenie, gdy wychodził z domu, który już nie istniał, tak jakby wszystko było w porządku. Przywołał Graebera ruchem ręki, ten wahał się przez chwilę. Przypomniał sobie słowa oberscharführera, że to wariat. Mimo to jednak podszedł do niego.

Stary wyszczerzył zęby.

– Co tu robicie? – spytał surowo. – Plądrujecie? Nie wiecie, że to zakazane...

– Człowieku! – odparł Graeber. – Skończ pan wreszcie z tymi bzdurami! Niech mi pan lepiej powie, czy nie wie pan czegoś o moich rodzicach! Paweł i Maria Graeber. Mieszkali pod osiemnastym.

Komendant przybliżył do niego swą wychudzoną, nieogoloną twarz.

– Ach, to pan! Frontowy żołnierz z wczorajszego wieczoru! Niech pan tak nie krzyczy! Sądzi pan, że tylko pan jeden kogoś stracił? Jak pan myśli, co to jest? – Wskazał na dom, z którego wyszedł.

– Co?

– To tutaj! Na drzwiach! Nie ma pan oczu? Myśli pan, że to zbiór dowcipów?

Graeber nie odpowiedział. Zauważył, że drzwi lekko chwieją się na wietrze i że z zewnątrz oblepione są karteczkami. Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i zobaczył, że to adresy i wiadomości dla zaginionych. Niektóre napisane były ołówkiem, atramentem lub węglem bezpośrednio na drzwiach; większość jednak – na kartkach przymocowanych pluskiewkami lub przylepcem „Henryk i Georg, idźcie do wuja Hermana. Irma nie żyje. Matka" – widniało na dużym, liniowanym arkuszu wyrwanym ze szkolnego zeszytu i przymocowanym czterema pluskiewkami. Zaraz pod tym, na pokrywce pudełka od butów: „Na miłość boską, błagam o wiadomość o Brunhildzie Schmidt, Thüringerstrasse 4". Obok, na kartce pocztowej: „Otto, jesteśmy w Haste, szkoła powszechna". A całkiem u dołu, pod adresami pisanymi ołówkiem czy atramentem – na papierowej serwetce o karbowanych brzegach, kolorową kredką: „Mario, gdzie jesteś?" – bez podpisu.

Graeber wyprostował się.

– No co? – spytał komendant obrony przeciwlotniczej. – Znalazł pan swoich?

– Nie. Oni nie wiedzieli, że przyjadę.

Wariat wykrzywił twarz w bezgłośnym śmiechu.

– Nikt nic nie wie o innych, żołnierzu! Nikt! Przyzwoici ludzie giną, a łobuzom nic się nie stanie. Jeszcze pan o tym nie wie?

– Tak. Oczywiście.

– No więc niech pan się wpisze! Niech pan się wpisze na tę listę nieszczęść! A potem czeka! Czeka, jak my wszyscy. Czeka, aż pana diabli wezmą!

Twarz jego zmieniła się. Była nagle rozdarta jakimś bezgranicznym bólem.

Graeber, schylony, szukał w gruzach czegoś, na czym mógłby napisać parę słów. Znalazł kolorowy oleodruk Hitlera zwisający w połamanej ramie. Odwrotna strona była niezadrukowana. Oderwał górną część, wydobył ołówek i namyślił się. Nagle nie wiedział, co ma napisać. „Proszę o wiadomość o Pawle i Marii Graeber – nagryzmolił wreszcie drukowanymi literami. – Ernst przyjechał na urlop".

– Zdrada stanu – szepnął za nim stary.

– Co? – Graeber odwrócił się gwałtownie.

– Zdrada stanu! Pan podarł obraz führera.

– Był już podarty i leżał w śmieciach – oświadczył Graeber gniewnie. – A teraz dość tych bzdur, proszę mnie zostawić w spokoju!

Nie mógł znaleźć niczego do przytwierdzenia kartki. W końcu z czterech pluskiewek, którymi umocowane było wezwanie matki, wyjął dwie i przyczepił nimi swoje. Zrobił to niechętnie, miał uczucie, jakby kradł wieniec z cudzego nagrobka. Ale nie było innej rady, a dwie pluskiewki trzymały wezwanie matki tak samo dobrze jak cztery.

Stary patrzał mu przez ramię.

– Gotowe! – oświadczył, jakby wydawał rozkaz. – A teraz *Sieg Heil*, żołnierzu! Żałoba zakazana. Strój żałobny również! Osłabia ducha bojowego! Bądźcie dumni, że możecie złożyć ofiarę na ołtarzu ojczyzny! Gdybyście wy, łajdaki, wypełniali swoje obowiązki, nie doszłoby do tego!

Odwrócił się raptownie i odszedł, krocząc sztywno na swych długich, cienkich nogach.

Graeber natychmiast o nim zapomniał. Oderwał jeszcze jeden kawałek portretu Hitlera i zapisał na nim adres znaleziony na drzwiach. Był to adres rodziny Loose. Znał ich; może od nich dowie się czegoś o rodzicach. Potem wyrwał z ramy resztę oleodruku, napisał na odwrocie raz jeszcze to samo co na tamtej połowie, i wrócił do domu numer osiemnaście. Tam umieścił kartkę między dwoma kamieniami tak, że była dobrze widoczna. Miał więc teraz podwójną szansę, że wiadomość jego zostanie zauważona. Nic więcej nie mógł na razie zrobić. Chwilę jeszcze stał przed kupą gruzów i kamieni, nie wiedząc, czy nie są one grobem jego najbliższych. Aksamitny fotel w niszy błyszczał jak szmaragd w słońcu. Przed domem rósł nietknięty pożarem kasztan. Ulistnienie jego delikatnie połyskiwało w słońcu, a zięby ćwierkały w nim i budowały sobie gniazdko.

Spojrzał na zegarek. Był już czas, aby pójść do ratusza.

Okienka biura poszukiwań zaginionych sklecono prowizorycznie ze świeżego drewna. Nie były pomalowane, pachniały żywicą i lasem. W kącie pokoju zawalił się sufit. Cieśle układali tam belki i stukali młotkami. Wszędzie stali ludzie i czekali milcząco i cierpliwie. Za okienkami siedzieli urzędnik bez ręki i dwie kobiety.

– Nazwisko? – spytała urzędniczka po prawej stronie. Miała płaską, szeroką twarz, a jej rozczochrane włosy były przewiązane czerwoną jedwabną wstążką.

– Graeber. Paweł i Maria Graeber. Inspektor podatkowy. Hakenstrasse osiemnaście.

– Jak? – Kobieta przyłożyła dłoń do ucha.

– Graeber – powtórzył głośniej poprzez stukot młotków. – Paweł i Maria Graeber! Inspektor podatkowy.

Urzędniczka wertowała spisy.

– Graeber, Graeber... – Palec jej sunął wzdłuż kolumny nazwisk i nagle się zatrzymał. – Graeber... tak... jakie imię?

– Paweł i Maria.

– Jak?

– Paweł i Maria!

Graeber poczuł nagle wściekłość. Było to nie do zniesienia – na domiar wszystkiego musi jeszcze wykrzykiwać swój ból.

– Nie. Ten nazywał się Ernst Graeber.

– Ernst Graeber to ja. Nie ma innego w naszej rodzinie.

– No więc nie o pana tu chodzi. Innych Graeberów nie mamy na liście. – Urzędniczka podniosła głowę i uśmiechnęła się. – Jeśli pan chce, proszę przyjść za kilka dni. Nie otrzymaliśmy jeszcze wszystkich meldunków. Następny!

Graeber nie ruszył się.

– Gdzie można się jeszcze dowiedzieć?

Urzędniczka poprawiła czerwoną wstążkę we włosach.

– W biurze meldunkowym. Następny!

Graeber poczuł, że ktoś trąca go w plecy. Stała za nim mała staruszka z palcami jak szpony. Usunął się na bok.

Przez chwilę stał jeszcze przy okienku niezdecydowany. Nie mógł pojąć, że to już wszystko. Jego strata była niewspółmiernie wielka w porównaniu z tempem, w jakim go załatwiono. Jednoręki urzędnik wychylił się ku niemu.

– Niech pan będzie zadowolony, że pańscy bliscy nie są tu zapisani.

– Dlaczego?

– Tutaj mamy spisy zabitych i ciężko rannych. Dopóki nie są u nas zarejestrowani, uchodzą tylko za zaginionych.

– A zaginieni? Gdzie są spisy zaginionych?

Urzędnik spojrzał na niego z cierpliwością człowieka, który przez osiem godzin dziennie ma do czynienia z cudzym nieszczęściem i nic nie może zaradzić.

– Niech pan będzie rozsądny – powiedział. – Zaginieni to zaginieni. Cóż pomogą spisy? Przecież i tak nie będzie wiadomo, co się z nimi stało. Gdyby było wiadomo, nie byliby już zaginieni. Prawda?

Graeber wpatrywał się w niego bezmyślnie. Urzędnik wydawał się dumny ze swojej logiki. Rozsądek i logika nie idą jednak w parze ze stratą i bólem. Cóż zresztą odpowiedzieć człowiekowi, który utracił rękę?

– Prawdopodobnie – odparł Graeber i odszedł.

Wypytując o drogę, dotarł do biura meldunkowego. Mieściło się w drugim skrzydle ratusza i przesiąknięte było odorem kwasu i spalenizny. Po długim wyczekiwaniu trafił na zdenerwowaną urzędniczkę w binoklach.

– Nic nie wiem! – rozwrzeszczała się od razu. – Niczego już nie można znaleźć. Kartoteka jest w straszliwym nieładzie. Część

spalona, a resztę zniszczyli wodą ci durnie strażacy. Nie jestem za to odpowiedzialna!

– Dlaczego nie przenieśliście akt w bezpieczne miejsce? – zapytał podoficer stojący obok Graebera.

– W bezpieczne miejsce? A gdzie jest bezpieczne miejsce? Może pan wie? Ja nie jestem magistratem. Tam proszę złożyć zażalenie. – Kobieta patrzyła bezradnie na stos rozsypanych, mokrych papierków. – Wszystko zniszczone! Całe biuro meldunkowe! Co z tego będzie? Każdy może się teraz nazywać, jak chce!

– To byłoby okropne, co? – Podoficer splunął i szturchnął Graebera. – Chodź, kolego. Oni tu wszyscy powariowali.

Wyszli i przystanęli przed ratuszem. Domy wokół były wypalone. Z pomnika Bismarcka pozostały już tylko buty. Stado białych gołębi krążyło nad zwaloną wieżą kościoła Panny Marii.

– Niezły bajzel, co? – odezwał się podoficer. – Kogo szukasz?

– Rodziców.

– A ja żony. Nie napisałem, że przyjeżdżam. Chciałem jej zrobić niespodziankę. A ty?

– Tak samo. Nie chciałem niepotrzebnie denerwować rodziców. Już kilka razy przesuwano mi urlop. Potem nagle go zatwierdzili. Nie zdążyłem już napisać.

– Niech to szlag trafi! Co teraz zrobisz?

Graeber ogarnął spojrzeniem zniszczony rynek. Od roku 1933 nosił nazwę Hitlerplatz. Po przegranej pierwszej wojnie nazywał się Ebertplatz; przedtem – Kaiser-Wilhelm-Platz, a jeszcze przedtem – Marktplatz.

– Nie wiem – odparł. – Wciąż jeszcze tego nie pojmuję. Przecież nie można się tak po prostu zgubić tu, w samym środku Niemiec...

– Nie? – Podoficer spojrzał na Graebera z mieszaniną ironii i współczucia. – No, to się jeszcze przekonasz, mój kochany! Ja szukam żony już pięć dni. Pięć dni od rana do wieczora, a ona zniknęła z powierzchni ziemi, jakby ją kto zaczarował.

– Czy to możliwe? Gdzieś przecież...

– Zniknęła – powtórzył podoficer. – Tak jak wiele tysięcy innych. Część wywieziono do prowizorycznych obozów i małych miasteczek. I znajdź ich teraz, gdy poczta nie działa jak należy. A cała masa ludzi uciekła na wieś.

– Wieś – odezwał się Graeber z ulgą. – Naturalnie. Że też o tym nie pomyślałem. Na wsi jest spokojnie. Tam chyba będą.

– Tam chyba będą, łatwo ci mówić! – Podoficer parsknął pogardliwie. – W ten sposób nie posuniesz się ani o krok dalej! Czy wiesz, że wokół tego parszywego miasta leżą prawie dwa tuziny wsi? Zanim je wszystkie obejdziesz, skończy się twój urlop, rozumiesz?

Graeber rozumiał, ale było mu to obojętne. Pragnął jedynie, aby jego rodzice żyli. Wszystko jedno gdzie.

– Posłuchaj no, kolego – powiedział podoficer spokojniej. – Musisz zabrać się do tej sprawy we właściwy sposób. Jeśli zaczniesz bezplanowo latać tu i tam, stracisz tylko czas i zwariujesz. Musisz to sobie zorganizować. Co zamierzasz zrobić najpierw?

– Jeszcze nie wiem. Znalazłem adres znajomych, którzy mieszkali na tej samej ulicy. Ich dom też został zbombardowany. Może u nich się czegoś dowiem.

– Niewiele ci powiedzą. Wszyscy boją się gębę otworzyć. Ja już się przekonałem. W każdym razie spróbuj. Słuchaj no, możemy

sobie nawzajem pomóc. Tam, gdzie będziesz szukał swoich, pytaj także o moją żonę, a ja tak samo będę wszędzie dowiadywał się od razu i o twoich rodziców. Zgoda?

– Zgoda.

– Dobra jest. Nazywam się Böttcher. Moja żona ma na imię Alma. Zanotuj to sobie.

Graeber zanotował. Potem napisał imiona swoich rodziców i wręczył kartkę Böttcherowi. Ten przeczytał ją uważnie i schował do kieszeni.

– Gdzie mieszkasz, Graeber?

– Nie mam pojęcia. Muszę się za czymś rozejrzeć.

– W koszarach są prowizoryczne kwatery dla bezdomnych urlopników. Zgłoś się w komendanturze, dostaniesz tam skierowanie. Byłeś już?

– Jeszcze nie.

– Postaraj się dostać do pokoju numer czterdzieści osiem. To izba chorych. Lepsze tam żarcie niż gdzie indziej. Ja też tam jestem.

Böttcher wyciągnął z kieszeni ogarek papierosa, obejrzał go i schował z powrotem.

– Dziś odwalę szpitale. Wieczorem możemy się gdzieś spotkać. Może któryś z nas będzie już coś wiedział.

– Dobrze. Gdzie?

– Najlepiej tutaj. O dziewiątej?

– Zgoda.

Böttcher skinął głową i popatrzył w błękitne niebo.

– Spójrz – powiedział z goryczą. – Wiosna. A ja już piątą noc kimam w budzie z dwunastoma pierdołami z obrony krajowej

zamiast z moją żoną, która ma tyłek jak perszeron!

Pierwsze dwa domy na Gartenstrasse były zburzone; nikt w nich już nie mieszkał. Trzeci miał spalony tylko dach; tu przeniosła się rodzina Zieglerów. Ziegler był przyjacielem ojca Graebera.

Graeber szedł po schodach. Na podestach stały wiadra z piaskiem i wodą. Ściany oblepione były obwieszczeniami. Zadzwonił i zdziwił się, że dzwonek jeszcze funkcjonuje. Po chwili zniszczona, stara kobieta ostrożnie uchyliła drzwi.

– Pani Ziegler, to ja, Ernst Graeber.

– Tak, tak... – Kobieta przyglądała mu się uważnie. – Tak... Niech pan wejdzie, panie Graeber – powiedziała wreszcie z wahaniem. Szerzej otworzyła drzwi i natychmiast je za nim zaryglowała. – Ojciec! – zawołała następnie w głąb mieszkania. – To nic. To Ernst Graeber. Syn Pawła Graebera.

Bawialnia pachniała pastą do podłogi. Linoleum na podłodze lśniło jak lustro. Na parapecie okiennym stały w doniczkach kwiaty o żółto pocętkowanych, wielkich liściach, które wyglądały, jakby nakapało na nie masło. Nad kanapą wisiała makatka. „Domowe ognisko to dla mnie wszystko” – wyhaftowane było na niej czerwonymi krzyżykami.

Ziegler wyszedł z sypialni. Uśmiechał się. Graeber spostrzegł, że jest zdenerwowany.

– Nigdy nie wiadomo, kto przychodzi – odezwał się stary. – A pana to już się zupełnie nie spodziewaliśmy. Przybywa pan z frontu?

– Tak. Szukam rodziców. Zostali zbombardowani.

– Niech pan odłoży tornister – powiedziała pani Ziegler. – Przygotuję kawę. Mamy jeszcze dobrą kawę zbożową.

Graeber odniósł tornister do przedpokoju.

– Jestem brudny, a tutaj wszystko takie czyste. Człowiek odwykł od tego.

– Nic nie szkodzi. Niech pan spocznie. Tu, na kanapie.

Pani Ziegler zniknęła w kuchni. Ziegler niepewnie spoglądał na Graebera.

– Taak... – odezwał się.

– Czy słyszał pan coś o moich rodzicach? Nie mogę ich odnaleźć. W biurze meldunkowym nic nie wiedzą. Tam okropny bałagan...

Ziegler potrząsnął głową.

– My zupełnie nie wychodzimy – powiedziała szybko jego żona, zjawiając się w drzwiach. – Już od dawna. I nic nie wiemy, Ernst.

– Nigdy ich pani nie widziała? Przecież musiała ich pani kiedyś spotkać.

– To było już dawno. Co najmniej pięć albo sześć miesięcy temu. Wtedy... – urwała.

– Co wtedy? – spytał Graeber. – Jak się czuli?

– Byli zdrowi, wtedy byli zdrowi. Tylko od tego czasu oczywiście...

– Tak, rozumiem... – odparł Graeber. – Na froncie wiedzieliśmy wprawdzie, że miasta są bombardowane, ale nie przypuszczaliśmy, że to aż tak wygląda.

Zieglerowie milczeli, nie patrzyli na niego.

– Zaraz będzie kawa – odezwała się wreszcie pani Ziegler. – Napije się pan, prawda? Filiżanka gorącej kawy zawsze dobrze robi.

Ustawiła na stole filiżanki w niebieskie kwiatki. Graeber popatrzył na nie. W domu mieli takie same. Wzór ten, nie

wiadomo dlaczego, nazywał się „cebulowy”.

– Taaak... – powiedział znowu Ziegler.

– Czy sądzi pan, że rodzice mogli być ewakuowani? – spytał Graeber.

– Możliwe. Matko, czy są jeszcze keksy, które przywiózł Erwin? Podaj je panu Graeberowi.

– Co porabia Erwin?

– Erwin? – Stary drgnął przestraszony. – Erwinowi dobrze się powodzi. Bardzo dobrze.

Pani Ziegler przyniosła kawę i postawiła na stole dużą blaszaną puszkę. Napis był w języku holenderskim. Keksów pozostało w niej już niewiele. „Z Holandii” – pomyślał Graeber. Początkowo i on przywoził rodzicom różne rzeczy z Francji.

Pani Ziegler zachęcała go do jedzenia. Wziął keks z różowym lukrem. Był stary i niesmaczny. Staruszkowie nic nie jedli. Nie pili też kawy. Ziegler, zamyślony, stukał palcem w blat stołu.

– Niech pan weźmie jeszcze jeden – częstowała pani Ziegler. – Nie mamy nic innego. Ale to dobre keksy.

– Tak, bardzo dobre. Dziękuję, naprawdę nie jestem głodny.

Czuł, że z tych dwojga nie zdoła już niczego wydobyć. Może naprawdę nic nie wiedzą. Wstał.

– Czy możecie mnie państwo poinformować, gdzie mógłbym się jeszcze czegoś dowiedzieć?

– Nie wiemy. W ogóle nie wychodzimy. My nic nie wiemy. Bardzo mi przykro, Ernst, ale tak jest.

– Wierzę panu. Dziękuję za kawę. – Graeber ruszył ku drzwiom.

– Gdzie pan mieszka? – spytał nagle Ziegler.

– Już sobie coś znajdę. Jeśli nie gdzie indziej, to w koszarach.

– My nie mamy miejsca – powiedziała szybko pani Ziegler i spojrzała na męża. – Władze wojskowe z pewnością zatroszczyły się o urlopników, których domy zostały zniszczone.

– Na pewno – odparł Graeber.

– Może by zostawił tu swój tornister, dopóki czegoś nie znajdzie, matko – odezwał się Ziegler. – Przecież tornister jest ciężki.

Graeber podchwycił spojrzenie kobiety.

– Dam sobie radę – odparł. – Jestem do tego przyzwyczajony.

Zamknął drzwi i zszedł po schodach. W powietrzu czuć było stęchliznę. Zieglerowie czegoś się bali. Nie wiedział czego, ale od roku 1933 było przecież tak wiele powodów do strachu.

Rodzina Loose ulokowała się w wielkiej sali klubu „Harmonia". Pomieszczenie zapchane było polowymi łóżkami i materacami. Na ścianach wisiało kilka chorągwi, dekoracje ze swastyką i państwowotwórczymi sentencjami oraz olejny portret führera w dużej złoconej ramie – pozostałości dawnych obchodów patriotycznych. Sala roiła się od kobiet i dzieci. Między łóżkami stały walizy, garnki, kuchenki, zapasy żywności i pojedyncze meble, które zdołano wyratować.

Pani Loose siedziała apatycznie na łóżku pośrodku sali. Była to siwa, gruba kobieta o potarganych włosach.

– Twoi rodzice? – Obrzuciła Graebera bezbarwnym spojrzeniem i długo się zastanawiała. – Nie żyją, Ernst – wymamrotała wreszcie.

– Co?

– Nie żyją – powtórzyła. – Cóż by innego?

Mały chłopiec w mundurku potrącił Graebera w kolano. Ten odsunął go na bok.

– Skąd pani o tym wie? – Spostrzegł, że nie może wydobyć głosu; przełknął z trudem. – Czy pani ich widziała? Gdzie?

Pani Loose apatycznie potrząsnęła głową.

– Nic nie można było zobaczyć, Ernst – mamrotała. – Wszystko było ogniem... i ten krzyk... i potem...

Słowa przeszły w szept, a po chwili się urwały. Kobieta milczała i wsparta na rękach patrzyła przed siebie nieprzytomnie, w bezruchu, jakby była sama na sali.

– Pani Loose – zaczął Graeber powoli i z wysiłkiem. – Niech pani sobie przypomni! Kiedy pani widziała moich rodziców? Skąd pani wie, że nie żyją?

Kobieta zwróciła na niego mętny wzrok.

– Lena też nie żyje – wymamrotała. – I August. Znałeś ich przecież...

Graeber przypomniał sobie niejasno dwoje dzieci, które bezustannie zajadały chleb z miodem.

– Pani Loose – powtórzył i przemógł się, aby jej nie poderwać do góry i nie potrząsnąć. – Proszę, niech mi pani powie, skąd pani wie, że moi rodzice nie żyją! Niech pani spróbuje sobie przypomnieć! Widziała ich pani?

Wydało się, że go już nie słyszy.

– Lena – szeptała. – Jej też nie widziałam. Nie chcieli mnie do niej puścić. Rozszarpało ją. A przecież była taka mała. Dlaczego oni to robią? Ty chyba musisz wiedzieć, przecież jesteś żołnierzem.

Graeber rozejrzał się z rozpaczą. Między łóżkami przeciskał się jakiś mężczyzna. Był to Loose, wychudły i postarzały. Delikatnie położył rękę na ramieniu żony, która znów zatonęła w bezgranicznej rozpaczy, i dał znak Graeberowi.

– Matka jeszcze nie może tego pojąć, Ernst.

Kobieta drgnęła pod dotknięciem jego ręki. Powoli podniosła wzrok.

– A ty możesz pojąć?

– Lena...

– Bo jeżeli ty możesz pojąć – powiedziała nagle dobitnie, głośno i wyraźnie, jakby mówiła w szkole – to nie jesteś lepszy od tych, co to zrobili.

Loose obrzucił sąsiednie łóżko szybkim, pełnym lęku spojrzeniem. Nikt niczego nie usłyszał. Chłopiec w mundurku i kilkoro innych dzieci hałaśliwie bawili się w chowanego między walizkami.

– To nie jesteś lepszy – powtórzyła kobieta. Potem spuściła głowę i znów była tylko kłębkiem zwierzęcej rozpaczy.

Loose skinął na Graebera. Odeszli na bok.

– Co się stało z moimi rodzicami? – spytał Graeber. – Pańska żona mówi, że nie żyją.

Loose potrząsnął głową.

– Ona nic nie wie, Ernst. Myśli, że wszyscy musieli zginąć, bo nasze dzieci nie żyją. Ona nie jest zupełnie... zresztą widziałeś... – Przełknął. Stercząca na chudej szyi grdyka wznosiła się i opadała. – Mówi takie rzeczy... już nas z tego powodu zadenuncjowano... Tutejsi ludzie...

Przez chwilę Graeber miał wrażenie, że Loose oddala się i maleje w tym brudnym, szarym świetle, potem wszystko wróciło na dawne miejsce – znajoma postać i cała izba.

– A więc żyją? – spytał.

– Tego ci nie powiem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tu było w ciągu ostatniego roku, kiedy stawało się coraz gorzej. Nikt już nikomu nie wierzył. Wszyscy bali się wszystkich. Twoi rodzice są prawdopodobnie w jakimś bezpiecznym miejscu.

Graeber odetchnął spokojniej.

– Czy pan ich widział?

– Raz jeden na ulicy. Chyba ze cztery lub pięć tygodni temu. Wtedy jeszcze leżał śnieg. To było przed nalotami.

– Jak wyglądali? Czy byli zdrowi?

Loose nie od razu odpowiedział.

– Sądzę, że tak – odparł wreszcie i przełknął.

Graeber zawstydził się nagle. Zrozumiał, jak niewłaściwie było w tym otoczeniu pytać, czy przed czterema tygodniami ktoś był zdrowy czy nie – tutaj pytano tylko o tych, co przeżyli, i o zmarłych, o nic więcej.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział zmieszany.

Loose machnął ręką.

– Daj spokój, Ernst. Dzisiaj każdy myśli tylko o sobie. Zbyt wiele jest nieszczęścia na świecie...

Graeber wyszedł na ulicę. Gdy wchodził do klubu „Harmonia", była posępna i martwa, teraz wydawała się naraz jaśniejsza, a życie na niej jeszcze nie obumarło. Widział już nie tylko zniszczone domy: dostrzegł zieleniejące drzewa, dwa bawiące się psy i wilgotne, błękitne niebo. Jego rodzice nie byli zabici, tylko

zaginieni. Przed godziną, gdy usłyszał to z ust urzędnika, wiadomość brzmiała rozpaczliwie, niemal nie do zniesienia; teraz w zagadkowy sposób zmieniła się w nadzieję. Wiedział dlaczego: przez chwilę bowiem wierzył, że rodzice już nie żyją – ale cóż wymaga mniej pożywki niż nadzieja?

IX

Zatrzymał się przed domem. Było ciemno i nie mógł rozpoznać numeru.

– Czego pan szuka? – spytał mężczyzna oparty o bramę.

– Czy to Marienstrasse dwadzieścia dwa?

– Tak. Pan do kogo?

– Do radcy sanitarnego Kruse.

– Do doktora Krusego? A po co?

Graeber spojrzał na stojącego w ciemności mężczyznę. Miał na sobie mundur SA i buty z cholewami. „Nadęty blokowy – pomyślał. – Tego mi jeszcze brakowało".

– Powiem to doktorowi Krusemu osobiście – oświadczył i wszedł do domu.

Czuł się bardzo zmęczony. Zmęczenie to tkwiło głębiej, nie tylko w oczach i w kościach. Przez cały dzień pytał i szukał, ale niewiele się dowiedział. Rodzice nie mieli krewnych w mieście, a z sąsiadów nielicznych tylko mógł odnaleźć. Böttcher miał rację – wszystko było jak zaklęte. Ludzie bali się gestapo i nie chcieli mówić albo słyszeli tylko jakieś pogłoski i kierowali go do innych, którzy także nic nie wiedzieli.

Wszedł po schodach. Korytarz był ciemny. Radca sanitarny mieszkał na pierwszym piętrze. Graeber ledwo go pamiętał, wiedział jednak, że matka często się u niego leczyła. Może była tu ostatnio i radca zna jej adres.

Drzwi otworzyła starszawa kobieta o pomiętej twarzy.

– Kruse? – spytała. – Pan do doktora Krusego?

– Tak.

Kobieta przyglądała mu się w milczeniu, nie wpuszczając do mieszkania.

– Czy zastałem go w domu? – spytał Graeber niecierpliwie.

Kobieta nie odpowiedziała. Wydawało się, że nasłuchuje uważnie odgłosów z dołu.

– Pan przychodzi jako pacjent? – odezwała się wreszcie.

– Nie. Prywatnie. Czy pani jest panią Kruse?

– Boże uchowaj!

Graeber, zdziwiony, popatrzył na kobietę. W ciągu dnia poznał wiele odmian ostrożności, nienawiści i wymówek; ale to było nowe.

– Proszę pani – powiedział – nie wiem, co tu się dzieje, i nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko pomówić z doktorem Kruse, nic więcej, rozumie pani?

– Kruse już tutaj nie mieszka – oświadczyła nagle kobieta głośno, szorstko i wrogo.

– Przecież tu jest jego nazwisko. – Graeber wskazał na mosiężną tabliczkę obok drzwi.

– Tę tabliczkę należałoby już od dawna usunąć.

– Ale jeszcze wisi. Czy mieszka tu ktoś z rodziny?

Kobieta milczała. Graeber miał tego dość. Chciał jej właśnie powiedzieć, żeby sobie poszła do diabła, gdy w głębi mieszkania

otwarto drzwi. Promień światła padł z pokoju ukośnie przez ciemny przedsionek.

– Czy to do mnie? – spytał jakiś głos.

– Tak – odparł Graeber na chybił trafił. – Chciałbym pomówić z kimś, kto zna radcę sanitarnego Kruse. Ale widzę, że to nie takie proste.

– Jestem Elżbieta Kruse.

Kobieta o pomiętej twarzy usunęła się od drzwi i zawróciła w głąb mieszkania.

– Za dużo światła! – warknęła jeszcze w stronę otwartego pokoju. – Nie wolno palić tyle światła!

Graeber nie ruszył się z miejsca. Dwudziestoletnia mniej więcej dziewczyna przeszła przez świetlną smugę jak przez rzekę. Dojrzał wysoko zarysowane brwi, ciemne oczy i włosy barwy mahoniu spływające na ramiona w niespokojnych falach – potem zanurzyła się w półmrok korytarza i stanęła przed nim.

– Mój ojciec już nie praktykuje – powiedziała.

– Nie przychodzę jako pacjent. Przychodzę po informację.

Twarz dziewczyny zmieniła się. Spojrzała za siebie, jakby chciała sprawdzić, czy tamta kobieta jest jeszcze w korytarzu. Potem szybko otworzyła drzwi.

– Proszę wejść – szepnęła.

Poszedł za nią do pokoju, z którego padało światło. Odwróciła się i spojrzała na niego badawczo i przenikliwie. Oczy jej nie były już ciemne: były szare i bardzo przejrzyste.

– Przecież ja pana znam. Czy pan nie chodził do tutejszego gimnazjum?

– Tak. Nazywam się Ernst Graeber.

Teraz i on ją sobie przypomniał. Pamiętał Elżbietę jako chudą dziewczynkę o zbyt wielkich oczach i zbyt gęstych włosach. Matka jej wcześnie umarła, a ona wyjechała do krewnych w innym mieście.

– Mój Boże, Elżbieto, nie poznałem cię. To chyba już siedem albo osiem lat, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Bardzo się zmieniłaś.

– Ty także.

Stali naprzeciwko siebie.

– Co tu się właściwie dzieje? – spytał Graeber. – Pilnują cię jak jakiegoś generała.

Elżbieta Kruse zaśmiała się krótko i gorzko.

– Nie jak generała, jak więźnia.

– Co? Dlaczego? Twój ojciec...

Zrobiła szybki ruch.

– Poczekaj! – szepnęła i podeszła do stolika, na którym stał patefon. Nastawiła go. Zabrzmiał fryderycjański marsz *Hohenfriedberger*. – Tak – powiedziała. – Teraz możesz mówić dalej.

Graeber spoglądał na nią zdziwiony, nic nie rozumiejąc. Böttcher miał chyba rację, prawie wszyscy w tym mieście powariowali.

– Co to znaczy? – spytał. – Zamknij to pudło! Mam dosyć marszów. Powiedz mi lepiej, co tu się dzieje. Dlaczego jesteś więźniem?

– Ta baba podsłuchuje. To denuncjantka. Dlatego nastawiłam patefon. – Stała przed nim, oddychając gwałtownie. – Co się dzieje z moim ojcem? Co o nim wiesz?

– Ja? Nic. Chciałem go tylko o coś zapytać. A co się z nim stało?

– Nic o nim nie wiesz?

– Nie. Chciałem go zapytać, czy nie zna adresu mojej matki. Moi rodzice zaginęli.

– I to wszystko?

– Dla mnie wystarczy.

Napięcie w jej twarzy zelżało.

– To prawda – powiedziała zmęczonym głosem. – Myślałam, że przynosisz jakieś wiadomości od niego.

– Co się dzieje z twoim ojcem?

– Jest w obozie koncentracyjnym. Od czterech miesięcy. Zadenuncjowano go. Kiedy powiedziałeś, że przychodzisz w sprawie informacji, pomyślałam, że przynosisz wiadomości od niego.

– Przecież bym od razu powiedział.

Elżbieta potrząsnęła głową.

– Nie. Gdyby zostały przemycone, musiałbyś zachować ostrożność.

„Ostrożność – pomyślał Graeber. – Przez cały dzień nic innego nie słyszałem". Marsz *Hohenfriedberger* grzmiał nadal, wypełniając pokój blaszanym, nieznośnym hałasem.

– Czy możemy teraz zamknąć patefon? – spytał.

– Tak. I lepiej będzie dla ciebie, jeśli sobie pójdziesz. Powiedziałam ci przecież, co się stało.

– Nie jestem donosicielem – odparł Graeber gniewnie. – Co to za baba? Czy to ona zadenuncjowała twojego ojca?

Elżbieta uniosła membranę patefonu, ale nie zatrzymała aparatu. Płyta kręciła się nadal, bezgłośnie. W ciszy zabrzmiało

wycie syreny.

– Alarm! – szepnęła. – Już znowu!

Ktoś walił w drzwi.

– Zgasić światło! Ciągle za dużo światła! To dlatego!

Graeber otworzył drzwi.

– Co dlatego?

Kobieta była już w drugim końcu przedpokoju. Krzyknęła jeszcze coś i znikła. Elżbieta odsunęła Graebera od drzwi i zamknęła je z powrotem.

– Cóż to za nieznośna megiera? – spytał. – Skąd się tu wzięła?

– Przymusowy lokator. Dokwaterowano ją. Dobrze jeszcze, że pozwolono mi zatrzymać choć jeden pokój.

Za drzwiami rozległ się znów zgiełk, wołanie kobiety i płacz dziecka. Wycie alarmu ostrzegawczego stało się głośniejsze. Elżbieta zarzuciła na ramiona płaszcz deszczowy.

– Musimy iść do schronu.

– Mamy jeszcze dużo czasu. Dlaczego się stąd nie wyprowadzisz? To przecież piekło mieszkać razem z tą szpiclówką.

– Światło! – krzyknęła znowu kobieta.

Elżbieta odwróciła się i przekręciła kontakt. Potem przemknęła przez ciemny pokój w stronę okna.

– Dlaczego się nie wyprowadzam? Bo nie chcę uciekać!

Otworzyła okno. Ryk syren wdarł się do pokoju. Na tle padającego z zewnątrz rozproszonego światła ostro rysowała się ciemna postać dziewczyny. Umocowała obie połowy okna na haczyki – w ten sposób podmuch eksplozji nie tak łatwo wytłoczy

szyby. Zawróciła. Wydawało się, że ten piekielny hałas gna ją przed sobą jak fale przypływu.

– Nie chcę stąd uciekać – wołała poprzez wycie. – Czy ty tego nie rozumiesz?

Graeber widział jej oczy. Były znowu ciemne jak przedtem, przy drzwiach, i pełne namiętnej pasji. Miał wrażenie, że musi się przed czymś bronić – przed jej oczami, przed twarzą, przed nawałnicą syren i przed chaosem, który wypełniał pokój.

– Nie – odparł. – Nie rozumiem. To cię tylko wykończy. Pozycję, której nie można utrzymać, oddaje się. Tego uczy się człowiek na wojnie.

– To oddaj ją! – krzyknęła gwałtownie. – Oddaj i zostaw mnie w spokoju.

Próbowała go wyminąć i dotrzeć do drzwi. Chwycił ją za ramię. Wyrwała się. Miała więcej siły, niż przypuszczał.

– Poczekaj! – zawołał. – Pójdziemy razem.

Hałas gnał ich przed sobą. Był wszędzie – w pokoju, na korytarzu, w przedpokoju, na schodach – odbijał się od ścian i powracał echem, jakby dochodził ze wszystkich stron; nie było przed nim ucieczki, nie zatrzymywał się w uszach ani na skórze, przenikał i pienił się we krwi, targał nerwami, wibrował w kościach i gasił myśli.

– Gdzie jest ta cholerna syrena? – krzyczał Graeber na schodach. – Do szału może doprowadzić!

Zatrzaśnięto bramę. Na chwilę wycie zostało przytłumione.

– Na sąsiedniej ulicy – powiedziała Elżbieta. – Musimy iść do schronu na Karlsplatz. Piwnica w naszym domu jest do niczego.

Po schodach zbiegały cienie z walizkami i zawiniątkami. Ktoś zapalił latarkę kieszonkową i oświetlił twarz Elżbiety.

– Niech pani idzie z nami, jeśli pani jest sama!

– Nie jestem sama.

Mężczyzna popędził dalej. Bramę znów raptownie otwarto. Zewsząd z domów wypadali ludzie, jakby z pudełka wytrząsano cynowe żołnierzyki. Komendanci obrony przeciwlotniczej wykrzykiwali rozkazy. Jakaś kobieta w czerwonym jedwabnym szlafroku i z rozwiązanymi żółtymi włosami pędziła jak amazonka. Kilku staruszków potykało się wzdłuż ścian; mówili coś, ale w rozszalałym hałasie nic nie było słychać – jakby zwiędłe usta bezgłośnie przeżuwały na papkę martwe słowa.

Dotarli do Karlsplatz. Przed wejściem do schronu cisnął się podniecony tłum. Komendanci obrony przeciwlotniczej uganiali się dokoła jak owczarki, usiłując zaprowadzić porządek. Elżbieta przystanęła.

– Spróbujemy przecisnąć się z boku – powiedział Graeber.

Potrząsnęła głową.

– Poczekajmy tutaj.

Ciemny tłum wpełzał w ciemność schodów i znikał pod ziemią. Graeber spojrzał na Elżbietę. Była nagle tak spokojna, jakby ją to wszystko nic a nic nie obchodziło.

– Odważna jesteś.

Uniosła wzrok.

– Nie, to tylko strach przed schronem.

– Prędzej! Prędzej! – krzyczał komendant obrony przeciwlotniczej. – Na dół! Czekacie na specjalne zaproszenie?

Schron był wielki, niski i solidnie zbudowany, ze sztolniami, bocznymi korytarzami i światłem. Stały tu ławki, a niektórzy ludzie mieli ze sobą materace, koce, walizki, paczki i składane krzesełka; życie pod ziemią przybrało już zorganizowane formy. Graeber rozejrzał się. Po raz pierwszy był w schronie przeciwlotniczym z cywilami. Po raz pierwszy z kobietami i dziećmi. I po raz pierwszy – w Niemczech.

Niebieskawe, blade światło odbarwiało twarze i nadawało im wygląd topielców. W pobliżu zauważył Graeber kobietę w czerwonym szlafroku. Szlafrok przybrał teraz fioletowy, a włosy jej – zielonkawy odcień. Spojrzał na Elżbietę. Jej twarz także wydawała się szara i zapadnięta, oczy tkwiły głęboko w cieniach oczodołów, a włosy były martwe i bez połysku. „Topielcy – pomyślał. – Zatopieni w kłamstwie i strachu, zagnani pod ziemię i skłóceni ze światem, jasnością i prawdą".

Naprzeciwko niego przysiadła jakaś kobieta z dwojgiem dzieci, które przytuliły się do jej kolan. Twarze ich były płaskie i bez wyrazu, jak zamrożone. Tylko oczy żyły. Lśniły w odblasku światła, wielkie i szeroko otwarte, gdy wycie i szaleńczy łoskot artylerii przeciwlotniczej wzmagały się i potężniały, zwracały się w stronę wejścia, potem kierowały się na niską powałę, na ściany i znów z powrotem na wejście. Nie poruszały się prędko i gwałtownie, śledziły zgiełk jak oczy sparaliżowanych zwierząt, ociężale, a jednak przelotnie, szybko i w jakimś głębokim transie zarazem, krążyły i śledziły, a mdłe światło odbijało się w nich. Nie widziały ani Graebera, ani nawet matki; zdolność poznawcza i siła przekazywania były z nich wymazane; w bezosobowej czujności śledziły coś, czego nie mogły dostrzec: grzmot, który mógł

oznaczać śmierć. Dzieci nie były już tak małe, aby nie odczuwać niebezpieczeństwa, a jeszcze nie na tyle dorosłe, aby udawać zbędną odwagę. Były czujne i bezbronne – wydane na pastwę losu.

Graeber spostrzegł nagle, że nie tylko dzieci tak się zachowują; oczy dorosłych wędrowały tą samą drogą. Twarze i ciała ich były nieruchome. Nasłuchiwały nie tylko uszy, lecz także przygarbione plecy, uda, kolana, podparte ramiona i dłonie. Nasłuchiwali bez ruchu i tylko oczy śledziły hałas, jakby posłuszne niedosłyszalnemu rozkazowi.

Wtedy zwietrzył strach.

Niepostrzeżenie zmieniło się coś w przytłaczającej atmosferze. Łoskot na zewnątrz wciąż trwał, ale zdawało się, jakby skądś dochodził świeży powiew. Drętwota ustąpiła. Korytarz nie był już pełen skulonych ciał; był teraz pełen ludzi, którzy już nie robili wrażenia uległych i otępiałych, którzy podnieśli głowy, poruszali się i spoglądali na siebie. Znowu mieli twarze, a nie maski.

– Polecieli dalej – odezwał się jakiś staruszek obok Elżbiety.

– Mogą jeszcze zawrócić – zaoponował ktoś. – Tak robią. Zakreślą koło i powrócą znowu, gdy wszyscy wyjdą ze schronów.

Dzieci ożywiły się. Jakiś mężczyzna ziewnął. Skądś wychynął jamnik i węszył dokoła. Niemowlę krzyczało. Ludzie rozpakowywali zawiniątka i zabierali się do jedzenia. Kobieta o wyglądzie walkirii wrzasnęła donośnie:

– Arnold! Zapomnieliśmy zamknąć gaz! Jedzenie na pewno się spaliło. Dlaczego o tym nie pomyślałeś?

– Niech się pani uspokoi – powiedział staruszek. – W czasie alarmu lotniczego zamykają dopływ gazu.

– Ładna pociecha! Kiedy znowu puszczą, całe mieszkanie będzie pełne gazu! To jeszcze gorsze!

– W czasie alarmu nie zamyka się gazu – oświadczył jakiś pedantyczny, pouczający głos. – Tylko podczas nalotu.

Elżbieta wyjęła z torebki grzebień i lusterko i przyczesała włosy. W martwym świetle grzebień wyglądał, jakby był z zaschłego atramentu, ale pod jego dotknięciem włosy zdawały się falować i szeleścić.

– Chciałabym już wyjść! – szepnęła. – Tutaj można się udusić.

Pół godziny musieli jeszcze odczekać; wreszcie otwarto drzwi. Ruszyli ku wyjściu. Nad drzwiami wisiały małe, osłonięte lampki. Z zewnątrz padało na schody światło księżyca. Z każdym krokiem naprzód w Elżbiecie zachodziła zmiana – jakby budziła się z letargu. Cienie w oczodołach zniknęły, ołowiany kolor cery ustąpił, miedziane refleksy spłynęły we włosy, skóra stała się znów ciepła i połyskliwa, wracało życie – dyszące pełną piersią, silniejsze niż przedtem, na nowo odzyskane, nieutracone i na krótki czas jakby cenniejsze i barwniejsze.

Stali przed schronem. Elżbieta oddychała głęboko. Poruszała ramionami i głową jak zwierzę wypuszczone z klatki.

– Ach, te masowe groby pod ziemią! – westchnęła. – Jak ja ich nienawidzę! Można się tam udusić! – Gwałtownym ruchem odrzuciła włosy do tyłu. – Już wolę ruiny. Przynajmniej mają niebo nad sobą.

Graeber spojrzał na nią. Było w niej coś dzikiego i namiętnego, gdy tak stała przed potężnym, surowym klocem z betonu, którego schody zdawały się prowadzić do piekieł i z którego właśnie się wyrwała.

– Chcesz wrócić do domu? – spytał.

– Tak. Cóż mam robić? Biegać po ciemnych ulicach? Dosyć długo to robiłam.

Szli przez Karlsplatz. Wiatr obskoczył ich jak wielki pies.

– Czy nie możesz się wyprowadzić? – spytał. – Mimo wszystkiego, o czym mówiłaś?

– Dokąd? Czy wiesz o jakimś pokoju?

– Nie.

– Ja też nie. Tysiące są bez dachu nad głową. Dokąd więc mam się przeprowadzić?

– To prawda. Teraz już za późno.

Elżbieta przystanęła.

– Nie wyniosłabym się, nawet gdybym miała dokąd. Wydawałoby mi się, że zostawiłam ojca na łasce losu. Czy nie możesz tego zrozumieć?

– Tak.

Szli dalej. Graeber miał jej nagle dosyć. Niech robi, co chce. Był znużony i zniecierpliwiony i naraz doznał uczucia, że właśnie w tej chwili rodzice szukają go na Hakenstrasse.

– Muszę iść – powiedział. – Jestem umówiony i już się spóźniłem. Dobranoc, Elżbieto.

– Dobranoc, Ernst.

Spoglądał za nią. Po chwili zniknęła w ciemności. „Powinienem był odprowadzić ją do domu” – pomyślał obojętnie. Przypomniał sobie, że już jako chłopiec nie lubił Elżbiety. Szybko odwrócił się i ruszył w kierunku Hakenstrasse. Nic tam jednak nie znalazł. Nikogo nie było. Tylko księżyc i obezwładniająca, przedziwna

cisza świeżych ruin, zawieszona w powietrzu niby echo niemego krzyku. Cisza starych ruin była inna.

Böttcher czekał już na stopniach ratusza. Nad nim połyskiwała w świetle księżyca blada maszkara u wylotu rynny.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał już z daleka.

– Nie. A ty?

– Też nic. W szpitalach ich nie ma, to prawie pewne. Obleciałem je niemal wszystkie. Chłopie, czego się tam człowiek nie napatrzy! Kobiety i dzieci to jednak co innego niż żołnierze! Chodź, napijmy się gdzieś piwa.

Przeszli przez Hitlerplatz. Buty ich głośno dudniły po bruku.

– I znów minął dzień – powiedział Böttcher. – Co robić? Wkrótce cały urlop się skończy.

Pchnął drzwi do knajpy. Usiedli przy stoliku pod oknem. Firanki były szczelnie zasunięte. Niklowe kurki bufetu połyskiwały w półmroku. Böttcher widocznie często tu przesiadywał, gdyż szynkarka bez pytania przyniosła dwa kufle piwa. Popatrzył za nią. Była tłusta i kołysała biodrami. Nie miała na sobie gorsetu.

– Siedzę tu sam – odezwał się Böttcher – a gdzieś tam siedzi moja żona. Też sama. Mam nadzieję przynajmniej! Czyż nie można oszaleć?

– Nie wiem. Byłbym zadowolony, gdybym wiedział, że moi rodzice gdzieś siedzą. Wszystko jedno gdzie.

– Ba, rodzice to nie żona. Nie odczuwa się ich braku. Jeśli są zdrowi, to już dobrze – i kwita. Ale żona...

Zamówili jeszcze dwa kufle piwa i rozpakowali zawiniątka z kolacją. Szynkarka kręciła się wokół stołu. Zerkała na kiełbasę

i tłuszcz.

– Ależ wam się powodzi, chłopcy!

– Tak, dobrze nam się powodzi – odparł Böttcher. – Mamy całą paczkę żywnościową z mięsem i cukrem! Nie wie pani, co z tym zrobić? – Łyknął piwa. – Tobie to dobrze – powiedział do Graebera z goryczą. – Nażresz się teraz, a potem pójdziesz, przygadasz sobie jakąś kurwę i zapomnisz o swojej niedoli!

– Możesz zrobić to samo.

Böttcher potrząsnął głową. Graeber spojrzał na niego zaskoczony. Nie spodziewał się tyle wierności u starego żołnierza.

– One są dla mnie za chude, kolego – oświadczył Böttcher. – W tym sęk, że lecę tylko na bardzo okazałe kobiety. Do innych mam wprost wstręt. Po prostu nie idzie. Z równym powodzeniem mógłbym pójść do łóżka z wieszadłem. Tylko bardzo okazałe kobiety! Inaczej nic z tego.

– Masz tu przecież taką. – Graeber wskazał szynkarkę.

– Mylisz się! – odparł Böttcher z ożywieniem. – Jest jeszcze olbrzymia różnica, kolego. Ta tutaj to rozmamłany, miękki tłuszcz, w którym można zatonąć. Okazała osoba, pulchna – zgoda, przyznaję, ale to tylko pierzyna, a nie podwójny materac sprężynowy jak moja żona. U niej wszystko jest z żelaza. Kiedy zabiera się do roboty, dom się trzęsie, a tynk sypie ze ścian. Nie, kolego, czegoś podobnego nie znajdziesz tak łatwo na ulicy.

Zamyślił się. Graeber poczuł nagle zapach fiołków. Odwrócił głowę. Na parapecie okiennym stała doniczka z kwiatami. Pachniały nieskończenie słodko i w jednym ich powiewie zawarte było wszystko – dzieciństwo, spokój, ojczyzna, oczekiwane i zapomniane sny młodości; spłynęło to tak nagle i było tak silne,

że choć zaraz znów przeminęło, Graebera ogarnął niepokój i znużenie, jakby biegł po głębokim śniegu w pełnym rynsztunku.

Wstał od stołu.

– Dokąd idziesz? – spytał go Böttcher.

– Nie wiem. Gdziekolwiek.

– Byłeś w komendanturze?

– Tak. Mam skierowanie do koszar.

– To świetnie. Postaraj się dostać do izby numer czterdzieści osiem.

– Dobrze.

Böttcher leniwie śledził wzrokiem szynkarkę.

– Jeszcze tu chwilkę zostanę. Napiję się jeszcze piwa.

Graeber szedł powoli drogą do koszar. Noc była zimna. Na skrzyżowaniu, nad lejem po bombie, sterczały w górę lśniące szyny tramwajowe. W otwartych bramach domów światło księżyca leżało jak metal. Słyszał echo swoich kroków, jakby pod ulicą ktoś drugi szedł wraz z nim. Wszystko było puste i jasne, i zimne.

Koszary znajdowały się na wzniesieniu na skraju miasta. Były nietknięte. Plac ćwiczeń wypełniało białe światło niby śnieg. Graeber minął bramę. Miał uczucie, że urlop jego już się skończył. Przeszłość zawaliła się za nim jak dom jego rodziców i znów wracał na front – inny front tym razem, bez dział i karabinów, ale nie mniej groźny.

X

Było to w trzy dni później. Przy stole w izbie numer czterdzieści osiem czterech mężczyzn grało w skata. Grali tak od dwóch dni, z przerwami jedynie na sen i posiłki. Trzech zmieniało się, czwarty grał bez ustanku. Nazywał się Rummel i przed trzema dniami przyjechał na urlop – akurat na czas, aby pochować żonę i córkę. Żonę poznał po znamieniu na biodrze; głowę jej urwało. Po pogrzebie poszedł do koszar i zaczął grać w skata. Nie rozmawiał z nikim. Siedział przy stole i grał. Wygrywał.

Graeber przysiadł na oknie. Obok niego ulokował się frajter Reuter z butelką piwa w ręku; obandażowaną nogę oparł na parapecie okiennym. Był sztubowym i miał artretyzm. Izba czterdzieści osiem była nie tylko przystanią dla nieszczęśliwych urlopników, ale i rewirem dla lekko chorych. Za nimi leżał saper Feldmann. Miał ambitny zamiar w ciągu trzech tygodni nadrobić niedobór snu trzech wojennych lat. Wstawał z łóżka tylko na posiłki.

– Gdzie jest Böttcher? – zapytał Graeber. – Jeszcze nie wrócił?

– Pojechał do Haste i Iburga. Ktoś mu dzisiaj w południe pożyczył rower. W ten sposób zdoła teraz w ciągu jednego dnia

przeszukać dwie wioski. Ale i tak pozostanie mu jeszcze tuzin. A potem obozy, do których porozsyłano transporty. Jak on się tam dostanie? Odległe są o setki kilometrów.

– Napisałem do czterech obozów – powiedział Graeber. – W sprawie nas obu.

– Sądzisz, że otrzymasz odpowiedź?

– Nie. Ale to nie ma nic do rzeczy. Pisze się mimo wszystko.

– Do kogo pisałeś?

– Do kierownictwa obozów, a poza tym do każdego obozu oddzielnie, bezpośrednio na nazwisko żony Böttchera i moich rodziców. – Graeber wyjął z kieszeni paczkę listów. – Zaraz je zaniosę na pocztę.

Reuter skinął głową.

– Gdzie byłeś dzisiaj?

– W szkole miejskiej i w sali gimnastycznej szkoły katedralnej. Potem w punkcie zbornym i znowu w biurze meldunkowym. Nic.

Jeden z graczy, którego właśnie zastąpił kolega, przysiadł się do nich.

– Nie rozumiem, dlaczego wy, urlopnicy, mieszkacie w koszarach – zwrócił się do Graebera. – Jak najdalej od Prusaków, takie byłoby moje hasło! Wynająłbym sobie jakąś budę, ubrał się w cywila i przez czternaście dni był człowiekiem.

– Czy wystarczy włożyć cywilne ubranie, aby stać się człowiekiem? – spytał Reuter.

– Pewnie. A coś ty myślał?

– Słyszysz – powiedział Reuter do Graebera. – Życie jest proste, jeśli się je prosto bierze. Masz cywilne ubranie?

– Nie. Leży pod gruzami na Hakenstrasse.

– Mógłbym ci pożyczyć, gdybyś chciał.

Graeber wyglądał przez okno na podwórze koszarowe. Kilka plutonów ćwiczyło tam ładowanie i zabezpieczanie broni, rzut granatem, a także salutowanie.

– Co za idiotyzm – odezwał się. – Na froncie myślałem, że gdy wrócę do domu, to przede wszystkim cisnę w kąt te przeklęte łachy i ubiorę się po cywilnemu – a teraz wszystko mi jedno.

– Bo też z ciebie prawdziwy szczyl koszarowy – oświadczył karciarz i przełknął kawał pasztetówki. – Ciamajda, który nie wie, czego chce. To skandal, że urlop dostają zawsze niewłaściwi ludzie!

Wrócił do stolika, aby grać dalej. Przegrał cztery marki do Rummla, a że rano lekarz oddziałowy uznał go za zdolnego do służby, czuł się do głębi rozgoryczony.

Graeber wstał.

– Dokąd idziesz? – spytał Reuter.

– Do miasta. Na pocztę, a potem będę dalej szukał.

Reuter odstawił pustą butelkę od piwa.

– Nie zapomnij, że masz urlop. I nie zapomnij, że rychło się skończy.

– O tym nie zapomnę – odparł gorzko Graeber.

Reuter ostrożnie zdjął obandażowaną nogę z parapetu i wyciągnął ją przed siebie.

– Nie zrozumiałeś mnie. Rób wszystko, co możesz, aby odnaleźć rodziców. Ale nie zapominaj przy tym, że masz urlop. Tak prędko nie dostaniesz go znowu.

– Wiem o tym. A zanim go znów dostanę, dosyć będzie okazji, żeby wyciągnąć kopyta. O tym też wiem.

– Doskonale – odparł Reuter. – Jeśli o tym wiesz, to wszystko w porządku.

Graeber ruszył ku drzwiom. Przy stoliku Rummel miał właśnie w ręku granda z czterema, do tego pełną koronę w treflach. Była to karta doprawdy na medal. Z niewzruszoną miną orżnął swych partnerów. Nie mogli dojść do głosu.

– Wielki szlem – powiedział z rozpaczą żołnierz, który przedtem nazwał Graebera szczylem koszarowym. – Ależ chłop ma szczęście! I nawet się nie cieszy!

– Ernst!

Graeber odwrócił się. Przed nim stał niski, przysadzisty mężczyzna w mundurze kreisleitera. Przez chwilę nie mógł go sobie przypomnieć; potem poznał okrągłą twarz z rumianymi policzkami i orzechowymi oczyma.

– Binding – zawołał. – Alfons Binding!

– We własnej osobie. – Binding promieniał. – Chłopie, Ernst, nie widzieliśmy się już kupę czasu! Skąd się tu wziąłeś?

– Z Rosji.

– A więc na urlopie! Musimy to uczcić. Chodź do mnie. Mieszkam niedaleko stąd. Mam pierwszorzędny koniak! Coś takiego! Spotkać starego kolegę szkolnego, który właśnie wrócił z frontu! Trzeba to oblać!

Graeber przyjrzał mu się. Przez kilka lat chodzili do jednej klasy, ale niemal zupełnie o nim zapomniał. Tylko przypadkowo usłyszał kiedyś, że Alfons wstąpił do partii i dochrapał się tam stanowiska. Teraz stał przed nim w eleganckich, błyszczących butach, zadowolony i beztroski.

– Chodź, Ernst! – nalegał. – Nie daj się prosić! Kieliszek dobrej wódki nie zaszkodzi!

Graeber potrząsnął głową.

– Nie mam czasu!

– Ależ, Ernst! Tylko na jeden kieliszek! Na to zawsze znajdzie się czas! My, starzy koledzy...

Starzy koledzy! Graeber popatrzył na mundur z odznakami kreisleitera. Binding wysoko zaszedł. „Ale może właśnie dlatego będzie mi mógł pomóc w odnalezieniu rodziców – pomyślał nagle. – Właśnie dlatego, że jest bonzą partyjnym. Może zna drogi dostępne jedynie dla członków partii".

– Zgoda, Alfons! – powiedział. – Ale tylko jeden kieliszek.

– Wspaniale, Ernst. Chodź, to niedaleko.

Było jednak dalej, niż utrzymywał Binding. Mieszkał na przedmieściu, w małej białej willi, spokojnej i nietkniętej, otoczonej ogrodem, w którym rosły wysokie brzozy. Na drzewach wisiały domki dla ptaków, a skądś dochodził szmer wody.

Binding wszedł do domu pierwszy. Ściany korytarza ozdobione były wieńcami jelenich rogów, głową dzika i wypchanym łbem niedźwiedzia. Graeber rozejrzał się zdumiony.

– Jesteś takim zapalonym myśliwym, Alfons?

Binding skrzywił się w uśmiechu.

– Ależ skąd! Nigdy nie miałem strzelby w ręku. To wszystko dekoracja. Robi dobre wrażenie, prawda? Typowo germańskie, co?

Zaprowadził Graebera do pokoju wyłożonego dywanami. Na ścianach wisiały obrazy w bogatych ramach. Wokół stały głębokie skórzane fotele.

– Co powiesz o mojej budzie? – spytał Binding z dumą. – Przytulna, prawda?

Graeber skinął głową. Partia troszczy się o swoich ludzi. Alfons był synem biednego mleczarza. Ojcu z trudem przychodziło posyłanie go do gimnazjum.

– Siadaj, Ernst. Jak ci się podoba mój Rubens?

– Co?

– Rubens! Ta gruba szynka tam nad fortepianem!

Obraz przedstawiał nagą kobietę o bardzo bujnych kształtach i złotych włosach. Stała nad brzegiem stawu, a słońce oświetlało jej potężny tyłek. „Coś dla Böttchera" – pomyślał Graeber.

– Owszem, ładny – powiedział.

– Ładny? – Binding był wyraźnie rozczarowany. – Chłopie, on jest po prostu wspaniały! Nabyłem go u tego samego handlarza dzieł sztuki, od którego kupuje marszałek Rzeszy. Arcydzieło! Tanio je zdobyłem, bo z drugiej ręki. Nie podoba ci się?

– Owszem, tylko że nie jestem znawcą. Ale pewien mój kolega oszalałby na widok tego obrazu.

– Doprawdy? Taki zbieracz?

– Nie, ale specjalista od Rubensa.

Binding promieniał z zadowolenia.

– To mnie cieszy, Ernst! Doprawdy mnie cieszy. Sam nigdy nie przypuszczałem, że będę kiedyś zbierał dzieła sztuki. Ale powiedz, jak ci się powodzi i co porabiasz. I czy mógłbym ci w czymś pomóc. Ostatecznie człowiek ma pewne stosunki. – Zaśmiał się przebiegle.

Graeber mimo woli był lekko wzruszony. Po raz pierwszy ktoś ofiarował mu pomoc bez zastrzeżeń.

– Mógłbyś coś dla mnie zrobić – powiedział. – Szukam rodziców. Może ewakuowano ich, może są gdzieś na wsi. Jak się o tym dowiedzieć? Tu, w mieście, prawdopodobnie ich nie ma.

Binding rozsiadł się na krześle przy stoliku z kutej miedzi, na którym stały przybory do palenia. Jego błyszczące buty sterczały przed nim jak rury do pieca.

– To nie takie proste, jeśli nie ma ich w mieście – oświadczył. – Spróbuję się czegoś dowiedzieć. To potrwa kilka dni, a może i dłużej. Wszystko zależy od tego, gdzie są. W tej chwili wszędzie panuje bałagan, sam o tym wiesz.

– Tak, przekonałem się.

Binding wstał i podszedł do szafy. Wyjął z niej butelkę i dwa kieliszki.

– Przede wszystkim napijmy się. Oryginalny armaniak. Wolę go niemal od koniaku. *Prosit*.

– *Prosit*, Alfons.

Binding nalał ponownie.

– Gdzie teraz mieszkasz? U krewnych?

– Nie mamy krewnych w mieście. Mieszkam w koszarach.

Binding odstawił kieliszek.

– Ależ, Ernst, przecież to nonsens! Urlop w koszarach to tyle co żaden! Przenieś się do mnie! Miejsca tu dosyć! Sypialnia z łazienką, wszystko do twojej dyspozycji! I możesz sobie sprowadzić dziewczynkę, kiedy ci się spodoba!

– Mieszkasz tu sam?

– No chyba! Myślałeś, że się ożeniłem? Taki głupi nie jestem! Baby pchają się do mnie drzwiami i oknami. Na moim stanowisku... – Alfons machnął ręką i wskazał na wielką

skórzaną kanapę. – Ta kanapa mogłaby coś o tym powiedzieć! Przychodzą tu i błagają mnie na klęczkach.

– Doprawdy? Dlaczego?

– Na klęczkach, Ernst! Nie dalej jak wczoraj była tu jedna. Dama z najlepszego towarzystwa, rude włosy, wspaniałe piersi, woalka, futro. Leżała tu, na tym dywanie. Łzy jej leciały jak z fontanny, była na wszystko gotowa. Chciała, żebym wyciągnął jej męża z obozu koncentracyjnego.

Graeber podniósł wzrok.

– A ty możesz to zrobić?

Binding zaśmiał się.

– Mogę tam kogoś wpakować, ale wyciągnąć – to nie takie proste. Oczywiście, tego jej nie powiedziałem. A więc co, sprowadzisz się? Jak widzisz, u mnie jest wesoło!

– Tak, to widzę. Ale teraz nie mogę się przeprowadzić. Wszędzie, gdzie dowiadywałem się o rodziców, podawałem adres koszar. Muszę poczekać, może nadejdą jakieś wiadomości.

– Zgoda, Ernst. Sam wiesz najlepiej, co robić. Ale pamiętaj, że u Alfonsa masz zawsze mieszkanie do dyspozycji. A wyżywienie jest pierwsza klasa. Dobrze się zaopatrzyłem.

– Dziękuję ci.

– Nie ma o czym mówić! Jesteśmy przecież szkolnymi kolegami. Trzeba sobie pomagać. Ty mi też często dawałeś odpisywać klasówki. À propos, pamiętasz Burmeistra?

– Naszego matematyka?

– Właśnie jego. Przez to ścierwo wyleciałem ze szkoły. Z powodu tej historii z Lucynką Edler. Przypominasz sobie?

– Oczywiście – odparł Graeber. Nie pamiętał o niczym.

– Chłopie, jak ja go wtedy błagałem, żeby nie składał na mnie donosu! Nic nie pomogło, ten szatan był nieubłagany; obowiązek moralny i temu podobne bzdury. Ojciec o mało mnie wtedy nie zatłukł. Burmeister! – Alfons smakował to nazwisko na języku. – Odpłaciłem mu za to! Wystarałem się dla niego o pół roku obozu koncentracyjnego. Trzeba go było widzieć, jak wyszedł! Stał przede mną na baczność i prawie robił w portki na mój widok. On mnie wychował; ja go za to też wychowałem – gruntownie. Dobry kawał, co?

– Tak.

Alfons zaśmiał się.

– Człowiekowi od razu lżej się robi na duszy. To jest właśnie piękne w naszym ruchu, że daje takie możliwości. – Spostrzegł, że Graeber wstał. – Chcesz już iść?

– Tak. Nie mogę sobie znaleźć miejsca.

Binding skinął głową.

– Rozumiem cię, Ernst – powiedział uroczyście. – I bardzo ci współczuję. Wierzysz mi chyba?

– Tak, Alfons. – Graeber wiedział, co teraz nastąpi, toteż uciął krótko: – Wpadnę znów za kilka dni.

– Przyjdź jutro po południu. Albo pod wieczór. Tak koło wpół do szóstej.

– Dobrze. Jutro o wpół do szóstej. Sądzisz, że już będziesz coś wiedział?

– Nie wiem. Zobaczymy. W każdym razie możemy się napić wódki. À propos – byłeś już w szpitalach?

– Tak.

Binding skinął głową.

– A... tylko na wszelki wypadek, oczywiście... na cmentarzach?

– Nie.

– Powinieneś jednak pójść. Tylko dla pewności. Wielu tam jeszcze leży nierozpoznanych.

– Jutro to zrobię.

– Dobrze, Ernst. – Bindingowi wyraźnie ulżyło. – I przyjdź jutro na dłużej. My, starzy przyjaciele z ławy szkolnej, musimy się trzymać razem. Nie masz pojęcia, jak samotny jest człowiek na takim stanowisku jak moje. Każdy ode mnie czegoś chce.

– Ja też czegoś chciałem.

– To co innego. Mam na myśli korzyści osobiste.

Binding wziął butelkę armaniaku, jednym uderzeniem otwartej dłoni wbił korek i podał ją Graeberowi.

– Masz, weź ze sobą. To dobra wódka. Może ci się przydać. Poczekaj jeszcze chwilę. – Otworzył drzwi. – Pani Kleinert! Poproszę o kawałek papieru! Albo o torebkę!

Graeber trzymał butelkę w ręku.

– To doprawdy zbyteczne, Alfons...

Binding nalegał gwałtownie:

– Weź, weź! Mam tego pełną piwnicę! – Zawinął butelkę w torebkę przyniesioną przez gospodynię. – Powodzenia, Ernst! Głowa do góry! Do jutra!

Graeber ruszył w stronę Hakenstrasse. Był jeszcze pod wrażeniem tego spotkania. „Kreisleiter! – pomyślał. – Że też pierwszym człowiekiem, który chce mi pomóc bez zastrzeżeń i który proponuje mi mieszkanie i utrzymanie, jest akurat bonza partyjny!” Wsadził butelkę do kieszeni płaszcza.

Zapadł wczesny wieczór. Niebo miało barwę masy perłowej, a drzewa wyraziście odcinały się od jasnej dali. W ruinach niebieszczył się zmrok.

Graeber dotarł do „gazety ruin". Jego kartka zniknęła. Początkowo sądził, że to wiatr ją zerwał; ale pozostałyby pluskiewki, ich jednak też nie było. Ktoś musiał zdjąć kartkę.

Poczuł, że krew napływa mu nagle do serca. Nerwowo szukał na drzwiach jakiejś wiadomości, ale nie znalazł. Pobiegł do domu swoich rodziców. Druga kartka wciąż jeszcze tkwiła tam, między kamieniami. Wyrwał ją i obejrzał dokładnie. Nikt jej nie ruszał. Nie zawierała też żadnej wiadomości.

Zdziwiony podniósł głowę i rozejrzał się. Nagle, daleko na ulicy, spostrzegł coś białego, jakby skrzydło unoszone wiatrem. Pogonił za nim. Była to jego kartka; widocznie ktoś ją zerwał. Z boku wykaligrafowane było starannym pismem: „Nie kradnij". Początkowo nie zrozumiał, co to ma znaczyć. Potem przypomniał sobie, że brakowało obu pluskiewek, a wezwanie matki, z którego je zabrał, znów umocowane było wszystkimi czterema. Odebrała swoją własność i udzieliła mu nauczki. Cierpienie, jak widać, nie zawsze rodzi wspaniałomyślność.

Ułożył swą kartkę na ziemi obok drzewa i przycisnął ją dwoma płaskimi kamieniami. Potem zawrócił do domu rodziców.

Stanął przed ruinami i spojrzał w górę. Zielony wyścielany fotel zniknął. Ktoś musiał go zabrać. W tym miejscu wystawało spod gruzu kilka gazet. Wdrapał się na górę i wyciągnął je. Były to stare gazety, pełne wielkich nazwisk i wiadomości o zwycięstwach, zżółkłe, podarte i brudne. Odrzucił je na bok i szukał dalej. Między dwiema belkami znalazł małą, spłowiałą

książeczkę; leżała otwarta, jakby ją ktoś czytał. Poznał swój własny podręcznik szkolny. Przerzucił kartki i na pierwszej stronie dostrzegł swoje nazwisko. Wyblakłe dziś litery wpisał, gdy miał dwanaście lub trzynaście lat.

Był to katechizm szkolny. Książka zawierała setki pytań i odpowiedzi na nie. Stronice były poplamione, a na niektórych widniały uwagi, które sam kiedyś zanotował. Zamyślony przewracał kartki. Przez chwilę wszystko zdawało się chwiać, ale nie wiedział, co się chwieje – czy zburzone miasto pod cichym niebem z masy perłowej, czy ta mała, pożółkła książeczka w jego rękach, która zawierała odpowiedzi na wszystkie pytania ludzkości.

Odłożył ją na bok i szukał dalej. Ale nic więcej nie znalazł – żadnych książek ani niczego z mieszkania rodziców. Nic dziwnego – mieszkali na drugim piętrze i rzeczy ich znajdowały się teraz chyba znacznie głębiej pod rumowiskiem. W czasie wybuchu katechizm zapewne wyrzucony został wysoko w powietrze, a następnie, ponieważ był lekki, sfrunął powoli na dół. „Jak gołąb – pomyślał Graeber – samotny biały gołąb pokoju ze wszystkimi swoimi pytaniami i wszystkimi odpowiedziami w nocy pełnej ognia i dymu, i zniszczenia, i krzyków, i śmierci".

Przez chwilę siedział jeszcze na ruinach. Wieczorny wiatr odwracał kartki książki, jakby przeglądał ją ktoś niewidzialny.

„Bóg jest miłosierny – czytał Graeber – wszechmiłujący, wszechmocny, wszechwiedzący, wszechmądry, nieskończenie dobry i sprawiedliwy..."

Sięgnął po butelkę armaniaku, którą dostał od Bindinga. Otworzył ją i pociągnął łyk. Potem zszedł na ulicę. Katechizmu

nie zabrał z sobą.

Ściemniło się. Nigdzie nie widać było światła. Graeber szedł przez Karlsplatz. Koło schronu zderzył się prawie z jakimś młodym oficerem, który nadchodził spiesznym krokiem.

– Nie możecie uważać? – parsknął oficer gniewnie.

Graeber przyjrzał mu się.

– Dobrze, Ludwiku – powiedział. – Następnym razem będę uważał.

Podporucznik wytrzeszczył oczy. Naraz szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Ernst, to ty!

Był to Ludwik Wellmann.

– Co tu robisz? – spytał. – Jesteś na urlopie?

– Tak. A ty?

– Właśnie mi się skończył. Już odjeżdżam. Dlatego tak się śpieszę.

– Jak było?

– Tak sobie! Sam wiesz! Ale następnym razem urządzę się inaczej. Nie powiem nikomu ani słowa i pojadę gdziekolwiek, tylko nie do domu!

– Dlaczego?

Wellmann skrzywił się.

– Rodzina! Rodzice! Po prostu nie można wytrzymać! Marnują człowiekowi cały urlop! Jak długo tu już jesteś?

– Cztery dni.

– Poczekaj trochę! Jeszcze się przekonasz!

Wellmann usiłował zapalić papierosa. Wiatr zgasił zapałkę. Graeber podał mu zapalniczkę. Blask rozświetlił na chwilę

szczupłą, energiczną twarz Wellmanna.

– Im się zdaje, że wciąż jeszcze jesteśmy dziećmi – powiedział, wypuszczając dym. – Jeśli wymkniesz się na jeden wieczór, od razu witają cię pełne wyrzutu twarze. Chcieliby, abyś cały czas spędzał tylko z nimi. Dla mojej matki wciąż jeszcze mam trzynaście lat. Przez pierwszą połowę urlopu zalewała się łzami, ponieważ przyjechałem, a przez drugą połowę – ponieważ znowu muszę wyjechać. Co można na to poradzić?

– A ojciec? Był przecież żołnierzem w czasie pierwszej wojny.

– Dawno już o tym zapomniał. Przynajmniej częściowo. Dla mojego staruszka jestem bohaterem. Dumny jest z mojej blaszanej rupieciarni. Wciąż chciał się ze mną pokazywać. Wzruszający starszy pan z zamierzchłej przeszłości. Oni już nas nie rozumieją. Uważaj, żeby z tobą nie było tak samo!

– Będę uważał.

– Mają jak najlepsze chęci. Otaczają cię miłością i troskliwością, ale to właściwie jest najgorsze. Nic nie możesz na to poradzić, bo zaraz wydajesz się sobie bezdusznym przestępcą.

Wellmann obejrzał się za dziewczyną, której jasne pończochy połyskiwały w wietrznej ciemności.

– W ten sposób cały urlop diabli biorą! Zdołałem jedynie wywalczyć, że nie odprowadzają mnie na dworzec. Choć wcale nie jestem pewien, czy nie przyjdą tam mimo wszystko! – Zaśmiał się. – Od razu postępuj właściwie, Ernst! Znikaj przynajmniej wieczorami. Wymyśl coś! Jakiś kurs lub służbę! Bo inaczej będzie z tobą tak samo jak ze mną, a urlop spędzisz jak uczniak!

– U mnie będzie chyba inaczej.

Wellmann uścisnął mu rękę.

– Miejmy nadzieję, że uda ci się lepiej niż mnie! Byłeś już w budzie?

– Nie.

– To lepiej nie chodź. Ja tam byłem. Wielki błąd. Rzygać się chce. Wyrzucili jedynego porządnego nauczyciela, Pohlmanna, tego, co nam wykładał religię. Pamiętasz go jeszcze?

– Oczywiście. Mam go nawet odwiedzić.

– Uważaj, on jest na czarnej liście. Gwizdnij lepiej na ten cały kram! Nie należy wracać do przeszłości! A więc, wszystkiego dobrego, Ernst! Nasze krótkie, sławne życie, co?

– Tak, Ludwiku. Z darmowym utrzymaniem, pobytem za granicą i pogrzebem na koszt państwa.

– Niech to jasna cholera! Bóg raczy wiedzieć, kiedy się znowu zobaczymy! – Wellmann roześmiał się i zniknął w ciemności.

Graeber poszedł dalej. Nie wiedział, co ze sobą począć. Miasto było ciemne jak grób. Nie mógł dłużej szukać, zrozumiał, że trzeba się uzbroić w cierpliwość. Przerażała go myśl o długim wieczorze. Do koszar nie chciał jeszcze wracać; do tych kilku znajomych, których miał, także nie chciał iść. Nie mógł znieść ich zakłopotanego współczucia, wiedział zresztą, że są zadowoleni, gdy odchodzi.

Spoglądał na wyżarte ogniem dachy domów. Czego się właściwie spodziewał? Wyspy za frontem? Ojczyzny, spokoju, schronienia, pociechy? Może. Ale wyspy nadziei dawno już zatonęły w monotonii bezcelowej śmierci, fronty były rozdarte, a wojna wszędzie. Wszędzie, nawet w umysłach i sercach.

Przechodził obok kina i wszedł do środka. W sali nie było tak ciemno jak na ulicy. Lepiej już siedzieć tu, niż wędrować przez

czarne miasto albo upijać się w jakiejś knajpie.

XI

Cmentarz pławił się w słońcu. Brama cmentarna była rozbita. Kilka krzyży i kamiennych nagrobków poniewierało się po innych grobach i ścieżkach; wierzby płaczące leżały obalone; korzenie ich wyglądały jak konary, a gałęzie – jak długie, spętlone zielone korzenie. Robiły wrażenie dziwacznych, obwieszonych morszyną roślin, wyrzuconych z jakiegoś podziemnego morza. Kości trupów ze zbombardowanych grobów po większej części już zebrano i starannie usypano z nich pagórek, tylko mniejsze odłamki i resztki starych, zmurszałych trumien wisiały jeszcze w wierzbinie. Czaszki uprzątnięto.

Obok kaplicy postawiono szopę. Pracował w niej dozorca z dwoma pomocnikami. Dozorca pocił się. Potrząsnął głową, gdy usłyszał pytanie Graebera.

– Nie mamy na to czasu! Dwanaście pogrzebów jeszcze przed południem! Mój Boże, skąd możemy wiedzieć, czy pańscy rodzice tu leżą? Dziesiątki grobów pozbawione są nagrobków i nazwisk. Przy tak wielkim ruchu nie jesteśmy w stanie wiedzieć o wszystkich!

– Nie prowadzicie żadnych wykazów?

– Wykazy! – burknął gorzko dozorca, odwracając się do swych pomocników. – Słyszeliście, wykazy chciałby zobaczyć! Wie pan, ile zwłok czeka jeszcze na pochowanie? Trzysta. Wie pan, ile dostarczono ich po ostatnim nalocie? Siedemset. A po poprzednim? Pięćset. I to w ciągu czterech dni. Jak w tych warunkach mamy nadążyć z robotą? Nie jesteśmy do tego przygotowani! Potrzebna by nam była koparka zamiast grabarzy, aby choć częściowo nadrobić zaległości. A wie pan, kiedy będzie następny nalot? Może dziś wieczorem? Może jutro? I pan mówi o wykazach!

Graeber nic nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i położył na stole. Dozorca zamienił spojrzenie z pomocnikami. Graeber odczekał chwilę. Potem dołożył jeszcze trzy cygara. Przywiózł je z Rosji dla ojca.

– No więc dobrze – powiedział dozorca. – Zrobimy, co w naszej mocy. Niech pan napisze nazwiska. Jeden z nas zapyta w zarządzie cmentarza. Tymczasem może pan obejrzeć zwłoki jeszcze niespisane. Leżą tam, pod murem.

Graeber poszedł we wskazanym kierunku. Część trupów miała nazwiska, trumny, mary, koce, kwiaty; inne przykryte były białym całunem. Odczytywał nazwiska, unosił całuny bezimiennych, a potem udał się do zwłok nierozpoznanych, które leżały rzędem, jedne przy drugich pod wąskim, prowizorycznym daszkiem wzdłuż muru.

Niektórzy mieli zamknięte oczy, inni splecione dłonie, większość jednak leżała tak, jak ich znaleziono, i tylko ramiona ułożono im wzdłuż ciał i wyprostowano nogi, aby uzyskać więcej miejsca.

Przed nimi sunęła procesja milczących ludzi. Pochyleni badali blade zamarłe oblicza, szukając swoich najbliższych.

Graeber włączył się do szeregu. Kilka kroków przed nim jakaś kobieta osunęła się nagle na ziemię obok zwłok i zaszlochała. Inni szli dalej, omijając ją, niemi, o twarzach tak skupionych, że prawie pustych, pozbawionych wszelkiego wyrazu poza trwożnym oczekiwaniem. Dopiero stopniowo, gdy zbliżali się do końca rzędu, pojawiał się w nich słaby odcień niespokojnej, skrywanej nadziei i widać było, jak oddychają z ulgą.

Graeber zawrócił do szopy.

– Był pan już w kaplicy? – spytał dozorca.

– Nie.

– Leżą tam bardziej poszarpane zwłoki. Trzeba mieć do tego silne nerwy. Ale pan jest przecież żołnierzem.

Graeber poszedł do kaplicy. Gdy wyszedł, dozorca czekał na niego.

– Okropne, prawda? – Spojrzał badawczo na Graebera. – Niejeden już się tam załamał. Choćby wczoraj, jakiś gruppenführer z obozu koncentracyjnego, chłop jak dąb.

Graeber nic nie odpowiedział. W swoim życiu widział już tyle trupów, że nie było to dla niego niczym nadzwyczajnym. Nawet fakt, że chodziło tu o cywilów, kobiety i dzieci. Także to widział już dostatecznie często, a u Rosjan, Holendrów czy Francuzów rany nie były mniejsze niż te, które teraz oglądał. Przyszło mu właśnie na myśl, że zimą w Rosji ciała zamarzają w każdym stadium rozkładu i poszarpania, a grupa pięćdziesięciu powieszonych o nabrzmiałych twarzach, wybałuszonych, rozlanych oczach i otwartych ustach z grubymi czarnymi językami

stanowiła bardziej odstraszający widok niż te szczątki ludzkie w kaplicy.

– W zarządzie cmentarza nie ma żadnej wzmianki – oświadczył dozorca. – Ale są jeszcze dwie duże trupiarnie w mieście. Był pan już tam?

– Tak.

– Oni mają chociaż lód – powiedział dozorca z zazdrością. – Im łatwiej pracować niż nam.

– I tam jest przepełnienie.

– Tak, ale mają lód; my go nie mamy, a robi się coraz cieplej. Jeszcze kilka nalotów, a do tego nadal słoneczne dni – i nastąpi katastrofa. Będziemy musieli chować w masowych grobach.

Graeber skinął głową. Nie pojmował, dlaczego by to miało być katastrofą. Katastrofą był sam fakt, że istniały masowe groby.

– Robimy, co w naszej mocy – oświadczył dozorca. – Mamy tylu grabarzy, ilu nam wolno zatrudniać, ale wciąż jeszcze o wiele za mało. Nasza technika jest przestarzała na dzisiejsze czasy. Do tego dochodzą jeszcze przepisy religijne. – Zmęczony otarł czoło. – Jedyną instytucją naprawdę nowoczesną pod każdym względem są obozy koncentracyjne. Mogą się tam uporać z setkami ciał dziennie. Wszystko najnowszą metodą. Ale oni, oczywiście, używają krematoriów, a u nas to nie wchodzi w rachubę...

Przez chwilę patrzył zamyślony gdzieś ponad murem. Potem skinął krótko Graeberowi i szybkim krokiem zawrócił do swojej szopy – obowiązkowy, gorliwy urzędnik śmierci.

Graeber musiał kilka chwil zaczekać; dwa kondukty pogrzebowe zatarasowały wejście. Raz jeszcze spojrzał za siebie. Księża modlili się nad grobami, rodziny i przyjaciele zmarłych

stali obok świeżych kopczyków, pachniało zwiędłymi kwiatami i ziemią, ptaki śpiewały, procesja szukających nadal sunęła wzdłuż murów, grabarze wymachiwali łopatami w na poły wykopanych dołach, wokół kręcili się kamieniarze i agenci pogrzebowi – siedziba śmierci stała się najbardziej ożywionym miejscem w mieście.

Mały biały domek Bindinga spowity był pierwszym zmierzchem. W ogrodzie na murawie stał basenik dla ptaków, w którym pluskała woda. Między krzewami bzu kwitły narcyzy i tulipany, a pod brzozami połyskiwał posąg dziewczyny z marmuru.

Drzwi otworzyła gospodyni. Była to siwowłosa kobieta w wielkim białym fartuchu.

– Pan Graeber, nieprawdaż?

– Tak.

– Pana kreisleitera nie ma w domu. Musiał wyjść na ważne zebranie partyjne. Ale zostawił dla pana wiadomość.

Graeber wszedł za nią do domu pełnego jelenich rogów i obrazów. Rubens świecił nawet w półmroku. Na miedzianym stoliku z przyborami do palenia stała zawinięta w papier butelka. Obok leżał list. Alfons pisał, że niewiele jeszcze zdołał się dowiedzieć, ale jedno jest pewne – rodzice Graebera nigdzie w mieście nie są zarejestrowani jako zabici czy ranni. Prawdopodobnie zostali więc ewakuowani lub wyjechali. Niech Graeber zechce przyjść znowu jutro, a przy tej butelce wódki niechaj świętuje dziś wieczorem, że jest z dala od Rosji.

Graeber wsadził list i butelkę do kieszeni. Gospodyni stała w drzwiach.

– Pan kreisleiter kazał serdecznie pana pozdrowić.

– Proszę go ode mnie również pozdrowić i powiedzieć, że jutro znów przyjdę. I bardzo dziękuję za butelkę. Ogromnie mi się przyda.

– Będzie się z tego cieszył – odparła gospodyni z macierzyńskim uśmiechem. – To taki dobry człowiek.

Graeber zawrócił przez ogród. „Dobry człowiek – pomyślał. – Czy Alfons był nim także dla nauczyciela matematyki Burmeistra, którego wsadził do obozu koncentracyjnego? Widocznie każdy jest dla jednych dobrym człowiekiem, a dla innych wręcz złym". Dotknął listu i butelki. Świętować. Ale co? Nadzieję, że rodzice żyją? I z kim świętować? Z kolegami z izby czterdziestej ósmej w koszarach?" Spojrzał w gęstniejący niebieski mrok. Mógłby zanieść butelkę do Elżbiety Kruse. Jej tak samo się przyda jak i jemu. A dla niego pozostaje jeszcze armaniak.

Drzwi otworzyła kobieta o pomiętej twarzy.

– Przyszedłem do panny Kruse – powiedział Graeber zdecydowanym głosem i chciał ją wyminąć.

Kobieta nie usunęła się od drzwi.

– Panny Kruse nie ma w domu – odparła. – Powinien pan o tym wiedzieć.

– Dlaczego powinienem o tym wiedzieć?

– Czy nie uprzedzała pana?

– Zapomniałem. Kiedy wróci?

– O siódmej.

Graeber nie przewidywał, że Elżbiety może nie być w domu. Zastanawiał się, czy zostawić wódkę; ale nie wiadomo, co za

historię zrobiłaby z tego ta denuncjantka. A może sama by ją wypiła?

– Dobrze, przyjdę później – odpowiedział.

Stał na ulicy niezdecydowany. Spojrzał na zegarek: dochodziła szósta. Wieczór znów zapowiadał się długi i ciemny. „Nie zapomnij, że masz urlop" – powiedział mu Reuter. Nie zapomniał, ale na nic się to nie zdało.

Poszedł na Karlsplatz i usiadł na ławce na skwerze. Potężny schron przeciwlotniczy wyglądał jak olbrzymia ropucha. Przezorni ludzie zawczasu wślizgiwali się tam niczym cienie. Ciemność spływała z krzaków i zatapiała resztki światła.

Graeber siedział na ławce i czekał. Przed godziną nie myślał o tym, aby znów zobaczyć Elżbietę. Gdyby była w domu, prawdopodobnie wręczyłby jej wódkę i poszedł sobie. Teraz jednak, gdy jej nie zastał, z niecierpliwością wyczekiwał godziny siódmej.

Otworzyła mu Elżbieta.

– Ciebie się nie spodziewałem – powiedział zaskoczony. – Oczekiwałem smoka, który broni wejścia.

– Pani Lieser nie ma. Poszła na zebranie narodowosocjalistycznej organizacji kobiet.

– Do platfusowej brygady. Oczywiście! Tam jest jej miejsce! – Graeber rozejrzał się. – Zaraz tu inaczej wygląda, gdy jej nie ma.

– Inaczej wygląda, bo w przedpokoju pali się teraz światło – odparła Elżbieta. – Zawsze je zapalam, gdy ona wychodzi.

– A gdy jest w domu?

– Wtedy się oszczędza. To patriotyczne. Siedzimy po ciemku.

– Słusznie – powiedział Graeber. – Wtedy nas chwalą. – Wyciągnął butelkę z kieszeni. – Przyniosłem ci wódkę. Pochodzi z piwnicy pewnego kreisleitera. Dar kolegi szkolnego.

– Masz takich kolegów szkolnych?

– Tak. Podobnie jak ty przymusowych współlokatorów.

Uśmiechnęła się i wzięła butelkę.

– Poszukam, może gdzieś jest korkociąg.

Poszedł za nią do kuchni. Spostrzegł, że ubrana jest w czarny pulower i wąską czarną spódnicę. Włosy związała na karku grubą jaskrawoczerwoną włóczką. Miała proste, silne ramiona i wąskie biodra.

– Nie mogę go znaleźć – powiedziała i zamknęła szufladę. – Pani Lieser chyba nie pije.

– Wygląda, jakby nic innego nie robiła. Ale obejdziemy się bez korkociągu.

Graeber wziął butelkę, odtrącił lak z szyjki i dwukrotnie uderzył silnie dnem o udo. Korek wyskoczył.

– Tak się robi u nas w wojsku – wyjaśnił. – Masz kieliszki? Czy będziemy pili z butelki?

– Mam kieliszki w pokoju. Chodź.

Graeber zdziwił się nagle, że tu przyszedł. Obawiał się już, że znów będzie musiał spędzić wieczór samotnie.

Ze stojącej przy ścianie etażerki Elżbieta wzięła dwa cienkie kieliszki do wina. Graeber rozejrzał się. Nie poznawał tego pokoju. Łóżko, kilka foteli z zielonym obiciem, książki i biedermeierowskie biureczko robiły wrażenie staromodne i spokojne. W pamięci zachował obraz nieporządku i nieładu. „Widocznie sprawiło to wycie syren – pomyślał. – Hałas

wprowadza nieład we wszystko. Elżbieta także wyglądała dzisiaj inaczej niż wtedy. Inaczej, ale nie staromodnie i nie spokojnie".

Odwróciła się.

– Właściwie jak długo się nie widzieliśmy?

– Sto lat. Wtedy byliśmy dziećmi i nie było wojny.

– A teraz?

– Teraz jesteśmy starzy, bez doświadczenia, jakie daje starość. Starzy i cyniczni, i bez wiary, i czasami smutni. Ale nieczęsto.

– To prawda?

– Nie. Ale co jest prawdą? Może ty wiesz?

Elżbieta potrząsnęła głową.

– Czy zawsze coś musi być prawdą? – spytała.

– Chyba nie. Dlaczego?

– Nie wiem. Ale może byłoby mniej wojen, gdyby jeden drugiego nie chciał wciąż tak usilnie przekonywać o własnej prawdzie.

Graeber uśmiechnął się. To, co powiedziała, brzmiało dziwacznie.

– Tolerancja. Tego nam właśnie brak, prawda?

Elżbieta skinęła głową. Graeber napełnił kieliszki.

– Wypijmy pod tolerancję. Kreisleiterowi, od którego dostałem tę butelkę, na pewno by to nie przyszło na myśl. Ale właśnie dlatego spełnijmy ten toast.

Wychylił kieliszek.

– Chcesz jeszcze jeden?

Elżbieta wstrząsnęła się krótko.

– Tak.

Nalał ponownie. Wódka była mocna, czysta i klarowna. Elżbieta odstawiła swój kieliszek.

– Chodź, pokażę ci wzór tolerancji. – Poprowadziła go przez przedpokój i otworzyła jakieś drzwi. – Pani Lieser zapomniała w pośpiechu zamknąć. Obejrzyj sobie jej pokój. To nie jest nadużywanie zaufania. Kiedy mnie nie ma w domu, ona stale u mnie szpera.

Część pokoju była normalnie umeblowana. Ale na ścianie naprzeciw okna wisiał w potężnej ramie wielki, kolorowy portret Hitlera, otoczony zieloną jedliną i wieńcami z dębowych liści. Pod nim, na stole, na wielkiej chorągwi ze swastyką leżało luksusowe wydanie *Mein Kampf*, oprawione w czarną skórę z wytłoczoną złotą swastyką. Po obu stronach stały srebrne lichtarze ze świecami, a obok nich fotografie führera: jedna z owczarkiem w Berchtesgaden, druga – z biało ubraną dziewczynką wręczającą mu kwiaty. Honorowe kordy i odznaki partyjne dopełniały całości.

Graeber nie był specjalnie zaskoczony. Nieraz już widział takie rzeczy. Kult dyktatorów łatwo staje się religią.

– Czy ona tutaj pisze swoje donosy?

– Nie, pisze je przy biurku mojego ojca.

Graeber spojrzał na biurko. Był to staromodny mebel z nadbudówką i zasuwaną pokrywą.

– Stale jest zamknięte – powiedziała Elżbieta. – Nie można się do niego dobrać. Nieraz już próbowałam.

– Czy to ona zadenuncjowała twojego ojca?

– Tego nie wiem na pewno. Zabrano go i nic więcej o nim nie słyszałam. Ona już wtedy mieszkała tutaj z dzieckiem. Miała tylko jeden pokój. Gdy zabrano ojca, dostała na dodatek te dwa, które on zajmował.

Graeber odwrócił się.

– Myślisz, że dlatego to zrobiła?

– Czemu nie? Czasami wystarczy nawet mniej ważki powód.

– To prawda. Ale sądząc z ołtarza, ta baba jest jedną z owych fanatyczek z platfusowej brygady.

– Ernst – powiedziała Elżbieta z goryczą – czy ty doprawdy sądzisz, że fanatyzm nigdy nie może iść w parze z osobistą korzyścią?

– Tak. Nawet często. Dziwne, że stale się o tym zapomina! Istnieją komunały, których się człowiek kiedyś nauczył i odtąd bezmyślnie je powtarza. Świat nie jest poszufladkowany według etykietek. A człowiek tym bardziej nie. Prawdopodobnie ta żmija kocha swoje dziecko, swego męża, kwiaty i wszystko, co jest szlachetne w życiu. Czy zadenuncjowała twojego ojca, bo coś o nim wiedziała, czy też wszystko wyssała z palca?

– Ojciec był dobroduszny i nieostrożny. Sądzę, że od dawna mieli go na oku. Nie każdy potrafi milczeć, gdy przez cały dzień wysłuchuje przemówień partyjnych we własnym domu.

– A nie wiesz, co takiego mógł powiedzieć?

Elżbieta wzruszyła ramionami.

– Nie wierzył już, że Niemcy wygrają wojnę.

– Wielu już w to nie wierzy.

– Ty też nie?

– Ja też nie. A teraz chodź! Żeby cię tu ta wiedźma nie zaskoczyła; kto wie, co by wtedy zrobiła!

Elżbieta uśmiechnęła się przelotnie.

– Nie zaskoczy nas. Zaryglowałam drzwi od korytarza. Nie może wejść.

Podeszła do drzwi i odsunęła zasuwę.

„Dzięki Bogu – pomyślał Graeber. – Jeśli już jest męczennicą, to przynajmniej męczennicą ostrożną i bez zbędnych skrupułów”.

– Pachnie tu jak na cmentarzu – odezwał się. – To pewnie te przeklęte zwiędłe liście dębowe. Chodź, napijmy się lepiej. – Napełnił kieliszki. – Wiem teraz, dlaczego czujemy się starzy. Bo widzieliśmy za dużo świństw. Świństw popełnianych przez ludzi, którzy są od nas starsi i którzy powinni być przyzwoitsi.

– Ja nie czuję się stara – odparła Elżbieta.

Popatrzył na nią. Bynajmniej nie wyglądała staro.

– Bądź zadowolona – powiedział.

– Czuję się jak w więzieniu – ciągnęła dalej. – A to gorsze niż starość.

Graeber usiadł na jednym z biedermeierowskich foteli.

– Kto wie, czy w końcu ta baba i ciebie nie zadenuncjuje. Może zechce zagarnąć dla siebie całe mieszkanie. Dlaczego na to czekasz? Wyprowadź się! Sprawiedliwości nie znajdziesz, o tym chyba sama wiesz.

– Tak, o tym wiem... – Elżbieta wydawała się nagle uparta i bezradna zarazem. – Może to przesąd – mówiła szybko, z udręką, jak ktoś, kto już setki razy dawał sobie tę samą odpowiedź – ale dopóki tu jestem, wierzę, że mój ojciec wróci. Gdybym stąd odeszła, zdawałoby mi się, że go opuszczam. Rozumiesz?

– Tego nie trzeba rozumieć. Po prostu tak się postępuje, i koniec. Nawet jeśli to nie ma sensu.

– No właśnie.

Wzięła kieliszek i wychyliła go do dna. W przedpokoju zazgrzytał klucz.

– Już przyszła – powiedział Graeber. – To szybko! Zebranie chyba niedługo trwało.

Nasłuchiwali kroków w przedpokoju. Graeber popatrzył na patefon.

– Masz tylko marsze? – spytał.

– Nie. Ale marsze są głośne. I nieraz, gdy cisza aż krzyczy, trzeba ją zagłuszyć czymś jeszcze głośniejszym.

– Piękne prowadzimy rozmowy! W szkole nieraz nam mówiono, że młodość to romantyczny okres w życiu.

Elżbieta zaśmiała się. W przedpokoju upadło coś na podłogę. Pani Lieser zaklęła. Potem trzasnęły drzwi.

– Zapomniałam zgasić światło – szepnęła Elżbieta. – Chodź, wyjdźmy gdzieś. Czasami już nie mogę wytrzymać. I porozmawiajmy o czymś innym.

– Dokąd pójdziemy? – spytał Graeber na ulicy.

– Nie wiem. Gdziekolwiek.

– Jest tu w pobliżu jakaś kawiarnia, knajpa czy bar?

– Nie chcę iść znowu do zamkniętego lokalu. Wolałabym po prostu trochę pospacerować.

– Dobrze.

Ulice były puste, a miasto ciemne i ciche. Szli wzdłuż Marienstrasse przez Karlsplatz i dalej mostem na Stare Miasto. Po jakimś czasie wszystko stało się nierealne, jakby życie dokoła wymarło, a oni byli ostatnimi z ludzi. Mijali domy, ale gdy przechodząc, zaglądali do okien, aby zobaczyć mieszkania, krzesła, stoły, oznaki życia, nie widzieli nic prócz odbicia księżyca w szybach, za którymi wisiały czarne zasłony lub czarny papier. Całe miasto jak gdyby przywdziało żałobę i było olbrzymią,

spowitą w czerń trupiarnią z trumnami mieszkań – jednym wielkim grobowcem.

– Co to ma znaczyć? – spytał Graeber. – Gdzie się podzieli ludzie? Dzisiaj jest jeszcze ciszej niż zazwyczaj.

– Pewnie siedzą w mieszkaniach. Już od kilku dni nie było nalotu. Nie mają więc odwagi wyjść. Czekają na następny. Zawsze tak jest. Tylko zaraz po bombardowaniu zjawia się więcej ludzi na ulicach.

– To i pod tym względem istnieją już nawyki?

– Tak. A u was na froncie ich nie ma?

– Też są.

Przechodzili ulicą leżącą w gruzach. Poszarpane chmury przeciągały po niebie i odbijały rozwiane światło. W ruinach tu i ówdzie drgały cienie jak spłoszone księżycowym blaskiem ośmiornice. Wtem usłyszeli brzęk porcelany.

– Chwała Bogu! – odezwał się Graeber. – Ludzie tam jedzą albo piją kawę. W każdym razie – żyją!

– Chyba piją kawę. Dawano dzisiaj na kartki. Nawet w dobrym gatunku. Bombową kawę.

– Bombową kawę?

– Tak, bombową kawę albo kawę gruzową. Tak ją nazywają. Ekstradodatek po ciężkich nalotach bombowych. Czasami wydają też cukier lub czekoladę albo paczkę papierosów.

– To tak jak na froncie. Przed ofensywą dostajemy wódkę albo tytoń. Właściwie to śmieszne – dwieście gramów kawy za jedną godzinę śmiertelnego strachu.

– Sto gramów.

Szli dalej. Po chwili Graeber zatrzymał się.

– To jeszcze gorsze niż siedzenie w domu. Trzeba było wziąć ze sobą wódkę! Muszę się napić! Ty też. Gdzie tu jest jakiś lokal?

– Nie chcę iść do żadnego lokalu. Jest się tam tak samo zamkniętym jak w schronie. Światła są przyćmione, a wszystkie okna szczelnie zasłonięte.

– To chodźmy do koszar. Mam tam jeszcze jedną butelkę. Zabiorę ją i możemy wypić na świeżym powietrzu.

– Dobrze.

W ciszy usłyszeli turkot wozu. Zaraz potem ujrzeli galopującego w ich stronę konia. Był niespokojny, stawał dęba na widok cieni i w płowym świetle wyglądał upiornie ze swymi dzikimi oczami i rozdętymi chrapami. Woźnica ściągnął lejce. Koń wspiął się, piana leciała mu z pyska. Musieli uskoczyć w bok, na ruiny, aby go przepuścić. Elżbieta szybko wdrapała się na gruzy, aby koń jej nie potrącił; przez chwilę wydawało się, że zaraz skoczy na spienionego rumaka i pogalopuje w dal; potem została samotna na tle pustej rozłogi nieba i ruin.

– Wyglądałaś, jakbyś chciała wskoczyć na niego i odjechać – powiedział Graeber.

– Gdybyż to było można! Ale dokąd? Wszędzie jest wojna.

– To prawda. Wszędzie. Nawet w krajach wiecznego pokoju – na morzach południowych i w Indiach. Nigdzie nie ma ucieczki.

Dotarli do koszar.

– Poczekaj tu, Elżbieto. Wstąpię po wódkę. To nie potrwa długo.

Graeber poszedł przez podwórze koszarowe, po dudniących echem schodach do izby czterdziestej ósmej. Pokój aż dygotał od chrapania śpiących żołnierzy. Nad stołem paliło się przyciemnione

światło. Karciarze jeszcze nie spali. Reuter siedział obok nich i czytał.

– Gdzie jest Böttcher? – spytał Graeber.

Reuter zamknął książkę.

– Kazał ci powiedzieć, że niczego nie znalazł. Roztrzaskał rower o mur. Stara historia – nieszczęścia zawsze idą w parze. Jutro będzie musiał ruszyć znowu na piechotę. Za to dzisiejszy wieczór spędza w knajpie i pociesza się. A co ci jest? Wyglądasz jak nieboszczyk na urlopie.

– Nic. Zaraz znów wychodzę. Chciałem tylko coś zabrać.

Graeber przeszukał tornister. Z Rosji przywiózł butelkę dżinu i butelkę wódki. Poza tym miał jeszcze armaniak od Bindinga.

– Weź dżin albo armaniak – powiedział Reuter. – Wódki już nie ma.

– Jak to?

– Wypiliśmy. Trzeba ją było dobrowolnie zafundować. Kto przybywa z Rosji, nie powinien się zachowywać jak kapitalista. Powinien użyczyć też trochę swoim kolegom! Wódka była dobra.

Graeber wyciągnął pozostałe butelki. Armaniak wsadził do kieszeni, a dżin dał Reuterowi.

– Masz rację. Weź to jako lekarstwo na swój artretyzm. Ale i ty nie bądź kapitalistą. Zostaw trochę innym.

– *Merci!* – Reuter pokusztykał do swojej szafki i wyjął korkociąg. – Domyślam się, że planujesz najbardziej prymitywną formę uwodzenia. Za pomocą napojów wyskokowych. Najczęściej zapomina się wówczas wyciągnąć uprzednio korek z butelki. A na odtrąconych szyjkach łatwo w podnieceniu rozciąć sobie gębę. Masz, bądź przezornym człowiekiem!

– Idź do diabła! Butelka jest otwarta.

Reuter odkorkował dżin.

– Skąd wziąłeś w Rosji holenderską wódkę?

– Kupiłem. Masz jeszcze jakieś pytania?

Reuter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie. Zjeżdżaj ze swoim armaniakiem, ty prymitywny casanovo, nie wstydź się. Tłumaczą cię okoliczności łagodzące. Brak czasu. Urlop jest krótki, a wojna długa.

Feldmann usiadł na łóżku.

– Może chcesz prezerwatywę, Graeber? Znajdziesz w moim portfelu. Ja nie potrzebuję. Kto śpi, nie złapie syfa.

– To wcale nie jest takie pewne – oświadczył Reuter. – Podobno istnieje także pewien sposób niepokalanego zarażenia się. Ale Graeber to dziecko natury. Aryjczyk rozpłodowy z dwunastoma przodkami czystej rasy. W takim wypadku prezerwatywy stanowią przestępstwo wobec ojczyzny.

Graeber otworzył armaniak, łyknął i wsadził butelkę z powrotem do kieszeni.

– Jesteście przeklętymi romantykami. Troszczcie się lepiej o własne sprawy.

Reuter machnął ręką.

– Idź w pokoju, mój synu! Zapomnij o regulaminie wojskowym i spróbuj być człowiekiem! Łatwiej jest umrzeć, niż żyć – zwłaszcza wam, bohaterska młodzieży i kwiecie narodu.

Graeber wsunął do kieszeni paczkę papierosów i szklankę. Wychodząc, zauważył, że Rummel wciąż jeszcze wygrywa. Leżała przed nim kupa pieniędzy. Twarz jego była nieporuszona, ale pot z niej spływał grubymi kroplami.

Schody koszarowe świeciły pustkami; było już po capstrzyku. Korytarze powtarzały echo kroków Graebera. Przeciął rozległy plac. Przy bramie nie zastał już Elżbiety. „Odeszła” – pomyślał. Spodziewał się tego niemal. Po cóż miałaby na niego czekać?

– Ta pani stoi po tamtej stronie – odezwał się wartownik. – Skąd ty, ofermo, do takiej dziewczyny? Przecież to coś dla oficerów.

Graeber spostrzegł teraz Elżbietę. Stała oparta o mur. Poklepał wartownika po ramieniu.

– Nowe zarządzenie, mój synu! To się dostaje zamiast orderu po czterech latach frontu. Same generalskie córki! Zgłoś się szybko na front, ty ciołku księżycowy. Nie wiesz, że na warcie nie wolno rozmawiać?

Poszedł w stronę Elżbiety.

– Sam jesteś ciołek – rzucił za nim wartownik niemrawo.

Na pagórku za koszarami znaleźli ławkę stojącą wśród kasztanów; można było stąd objąć wzrokiem całe miasto. Nigdzie nie paliło się światło. Tylko rzeka lśniła w blasku księżyca.

Graeber otworzył butelkę i napełnił szklankę do połowy. Armaniak połyskiwał jak płynny bursztyn.

– Wypij – powiedział Graeber do Elżbiety.

Nadpiła trochę i oddała szklankę.

– Wypij wszystko – powtórzył. – Dzisiaj jest odpowiedni wieczór. Wypij za cokolwiek: za nasze przeklęte życie albo za to, że jeszcze żyjemy – ale wypij. Potrzeba nam tego po tym martwym mieście. I w ogóle dobrze nam to zrobi.

– Dobrze. Wypiję za wszystko razem.

Znowu napełnił szklankę i sam ją wychylił. Natychmiast poczuł ogarniające go ciepło. Poczuł też wewnętrzną pustkę. Nie wiedział o niej przedtem. Była to pustka bez bólu.

Raz jeszcze napełnił szklankę do połowy, upił trochę i postawił ją między sobą a Elżbietą. Elżbieta podciągnęła nogi do góry, a rękoma objęła kolana. Młode listowie kasztanów połyskiwało nad nimi białawo w blasku księżyca – jakby zabłąkał się tu rój wczesnych motyli.

– Jakie ono czarne – powiedziała Elżbieta, wskazując na miasto.

– Zupełnie jak wypalona kopalnia węgla.

– Nie patrz na nie. Odwróć się. Tam jest inaczej.

Ławka stała na samym szczycie pagórka, którego stok z drugiej strony łagodnie opadał w dół – w stronę pól, ścieżek oblanych światłem księżyca, topolowych alei, wieży kościółka we wsi i dalej, w stronę lasu i niebieszczących się gór na horyzoncie.

– Widzisz? W tym zawarty jest cały pokój świata – powiedział Graeber. – Proste, co?

– Proste, gdyby można było odwrócić się i nie myśleć o niczym więcej.

– Łatwo się tego nauczyć.

– A ty się nauczyłeś?

– Oczywiście. Inaczej już bym nie żył.

– Chciałabym też tak umieć.

– Od dawna już umiesz. Nasze życie samo o to dba. Mobilizuje rezerwy, skąd może. A w niebezpieczeństwie nie ma słabości ani sentymentów. – Podsunął jej szklankę.

– Czy i to do tego należy? – spytała.

– Tak. Przynajmniej dzisiejszej nocy.

Przyglądał się jej, gdy piła.

– Nie mówmy już o wojnie – powiedział.

Elżbieta oparła się o poręcz.

– Nie mówmy o niczym.

– Dobrze.

Siedzieli w milczeniu. Było bardzo cicho; cisza powoli ożywiła się łagodnymi odgłosami nocy, które jej nie zakłócają, lecz czynią jeszcze głębszą – lekkim szumem wiatru spływającego jak oddech lasów, krzykiem sowy, szelestem trawy i nieskończoną grą chmur i światła. Cisza przybierała na sile, wznosiła się, otaczała i przenikała ich z każdym oddechem głębiej, aż wreszcie sam oddech stał się ciszą, koił i wyzwalał, coraz spokojniejszy i dłuższy, i nie był już wrogiem, lecz dalekim, dobrotliwym snem...

Elżbieta drgnęła. Graeber zbudził się i rozejrzał.

– Co ty na to? Zasnąłem.

– Ja też. – Otworzyła oczy. Rozproszone światło skupiło się w nich i uczyniło je przejrzystymi. – Dawno już tak nie spałam – powiedziała zdumiona. – Zawsze sypiam przy świetle w obawie przed ciemnością, a budzę się gwałtownie i ze strachem – nie tak jak teraz...

Graeber siedział w milczeniu. Nie pytał jej o nic. W czasach, w których tyle się dzieje, ciekawość zamiera. Dziwił się tylko mgliście, że siedzi tu tak spokojnie, osnuty snem jak podwodna skała rozwianymi wodorostami. Po raz pierwszy, od czasu gdy przyjechał z Rosji, czuł odprężenie. Łagodny spokój opanował go jak przypływ morza, które podniosło się w ciągu nocy i zatopiło

suche, wypalone obszary, łącząc je w jedną lustrzaną powierzchnię wód.

Zeszli na dół, do miasta. Gdy zanurzali się w mrok ulic, owiała ich wystygła woń pogorzeliska; zaciemnione czarne okna towarzyszyły im jak procesja katafalków. Elżbieta drżała z chłodu.

– Dawniej domy i ulice tonęły w świetle i to wydawało się zupełnie naturalne. Byliśmy do tego przyzwyczajeni. Dzisiaj dopiero potrafimy to właściwie ocenić...

Graeber spojrzał w górę. Niebo było czyste i bezchmurne, dobra noc dla lotników. I właśnie dlatego wolałby ją mniej jasną.

– Tak jest niemal w całej Europie – powiedział. – Tylko w Szwajcarii palą się jeszcze w nocy światła, aby lotnicy wiedzieli, że to kraj neutralny Opowiadał mi o tym ktoś, kto był ze swą eskadrą we Francji i we Włoszech Szwajcaria wygląda podobno jak wyspa światła – światła i pokoju, gdyż jedno oznacza drugie. Za nią i wokół niej rozciągają się ciemne, jakby spowite nieskończonymi całunami – Niemcy, Francja, Włochy, Bałkany, Austria i wszystkie inne kraje, gdzie toczy się wojna.

– Dano nam światło i ono uczyniło z nas ludzi. My jednak zamordowaliśmy je i znów staliśmy się jaskiniowcami – powiedziała Elżbieta gwałtownie.

„Uczyniło z nas ludzi” – pomyślał Graeber. Uważał, że to przesada. „Elżbieta zdaje się mieć skłonność do przesadzania. A może jednak ma rację. Zwierzęta nie znają światła. Ani światła, ani ognia, ani bomb”.

Stali na Marienstrasse. Graeber spostrzegł, że Elżbieta płacze.

– Nie patrz na mnie – powiedziała. – Nie powinnam była pić. Nie potrafię. Nie jestem smutna, tylko wszystko się nagle we mnie

rozprężyło.

– Niech się rozpręża, nic nie szkodzi. Ze mną jest tak samo. To się z tym łączy.

– Z czym?

– Z tym, o czym mówiliśmy przedtem. Ze zdolnością do odwrócenia się w drugą stronę i zapominania. Jutro wieczorem nie będziemy biegali po ulicach. Pójdziemy do jakiejś knajpy, gdzie jest tyle światła, ile można wytrzasnąć w tym mieście. Rozpytam się.

– Dlaczego chcesz iść ze mną? Możesz znaleźć weselsze towarzystwo.

– Nie potrzebuję weselszego towarzystwa.

– A co?

– Nie mógłbym znieść wesołego towarzystwa. Ani takiego, które by mi okazywało współczucie. Mam tego dosyć przez cały dzień. Fałszywego i prawdziwego. Ty chyba również.

Elżbieta przestała płakać.

– Tak.

– Z nami jest inaczej. My nie potrzebujemy przed sobą udawać. To już wiele. A jutro wieczorem pójdziemy do najjaśniejszego lokalu w mieście i będziemy jedli i pili wino, i przez jeden wieczór zapomnimy o tym całym przeklętym życiu!

Spojrzała na niego.

– To się z tym łączy?

– Tak. To też się z tym łączy. Włóż najładniejszą suknię, jaką masz.

– Dobrze. Przyjdź o ósmej.

Nagle poczuł na twarzy jej włosy, a potem wargi, jakby muśnięcie wiatru. I zanim się zorientował, zniknęła w drzwiach.

Wyjął butelkę z kieszeni. Była pusta. Postawił ją pod bramą sąsiedniego domu. „Znów minął dzień – pomyślał. – Dobrze, że Reuter i Feldmann mnie teraz nie widzą! Cóż by oni powiedzieli!”

XII

A więc dobrze, koledzy, niech i tak będzie, przyznaję się – powiedział Böttcher. – Spałem z szynkarką. Co miałem począć? Przecież musiałem coś zrobić! Po co jest urlop? Nie chcę wracać na front jak cielak.

Siedział przy łóżku Feldmanna, popijając kawę z pokrywki od menażki; nogi zanurzył w wiadrze z zimną wodą. Odkąd rozwalił rower, nabawił się od chodzenia pęcherzy na nogach.

– A ty? – spytał Graebera. – Co dzisiaj robiłeś? Wychodziłeś przed obiadem?

– Nie.

– Nie?

– Chrapał – wyjaśnił Feldmann. – Aż do południa. Żaden hałas nie zdołał go obudzić. Po raz pierwszy pokazał, że ma rozum.

Böttcher wyciągnął nogi z wody i oglądał stopy. Pokryte były dużymi białymi pęcherzami.

– Popatrzcie no! Jestem dużym, silnym chłopem, ale nogi mam wrażliwe jak osesek. Całe życie tak było. Nie twardnieją. Wszystkiego już próbowałem. I z takimi nogami znów muszę wyruszyć.

– Po co? Teraz ci się nie spieszy – powiedział Feldmann. – Masz przecież szynkarkę.

– Ach, bracie, szynkarkę! To nie ma z tym nic wspólnego! A zresztą ona mnie bardzo rozczarowała.

– Za pierwszym razem po przybyciu z frontu zawsze się rozczarujesz. Wiadomo.

– Nie o tym myślałem, kolego. Poszło nawet dobrze; ale to nie było to, o co chodzi.

– Nie możesz naraz za wiele wymagać – powiedział Feldmann. – Kobieta też się musi przyzwyczaić.

– Wciąż mnie jeszcze nie rozumiesz. Ona była całkiem do rzeczy, ale duchowo nie mogliśmy się dopasować. Posłuchaj! A więc leżymy już w łóżku, sprawa jest w toku i naraz w gorączce potyczki zapomniałem się i mówię do niej: Alma. A ona ma na imię Luiza, Alma ma na imię moja żona, rozumiesz...

– Rozumiem.

– To była katastrofa.

– Dobrze ci tak – odezwał się nagle jeden z karciarzy. – To sprawiedliwa kara za zdradę małżeńską, ty świnio! Mam nadzieję, że wyrzuciła cię z trzaskiem!

– Zdrada małżeńska? – Böttcher zerwał się na nogi. – Jaka znów zdrada małżeńska?

– Nie rozumiesz? A może na dodatek jesteś jeszcze idiotą?

Karciarz, niski mężczyzna o jajowatej głowie, nienawistnie wpatrywał się w Böttchera. Ten, w najwyższym stopniu oburzony, rozejrzał się wokół.

– Słyszał już kto takie bzdury? Jak tu można mówić o zdradzie małżeńskiej! Głupie gadanie! Co innego, gdyby tu była moja żona,

a ja bym wtedy spał z inną! Ale jej tu nie ma i w tym właśnie sęk! Więc jaka to zdrada małżeńska, ty bałwanie? Gdyby ona tutaj była, na pewno nie spałbym z szynkarką!

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Feldmann. – Jest zazdrosny, ot i wszystko. A co się potem stało, gdy nazwałeś ją Luizą?

– Luizą? Wcale nie Luizą. To ona ma na imię Luiza. Powiedziałem do niej: Alma.

– Niech będzie Alma, dobrze. A co potem?

– A potem? Nie uwierzysz mi, kolego! Zamiast roześmiać się albo urządzić awanturę, co ona robi? Zaczyna ryczeć. Łzy jak u krokodyla, wyobraź sobie! Grube kobiety nie powinny płakać...

Reuter kaszlnął, zamknął książkę i spojrzał z zainteresowaniem na Böttchera.

– Dlaczego nie?

– Nie do twarzy im ze łzami. Nie pasują do ich tuszy. Grube kobiety powinny się śmiać.

– A twoja Alma śmiałaby się, gdybyś ją nazwał Luizą? – spytał zjadliwie karciarz o jajowatej głowie.

– Moja Alma – oświadczył Böttcher spokojnie i z wyższością – najpierw dałaby mi po łbie pierwszą lepszą butelką od piwa, potem kolejno wszystkim, co nie byłoby umocowane. A w końcu, jakbym znów przyszedł do siebie, tak by mnie wykończyła, że tylko buty by ze mnie zostały. Tak by się stało, ty durniu.

Jajowaty łeb milczał przez chwilę. Zdawało się, że obraz ten go przytłoczył.

– I taką kobietę zdradzasz? – spytał ochryple.

– Ależ, człowieku, przecież ja jej wcale nie zdradzam! Gdyby tu była, nie spojrzałbym nawet na szynkarkę! To nie zdrada, to jedynie samoobrona!

Reuter odwrócił się do Graebera.

– A ty? Co ty osiągnąłeś swoją butelką armaniaku?

– Nic.

– Nic? – zdziwił się Feldmann. – I dlatego śpisz do południa jak zabity?

– Tak. Diabli wiedzą, dlaczego jestem nagle taki zmęczony. Mógłbym zaraz spać dalej. Czuję się, jakbym przez cały tydzień oka nie zmrużył.

– To połóż się i śpij dalej.

– Mądra rada – powiedział Reuter. – Rada mistrza śpiochów, Feldmanna.

– Feldmann jest osłem – oświadczył jajowaty łeb, który właśnie pasował. – Prześpi cały urlop i nawet nie poczuje, że go miał. Z równym powodzeniem mógłby spać na froncie i tylko śnić o urlopie.

– Akurat, bracie. Chodzi właśnie o coś wręcz przeciwnego – odparł Feldmann. – Śpię tutaj i śni mi się, że jestem na froncie.

– A gdzie jesteś naprawdę? – spytał Reuter.

– Co? Tutaj, ma się rozumieć!

– Czy aby na pewno?

Jajowaty łeb zarechotał.

– To właśnie miałem na myśli. Wszystko jedno, gdzie on jest, jeśli i tak bez przerwy śpi. Tylko ten bydlak tego nie rozumie.

– To wcale nie wszystko jedno, gdy się budzę, wy spryciarze – oświadczył Feldmann, nagle rozgniewany, i położył się

z powrotem.

Reuter znów zagadnął Graebera:

– A ty? Co zamierzasz zdziałać dzisiaj dla swej nieśmiertelnej duszy?

– Powiedz mi, dokąd tu można pójść na dobrą kolację?

– Samemu?

– Nie.

– Idź do „Germanii”. To jedyne miejsce. Tylko nie wiem, czy cię wpuszczą w twoich frontowych łachach. To jest hotel dla oficerów. Restauracja także. Chyba że kelner będzie miał szacunek dla twoich świecidełek.

Graeber spojrzał po sobie. Mundur jego był połatany i bardzo wytarty.

– Możesz mi pożyczyć swoją kurtkę?

– Chętnie. Ważysz tylko o trzydzieści funtów mniej ode mnie. Już przy drzwiach cię wyrzucą. Ale mogę się wystarać o galowy mundur podoficera na twoją miarę i o spodnie również. Jeśli na wierzch nałożysz płaszcz, nikt w koszarach tego nie zauważy. Dlaczego wciąż jeszcze jesteś zwykłym strzelcem? Przecież już od dawna powinieneś być podporucznikiem.

– Byłem już raz podoficerem. Ale sprałem pewnego podporucznika i za to zostałem zdegradowany. Miałem szczęście, że nie trafiłem do karnej kompanii. Ale od tego czasu koniec z awansem.

– Aha! Wobec tego masz nawet moralne prawo do munduru podoficera. Jeśli zaprowadzisz swoją damę do „Germanii”, zamów sobie wino marki Johannisberger Kochsberg rocznik 1937, z piwnic G.H. von Mumma. Umarłego stawia na nogi.

– Doskonale. Tego mi właśnie potrzeba.

Spadła mgła. Graeber stał na moście przerzuconym przez rzekę. Woda, czarna, pełna rumowiska, płynęła gnuśnie między belkami i sprzętami domowymi. Z białego oparu wyłaniała się po drugiej stronie ciemna sylwetka szkoły. Przez chwilę wpatrywał się w przeciwległy brzeg, potem ruszył dalej przez most i skręcił w wąską uliczkę wiodącą do szkolnego podwórka. Wielka żelazna brama, wilgotna od mgły, stała szeroko otwarta. Wszedł do środka. Podwórze szkolne świeciło pustkami, było już późno. Minął je i dotarł do brzegu rzeki. Pnie kasztanów czerniały we mgle, jakby były z węgla. Pod nimi stały mokre ławki. Graeber przypomniał sobie, że często tu przesiadywał. Nic z tego, o czym wówczas marzył, nie spełniło się. Prosto ze szkoły poszedł na wojnę.

Jakiś czas wpatrywał się w rzekę. Woda wyrzuciła na brzeg połamane łóżko. Ciężkie, mokre poduszki leżały na nim jak napęczniałe gąbki. Wzdrygnął się z zimna. Zawrócił i przystanął przed budynkiem szkolnym. Nacisnął klamkę, drzwi nie były zamknięte. Otworzył je i z wahaniem wszedł do środka. Stanął w hallu i rozejrzał się. Otoczyła go duszna atmosfera szkoły; dostrzegł mroczne schody i ciemno pomalowane drzwi prowadzące do auli i do sali konferencyjnej. Nie odczuwał niczego, nawet pogardy czy ironii – tylko pustkę. Pomyślał o Wellmannie. „Mówił, że nie należy wracać. Miał rację". Wszystkie doświadczenia zdobyte po ukończeniu szkoły zaprzeczały temu, czego się tutaj uczył. Nic już nie pozostało. To było bankructwo.

Odwrócił się i wyszedł. Po obu stronach drzwi wejściowych zauważył dwie tablice pamiątkowe ku czci poległych. Tę po prawej

stronie znał; poświęcona była tym, którzy zginęli w pierwszej wojnie światowej. Podczas wszystkich uroczystości partyjnych wieńczono ją jedliną i dębowym liściem, a dyrektor Schimmel wygłaszał przed nią płomienne mowy o zemście, „Wielkich Niemczech" i zbliżającym się odwecie. Schimmel miał duży, miękki brzuch i zawsze straszliwie się pocił. Tablicy po lewej stronie Graeber nie znał. Była nowa, przeznaczona dla poległych w obecnej wojnie. Czytał nazwiska. Choć było ich wiele, nie zapełniały całej tablicy, a obok zostało jeszcze miejsce na drugą.

Na podwórzu spotkał pedela.

– Pan tu czegoś szuka? – spytał staruszek.

– Nie, niczego nie szukam.

Graeber poszedł dalej. Nagle coś sobie przypomniał.

– Nie wie pan, gdzie mieszka Pohlmann? Ten, który tu wykładał.

– Pan Pohlmann już u nas nie pracuje.

– O tym wiem. Ale gdzie mieszka?

Pedel obejrzał się.

– Nikt nie podsłuchuje – powiedział Graeber. – Zna pan jego adres?

– Dawniej mieszkał na Jahnplatz pod numerem szóstym, ale może się później przeprowadził, tego nie wiem. Był pan naszym uczniem?

– Tak. A Schimmel jest tu jeszcze dyrektorem?

– Ma się rozumieć – odparł pedel zdziwiony. – Oczywiście. A czemu miałby nie być?

– To prawda – powiedział Graeber. – Czemu nie?

Poszedł dalej. Po kwadransie zauważył, że zabłądził. Mgła zgęstniała, a on zagubił się wśród ruin. Wszystkie wyglądały podobnie, ulic nie można było odróżnić. Dziwne uczucie – jakby zabłądził w samym sobie.

Trwało jakiś czas, nim odnalazł drogę do Hakenstrasse. Nagle zerwał się wiatr i mgła zaczęła falować i kłębić się jak milczące, upiorne morze.

Doszedł do domu swoich rodziców. Nie znalazł tam wiadomości i właśnie chciał odejść, gdy usłyszał jakieś dziwnie brzmiące tony, podobne do dźwięku harfy. Obejrzał się. Ulica była pusta jak okiem sięgnąć. Dźwięk zabrzmiał znowu, wyższy teraz, jękliwy i rozkołysany, jakby w morzu mgły ostrzegawczo dzwoniła niewidoczna boja. Powtarzał się, głębszy, potem wyższy, nieregularnie, a jednak niemal w równomiernych odstępach, i wydawało się, że nadpływa z powietrza, jakby gdzieś na dachach ktoś potrącał struny harfy.

Graeber nasłuchiwał. Próbował iść w stronę dźwięków, ale nie mógł ustalić kierunku. Zdawały się dochodzić zewsząd, silne i wołające to pojedynczo, to niby *arpeggio* – nierozwiązany akord rozpaczliwego żalu.

„To komendant obrony przeciwlotniczej – pomyślał. – Pomyleniec. Któż by inny?" Podszedł do domu, z którego stał tylko fronton, i szarpnął drzwi. W głębi jakaś postać zerwała się z fotela. Graeber zauważył, że był to ten sam zielony fotel, który stał przedtem na ruinach domu jego rodziców.

– Co się stało? – ostro zapytał zaskoczony komendant.

Graeber spostrzegł, że tamten nie ma nic w ręku. Dźwięki rozbrzmiewały nadal.

– Co to jest? Skąd to pochodzi?

Stary zbliżył do Graebera wilgotną twarz.

– Ach, nasz żołnierz! Obrońca ojczyzny! Co to jest? Nie słyszy pan? *Requiem* dla zasypanych! Wołanie o ratunek! Wykopcie ich! Wykopcie ich! Skończcie z tym mordem!

– Bzdura! – Graeber patrzył w górę poprzez wznoszącą się mgłę. Coś jakby ciemny kabel kołysało się na wietrze, a za każdym razem, gdy opadało, słychać było zagadkowy dźwięk gongu. Nagle przypomniał sobie fortepian z zerwaną pokrywą wysoko zawieszony w ruinach. Kabel uderzał o odkryte struny. – To fortepian! – powiedział.

– Fortepian! Fortepian! – przedrzeźniał go stary. – Dużo się pan na tym zna, nieszczęsny morderco! To dzwon za umarłych, wiatr go porusza! Niebo woła o zmiłowanie, ty strzelający automacie, o zmiłowanie, którego już nie ma na ziemi! Cóż pan wie o śmierci, niszczycielu?! I skąd pan miałby o niej wiedzieć? Ci, którzy ją powodują, nigdy o niej nic nie wiedzą! – Pochylił się. – Umarli są wszędzie – szepnął. – Leżą pod gruzami, mają zmiażdżone twarze i rozkrzyżowane ramiona, leżą tu, ale zmartwychwstaną i przepędzą was...

Graeber cofnął się na ulicę.

– Przepędzą – szeptał za nim komendant. – Będą was oskarżać i sądzić za każdego z osobna...

Graeber już go nie widział. Tylko zza kłębiących się strzępów mgły słyszał jeszcze ochrypły głos:

– „Bo cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili” – głosi Pan...

– Idź do diabła! – mruknął Graeber. – Idź do diabła i zakop się sam pod ruinami, na których straszysz jak ptak umarłych! – Poszedł dalej. „Umarli – pomyślał z goryczą. – Umarli, umarli! Dosyć już mam umarłych! Po co tu wróciłem? Czy nie po to, aby przekonać się, że gdzieś w tej pustyni istnieje jeszcze życie?”

Zadzwonił. Drzwi otworzyły się natychmiast, jak gdyby ktoś za nimi czatował.

– Ach, to pan... – powiedziała pani Lieser, zaskoczona.

– Tak, to ja – odparł Graeber. Spodziewał się ujrzeć Elżbietę.

W tej samej chwili wyszła ze swego pokoju. Pani Lieser tym razem usunęła się bez słowa.

– Wejdź, Ernst – zawołała Elżbieta. – Zaraz będę gotowa.

– Czy to twoja najjaśniejsza suknia? – spytał, gdy znaleźli się w pokoju. Elżbieta miała na sobie czarny pulower i ciemną spódnicę. – Zapomniałaś, że dzisiaj wychodzimy?

– Mówiłeś to na serio?

– Oczywiście! Popatrz na mnie! Oto paradny mundur podoficera! Kolega mi go dostarczył. Zostałem oszustem, aby pójść z tobą do hotelu „Germania”. Chociaż nie jestem pewien, czy nie wpuszczają tam dopiero od podporucznika wzwyż. Wszystko prawdopodobnie będzie zależało od ciebie. Nie masz innej sukni?

– Tak, ale...

Graeber spostrzegł na stole butelkę wódki od Bindinga.

– Wiem, o czym myślisz – powiedział. – Ale teraz zapomnij. Zapomnij także o pani Lieser i o sąsiadach. Nikomu tym nie zaszkodzisz; musisz kiedyś wyjść, rozerwać się, inaczej zwariujesz. Chodź, napij się wódki.

Napełnił kieliszek i podał jej. Wypiła.

– Dobrze – powiedziała. – To nie potrwa długo. Byłam już mniej więcej przygotowana, tylko nie miałam pewności, czy ty nie zapomniałeś. Musisz wyjść z pokoju, gdy będę się przebierała, bo pani Lieser gotowa mnie zadenuncjować jako prostytutkę.

– W tym wypadku nic by nie wskórała. Z żołnierzem – to czyn patriotyczny. Ale poczekam na ulicy, nie w przedpokoju.

Wyszedł. Mgła zrzedła, ale między ścianami domów kłębiła się jeszcze jak para w pralni. Nagle Graeber usłyszał nad sobą brzęk otwieranego okna. Ujęta w ramy światła wychyliła się Elżbieta z obnażonymi ramionami, trzymając dwie suknie: jedną złocistobrązową, drugą ciemną, o nieokreślonej barwie. Powiewały jak flagi na wietrze.

– Którą? – spytała.

Wskazał na złocistą. Skinęła głową i zamknęła okno. Obejrzał się. Nikt nie zauważył tego wykroczenia przeciwko przepisom obrony przeciwlotniczej.

Chodził tam i z powrotem, ale noc wydała się nagle bardziej rozległa i pełna. Zmęczenie dnia, przedziwny nastrój wieczoru i decyzja odwrócenia się od przeszłości zamieniły się w łagodne podniecenie i niespokojne oczekiwanie.

Elżbieta wyszła z domu szybkim krokiem; smukła i gibka, wydawała się wyższa w długiej złocistej sukni, która lśniła w słabym świetle. Twarz jej także się zmieniła, była szczupła, a głowa jakby mniejsza; dopiero po chwili Graeber uświadomił sobie, że sprawia to suknia odsłaniająca szyję.

– Czy pani Lieser widziała cię?

– Tak. Zatkało ją. Uważa, że powinnam wiecznie odprawiać pokutę, odziana w worek i z głową posypaną popiołem. Przez

chwilę miałam wyrzuty sumienia.

– Wyrzuty sumienia mają zawsze nie ci, którzy je mieć powinni.

– To nie tylko wyrzuty sumienia. To był także strach. Pomyśl tylko...

– Nie – odparł Graeber. – O niczym nie chcę myśleć. I przez dzisiejszy wieczór w ogóle o niczym nie będziemy myśleć. Dosyć już myśleliśmy i dosyć się martwiliśmy. Spróbujmy, czy choć raz potrafimy się trochę cieszyć...

Hotel „Germania" stał między dwoma zwalonymi domami jak bogata kobieta między ubogimi krewnymi. Gruz po obu stronach hotelu zgarnięto porządnie na kupę i teraz obie ruiny już nie straszyły widmem śmierci; stały się przyzwoite i niemal czcigodne.

Portier zlustrował mundur Graebera taksującym spojrzeniem.

– Gdzie tu jest winiarnia? – spytał Graeber ostro, nim tamten zdołał cokolwiek powiedzieć.

– Z hallu na prawo, proszę pana. Proszę się spytać o starszego kelnera Fritza.

Przeszli przez hall. Minęli ich dwaj kapitanowie i major. Graeber zasalutował.

– Podobno roi się tu od generałów – szepnął. – Na pierwszym piętrze mieszczą się biura kilku komisji wojskowych.

Elżbieta zatrzymała się.

– Czy zbytnio nie ryzykujesz? A jeśli ktoś zwróci uwagę na twój mundur?

– Dlaczego miałby zwracać uwagę? Nietrudno zachowywać się jak podoficer. Sam już nim kiedyś byłem.

Dźwięcząc ostrogami, nadszedł jakiś podpułkownik w towarzystwie niskiej, szczupłej kobiety. Patrzył ponad głową Graebera.

– Co się stanie, jeśli zauważą? – spytała Elżbieta.

– Nic groźnego.

– Mogą cię rozstrzelać?

Graeber zaśmiał się.

– Nie sądzę. Zbyt im jesteśmy potrzebni na froncie.

– Ale co ci mogą zrobić?

– Niewiele. Najwyżej wsadzą mnie na kilka tygodni do paki. A to oznaczałoby kilka tygodni spokoju. Prawie jak urlop. Człowiek, który za czternaście dni musi wracać na front, i tak nie ma nic do stracenia.

Starszy kelner Fritz wyłonił się z korytarza na prawo. Graeber wsunął mu banknot do ręki. Fritz schował go niepostrzeżenie i nie robił już żadnych trudności.

– Do winiarni na kolację, bardzo proszę – oświadczył i uroczyście ruszył przed nimi, wskazując drogę.

Ulokował ich przy stoliku ukrytym za kolumną i odszedł z godnością. Graeber rozejrzał się.

– Właśnie to, czego chciałem; muszę się tylko trochę oswoić. A ty? – Spojrzał na Elżbietę. – Ty z pewnością nie – powiedział zaskoczony. – Wyglądasz, jakbyś codziennie tu bywała.

Zjawił się mały, stary kelner podobny do marabuta. Podał kartę. Graeber włożył do środka banknot i zwrócił ją marabutowi.

– Chcielibyśmy zjeść coś, czego nie ma w karcie. Co można dostać?

Marabut patrzył na niego bez wyrazu.

– Nie mamy nic innego poza tym, co jest w karcie.

– Dobrze. Wobec tego proszę nam na razie przynieść butelkę wina Johannisberger Kochsberg rocznik 1937, z piwnicy G.H. von Mumma. Ale nie za zimną.

Oczy marabuta nabrały życia.

– Służę natychmiast, proszę pana – powiedział z nagłym szacunkiem i nachylił się. – Przypadkowo mamy trochę ostendzkich fląder. Zupełnie świeżych. Do tego może belgijską sałatę i kartofelki z pietruszką?

– Doskonale. A co pan ma na zakąskę? Kawior oczywiście nie nadaje się do wina.

Marabut ożywił się jeszcze bardziej.

– Naturalnie, że nie. Ale mamy trochę sztrasburskiego pasztetu z gęsich wątróbek z truflami...

Graeber skinął głową.

– A potem poleciłbym kawałek holenderskiego sera. Podkreśla bukiet wina...

– Wyśmienicie.

Marabut odszedł podniecony. Przedtem uważał Graebera za żołnierza, który się tu przypadkowo zabłąkał, teraz widział w nim znawcę, który tylko przypadkowo jest żołnierzem.

Elżbieta przysłuchiwała się w zdumieniu.

– Ernst, skąd ty to wszystko wiesz?

– Od mojego kolegi Reutera. Jeszcze dziś rano nie miałem o tym zielonego pojęcia. On jest tak wybornym znawcą, że z tego powodu nabawił się artretyzmu. To ratuje go teraz przed pójściem na front. Tak więc, jak zawsze, grzech zostaje nagrodzony.

– Ale te sztuczki z napiwkiem i kartą...

– To wszystko nauki Reutera. On się tu doskonale orientuje. Moja pewność siebie i maniery światowca – to także jego szkoła.

Elżbieta zaśmiała się. Był to ciepły, swobodny i czuły śmiech.

– Na Boga, nie takim zachowałam cię w pamięci!

– Ja ciebie także nie znałem takiej, jaka jesteś teraz.

Popatrzył na nią. Jakaż była inna, śmiech zupełnie ją odmienił; jak gdyby nagle rozwarły się wszystkie okna w ciemnym domu.

– To piękna suknia – powiedział nieco zmieszany.

– Mam ją po matce. Wczoraj wieczorem przerobiłam ją jeszcze i dopasowałam. – Zaśmiała się. – Nie byłam tak zupełnie nieprzygotowana, jak się wydawało, gdy przyszedłeś.

– Umiesz szyć? Nie wyglądasz na to!

– Bo też dawniej nie umiałam, ale nauczyłam się. Obecnie przez osiem godzin dziennie szyję płaszcze wojskowe.

– Doprawdy? Z nakazu pracy?

– Tak. Zresztą sama tego chciałam. Może w ten sposób uda mi się pomóc ojcu.

Graeber potrząsnął głową.

– Ta praca nie pasuje do ciebie. Tak samo twoje imię. Skąd ono do ciebie?

– Matka je wybrała. Pochodziła z południowej Austrii, podobna była do Włoszki i miała nadzieję, że będę blondynką o niebieskich oczach, i dlatego postanowiła nazwać mnie Elżbietą. Sprawiłam jej zawód, ale imię zostało.

Nadszedł marabut z winem. Nalewał ostrożnie, trzymając butelkę jak klejnot.

– Podałem państwu bardzo cienkie kryształowe kieliszki – powiedział. – Lepiej w nich widać kolor wina. A może państwo

wolą czarki?

– Nie. Wolimy cienkie przezroczyste kieliszki.

Marabut skinął głową i odkrył srebrny półmisek. Różowe plastry pasztetu z gęsich wątróbek z czarnymi truflami otoczone były wieńcem drżącej galarety.

– Prosto z Alzacji – oświadczył z dumą.

– Co za luksus! – zaśmiała się Elżbieta.

– Tak, luksus! – Graeber uniósł kieliszek. – Luksus – powtórzył. – Tak jest! Pod to właśnie będziemy pili, Elżbieto. Przez dwa lata jadłem z blaszanej menażki i nigdy nie byłem pewien, czy zdołam dokończyć posiłek; tak, to nie jest zwykły luksus, lecz znacznie więcej. To jest pokój, bezpieczeństwo, radość i świętowanie – wszystko, czego nie ma na froncie.

Pił, smakował wino, patrzył na Elżbietę – ona także stanowiła część tego wszystkiego. Poczuł nagle, że to jest owo nieoczekiwane, co przynosi lekkość i rozmach, co wyrasta ponad konieczność, niepotrzebne, na pozór zbędne, ponieważ należy do innej, jaśniejszej strony życia, tam gdzie panują zbytek, zabawa i marzenia. Po latach obcowania ze śmiercią wino było nie tylko winem, srebro nie tylko srebrem, muzyka przenikająca do sali – nie tylko muzyką, a Elżbieta nie tylko Elżbietą. Wszystko to były symbole innego życia, życia bez zabijania i niszczenia, życia dla samego życia, które stało się już niemal mitem i beznadziejnym marzeniem.

– Czasami człowiek zupełnie zapomina, że jeszcze żyje – powiedział.

Elżbieta zaśmiała się znowu.

– Właściwie stale o tym pamiętam. Ale co mi z tego?

Podszedł marabut.

– Jak smakuje wino, proszę pana?

– Musi być bardzo dobre. Inaczej nie zastanawiałbym się nagle nad sprawami, o których od dawna już nie myślałem.

– To słońce, proszę pana. Słońce, w którym grona dojrzewały na jesieni. Wino je teraz promieniuje z powrotem. Takie wino nazywamy w Nadrenii monstrancją.

– Monstrancją?

– Tak. Jest jak złoto i promieniuje na wszystkie strony.

– Rzeczywiście.

– Czuje się je już po pierwszym kieliszku, nieprawdaż? Wytłoczone słońce!

– Nawet po pierwszym łyku. Wcale nie idzie do żołądka. Od razu uderza do głowy i zmienia świat.

– Pan zna się na winie, proszę pana! – Marabut pochylił się poufale. – Tam, przy stoliku na prawo, mają to samo wino. Ci ludzie leją je w siebie, jakby to była woda. Powinni pić Liebfrauenmilch[3]!

Odszedł, z niesmakiem spoglądając na tamten stół.

– Dzisiejszy dzień wydaje się przychylny dla oszustów, Elżbieto – powiedział Graeber. – Jak ci smakuje to wino?

Odchylona do tyłu, przeciągnęła się.

– Czuję się jak ktoś, kto umknął z więzienia. I jak ktoś, kto za oszustwo wkrótce znów zostanie zamknięty.

Zaśmiał się.

– Tacy już jesteśmy! Pełni lęku przed naszymi uczuciami. A jeśli zdajemy sobie z nich sprawę, wydaje się nam, że jesteśmy oszustami.

Marabut przyniósł flądry i sałatę. Graeber przyglądał mu się, jak usługuje; całkowicie odprężony, czuł się jak ktoś, kto przypadkowo wstąpił na cienką warstwę lodu i ku swemu zdumieniu stwierdził, że jest dość mocna. Wiedział, że lód jest cienki i że wkrótce się załamie, ale na razie utrzymywał go, i to wystarczało.

– Jedno jest dobre – powiedział. – Kiedy człowiek tak długo leżał w gnoju, potem wszystko wydaje się nowe i podniecające, jakby przeżywał to po raz pierwszy. Wszystko – nawet kieliszek i biały obrus.

Marabut podniósł butelkę. Traktował ich teraz po macierzyńsku.

– Na ogół do ryby podaje się mozelskie wino – oświadczył. – Ale flądra to co innego. Smakuje niemal jak orzech. Do tego prawdziwym objawieniem jest wino reńskie, nieprawdaż?

– Bez wątpienia.

Kelner skinął głową i oddalił się.

– Ernst – spytała Elżbieta – czy będziemy w stanie zapłacić za to wszystko? Przecież to na pewno bardzo drogie.

– Możemy zapłacić. Przywiozłem żołd za dwa lata wojny. Nie na długo musi mi starczyć. – Graeber zaśmiał się. – Tylko na bardzo krótkie życie. Dwa tygodnie. A na to wystarczy na pewno.

Stali przed bramą. Wiatr uspokoił się, mgła znów zgęstniała.

– Kiedy musisz wracać? – spytała Elżbieta. – Za dwa tygodnie?

– Mniej więcej.

– To prędko.

– Prędko, a zarazem jeszcze bardzo długo. Czas zmienia się co chwila. W okresie wojny ma inne wymiary niż w okresie pokoju.

Ty zapewne też o tym wiesz; przecież i tutaj jest front, tak jak tam.

– To nie to samo.

– A jednak. Dzisiejszy wieczór był moim pierwszym prawdziwym dniem urlopu. Niech Bóg błogosławi marabuta i Reutera, i twoją złocistą suknię, i wino.

– I nas – dodała Elżbieta. – Przydałoby się.

Stała przed nim. Mgła osiadła w jej włosach, a słabe światło migotało w nich. Iskrzyło się na sukni, a twarz jej była wilgotna jak owoc. Nagle ciężko mu było rozstać się z nią, zerwać pajęczynę tkliwości, odprężenia, ciszy i podniecenia, która tak niespodzianie rozpięła się nad wieczorem, i wracać do smrodu i dowcipów koszarowych, do beznadziejności czekania i rozmyślań nad przyszłością.

Ciszę przerwał ostry głos:

– Nie macie oczu, podoficerze?

Stał przed nim mały, tłusty major z siwymi, nastroszonymi wąsikami. Nadszedł chyba na gumowych podeszwach. Graeber spostrzegł od razu, że to wydobyty z lamusa, wysłużony wojak rezerwy, który popisuje się teraz swoim mundurem. Najchętniej podniósłby starego i solidnie przetrzepał, ale nie mógł ryzykować. Postąpił jak doświadczony żołnierz: stał na baczność, nie odzywając się ani słowem.

Stary oglądał go w świetle latarki kieszonkowej od góry do dołu. Graeber, nie wiadomo dlaczego, odczuł to jako obelgę.

– Paradny mundur! – szczekał stary. – Możecie sobie na to pozwolić, bo dekujecie się pewnie na jakiejś posadzie, co? Wojak

ojczyźniany w paradnym mundurze! Tego jeszcze brakowało! Dlaczego nie jesteście na froncie?

Graeber nic nie odpowiedział. Zapomniał przenieść odznaczenia bojowe ze swego starego munduru na pożyczony.

– Umiecie tylko ściskać dziewczęta, co? – szczekał major.

Elżbieta poruszyła się nagle. Światło latarki padło na jej twarz. Spojrzała na starego, usunęła się z zasięgu promienia i zrobiła krok w jego stronę. Major chrząknął, obrzucił ją krzywym spojrzeniem i odszedł.

– Miałam go już dosyć – powiedziała.

Graeber wzruszył ramionami.

– Nie ma sposobu na te stary capy. Wałęsają się po ulicach i trzeba im salutować. To jest celem ich życia. Po to natura pracowała kilka milionów lat, aby wreszcie stworzyć coś takiego.

Elżbieta zaśmiała się.

– Dlaczego nie jesteś na froncie?

Graeber wyszczerzył zęby.

– Oto skutki oszustwa z paradnym mundurem. Jutro włożę cywilne ubranie. Wiem, kto mi je pożyczy. Mam dosyć salutowania. Wtedy będziemy mogli spokojnie siedzieć w „Germanii".

– Chcesz tam znowu pójść?

– Tak, Elżbieto. To są rzeczy, które wspomina się później na froncie. Nie dzień powszedni. Przyjdę po ciebie jutro o ósmej. A teraz już sobie pójdę. Bo ten stary piernik gotów tu jeszcze wrócić i zażądać ode mnie książeczki wojskowej. Dobranoc.

Przyciągnął ją do siebie, a ona nie opierała się. I nagle, gdy trzymał ją w ramionach, odtajało wszystko; pożądał, pragnął tylko

jej i niczego więcej, trzymał ją mocno i całował, nie chciał jej wypuścić, a jednak wypuścił.

Raz jeszcze poszedł na Hakenstrasse. Stanął przed domem rodziców. Księżyc przedarł zasłonę mgły. Graeber nachylił się, gwałtownym ruchem wyrwał kartkę spomiędzy kamieni. W rogu coś było dopisane grubym ołówkiem. Sięgnął po latarkę kieszonkową. „Zgłosić się na poczcie głównej, okienko piętnaste” – odczytał.

Mimo woli spojrzał na zegarek. Było już za późno; w nocy poczta jest nieczynna i przed ósmą niczego się nie dowie, ale jutro rano nareszcie będzie coś wiedział. Złożył kartkę i schował do kieszeni, aby okazać ją na poczcie. Idąc do koszar przez śmiertelnie ciche miasto, czuł się tak lekki, jakby nic nie ważył i szedł w próżni, z której nie miał odwagi się wyrwać.

---

[3] Liebfrauenmilch – gatunek pospolitego wina reńskiego.

XIII

Część budynku pocztowego stała jeszcze. Reszta była zwalona i spalona. Wszędzie tłoczyli się ludzie. Graeber musiał jakiś czas czekać. Wreszcie dotarł do okienka numer piętnaście i okazał kartkę z zawiadomieniem.

Urzędnik zwrócił mu ją.

– Ma pan dokumenty?

Graeber podał przez kratę książeczkę wojskową i kartę urlopową. Urzędnik sprawdził je dokładnie.

– O co chodzi? – spytał Graeber. – Jakaś wiadomość?

Urzędnik nie odpowiedział. Wstał i zniknął w głębi.

Graeber czekał, wpatrując się w swoje papiery, które pozostały rozłożone na stole.

Urzędnik wrócił, trzymał w ręku małą, pogniecioną paczuszkę. Raz jeszcze porównał adres z kartą urlopową Graebera. Potem wysunął paczkę przez okienko.

– Proszę tu podpisać.

Graeber poznał na opakowaniu pismo matki. Posłała mu paczkę na front i teraz stamtąd mu ją odesłano. Spojrzał na nadawcę.

Jako adres podano jeszcze Hakenstrasse. Wziął paczkę i podpisał pokwitowanie.

– To już wszystko? – spytał.

Urzędnik podniósł wzrok.

– Czy pan sądzi, że coś zatrzymaliśmy?

– Ależ nie! Myślałem tylko, że otrzymaliście już nowy adres moich rodziców.

– To nie nasza sprawa. Proszę się zapytać na pierwszym piętrze, w dziale doręczeń.

Graeber poszedł na górę. Pierwsze piętro tylko w połowie było pod dachem. Nad pozostałą częścią jaśniało niebo z chmurami i słońcem.

– Nie mamy nowego adresu – powiedziała siedząca za okienkiem urzędniczka. – Inaczej nie posyłalibyśmy tej paczki na Hakenstrasse. Ale może pan spytać listonosza z pańskiego rejonu.

– Gdzie go znajdę?

Kobieta spojrzała na zegarek.

– Teraz jest na obchodzie. Niech pan przyjdzie po południu, około czwartej. Wtedy rozdziela się pocztę.

– Czy to możliwe, żeby znał adres, jeśli pani go nie zna?

– Oczywiście, że nie. Dowiaduje się od nas. Ale są ludzie, którzy mimo wszystko chcą z nim pomówić. To ich uspokaja. Człowiek już taki jest, no nie?

– Tak, prawdopodobnie.

Graeber wziął paczkę i zszedł na dół. Spojrzał na datę. Paczka wysłana była przed trzema tygodniami. Wiele czasu potrzebowała, aby trafić na front, ale stamtąd wróciła szybko. Stanął gdzieś w kącie i odwinął brązowy papier. W środku znalazł suchy placek,

parę wełnianych skarpet, paczkę papierosów i list od matki. Nic w nim nie wspominała o zmianie mieszkania czy nalotach. Włożył list do kieszeni; odczekał, aż się znów uspokoi, potem wyszedł na ulicę. Pocieszał się, że wkrótce nadejdzie także list z nowym adresem, ale mimo to był bardziej przygnębiony, niż przypuszczał.

Postanowił iść do Bindinga. Może on będzie już coś wiedział.

– Wejdź, Ernst! – zawołał Alfons. – Właśnie zabraliśmy się do nowej butelki. Możesz nam w tym pomóc.

Binding nie był sam. Na kanapie pod Rubensem rozwalił się esesowiec w pozycji na wpół leżącej, jakby upadł i chwilowo nie mógł powstać. Był to chudy mężczyzna o wodnistych oczach, małych ustach, bladej, limfatycznej twarzy i jasnych włosach; zdawał się nie mieć rzęs i brwi.

– To jest Heini – powiedział Alfons z szacunkiem. – Heini, zaklinacz węży! A to mój przyjaciel Ernst, na urlopie z Rosji!

– Rosja! – mruknął Heini, mocno podpity. – Też tam byłem. Piękne czasy! Lepsze niż tu!

Graeber spojrzał pytająco na Bindinga.

– Heini wytrąbił już całą butelkę – wyjaśnił Alfons. – Ma zmartwienie. Dom jego rodziców został zbombardowany. Rodzinie nic się nie stało, wszyscy byli w schronie. Ale mieszkanie diabli wzięli.

– Cztery pokoje – warknął Heini. – Same nowe meble. Fortepian też. Pierwszorzędny fortepian! Piękny ton! Co za świnie!

– Już Heini pomści fortepian – powiedział Alfons. – No, Ernst, czego się napijesz? Heini pije koniak. Mam także wódkę, kminkówkę i co tylko zechcesz.

– Nic nie chcę. Wpadłem tylko na chwilkę, zapytać, czy się czegoś nie dowiedziałeś.

– Jeszcze nic nowego, Ernst. Tu w okolicy nie ma twoich rodziców. W każdym razie nie są nigdzie zameldowani. W pobliskich wsiach także nie. Albo wyjechali gdzieś i jeszcze się nie zameldowali, albo też zostali ewakuowani z jakimś transportem. Wiesz przecież, jak to dziś wygląda. Te świnie bombardują całe Niemcy; potrwa jeszcze jakiś czas, zanim komunikacja doprowadzona będzie do porządku. Chodź, napij się czegoś. Jeden kieliszek możesz zaryzykować.

– Dobrze. Daj mi kieliszek wódki.

– Wódka – mruczał Heini. – Żłopaliśmy ją strumieniami! A potem wlewaliśmy tym bydlakom do gardła i podpalali. Robiliśmy z nich miotacze ognia. Ależ oni skakali! Konaliśmy ze śmiechu! Piękne były czasy w Rosji...

– Co? – spytał Graeber.

Heini nie odpowiedział. Szklanym wzrokiem wpatrywał się przed siebie.

– Miotacze ognia – mamrotał. – Wspaniały pomysł.

– O czym on mówi? – zwrócił się Graeber do Bindinga.

Ten wzruszył ramionami.

– Heini wiele przeżył. Był w SD.

– W SD w Rosji?

– Tak. Napij się jeszcze, Ernst.

Graeber wziął butelkę ze stolika z przyborami do palenia i patrzył, jak klarowny płyn chełbocze się w niej.

– Ile procent ma ta wódka?

Alfons zaśmiał się.

– Na pewno z sześćdziesiąt. Jest dosyć mocna. Rosjanie lubią mocną wódkę.

„Lubią mocną wódkę – pomyślał Graeber. – A mocna wódka płonie, gdy się ją wlewa komuś do gardła i podpala". Spojrzał na Heiniego. Wiedział dobrze, co wyprawia Służba Bezpieczeństwa SS; to, co Heini opowiadał po pijanemu, nie było przechwałką, pod pretekstem zdobywania przestrzeni życiowej dla narodu niemieckiego SD likwidowało za frontem tysiące ludzi. Likwidowało wszystkich, którzy byli „niepożądani", przeważnie rozstrzeliwując; aby jednak masowe morderstwa nie stały się zbyt monotonne, SS wynajdywało nieraz pełne „humoru" odmiany. Graeber znał niektóre, o innych opowiadał mu Steinbrenner. Żywe miotacze ognia – to było coś nowego.

– Czego się gapisz na tę butelkę? – spytał Alfons. – Nie ugryzie cię. Nalej sobie.

Graeber odstawił butelkę. Chciał wstać i wyjść, ale został na miejscu. Zmuszał się, by pozostać. Zbyt często uchylał się od patrzenia prawdzie w oczy. On i setki tysięcy innych; wierzyli przy tym, że w ten sposób zdołają uśpić własne sumienie. Teraz nie chciał już tego robić. Nie chciał się dłużej uchylać. Nie po to przyjechał na urlop.

– A może jeszcze jednego? – spytał Alfons.

Graeber spojrzał na Heiniego, który zapadł w lekką drzemkę.

– On wciąż jest jeszcze w SD?

– Już nie. Teraz jest tutaj.

– Gdzie?

– Jest oberscharführerem w obozie koncentracyjnym.

– W obozie koncentracyjnym?

– Tak. Łyknij sobie, Ernst! Kto wie, kiedy znów sobie popijemy! I zostań jeszcze trochę. Zawsze od razu uciekasz!

– Nie – odparł Graeber, nadal wpatrując się w Heiniego. – Tym razem nie ucieknę.

– Nareszcie powiedziałeś coś rozsądnego. Czego się napijesz? Wódki?

– Nie. Daj mi kminkówki albo koniaku. Tylko nie wódki.

Heini poruszył się.

– Oczywiście nie wódki – bełkotał. – Szkoda jej do tego. Wódkę żłopaliśmy sami. To była benzyna. Benzyna lepiej się pali...

Heini rzygał w łazience. Alfons stał z Graeberem przed drzwiami. Niebo usiane było białą wełną lśniących chmurek. W brzozach gwizdał kos, mała czarna kulka z żółtym dziobkiem i głosikiem pełnym wiosny.

– Szalona pała z tego Heiniego, co? – odezwał się Alfons. Powiedział to jak chłopiec mówiący o krwiożerczym wodzu Indian – z mieszaniną zgrozy i podziwu.

– Tak, szalona pała w stosunku do bezbronnych – odparł Graeber.

– On ma sztywne ramię, Ernst. Dlatego nie może być żołnierzem. To pamiątka po bójce z komunistami w knajpie w 1932 roku. Stąd właśnie ta jego wściekłość. Chłopie, ależ to była historia o tym stosie, co? – Alfons ssał wygasłe cygaro, które zapalił, gdy Heini zaczął opowiadać o swoich wyczynach w Rosji. W podnieceniu nie zauważył nawet, kiedy mu zgasło. – Najpierw warstwa drewna, a potem warstwa ludzi, i każda grupa musiała sama przynieść dla siebie drewno i położyć się na nim, a potem wykańczano ich strzałami w tył głowy; nielicho, co?

– Tak, nielicho.

– A kobiety! Wyobrażasz sobie, co oni z nimi wyprawiali?

– Tak, nawet dość dokładnie. Chciałbyś być przy tym?

– Wtedy z kobietami?

– Nie. Przy tych płonących stosach i choinkach z powieszonymi, i przy masowych rozstrzeliwaniach z karabinu maszynowego?

Binding zastanawiał się przez chwilę. Potem potrząsnął głową.

– Chyba nie. Najwyżej raz, aby to zobaczyć. Ale poza tym nie należę do ludzi tego pokroju. Jestem zbyt romantyczny.

W drzwiach pojawił się Heini. Był bardzo blady.

– Służba! – warknął. – Już późno! Muszę iść, najwyższy czas! Dam dzisiaj szkołę tym świniom!

Zataczał się po ogrodowej ścieżce. Przed furtką poprawił czapkę, wyprostował się i poszedł dalej sztywno jak bocian.

– Nie chciałbym być w skórze tego więźnia, który wpadnie teraz Heiniemu w łapy – odezwał się Binding.

Graeber podniósł wzrok. Pomyślał o tym samym.

– Czy uważasz, że to słuszne, Alfons? – spytał.

Binding wzruszył ramionami.

– To zdrajcy narodu. Nie bez powodu się tam znaleźli.

– Czy Burmeistra także zaliczasz do zdrajców narodu?

Alfons zaśmiał się.

– To była prywatna sprawa. Jemu się zresztą nic wielkiego nie stało.

– A gdyby mu się coś stało?

– Miałby po prostu pecha. Cała masa ludzi ma dzisiaj pecha. Na przykład w czasie bombardowania. Pięć tysięcy zginęło tylko w naszym mieście. Lepsi ludzie niż ci z obozów koncentracyjnych.

Dlaczego ma mnie obchodzić, co się tam dzieje? Nie jestem za to odpowiedzialny. I ty też nie jesteś.

Kilka wróbli sfrunęło, ćwierkając, na skraj basenu pośrodku trawnika. Jeden zanurzył się w wodzie, trzepocąc skrzydełkami, i wnet pluskały się wszystkie. Alfons obserwował je z uwagą. Wydawało się, że już zapomniał o Heinim.

Graeber spojrzał na jego zadowoloną, niefrasobliwą twarz i nagle zrozumiał, że sprawiedliwość i współczucie wiecznie skazane są na beznadziejną walkę i stale od nowa rozbijają się o samolubstwo, obojętność i strach – zrozumiał, że on także nie jest wyjątkiem, że i on jest w to wplątany w niewiadomy, daleki i groźny sposób. I choć tak bardzo się przed tym bronił, czuł się w jakiś dziwny sposób związany z Bindingiem.

– To nie takie proste z tą odpowiedzialnością – powiedział posępnie.

– Co ty wygadujesz! Odpowiadać można tylko za to, co się samemu zrobiło! I tylko wtedy, jeśli się tego nie robiło na rozkaz.

– Kiedy rozstrzeliwujemy zakładników, mówimy coś wręcz przeciwnego – że odpowiedzialni są za to, co zrobili inni.

– Rozstrzeliwałeś zakładników? – Binding odwrócił się z zaciekawieniem.

Graeber nie odpowiedział.

– Zakładnicy to wyjątek, Ernst, konieczność.

– Wszystko jest koniecznością – oświadczył Graeber z goryczą. – Wszystko. Mam oczywiście na myśli to, co sami robimy, a nie, co robią inni. Jeśli my bombardujemy jakieś miasto, nazywamy to strategiczną koniecznością; jeśli to robią inni – zwykłą zbrodnią.

– O to chodzi! Wreszcie rozumujesz prawidłowo! – Alfons chytrze zerknął na Graebera i uśmiechnął się dobrodusznie. – To właśnie nazywamy nowoczesną polityką! Słuszne jest to, co służy narodowi niemieckiemu, powiedział nasz minister sprawiedliwości. A on chyba musi wiedzieć! My spełniamy tylko nasz obowiązek. Nie ponosimy odpowiedzialności. – Pochylił się. – Patrz, kos! Pierwszy raz się kąpie! Ależ wróble zmykają!

Graeber zobaczył nagle przed sobą Heiniego. Ulica była pusta; między żywopłotami ogrodów zalegało gnuśne światło słoneczne, żółty motyl kołysał się nisko nad piaszczystymi ścieżkami biegnącymi po obu stronach wyłożonego płytami chodnika, o sto metrów dalej Heini skręcał właśnie za róg.

Graeber szedł po piasku, który tłumił jego kroki. Było bardzo cicho. „Gdyby ktoś chciał sprzątnąć Heiniego, miałby teraz najlepszą sposobność – pomyślał. – Nikogo nie widać. Ulica wydaje się uśpiona. Po piasku można zbliżyć się niemal bezszelestnie. Heini nic nie zauważy. Można by go powalić na ziemię i zadusić albo zadźgać. Strzał narobiłby za wiele hałasu i szybko ściągnął ludzi. Heini nie jest zbyt silny; można by go zadusić". Spostrzegł, że przyśpiesza kroku. „Nawet Alfons nie powziąłby żadnych podejrzeń. Sądziłby, że ktoś się zemścił na Heinim. Dosyć jest po temu powodów. To wyjątkowa okazja dla kogoś, kto chciałby się zemścić. Okazja, jaka nieprędko się znów nadarzy. A zarazem okazja, aby bez zemsty usunąć ze świata mordercę, który za godzinę torturować będzie kilku przerażonych, bezbronnych ludzi".

Graeberowi zwilgotniały dłonie. Zrobiło mu się nagle bardzo gorąco. Doszedł do rogu i stwierdził, że zbliżył się do Heiniego

o trzydzieści kroków. Wciąż jeszcze nikogo nie było widać. Gdyby teraz szybko pobiegł ścieżką, za minutę mogłoby być po wszystkim. Mógłby zadźgać Heiniego i zaraz popędzić dalej.

Czuł, jak wali mu serce. Biło tak głośno, że przez chwilę obawiał się, że Heini może to usłyszeć. „Co się ze mną dzieje? Co mnie to obchodzi? Co mi do tego?" Myśl, jeszcze przed chwilą zupełnie przypadkowa, nagle przerodziła się w ponury nakaz, i zdawało mu się, że wszystko od tego zależy, że właśnie to może się stać zadośćuczynieniem za wiele spraw z przeszłości, za jego własne życie, za sprawy, o których chciał zapomnieć, za to, co zrobił, i za to, czego zaniechał. „Zemsta – pomyślał zmieszany. – Ale to przecież ktoś, kogo ledwo znam, ktoś, kto mnie osobiście nic złego nie zrobił, ktoś, na kim nie muszę się mścić. Jeszcze nie, ale może właśnie ojciec Elżbiety jest jedną z ofiar Heiniego, może stanie się nią dzisiaj lub jutro? A komu uczynili coś złego zakładnicy lub tysiące innych niewinnych? Kto tu zawinił i kto ma za to odpokutować?"

Wpatrywał się w plecy Heiniego. W ustach mu zaschło. Za furtką ogrodową zaszczekał pies. Graeber wzdrygnął się i rozejrzał dokoła. „Za dużo wypiłem. Muszę się zatrzymać, nie mam z tym wszystkim nic wspólnego; to szaleństwo". Ale szedł dalej bezszelestnie, coraz szybciej, gnany czymś, co wydawało mu się groźną i słuszną koniecznością, wyrównaniem i usprawiedliwieniem za te wszystkie trupy, które zostawił za sobą.

Przybliżył się do Heiniego na odległość dwudziestu metrów, wciąż jeszcze nie wiedząc, co zrobi. Nagle z furtki w żywopłocie u wylotu ulicy wyszła jakaś kobieta. Miała na sobie

pomarańczową bluzkę, a w ręku niosła koszyk; szła mu naprzeciw. Przystanął. Wszystko się w nim rozprzęgło. Po chwili ruszył dalej. Kobieta, wywijając koszykiem, spokojnie minęła Heiniego i zbliżała się powolnym krokiem; miała dużą, rozłożystą pierś, opaloną twarz i ciemne włosy gładko zaczesane, z przedziałkiem. Niebo wysklepiło się nad jej głową, blade, migotliwe i mgliste; wszystko się rozpływało i tylko ona była przez chwilę wyraźna, tylko ona jedna była rzeczywistością, była samym życiem, dźwigała je na swych szerokich barkach, niosła je ze sobą, wielkie i dobre, a za nią rozciągała się pustynia i mord.

Spojrzała na niego w przejściu.

– Dzień dobry – powiedziała przyjaźnie.

Graeber skinął głową. Nie mógł wykrztusić słowa. Słyszał za sobą jej kroki, a przed nim znów rozciągała się rozmigotana pustynia; w tym migotaniu dojrzał ciemną sylwetkę Heiniego, skręcającego za róg, i ulica opustoszała.

Obejrzał się. Kobieta szła dalej krokiem równomiernym i beztroskim. „Dlaczego nie biegnę? – pomyślał. – Jeszcze bym zdążył". Ale już wiedział, że tego nie zrobi. „Ta kobieta mnie widziała. Rozpoznałaby mnie, teraz już za późno". Czy uczyniłby to, gdyby kobieta się nie zjawiła? Czy nie wynalazłby innego usprawiedliwienia? Nie wiedział.

Dotarł do skrzyżowania ulic, lecz Heiniego już tam nie było. Spostrzegł go dopiero na następnym rogu: rozmawiał na środku jezdni z jakimś esesowcem, a po chwili ruszył z nim dalej. Z bramy wyszedł listonosz. Nieco dalej stało dwóch rowerzystów. Przepadło. Graeber jakby się nagle przebudził. Rozejrzał się. „Co to było? – pomyślał. – Do diabła, niewiele brakowało, a byłbym to

zrobił! Co się ze mną dzieje? Skąd to się nagle wzięło? Muszę na siebie uważać. Sądziłem, że jestem spokojny. Ale nie jestem spokojny. Jestem bardziej roztrzęsiony, niż przypuszczałem. Muszę na siebie uważać, inaczej narobię jeszcze masę głupstw!”

Kupił gazetę w kiosku i przystanął, czytając komunikat wojenny. Nigdy tego dotychczas nie robił. W czasie urlopu nic o tym nie chciał wiedzieć. Teraz stwierdził, że nadal są w odwrocie. Na małym wycinku mapy odnalazł miejsce, gdzie winien się znajdować jego pułk. Nie mógł dokładnie ustalić pozycji, gdyż komunikat wymieniał jedynie grupy armii; ale wnioskował, że znów cofnęli się mniej więcej o sto kilometrów.

Przez chwilę trwał w bezruchu. Od przyjazdu na urlop nie pomyślał nawet o swych towarzyszach. Pamięć o nich zatonęła w nim jak kamień. Teraz znowu powróciła.

Zdawało mu się, że z ziemi unosi się szara, bezdźwięczna samotność. Komunikat wojenny donosił o ciężkich walkach na odcinku Graebera; ale szara samotność była bezgłośna i bezbarwna, jakby od dawna zamarło w niej światło i nawet sam protest walki. Bezkrwiste i puste cienie unosiły się, chwiały i spoglądały na niego i poprzez niego, gdy zaś opadały, były jak ta szara zryta ziemia, a ziemia była jak one, jakby się poruszała i wrastała w nie. Wysokie, błyszczące niebo nad Graeberem zdawało się tracić kolor od szarego dymu tego nieskończonego umierania, które unosiło się z ziemi i zaćmiewało słońce. „Zdrada – pomyślał z goryczą. – Zdradzono ich, zdradzono i obrzucono błotem, a ich walka i umieranie związane zostały z morderstwem i niesprawiedliwością, i kłamstwem, i przemocą; oszukano ich,

oszukano we wszystkim, nawet jeśli szło o ich nędzną, dzielną, żałosną i bezużyteczną śmierć".

Jakaś kobieta niosąca przed sobą worek potrąciła go.

– Nie może pan uważać? – urągała rozgniewana.

– Mogę – odparł Graeber, nie ruszając się z miejsca.

– To czemu pan stoi w przejściu?

Graeber milczał. Naraz uświadomił sobie, dlaczego szedł za Heinim. Była to owa ciemność, którą tak często odczuwał na froncie; pytanie, na które nie ważył się odpowiedzieć; nagła, gniotąca rozpacz, której wciąż się wymykał – teraz znowu dopadły go i osaczyły; i wiedział wreszcie, co to jest, i nie chciał się już dłużej wymykać. Pragnął jasności. Był gotów. „Pohlmann – pomyślał. – Fresenburg prosił, żebym go odwiedził. Zapomniałem o tym. Ale teraz pójdę do niego. Muszę pomówić z kimś, komu mogę zaufać".

– Bałwan! – powiedziała ciężko obładowana kobieta i poczłapała dalej.

Połowa Jahnplatz leżała w gruzach; druga strona stała nienaruszona. Tylko kilka okien miało wybite szyby. Za nimi nadal toczyło się codzienne życie, kobiety sprzątały i gotowały, podczas gdy po przeciwnej stronie zawalone frontony domów ukazywały tylko resztki pokoi, w których zwisały strzępy tapet, jak poszarpane sztandary po przegranej bitwie.

Dom, w którym dawniej mieszkał Pohlmann, znajdował się po zburzonej stronie placu. Górne piętra zawaliły się i zasypały wejście. Wydawało się, że nikt tutaj nie mieszka. Graeber chciał już odejść, gdy nagle odkrył wąską wydeptaną ścieżkę poprzez rumowisko. Odgarnięta dróżka wiodła do tylnych drzwi, które się

zachowały. Zastukał. Nikt nie odpowiedział. Zastukał ponownie. Po chwili usłyszał szmery. Zabrzęczał łańcuch i drzwi ostrożnie uchylono. Przez szparę wyjrzał jakiś stary człowiek.

– Pan Pohlmann? – spytał Graeber.

– Tak. Czego pan sobie życzy?

– Jestem Ernst Graeber. Pana dawny uczeń.

– Ach tak. A czego pan sobie życzy?

– Chciałem pana odwiedzić. Przyjechałem na urlop.

– Ja już nie jestem nauczycielem – odparł Pohlmann krótko.

– Wiem o tym.

– Dobrze. W takim razie wie pan również, że zwolniono mnie dyscyplinarnie. Nie przyjmuję uczniów i nie mam zresztą do tego prawa.

– Nie jestem już uczniem; jestem żołnierzem i przybywam z Rosji; mam panu przekazać pozdrowienia od Fresenburga. Prosił mnie, abym pana odwiedził.

Starzec uważniej przyjrzał się Graeberowi.

– Fresenburg? On jeszcze żyje?

– Dziesięć dni temu żył jeszcze.

Przez chwilę Pohlmann obserwował Graebera.

– Dobrze, niech pan wejdzie – powiedział wreszcie i cofnął się.

Graeber szedł za nim przez korytarz prowadzący do małej kuchenki, a stamtąd dalej, przez drugie wąskie przejście. Pohlmann przyspieszył nagle kroku, otworzył drzwi i odezwał się o wiele głośniej niż poprzednio:

– Proszę, niech pan wejdzie. Myślałem, że pan jest z policji.

Graeber spojrzał na niego zaskoczony. Potem zrozumiał. Nie rozglądał się. Pohlmann chciał najwidoczniej kogoś uprzedzić,

dlatego mówił tak głośno.

W pokoju paliła się mała lampa naftowa, osłonięta zielonym abażurem. Okna były wybite, a piętrzący się przed nimi gruz nie przepuszczał dziennego światła. Pohlmann zatrzymał się na środku pokoju.

– Teraz pana poznaję. Światło na dworze jest zbyt jaskrawe. Mało wychodzę i odwykłem od niego. Tu światło dzienne nie dociera, a że nafty mam niewiele, często muszę siedzieć po ciemku. Przewody elektryczne są zerwane.

Pohlmann tak się postarzał, że trudno go było poznać. Graeber patrzył na niego w milczeniu. Doznawał wrażenia, że znalazł się w innym świecie. Sprawiała to nie tylko cisza i ta niezwykła, światłem naftowej lampy rozjaśniona izba, która po jaskrawym słońcu na ulicy przypominała katakumby; było to jeszcze coś innego: brązowe i złocone rzędy książek stojących wzdłuż ścian, pulpit do czytania, staloryty z Weimaru i ów starzec o siwych włosach i pobrużdżonej twarzy, woskowej jak u człowieka przebywającego od lat w więzieniu.

Pohlmann podchwycił spojrzenie Graebera.

– Miałem szczęście. Uratowałem prawie wszystkie książki.

Graeber odwrócił się.

– Od dawna już nie widziałem książek. A w ciągu ostatnich lat bardzo niewiele czytałem.

– Pewnie pan nie mógł. Książki są zbyt ciężkie, aby je taszczyć ze sobą w tornistrze.

– Są także zbyt ciężkie, aby je taszczyć ze sobą w głowie. Nie pasują do tego, co się dzieje. A tych, które pasują, nie chce się czytać.

Pohlmann spoglądał w łagodne zielone światło lampy.

– Po co pan do mnie przyszedł, panie Graeber?

– Fresenburg powiedział mi, że powinienem iść do pana.

– Czy pan go dobrze zna?

– To był jedyny człowiek na froncie, któremu w pełni ufałem. Powiedział mi, że powinienem iść do pana i z panem porozmawiać. Że pan mi powie prawdę.

– Prawdę? O czym?

Graeber spojrzał na Pohlmanna, swego dawnego wychowawcę. Choć wydawało się to nieskończenie odległe, przez mgnienie oka doznał uczucia, że znów jest uczniem i musi zdawać sprawę ze swego życia i że los jego ma się teraz rozstrzygnąć w tym małym, na wpół zasypanym pokoiku wypełnionym książkami, wobec tego wypędzonego nauczyciela jego młodości. Ucieleśniała się tutaj przeszłość – dobroć, tolerancja i wiedza. Gruz przed oknami – oto, co uczyniła z tego współczesność.

– Chciałbym wiedzieć, jak dalece jestem współwinnym zbrodni popełnionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat – powiedział. – I chciałbym wiedzieć, co mam robić.

Pohlmann wpatrywał się w niego zdumiony. Potem wstał i przeszedł przez pokój, zdjął z półki pierwszą lepszą książkę, otworzył ją i nawet nie zajrzawszy, odstawił z powrotem. Wreszcie odwrócił się.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, o co pan mnie pyta?

– Tak.

– W dzisiejszych czasach można zapłacić głową za mniejszą rzecz.

– Za nic można być zabitym na froncie.

Pohlmann usiadł znowu.

– Czy mówiąc o zbrodniach, ma pan na myśli wojnę?

– Mam na myśli wszystko, co do niej doprowadziło. Kłamstwo, ucisk, niesprawiedliwość, przemoc. Mam na myśli również wojnę. Wojnę taką, jak my ją prowadzimy – z obozami niewolników, obozami koncentracyjnymi i masowym mordowaniem ludności cywilnej.

Pohlmann milczał.

– Niejedno widziałem – ciągnął dalej Graeber. – I wiele słyszałem. Wiem, że wojna jest przegrana. I wiem, że walczymy nadal tylko po to, aby rząd, partia i ludzie, którzy to wszystko spowodowali, jeszcze przez jakiś czas mogli utrzymać się u władzy i spowodować jeszcze więcej nieszczęść.

– Pan wie o tym wszystkim?

– Teraz wiem. Nie zawsze wiedziałem.

– I musi pan wracać na front?

– Tak.

– To straszne.

– Jeszcze straszniejsze jest wracać na front, kiedy człowiek o tym wie, bo w ten sposób staje się współwinny. Prawda?

Pohlmann milczał.

– O czym pan myśli? – spytał po chwili szeptem.

– Pan dobrze wie, o czym myślę. Pan uczył nas religii. W jakim stopniu staję się współwinny, jeśli wiem, że wojna nie tylko jest przegrana, ale również, że musimy ją przegrać, aby położyć kres niewolnictwu i mordowaniu, obozom koncentracyjnym, SS i SD, masowym eksterminacjom i nieludzkim zbrodniom – jeśli o tym

wszystkim wiem, a jednak za dwa tygodnie znów tam wracam, aby nadal o to walczyć?

Twarz Pohlmanna zszarzała nagle i przygasła. Tylko oczy zachowały jeszcze przedziwny, jasnobłękitny kolor. Przypominały Graeberowi oczy, które już kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Musi pan wracać na front?

– Mogę odmówić. Wtedy mnie powieszą albo rozstrzelają. Mogę również zdezerterować. Ale zostanę w krótkim czasie schwytany, nie ma obawy, ich organizacje i szpicle działają sprawnie. Gdzież zresztą miałbym się ukryć? Każdy, kto udzieliłby mi schronienia, ryzykowałby życie. Ponadto zemściliby się na moich rodzicach. Skazaliby ich co najmniej na obóz koncentracyjny i tam by ich wykończyli. Cóż więc mam robić? Wrócić na front i nie bronić się? To by było samobójstwo.

Rozległo się bicie zegara. Graeber nie zauważył go przedtem. Był to stary pradziadowski zegar, stojący w kącie za drzwiami. W cmentarnej ciszy pokoju jego głęboki głos zabrzmiał nagle jak upiorny znak czasu.

– Czy nie ma innego wyjścia? – spytał Pohlmann.

– Można by samemu się zranić. Ale prawie zawsze zostaje to wykryte. A kara jest taka sama jak za dezercję.

– A gdyby się pan postarał o przeniesienie? Z powrotem do kraju?

– Nie, jestem silny i zdrowy. Zresztą w ten sposób także nie uzyskam odpowiedzi na moje pytanie. To byłoby ucieczką, a nie rozwiązaniem. Można być również współwinnym, siedząc w biurze, nie sądzi pan?

– Tak. – Pohlmann splótł kurczowo dłonie. – Wina – powiedział cicho. – Nikt nie wie, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Jeśli pan woli, zaczyna się wszędzie, a nie kończy nigdzie. A może jest odwrotnie. A współwina! Kto o niej wie? Chyba tylko Bóg.

Graeber poruszył się niecierpliwie.

– Bóg musi o niej wiedzieć – odparł. – W przeciwnym razie nie byłoby grzechu pierworodnego. Współwina rozciąga się na tysiące pokoleń. Ale gdzie zaczyna się osobista odpowiedzialność? Nie możemy po prostu wyłgać się tym twierdzeniem, że wykonywaliśmy rozkazy. Czy pan sądzi, że możemy?

– To jest przymus, a nie rozkaz.

Graeber czekał.

– Męczennicy z epoki pierwszych chrześcijan nie poddawali się przymusowi – powiedział Pohlmann z ociąganiem.

– My nie jesteśmy męczennikami. Ale kiedy zaczyna się współwina? Kiedy staje się morderstwem to, co zazwyczaj nazywa się bohaterstwem? Czy wtedy, gdy przestaje się wierzyć w swoje racje? Czy też w cel? I gdzie przebiega granica?

Pohlmann spojrzał na niego zgnębiony.

– Jakże mogę to panu wyjaśnić? To zbyt duża odpowiedzialność. Nie mogę rozstrzygać za pana.

– Czy każdy musi rozstrzygać sam za siebie?

– Sądzę, że tak. Jakżeby inaczej?

Graeber umilkł. „Po co dalej pytam. Z oskarżonego stałem się nagle sędzią. Po co dręczę tego starca i pociągam do odpowiedzialności za to, czego mnie kiedyś uczył, i za to, czego nauczyłem się bez niego? Czyż potrzebna mi jeszcze odpowiedź? Czyż sam jej sobie nie udzieliłem?” Wyobraził sobie, jak

Pohlmann dzień za dniem przesiaduje w tej izbie, w ciemności lub przy świetle lampy, jak w katakumbach starożytnego Rzymu, pozbawiony pracy, każdej chwili oczekując aresztowania i mozolnie szukając pociechy w swoich książkach.

– Ma pan rację – powiedział. – Pytać kogoś to znaczy wciąż jeszcze uchylać się od decyzji. Zresztą nie spodziewałem się od pana odpowiedzi. Właściwie pytałem samego siebie. Ale czasami można to zrobić, tylko pytając kogoś innego.

Pohlmann potrząsnął głową.

– Ma pan prawo pytać. Współwina!... Cóż pan o niej wie? Był pan młody i zatruto pana kłamstwami, zanim zdołał pan samodzielnie myśleć. Ale my? Przecież widzieliśmy, co się święci, a nie przeciwdziałaliśmy temu! Czym to wytłumaczyć? Gnuśnością serca? Obojętnością? Ubóstwem ducha? Egoizmem? Zwątpieniem? Jak mogło dojść do takiej zarazy? Sam się codziennie nad tym zastanawiam.

Naraz Graeber uprzytomnił sobie, kogo przypominają mu oczy Pohlmanna. To były oczy starego Rosjanina, do którego strzelał.

– Muszę już iść – powiedział, wstając. – Dziękuję, że pan mnie wpuścił i ze mną rozmawiał.

Wziął czapkę. Pohlmann ocknął się z zamyślenia.

– Pan chce już iść, Graeber? Co pan postanowił?

– Nie wiem. Mam jeszcze dwa tygodnie do namysłu. To wiele, jeśli człowiek przywykł żyć z minuty na minutę.

– Niech pan jeszcze przyjdzie! Niech pan przyjdzie przed wyjazdem. Przyrzeka mi pan?

– Przyrzekam.

– Niewielu do mnie przychodzi – szepnął Pohlmann.

Między książkami, w pobliżu zasypanego okna, Graeber zauważył fotografię młodego mężczyzny w mundurze. Przypomniał sobie, że Pohlmann miał syna. O takie sprawy lepiej jednak w tych czasach nie pytać.

– Proszę pozdrowić Fresenburga, jeśli będzie pan do niego pisał – powiedział Pohlmann.

– Dobrze. Pan rozmawiał z nim tak samo jak ze mną, prawda?

– Tak.

– Szkoda, że dawniej pan tak ze mną nie mówił.

– Myśli pan, że to ułatwiło Fresenburgowi życie?

– Nie – odparł Graeber. – Raczej utrudniło.

Pohlmann skinął głową.

– Nic panu nie mogłem powiedzieć. Ale też nie chciałem zbyć pana jedną z tych rozlicznych odpowiedzi, które są tylko wymówką. Jest ich wiele. Wszystkie są gładkie i przekonywające i wszystkie jednakowo wykrętne.

– Nawet te, które daje Kościół?

Pohlmann wahał się przez chwilę.

– Tak, nawet te. Ale Kościół jest w tym szczęśliwym położeniu, że prócz nakazów: „Miłuj bliźniego swego" i „Nie zabijaj" – ma na podorędziu również inne przykazania: „Oddajcież, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co jest bożego, Bogu". Z ich pomocą dobry akrobata na kazalnicy może dokonać wielu sztuczek.

Graeber uśmiechnął się. W słowach tych zabrzmiał cień owego sarkazmu, który dawniej cechował Pohlmanna. Pohlmann to zauważył.

– Uśmiecha się pan – powiedział. – I jest pan taki spokojny. Czemu pan nie krzyczy?

– Krzyczę – odparł Graeber. – Tylko pan tego nie słyszy.

Stał przed drzwiami. Jasne promienie światła kłuły go w oczy. Biały tynk skrzył się w słońcu. Powoli przeciął plac. Czuł się jak człowiek, który po długim, nużącym przewodzie sądowym otrzymał nareszcie wyrok i któremu jest niemal obojętne, czy został uniewinniony czy nie. Skończyło się, ale pragnął tego, to właśnie chciał przemyśleć podczas urlopu i teraz wreszcie wiedział, że to, co go prześladowało, było zwątpieniem – i już się od niego nie uchylał.

Przez pewien czas siedział na ławce, ocalałej tuż na krawędzi bombowego krateru. Czuł całkowite odprężenie i taką pustkę wewnętrzną, że nie potrafiłby nawet powiedzieć, czy jest z tego powodu zrozpaczony. Pragnął jedynie o niczym nie myśleć. Zresztą nie było już o czym. Odchylił głowę w tył, zamknął oczy i nadstawił twarz pod ciepłe promienie słońca. Siedział cicho, oddychał spokojnie i czuł bezosobowe, pocieszające ciepło, które nie znało ani prawa, ani bezprawia.

Po jakimś czasie otworzył oczy. Jasno i bardzo wyraźnie rozciągał się przed nim plac. Spostrzegł wysoką lipę przed zburzonym domem. Nietknięta prężyła w górę pień i gałęzie jak olbrzymia, szeroko rozwarta dłoń, która otulona zielenią wyciągała się ku światłu i jasnym chmurom. Niebo nad chmurami było błękitne. Wszystko błyszczało i połyskiwało jak po deszczu, miało głębię i moc, było samym życiem – silnym i rozkwitającym, zrozumiałym samo przez się, bez pytań, bez żałoby i bez zwątpienia. Graeber czuł je w sobie, jakby wyzwolił się od męczącej zmory, wybuchło w nim potężne i stopiło wszystko. Było jak odpowiedź bez słów, poza wszelkimi pytaniami, poza wszelkim

osądem, odpowiedź, którą znał z nocy i dni, gdy śmierć się o niego ocierała i gdy po spazmie i drętwocie agonii znów wdzierało się weń życie, gorące, gwałtowne i zbawcze, zalewając mózg falą krwi.

Wstał z ławki. Przeszedł obok lipy, mijał ruiny i domy. Poczuł nagle, że na coś czeka. Wszystko w nim czekało. Czekał na wieczór jak na zawieszenie broni.

XIV

Mamy dzisiaj doskonałe sznycle po wiedeńsku – powiedział marabut.

– Wyśmienicie – odparł Graeber. – Proszę nam podać, a resztę niech pan dobierze według własnego uznania. Całkowicie polegamy na panu.

– To samo wino?

– To samo albo inne, jakie pan chce. Polegamy na panu także pod tym względem.

Kelner odszedł zadowolony. Graeber usadowił się wygodnie i popatrzył na Elżbietę; miał uczucie, jakby z rozoranego pociskami frontu przeniesiono go do oazy pokoju. Popołudniowe doznania przybladły. Pozostał tylko odblask chwili, gdy nagle objawiło mu się życie, które wraz z drzewami zdawało się wyrywać z bruku i ruin, aby zielonymi rękami sięgać po światło. „Dwa tygodnie – pomyślał. – Jeszcze dwa tygodnie życia. Powinienem je chwytać jak owa lipa światło".

Marabut powrócił.

– Czy odpowiadałby panu dzisiaj Johannisberger Kahlenberg? Mamy tu taki rocznik, że szampan w porównaniu z nim to woda

mineralna. Albo...

– Niech będzie Kahlenberg.

– Służę państwu. Pan się na tym zna. To wino doskonale pasuje do sznycla, jest jak krynica. A do tego podam państwu świeżą zieloną sałatę. Podkreśla ona bukiet.

„Ostatnia uczta skazańca – Graeber pomyślał o tym bez goryczy. – Jeszcze dwa tygodnie takich uczt!" Dotychczas nie wybiegał myślą poza urlop. Wydawał mu się nieskończenie długi; tyle już przeżył i tyle go jeszcze czekało. Teraz nagle, od czasu gdy przeczytał komunikat naczelnego dowództwa i odwiedził Pohlmanna, zrozumiał, jak krótki jest urlop.

Elżbieta spoglądała za marabutem.

– Błogosławiony niech będzie twój przyjaciel Reuter. Zrobił z nas koneserów!

– Nie jesteśmy koneserami, Elżbieto. Jesteśmy czymś więcej. Jesteśmy błędnymi rycerzami. Błędnymi rycerzami pokoju. Wojna wywróciła wszystko na nice. To, co dawniej było symbolem sytości, bezpieczeństwa i stęchłego mieszczaństwa, dzisiaj stało się wielką przygodą.

Elżbieta roześmiała się.

– My traktujemy to jak przygodę.

– Nie my. To dzisiejsze czasy. Na jedno w każdym razie nie możemy się uskarżać – na nudę i monotonię.

Graeber popatrzył na Elżbietę. Siedziała przed nim na kanapie; była dziś w obcisłej sukni, włosy ukryła pod małą czapeczką i wyglądała niemal jak chłopiec.

– Monotonia – powiedziała. – Zdaje się, że postanowiłeś przyjść dzisiaj w cywilnym ubraniu?

– Nie mogłem. Nie miałem się gdzie przebrać.

Graeber chciał to zrobić u Alfonsa, ale po rozmowie z Pohlmannem już tam nie poszedł.

– Możesz to zrobić u mnie – powiedziała Elżbieta.

– U ciebie? A pani Lieser?

– Do diabła z panią Lieser. Przemyślałam to sobie.

– Do diabła z całą masą innych spraw – dodał Graeber. – Ja także to sobie przemyślałem.

Kelner przyniósł wino i odkorkował butelkę; nie nalewał jednak. Przekrzywił głowę, nasłuchując.

– Znów się zaczyna! Bardzo mi przykro, proszę państwa.

Nie potrzebował wyjaśniać, co ma na myśli. W tej samej chwili wycie syren zagłuszyło rozmowy na sali.

Kieliszek Elżbiety zabrzęczał.

– Gdzie jest najbliższy schron? – spytał Graeber marabuta.

– Tu, w hotelu.

– Chyba tylko dla gości hotelowych?

– Państwo są również gośćmi. To bardzo solidny schron. Lepszy niż wiele innych w mieście. Mamy tutaj wyższych oficerów.

– Dobrze. A co będzie z naszymi sznyclami?

– Jeszcze się nie smażą. Zarezerwuję je. Na dole nie mogę podawać. Pan rozumie dlaczego?

– Oczywiście. – Graeber wyjął marabutowi butelkę z ręki i napełnił dwa kieliszki. Jeden podał Elżbiecie. – Wypij do dna.

Potrząsnęła głową.

– Czy nie powinniśmy już iść?

– Mamy jeszcze bardzo dużo czasu. To tylko alarm ostrzegawczy. Może w ogóle nic nie będzie, tak jak ostatnim

razem. Wypij wino, to zagłuszy pierwszy strach.

– Sądzę, że pan ma rację – powiedział marabut. – Doprawdy, szkoda pić duszkiem takie szlachetne wino, ale tym razem sytuacja jest wyjątkowa.

Był blady i uśmiechał się z wysiłkiem.

– Dawniej, proszę pana, patrzyliśmy w niebo, aby się modlić, teraz robimy to, aby przeklinać. Do tego doszliśmy.

Graeber zwrócił się do Elżbiety:

– Pij! Mamy jeszcze dużo czasu. Zdążymy wypić całą butelkę.

Uniosła kieliszek i wychyliła go powoli. Zrobiła to ruchem wyrażającym zdecydowanie, a zarazem jakby zuchwałą rozrzutność. Potem odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się.

– Do diabła z paniką! Muszę się od tego odzwyczaić. Popatrz, jak drżę.

– Nie ty drżysz. Życie drży w tobie. To nie ma nic wspólnego z odwagą. Człowiek ma odwagę wtedy, kiedy może się bronić. Wszystko inne to próżność. Nasze życie, Elżbieto, jest rozsądniejsze niż my.

– Zgoda. Nalej mi jeszcze.

– Moja żona... – odezwał się marabut. – Nasz chłopiec jest chory. Gruźlica. Ma jedenaście lat. A piwnica niewiele warta. Żonie ciężko znosić małego na dół. Ona jest bardzo wątła... sto sześć funtów. Mieszkamy na Südstrasse dwadzieścia dziewięć. Nie mogę jej nawet pomóc. Muszę tu zostać.

Graeber sięgnął po kieliszek z sąsiedniego stołu, napełnił go i podsunął kelnerowi.

– Proszę! Niech pan też się napije! To stara żołnierska zasada: jeśli nie możesz nic zaradzić, to się przynajmniej nie denerwuj. Co

to komu pomoże?

– Łatwo panu mówić.

– Słusznie. Nie urodziliśmy się posągami. Niech pan wypije ten kieliszek.

– Na służbie nie wolno...

– To wyjątkowa sytuacja. Sam pan przed chwilą powiedział.

– Ma pan rację. – Kelner obejrzał się i podniósł kieliszek. – W takim razie pozwoli pan, że wypiję za pański awans.

– Za co?

– Za pański awans na podoficera.

– Dziękuję. Pan ma bystry wzrok.

Kelner odstawił kieliszek.

– Nie mogę wypić jednym haustem, proszę pana. To zbyt szlachetne wino. Nie mogę tego zrobić nawet w tak wyjątkowej sytuacji.

– To się panu chwali. Niech pan zabierze ten kieliszek ze sobą.

– Dziękuję panu.

Graeber znowu napełnił kieliszki.

– Nie chodzi o popisywanie się zimną krwią, ale w czasie nalotu zawsze lepiej jest wypić wszystko od razu, bo nigdy nie wiadomo, czy potem coś jeszcze ocaleje.

Elżbieta popatrzyła na jego mundur.

– W schronie będzie pełno oficerów; nie przyłapią cię?

– Nie, Elżbieto.

– Dlaczego nie?

– Bo nic sobie z tego nie robię.

– A jeśli człowiek nic sobie z tego nie robi, czy wówczas nie mogą go przyłapać?

– Raczej nie. Strach zwraca uwagę. A teraz chodź – przezwyciężyliśmy już pierwszy lęk.

Część piwnicy, w której mieścił się skład win, była wybetonowana, wzmocniona stalowymi belkami i przebudowana na schron przeciwlotniczy. Rozstawiono tu krzesła, fotele, stoły i kanapy, ziemię zasłano kilkoma wydeptanymi dywanami, a ściany czysto wybielono. Znajdowało się tu radio, a na małym bufecie stały kieliszki i butelki. Był to luksusowy schron.

Znaleźli miejsce w kącie, tam gdzie właściwy skład win oddzielono od schronu drzwiami z luźno zbitych desek. Za nimi podążył tłum gości. Była wśród nich piękna kobieta w białej wieczorowej sukni. Plecy miała wydekoltowane, a na lewym ręku iskrzyły się bransolety. Za nią szła hałaśliwa blondynka o twarzy karpia, potem paru mężczyzn, kilka starszych kobiet i grupa oficerów. Zjawił się kelner i pikolak i zaczęli odkorkowywać butelki.

– Trzeba było zabrać ze sobą nasze wino – odezwał się Graeber.

Elżbieta potrząsnęła przecząco głową.

– Masz rację. Co za idiotyzm udawać bohaterstwo!

– Nie należy tego robić – powiedziała. – To przynosi nieszczęście.

„Ma rację – pomyślał Graeber i spojrzał gniewnie na kelnera, który obnosił wino na tacy. – To nie odwaga, to poza. Niebezpieczeństwo jest sprawą zbyt poważną. A jak dalece poważną – o tym wie człowiek dopiero wówczas, kiedy widział bardzo dużo śmierci”.

– Drugie ostrzeżenie – powiedział ktoś obok niego. – Nadchodzą!

Graeber przysunął swoje krzesło bliżej Elżbiety.

– Boję się – powiedziała. – Mimo dobrego wina i wszystkich postanowień.

– Ja również.

Objął ją ramieniem i wyczuł, w jakim jest napięciu. Ogarnęła go nagle fala tkliwości. Elżbieta przypominała zwierzę, które kuli się, węsząc niebezpieczeństwo; bynajmniej nie próbowała ukryć swego strachu, nie przybierała i nie chciała przybierać żadnej pozy, odwaga była jej obroną, życie prężyło się w niej na dźwięk syren, który zmienił się i oznaczał teraz śmierć.

Graeber zauważył, że towarzyszący blondynce mężczyzna obserwuje go. Był to chudy porucznik o cofniętym podbródku. Blondynka śmiała się głośno, podziwiana przez towarzystwo przy sąsiednim stoliku.

Piwnica lekko zadrżała. Potem dobiegł stłumiony pomruk eksplozji. Rozmowy urwały się, po chwili jednak podjęto je znowu, głośniej i jakby rozmyślnie. Szybko po sobie i znacznie bliżej nastąpiły teraz trzy dalsze wybuchy.

Graeber mocniej przytulił Elżbietę. Spostrzegł, że blondynka przestała się śmiać. Niespodzianie silne uderzenie wstrząsnęło piwnicą. Pikolak odstawił tacę i uczepił się kręconych drewnianych kolumienek bufetu.

– Spokój! – zawołał ktoś rozkazującym głosem. – To daleko stąd.

Nagle zatrzęsły się i trzasnęły mury. Światło migotało jak w źle wyświetlanym filmie, rozległ się ogłuszający łomot. W szaleńczym chaosie ciemności i jasności grupy przy stołach robiły wrażenie, jakby poruszały się na ekranie w potwornie zwolnionym tempie. Początkowo kobieta z gołymi plecami siedziała jeszcze; przy

następnym wybuchu i błysku – stała, przy trzecim – biegła w kierunku ciemności; później widać było ludzi, którzy ją trzymali, a ona krzyczała; i nagle światło całkowicie zgasło i w huku powtarzanym setkami ech zdawało się, że wszystka siła ziemskiego ciążenia przestała istnieć, a piwnica unosi się w powietrzu.

– To tylko światło zgasło, Elżbieto – krzyczał Graeber. – Podmuch powietrza – nic więcej. Gdzieś zerwało przewody. Hotel nie został trafiony.

Przycisnęła się do niego.

– Świece! Zapałki! – zawołał ktoś. – Przecież tu powinny być świece! Do stu piorunów, gdzie są świece? Albo latarki kieszonkowe?

Zabłysło kilka zapałek. W wielkim, dudniącym pomieszczeniu robiły wrażenie małych, błędnych ogników i oświetlały twarze i ręce, jakby ciała rozpadły się już od samego huku i tylko ręce i twarze unosiły się jeszcze w powietrzu.

– Do stu piorunów, czy hotel nie ma zapasowych świateł? Gdzie jest kelner?

Kręgi świetlne przesuwały się do góry i na dół, w stronę ścian, tu i ówdzie ukazując na mgnienie oka obnażone plecy kobiety w wieczorowej sukni, błysk biżuterii i ciemne, otwarte usta. Wszystko zdawało się powiewać w podmuchach czarnego wiatru, a głosy brzmiały jak słabe piski myszy polnych nad głębokim pomrukiem rozwierającej się przepaści. Naraz rozległo się wycie, które potężniało szaleńczo i nie do zniesienia, jakby olbrzymia stalowa planeta waliła się wprost na piwnicę. Wszystko zadygotało. Kręgi świetlne opadły i zagasły. Piwnica już się nie

unosiła; potworny trzask zdawał się wyłamywać wszystko i wyrzucać do góry. Graeber miał uczucie, że głową uderza w sufit. Obydwoma rękami chwycił Elżbietę; wydawało mu się, że jakaś siła odrywa ją od niego. Rzucił Elżbietę na ziemię, zasłonił sobą, ustawił krzesło nad jej głową i czekał na zerwanie się powały.

Rozległ się trzask, brzęk, pękanie, szum i łomot, jakby olbrzymia łapa uderzyła w schron i porwała go w próżnię, wydzierała płuca i żołądki z ciał i wyciskała krew z żył. Teraz nastąpić mogła już tylko ostateczna, przedśmiertna ciemność i uduszenie.

Nie nastąpiła. Natomiast rozbłysło nagle światło, wirujące, szybkie, jakby spod ziemi wytrysnął nagle słup ognia; była to biała żagiew – kobieta krzycząca:

– Płonę! Płonę! Pomocy! Pomocy!

Podskakiwała i biła ramionami wokół siebie, iskry tryskały pod jej uderzeniami, klejnoty połyskiwały, przerażona twarz była jasno oświetlona; wśród gwaru głosów posypały się na nią części mundurów, ktoś powalił ją na ziemię, a ona wiła się i krzyczała; krzyczała poprzez wycie syren i huk artylerii przeciwlotniczej i poprzez zniszczenie; krzyczała donośnie, nieludzko, a potem – spod kurtek, obrusów i poduszek – głucho i urywanie; krzyczała w ciemnej znów piwnicy, a głos jej dochodził jak z grobu.

Graeber obu rękami trzymał głowę Elżbiety, przyciskał ją do siebie, zakrywając dłońmi jej uszy, aż pożar i krzyki ustały i przeszły w kwilenie, ciemność i swąd spalonych ubrań, ciała i włosów.

– Lekarza! Sprowadźcie lekarza! Gdzie lekarz?

– Co?

– Trzeba ją przewieźć do szpitala! Psiakrew! Nic nie widać! Musimy ją wynieść.

– Teraz? – spytał ktoś. – Dokąd?

Wszyscy zamilkli. Nasłuchiwali. Na zewnątrz szalała artyleria. Ale wybuchy ustały.

– Odlecieli! Skończone!

– Leż – szepnął Graeber Elżbiecie do ucha. – Nie ruszaj się. Już po wszystkim. Ale jeszcze leż. Tu nikt cię nie stratuje. Nie ruszaj się.

– Musimy jeszcze zaczekać. Może nadlecieć następna fala samolotów – oświadczył ktoś powolnym, mentorskim głosem. – Na ulicy nie jest bezpiecznie. Wciąż jeszcze zagrażają tam odłamki!

W drzwiach zajaśniał krąg światła elektrycznej latarki. Leżąca na ziemi kobieta zaczęła znów krzyczeć:

– Nie! Nie! Zgaście! Zagaście ogień!

– To nie ogień. To latarka kieszonkowa.

Snop światła drżał lekko poprzez ciemność. Była to bardzo mała latarka.

– Tutaj! Niech pan tutaj podejdzie! Kto to? Kto tam ma latarkę?

Promień zakreślił szybki łuk, przemknął tam i z powrotem po suficie, oświetlił nakrochmalony gors, kawałek fraka, czarną muszkę i zakłopotaną twarz.

– To ja, starszy kelner Fritz. Sala restauracyjna jest zniszczona. Nie możemy już podawać. Gdyby państwo zechcieli uregulować rachunki...

– Co?

Fritz wciąż jeszcze oświetlał siebie.

– Nalot się skończył. Przyniosłem latarkę i rachunki...

– Co? Ależ to niesłychane!

– Proszę pana – odparł bezradnie Fritz w ciemność – starszy kelner własną kieszenią odpowiada wobec restauracji...

– Niesłychane! – parsknął mężczyzna w ciemności. – Ma pan nas za oszustów?! I po co oświetla pan swoją głupią fizjonomię! Niech pan podejdzie! Ale prędko! Tu jest ktoś ranny!

Fritz znowu zniknął w ciemności. Snop światła przemknął po ścianach, po paśmie włosów Elżbiety, wzdłuż podłogi, aż dotarł do kupki mundurów i tam się zatrzymał.

– Mój Boże! – powiedział jakiś mężczyzna bez marynarki, którego biała koszula blado jaśniała w ciemności.

Cofnął się. Tylko ręce jego były jeszcze widoczne w kręgu dygocącego nad nim światła. Starszy kelner dygotał chyba również. Mundury odrzucono.

– Mój Boże! – powtórzył mężczyzna.

– Nie patrz tam – powiedział Graeber. – To się wszędzie może zdarzyć. To nie ma nic wspólnego z nalotem. Ale ty nie powinnaś zostawać w mieście. Zawiozę cię na wieś; wsi nie bombardują. Znam taką. Haste. Znam też tamtejszych ludzi. Na pewno cię przyjmą. Możemy u nich zamieszkać. Tam będzie bezpiecznie.

– Nosze – powiedział klęczący mężczyzna. – Czy w hotelu nie ma noszy?

– Sądzę, że tak, panie... panie...

Starszy kelner nie mógł rozpoznać rangi. Kurtka mundurowa klęczącego leżała wraz z innymi rzeczami na ziemi, obok kobiety; teraz był on tylko mężczyzną w szelkach, z kordem u boku i rozkazującym głosem.

– Proszę mi wybaczyć, że mówiłem o rachunkach – powiedział Fritz – ale nie wiedziałem, że ktoś jest ranny.

– Jazda! Niech pan przyniesie nosze! Albo chwileczkę, pójdę z panem. Jak jest na ulicy? Można przejść?

– Tak.

Mężczyzna podniósł się, włożył kurtkę i nagle stał się majorem. Światło fiknęło, a wraz z nim jak gdyby zniknął promyk nadziei. Kobieta na ziemi jęczała.

– Wanda – rozległ się czyjś zatroskany głos. – Wanda, co my teraz zrobimy? Wanda?

– Możemy wyjść – oświadczył ktoś.

– Nie było jeszcze odwołania alarmu – odparł mentorski głos.

– Do diabła z pańskim odwołaniem! Gdzie jest światło? Światło!

– Nie, nie... nie trzeba światła! – krzyczała kobieta. – Nie trzeba światła...

– Potrzebny tu lekarz... morfina...

– Wanda – odezwał się wzburzony głos – co powiemy Eberhardowi? Co...

Światło pojawiło się znowu. Tym razem była to lampa naftowa. Trzymał ją major. Dwaj kelnerzy we frakach nieśli za nim nosze.

– Telefon nie funkcjonuje – powiedział major. – Linia zerwana. Chodźcie tutaj z noszami. – Postawił lampę na ziemi.

– Wanda! – odezwał się znów mężczyzna. – Wanda!

– Na bok! – rozkazał major. – Później. – Ukląkł obok kobiety i po chwili podniósł się. – Tak, to na razie wszystko. Wkrótce pani zaśnie. Miałem przy sobie zastrzyk na wszelki wypadek. Ostrożnie! Ostrożnie kłaść na nosze! Musimy zaczekać na ulicy, aż znajdziemy jakiś ambulans. Jeśli w ogóle znajdziemy...

– Tak jest, panie majorze – odparł służbiście starszy kelner.

Nosze zakołysały się przy wynoszeniu. Czarna, poparzona i pozbawiona włosów głowa chwiała się na nich tam i z powrotem. Ciało przykryto obrusem.

– Umarła? – spytała Elżbieta.

– Nie – odparł Graeber. – Wyliże się z tego. Włosy znów odrosną.

– A twarz?

– Oczy nie były uszkodzone. Wszystko się zagoi. Widziałem już wielu poparzonych. To nie jest szczególnie groźny wypadek.

– Jak to się stało?

– Suknia jej zajęła się ogniem. Zbyt blisko podeszła do zapałek. To wszystko. Schron jest dobry. Wytrzymał ciężkie bezpośrednie uderzenie.

Graeber podniósł krzesło, które ustawił nad głową Elżbiety. Nadepnął przy tym na skorupy butelek i spostrzegł, że drzwi prowadzące do piwnicy z winami są wyłamane. Część półek zwisała, butelki były potłuczone i porozrzucane, a wino płynęło po ziemi jak ciemny olej.

– Chwileczkę – powiedział do Elżbiety i wziął swój płaszcz. Wszedł do piwnicy i zaraz wrócił. – Tak, teraz możemy iść.

Na ulicy stały nosze z leżącą na nich kobietą. Dwaj kelnerzy gwizdali na palcach, przywołując samochód.

– Co teraz powie Eberhard? – pytał znów mężczyzna wzburzonym głosem. – Mój Boże, co za przeklęty pech! Jak mu to wytłumaczymy?...

„Eberhard to chyba mąż” – pomyślał Graeber i zagadnął jednego z gwiżdżących:

– Gdzie jest kelner z winiarni?

– Który? Otto czy Karol?

– Mały, stary, wygląda jak bocian.

– Otto. Nie żyje. Winiarnia się zawaliła. Żyrandol spadł mu na głowę. Otto nie żyje, proszę pana.

Graeber milczał przez chwilę.

– Jestem mu winien za butelkę wina – powiedział wreszcie.

Kelner otarł czoło.

– Może pan mnie zapłacić. Co to było?

– Butelka Johannisberger Kahlenberg.

– Wytrawne?

– Nie.

Kelner wyjął cennik z kieszeni, pstryknął latarką i pokazał go Graeberowi.

– Cztery marki, proszę pana. Łącznie z procentem cztery czterdzieści.

Graeber wręczył mu pieniądze. Kelner schował je do kieszeni. Graeber był przekonany, że ich nie odda.

– Chodźmy – powiedział do Elżbiety.

Wyszukali przejście między ruinami. Paliło się w dzielnicy południowej. Niebo było szare i czerwone, wiatr gnał duszące kłęby dymu.

– Musimy sprawdzić, Elżbieto, czy twoje mieszkanie jeszcze istnieje.

Potrząsnęła głową.

– Na to mamy zawsze czas. Zostańmy lepiej na powietrzu.

Doszli do placu, gdzie znajdował się schron przeciwlotniczy, w którym spędzili pierwszy wieczór. Wejście ziało mętnym

oparem jak brama do piekieł. Usiedli na ławce przy skwerze.

– Jesteś głodna? – spytał Graeber. – Nie dostałaś nic do jedzenia.

– Nie szkodzi. Nie mogłabym teraz jeść.

Odwinął płaszcz, zadźwięczało szkło; wyciągnął z kieszeni dwie butelki.

– Nawet nie wiem, co zdobyłem. Ta tutaj wygląda na koniak.

– Skąd to masz? – zapytała Elżbieta zdumiona.

– Z piwnicy. Drzwi stały otworem. Dziesiątki butelek potłukły się. Załóżmy, że i te byłyby rozbite.

– Po prostu wziąłeś je sobie?

– Oczywiście. Jeśli żołnierz omija otwartą piwnicę z winem, to znaczy, że jest ciężko chory. Nauczono mnie myśleć i postępować praktycznie. Dziesięcioro przykazań nie obowiązuje żołnierzy.

– Z pewnością nie. – Elżbieta spojrzała na niego. – Tak samo jak wiele innych przykazań. Co my o was właściwie wiemy?

– Ty wiesz już nieco za dużo.

– Co my o was właściwie wiemy? – powtórzyła. – Tutaj nie jesteście sobą. Sobą jesteście tam, skąd przyjeżdżacie. Ale któż o tym cokolwiek wie?

Z drugiej kieszeni płaszcza Graeber wyciągnął dwie dalsze butelki.

– Tę można otworzyć bez korkociągu. To szampan. – Odkręcił drut. – Mam nadzieję, że zastrzeżenia natury moralnej nie przeszkodzą ci go wypić!

– Nie. Już nie.

– Nie będziemy nim oblewali żadnej okazji, więc nie przyniesie nam pecha. Wypijemy go, bo jesteśmy spragnieni i nie mamy nic

innego. No i dlatego, że jeszcze żyjemy.

Elżbieta uśmiechnęła się.

– Nie potrzebujesz mi tego tłumaczyć. Ja to już zrozumiałam. Ale wyjaśnij mi coś innego. Dlaczego zapłaciłeś za tamtą butelkę, jeśli wziąłeś te cztery?

– To wielka różnica. Gdybym za tamtą butelkę nie zapłacił, popełniłbym zwykłe oszustwo.

Ostrożnie wykręcił korek, aby nie wystrzelił.

– Musimy pić z butelki, Elżbieto. Nauczę cię tego.

Nastała cisza. Krwawa łuna rozlewała się coraz szerzej. W tym dziwnym świetle wszystko stawało się nierealne.

– Spójrz na tamto drzewo – zawołała nagle Elżbieta. – Kwitnie!

Graeber popatrzył we wskazanym kierunku. Wybuch bomby wyrwał całe niemal drzewo z ziemi, rozdarł pień, oberwał kilka gałęzi, część korzeni zwisała w powietrzu. Ale istotnie – drzewo obsypane było białym, różowo oświetlonym kwieciem.

– Sąsiedni dom się spalił. Może to żar spowodował, że zakwitło – powiedział. – Wyprzedziło wszystkie inne, a przecież jest najbardziej zniszczone.

Elżbieta podniosła się i poszła w stronę drzewa. Ławka, na której siedzieli, stała w cieniu, a ona – jak tancerka w światła sceny – wstąpiła teraz w rozwiany odblask pożarów. Otoczył ją niby czerwony wiatr i świecił za nią jak olbrzymia średniowieczna kometa zwiastująca koniec świata lub narodziny Zbawiciela.

– Kwitnie – powtórzyła. – Dla drzew nastała już wiosna. Wszystko inne nic ich nie obchodzi.

– Tak – odparł Graeber. – One nas uczą. Ciągle nas uczą. Dziś po południu była to lipa, teraz to kwitnące drzewo. Rosną

i wypuszczają liście i kwiaty; nawet złamane, rozwijają się nadal, jeżeli choć kawałek korzenia tkwi jeszcze w ziemi. Bezustannie nas uczą, nie skarżą się i nie litują nad sobą.

Elżbieta powróciła wolnym krokiem. Skóra jej połyskiwała w przedziwnym, bezcieniowym blasku, a twarz wydawała się przez chwilę zaczarowana, jakby sama stanowiła część tajemnicy rozkwitających pąków, zniszczenia i niewzruszonego, wiecznego rozwoju. Potem wyszła ze światła jak z kręgu reflektora i znów stanęła w cieniu obok niego, ciepła, oddychająca i żywa. Przyciągnął ją do siebie na dół i nagle drzewo stało się ogromne, sięgające konarami ku krwawemu niebu, a kwiecie bliskie; zdawało mu się, że to lipa, a potem, że to ziemia, która się unosi, staje się glebą i niebem, i Elżbietą; posiadł ją, a ona mu się nie opierała.

XV

W izbie czterdziestej ósmej panowało poruszenie. Jajowaty łeb i dwaj inni karciarze stali w pełnym rynsztunku, gotowi do wymarszu. Uznano ich za zdolnych do służby i teraz wyruszali z transportem na front.

Jajowaty łeb był blady. Wpatrywał się w Reutera.

– Ty dekowniku z tą twoją przeklętą nogą! Zostajesz tutaj, a ja, ojciec rodziny, muszę iść na front!

Reuter nie odpowiedział. Feldmann uniósł się na łóżku.

– Stul pysk! Nie dlatego idziesz, że on tu zostaje. Wzięli cię, bo jesteś zdolny do służby. Gdyby on był zdolny do służby i musiał iść, ciebie by to mimo wszystko nie ominęło, rozumiesz? A więc nie gadaj głupstw!

– Mówię, co mi się podoba! – wrzasnął tamten rozwścieczony. – Muszę iść i mówię, co mi się podoba! Wy zostajecie tutaj! Wylegujecie się, żrecie i śpicie, a my musimy iść! Ja, ojciec rodziny! A ten tłusty dekownik chleje wódę, żeby mu się jego przeklęta noga nie goiła!

– A ty byś tego nie robił, gdybyś mógł? – spytał Reuter.

– Ja? Ja nie! Nigdy się nie dekowałem!

– No, to wszystko w porządku. Po co tyle krzyczysz?

– Co? – zdumiał się jajowaty łeb.

– Dumny jesteś, że się nigdy nie dekowałeś. A więc nadal bądź z tego dumny i nie krzycz.

– Co? Ach, ty przeklęty krętaczu! To jedyne, co potrafisz, ty wieprzu! Przekręcać czyjeś słowa! Ale jeszcze cię złapią! Złapią cię, choćbym sam miał na ciebie donieść!

– Nie grzesz – odezwał się jeden z dwóch pozostałych karciarzy, których również uznano za zdolnych do służby. – Chodź, musimy iść. Rusz się!

– Ja nie grzeszę! Oni grzeszą! To skandal, żebym ja, ojciec rodziny, musiał iść na front za tego moczymordę i obżartucha! Domagam się tylko sprawiedliwości...

– Ach, człowieku, sprawiedliwość! Gdzie ją znajdziesz w wojsku? Chodź, musimy już iść! On na nikogo nie doniesie, tylko tak gada. Bywajcie zdrowi, koledzy! Wszystkiego dobrego! Trzymajcie się!

Obaj karciarze pociągnęli za sobą rozwścieczonego towarzysza. Ten raz jeszcze obejrzał się od drzwi, blady i zlany potem, i chciał coś zawołać, ale oni wypchnęli go na korytarz.

– Co za oferma – powiedział Feldmann. – Urządza przedstawienie jak w teatrze! Pamiętacie, jak rozdziawiał gębę, że ja przesypiam swój urlop?

– Przegrał! – odezwał się nagle Rummel, który dotychczas obojętnie siedział przy stole. – Sporo przegrał! Dwadzieścia trzy marki! To nie drobiazg! Powinienem mu je oddać.

– Możesz to zrobić. Transport jeszcze nie odszedł.

– Co?

– Stoją na dole. Zejdź i oddaj mu, jeśli cię gryzie sumienie.

Rummel wstał i wyszedł.

– Jeszcze jeden wariat! – powiedział Feldmann. – Co tamten zrobi z tą forsą na froncie?

– Będzie ją mógł przegrać po raz drugi.

Graeber podszedł do okna i wyjrzał. Na dole zbierał się transport.

– Szczeniaki i stare dziady – powiedział Reuter. – Od czasu Stalingradu biorą wszystkich.

– Tak.

Transport formował się.

– Co się stało Rummlowi? – spytał zdziwiony Feldmann. – Naraz przemówił!

– Zaczął mówić, gdy spałeś.

Feldmann, w samej koszuli, podszedł do okna.

– Tam stoi jajowaty łeb. Teraz sam się przekona, czy to wszystko jedno – spać tutaj i śnić o froncie, czy być na froncie i śnić o ojczyźnie.

– Wkrótce wszyscy się o tym przekonamy – oświadczył Reuter. – Lekarz sztabowy zapowiedział mi, że następnym razem mnie również uzna za zdolnego do służby. Bohater z niego, uważa, że prawdziwemu Niemcowi niepotrzebne są nogi do ucieczki. Walczyć można i na siedząco.

Z dołu dobiegły słowa komendy. Transport wymaszerowywał. Graeber widział go jak przez pomniejszające szkło. Oddalający się żołnierze podobni byli do żywych lalek z dziecinnymi karabinkami.

– Biedny ten jajowaty łeb – powiedział Reuter. – Nie na mnie był wściekły, tylko na swoją żonę. Boi się, że teraz zacznie go zdradzać. A poza tym jest wściekły, ponieważ ona otrzyma jego dodatek rodzinny. Podejrzewa, że za te pieniądze będzie się bawić ze swoim kochankiem.

– Dodatek rodzinny? Istnieje coś takiego? – spytał Graeber.

– Ależ, chłopie, z księżyca spadłeś? – Feldmann potrząsnął głową. – Żona dostaje dwie stówy miesięcznie. To kupa forsy. Z tego powodu niejeden już się ożenił. Dlaczego miałoby się państwu coś darować?

Reuter odwrócił głowę od okna.

– Był tutaj twój przyjaciel Binding i pytał o ciebie – powiedział do Graebera.

– Czego chciał? Zostawił jakąś wiadomość?

– Urządza małą uroczystość u siebie w domu. Prosił, żebyś także przyszedł.

– Nic poza tym?

– To wszystko.

Wszedł Rummel.

– Spotkałeś go jeszcze? – spytał Feldmann.

Rummel skinął głową. Twarz mu drgała.

– On przynajmniej ma jeszcze żonę – parsknął nagle. – Ale iść na front, nie mając nikogo...

Odwrócił się gwałtownie i rzucił na łóżko. Wszyscy udawali, że nie zwracają na to uwagi.

– Szkoda, że jajowaty łeb tego nie doczekał! – szepnął Feldmann. – Założył się o grubszą forsę, że Rummel załamie się dzisiaj.

– Zostaw go w spokoju – powiedział Reuter gniewnie. – Kto wie, kiedy ty sam się załamiesz? Nikt nie jest pewny. Nawet taki lunatyk jak ty. – Zwrócił się do Graebera. – Ile ci jeszcze pozostało?

– Jedenaście dni.

– Jedenaście dni! To dość dużo.

– Wczoraj było jeszcze dużo – odparł Graeber. – A dzisiaj to już cholernie mało.

– Nie ma nikogo – powiedziała Elżbieta. – Ani pani Lieser, ani jej dziecka. Całe mieszkanie należy do nas.

– Chwała Bogu! Zamordowałbym tę babę, gdyby dziś wieczorem powiedziała choćby jedno słówko. Miałaś z nią wczoraj awanturę?

– Uważa mnie za prostytutkę.

– Dlaczego? Przecież wczoraj wieczorem byliśmy w domu zaledwie godzinę.

– To jeszcze za przedwczoraj. Przedwczoraj spędziliśmy tutaj cały wieczór.

– Ale zasłoniliśmy dziurkę od klucza, a patefon grał bez przerwy. Skąd jej to przyszło do głowy?

– Tak, skąd – powiedziała Elżbieta i obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

Graebera oblał nagły żar. „Gdzie ja miałem oczy pierwszego wieczoru?" – pomyślał.

– Co się stało z tym szatanem? – spytał.

– Poszła z dzieckiem na wieś zbierać datki na jakąś tam pomoc – zimową czy letnią. Wróci dopiero jutro w nocy. Dzisiejszy wieczór i cały jutrzejszy dzień należą do nas.

– Jak to cały jutrzejszy dzień? Nie musisz iść do fabryki?

– Jutro nie. Jutro jest niedziela. Na razie niedziele mamy jeszcze wolne.

– Niedziela! Co za szczęście! Nie miałem o tym pojęcia! Nareszcie będę cię mógł zobaczyć w dziennym świetle. Dotychczas widywałem cię zawsze wieczorem lub w nocy.

– Doprawdy?

– Tak. W poniedziałek wyszliśmy po raz pierwszy. Z butelką armaniaku.

– To prawda – powiedziała Elżbieta zaskoczona. – Ja ciebie też jeszcze nie widziałam za dnia. – Umilkła na chwilę, potem spojrzała na niego i znów odwróciła wzrok. – Prowadzimy bardzo gorączkowe życie, prawda?

– Nie pozostaje nam nic innego.

– To też prawda. A co będzie, gdy jutro w południe staniemy naprzeciw siebie w jaskrawym świetle słonecznym?

– Pozostawmy to boskiej opatrzności. Ale co zrobimy z dzisiejszym wieczorem? Pójdziemy do tej samej restauracji co wczoraj? To podła knajpa! Brak nam „Germanii". Szkoda, że zamknięta.

– Możemy zostać tutaj. Do picia mamy jeszcze dosyć. Spróbuję coś ugotować.

– Wytrzymasz w domu? Nie wolałabyś gdzieś wyjść?

– Kiedy nie ma pani Lieser, czuję się tu jak na wakacjach.

– Zostańmy więc w domu. Będzie cudownie. Jeden wieczór bez muzyki. A ja nie muszę wracać do koszar. Ale co z kolacją? Naprawdę umiesz gotować? Nie wyglądasz na to.

– Mogę spróbować. Wiele zresztą i tak nie ma. Tylko to, co na kartki.

– To chyba niewiele.

Przeszli do kuchni. Graeber zlustrował zapasy Elżbiety. Nic prawie nie było – trochę chleba, sztucznego miodu, margaryny, dwa jajka i kilka pomarszczonych jabłek.

– Mam jeszcze kupony – powiedziała. – Możemy coś wykupić. Znam sklep otwarty wieczorem.

Graeber zamknął szufladę.

– Zachowaj swoje kartki żywnościowe. Będziesz ich potrzebowała dla siebie. Na dzisiaj musimy coś zdobyć w inny sposób. Zorganizować.

– Tu nic nie można ukraść, Ernst – powiedziała Elżbieta zaniepokojona. – Pani Lieser zna każdy gram swoich zapasów.

– Przypuszczam. Ja też wcale nie chcę dzisiaj kraść. Chcę rekwirować jak żołnierz we wrogim kraju. Niejaki Alfons Binding zaprosił mnie na małą uroczystość. Wezmę od niego to, co bym zjadł, gdybym brał udział w przyjęciu, i przyniosę tutaj. On ma w domu olbrzymie zapasy. Wrócę za pół godziny.

Alfons przyjął Graebera z rozpaloną głową i otwartymi ramionami.

– Wspaniale, że przyszedłeś, Ernst! Wejdź! Dzisiaj są moje urodziny! Jest u mnie kilku kolegów.

Pokój myśliwski pełen był dymu i ludzi.

– Słuchaj, Alfons – powiedział Graeber szybko na korytarzu. – Nie mogę zostać. Wpadłem tylko na chwilę i zaraz muszę odejść.

– Odejść? Ależ, Ernst, mowy nie ma!

– Muszę. Umówiłem się, zanim mi powtórzono, że o mnie pytałeś.

– Nic nie szkodzi! Powiedz tym ludziom, że musiałeś pójść na nieprzewidziane posiedzenie oficjalne. Albo na przesłuchanie! – Alfons wybuchnął głośnym śmiechem. – Tam siedzą dwaj oficerowie gestapo! Zaraz ci ich przedstawię. Powiesz, że musiałeś iść do gestapo. I nawet nie skłamiesz. Albo sprowadź tu swoich znajomych, jeśli są mili.

– Niemożliwe.

– Czemu nie? Dlaczego niemożliwe? U nas wszystko jest możliwe!

Graeber zrozumiał, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

– Powinieneś się domyślić, Alfons. Nie wiedziałem, że dziś są twoje urodziny. Przyszedłem, aby wziąć od ciebie coś niecoś do jedzenia i picia. Mam się z kimś spotkać, ale w żadnym wypadku nie przyprowadzę jej tutaj. Byłbym skończonym osłem, gdybym to zrobił. Zrozumiałeś wreszcie?

Binding wyszczerzył zęby.

– Pojmuję! – oświadczył. – Wieczna kobieta! Nareszcie! Martwiłem się już o ciebie! Rozumiem, Ernst. Jesteś usprawiedliwiony. Chociaż i tutaj mamy kilka wesołych dziewuszek. Może chcesz je sobie przedtem obejrzeć? Irma, ta blondynka w pantoflach na wysokich obcasach, to lepszy numer, jest komendantką w obozie koncentracyjnym dla kobiet. A z Gudrun na pewno jeszcze dzisiaj będziesz mógł iść do łóżka. Dla frontowych żołnierzy jest zawsze do wzięcia. Zapach okopów podnieca ją.

– Mnie nie.

Alfons zaśmiał się.

– Zapach obozu koncentracyjnego Irmy też nie, prawda? Na to leci Steegemann. Ten grubas na kanapie. Ona nie jest w moim typie. Jestem normalny i wolę pulchne. Widzisz tę małą w kącie? Jak ci się podoba?

– Niczego sobie.

– Chcesz? Odstąpię ci ją, jeśli zostaniesz.

Graeber potrząsnął głową.

– Nie da rady.

– Rozumiem. Na pewno znalazłeś pierwszorzędną dziewczynę! Nie musisz się rumienić, Ernst, jestem dżentelmenem. Chodźmy do kuchni i wyszukajmy coś niecoś dla ciebie; a potem wypijesz kieliszek za moje zdrowie. Zgoda?

– Zgoda.

W kuchni gospodarowała pani Kleinert w białym fartuchu.

– Mamy dziś zimne zakąski, Ernst – powiedział Binding. – Twoje szczęście! Wyszukaj sobie, co chcesz! Albo lepiej – pani Kleinert, proszę przygotować ładną paczuszkę. A my zejdziemy tymczasem do piwnicy.

Piwnica była dobrze zaopatrzona.

– Teraz zdaj się na Alfonsa – powiedział Binding z porozumiewawczym uśmieszkiem. – Nie pożałujesz. A więc najpierw masz tu prawdziwą zupę żółwiową w konserwach. Przed jedzeniem trzeba ją podgrzać. Pochodzi jeszcze z Francji. Bierz dwie.

Graeber wziął puszki. Alfons szukał dalej.

– Szparagi holenderskie, dwie puszki. Możesz jeść na zimno lub na gorąco. Z gotowaniem nie ma wiele kłopotu. A do tego praska szynka w puszce. To wkład Czechosłowacji. – Wszedł na małą

drabinkę. – Kawałek duńskiego sera i puszka masła. Wszystko się długo trzyma, to zaleta konserw. Weź jeszcze kompot z brzoskwiń. A może twoja pani woli truskawki?

Graeber popatrzył na sterczące przed nim krótkie nogi w błyszczących butach. Za nimi połyskiwały rzędy słoików i puszek. Potem pomyślał o mizernych zapasach Elżbiety.

– Co dwa, to nie jedno – powiedział. – Daj obie.

Alfons zaśmiał się.

– Racja! Nareszcie jesteś znów taki jak dawniej. Nie ma sensu się smucić! I tak nas diabli wezmą! Łap, co możesz, a klechy niech się martwią o resztę. Takie są moje zasady.

Zszedł z drabinki i udał się do drugiej piwnicy, w której leżały butelki.

– Mamy tu solidny wybór łupu. Nasi wrogowie są sławni ze swych wódek. Co chcesz? Wódkę? Armaniak? A może polską śliwowicę?

Graeber nie zamierzał właściwie prosić o napoje. Zapas z „Germanii" jeszcze wystarczał. Ale Binding miał rację: łup jest łupem i należy go brać, gdzie się da.

– Może chcesz szampana? – zapytał Binding. – Ja tego świństwa nie lubię. Ale podobno cudownie nadaje się do miłości. Weź butelkę. Mam nadzieję, że ułatwi ci starania dzisiejszej nocy. – Zaśmiał się głośno. – Wiesz, jaka jest moja najulubieńsza wódka? Kminkówka, czy dasz wiarę? Stara, poczciwa kminkówka. Bierz ją i pomyśl przy piciu o Alfonsie.

Wziął butelki pod pachę i wrócił do kuchni.

– Niech pani przygotuje dwie paczki, pani Kleinert. Jedną z jedzeniem, a drugą z butelkami. Butelki trzeba przełożyć

papierem, żeby się nie potłukły. I proszę zapakować ćwierć funta prawdziwej kawy. Czy to wystarczy, Ernst?

– Mam nadzieję, że zdołam wszystko udźwignąć.

Binding promieniał.

– Alfons nie jest sknerą, prawda? Zwłaszcza w dniu swoich urodzin! A już na pewno nim nie jest wobec starego kolegi szkolnego!

Stał przed Graeberem z błyszczącymi oczyma i zaczerwienioną, płonącą twarzą. Wyglądał jak chłopiec, który znalazł ptasie gniazda. Graeber był wzruszony jego dobrocią, ale potem przyszło mu na myśl, że Alfons tak samo wyglądał wtedy, gdy przysłuchiwał się opowiadaniom Heiniego o Rosji.

Binding mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Kawa jest na jutro rano. Spodziewam się, że niedzielę potraktujesz poważnie i nie pójdziesz spać do koszar. A teraz chodź! Zapoznam cię szybko z kilkoma przyjaciółmi. Riese i Hoffmann – z gestapo. Mogą ci się kiedyś przydać. Wejdź chociaż na parę chwil. Wypij kieliszek za moje zdrowie! I żeby wszystko – dom i cała reszta – zostało tak jak dotąd! – Oczy Bindinga zwilgotniały. – My, Niemcy, jesteśmy już takimi beznadziejnymi romantykami!

– Nie możemy tego zostawić w kuchni – powiedziała Elżbieta oszołomiona. – Musimy wszystko schować. Gdyby pani Lieser to zobaczyła, oskarżyłaby mnie natychmiast o paskarstwo.

– Do diabła! O tym nie pomyślałem! Czy nie można by jej przekupić? Damy jej z tego coś, na co sami nie mamy ochoty!

– A na co nie mamy ochoty?

Graeber zaśmiał się.

– Chyba tylko na twój sztuczny miód albo margarynę. Ale za parę dni i to może się nam przydać.

– Niczym jej nie przekupisz – oświadczyła Elżbieta. – Dumna jest, że żyje tylko z przydziałów kartkowych.

Graeber zastanawiał się.

– Część zdołamy zjeść do jutrzejszego wieczoru – oświadczył wreszcie. – Wszystkiego nie damy rady. Co zrobimy z resztą?

– Schowamy w moim pokoju. Za sukniami i książkami.

– A jeśli będzie myszkować?

– Codziennie przed wyjściem zamykam mój pokój na klucz.

– A jeśli ma drugi?

Elżbieta podniosła wzrok.

– Nie wpadło mi to na myśl, a jest zupełnie możliwe.

Graeber otworzył butelkę.

– Zastanowimy się nad tym jutro po południu. Na razie zjemy tyle, ile zdołamy. Wypakujmy wszystko! Zastawimy cały stół, jak na urodziny. Wszystko razem i wszystko naraz!

– Konserwy też?

– Konserwy też. Jako dekorację. Ale nie otworzymy ich. Najpierw zjemy to, co się szybko psuje. I ustawimy wszystkie butelki. Cały nasz majątek, zdobyty uczciwie dzięki kradzieży i korupcji.

– Te z „Germanii" również?

– Tak. Zapłaciliśmy za nie rzetelnie – śmiertelnym strachem.

Wysunęli stół na środek pokoju. Potem rozwinęli paczki i odkorkowali śliwowicę, koniak i kminkówkę. Szampana nie otwierali, trzeba by go zaraz wypić; wódki można z powrotem zakorkować.

– Ach, jak wspaniale! – wykrzyknęła Elżbieta. – Co będziemy świętować?

Graeber podał jej kieliszek.

– Będziemy świętować wszystko naraz. Nie mamy już czasu na obchodzenie wielu poszczególnych uroczystości. Ani na to, żeby je w ogóle rozróżniać. Po prostu święcimy wszystko razem, obojętne co, przede wszystkim jednak to, że jesteśmy tutaj i że mamy dwa dni wyłącznie dla siebie!

Obszedł stół i wziął Elżbietę w ramiona. Czuł ją przy sobie, a zarazem miał wrażenie, że rodzi się w nim drugie życie, gorętsze, bogatsze, barwniejsze i lżejsze niż jego własne, bez granic i bez przeszłości, będące wyłącznie teraźniejszością i nieosnute najmniejszym cieniem winy. Przytuliła się do niego. Przed nim błyszczał świątecznie nakryty stół.

– Czy tego trochę nie za wiele na jeden toast? – spytała.

Potrząsnął głową.

– Wyraziłem się tylko zbyt rozwlekle, w istocie wszystko sprowadza się do tego samego – bądźmy zadowoleni, że jeszcze żyjemy.

Elżbieta wychyliła kieliszek.

– Nieraz myślę, że potrafilibyśmy wykorzystać życie, gdyby nam tylko pozwolono.

– Właśnie to robimy – odparł Graeber.

Okno stało otworem. Poprzedniego wieczoru bomba trafiła w dom naprzeciwko i wszystkie szyby w pokoju były wytłuczone. Elżbieta opięła ramy czarnym papierem, ale zawiesiła lekkie, jasne zasłony powiewające teraz na wietrze. Dzięki temu pokój nie wyglądał już jak grobowiec.

Nie zapalali światła, toteż mogli pozostawić otwarte okno. Od czasu do czasu słyszeli kroki na ulicy. Gdzieś grało radio. Ktoś kaszlał. Zatrzaskiwano bramy. Zamykano okiennice.

– Miasto idzie spać – powiedziała Elżbieta. – A ja jestem solidnie wstawiona.

Leżeli obok siebie. Na stole pozostały resztki kolacji i wszystkie butelki prócz wódki, koniaku i szampana. Niczego nie uprzątnęli; liczyli się z tym, że znów poczują głód. Wódkę wypili. Koniak stał na podłodze przy łóżku, a za łóżkiem szumiała woda w umywalce. Chłodził się w niej szampan.

Graeber odstawił kieliszek na mały stolik obok łóżka. Miał wrażenie, że znajduje się w jakimś małym miasteczku przed wojną. Szumiał wodotrysk, lipa brzęczała pszczołami, zamykano okna i tylko gdzieś daleko ktoś grał przed snem na skrzypcach.

– Wkrótce pojawi się księżyc – szepnęła Elżbieta.

„Wkrótce pojawi się księżyc – pomyślał. – Księżyc: tkliwość i proste ludzkie szczęście". Już się zjawiły. Czuł je w samym krążeniu krwi, w spokojnym, pozbawionym wszelkich pragnień umyśle i w oddechu powolnym niby znużony wiatr. Przypomniał sobie rozmowę z Pohlmannem. Wydawała mu się nieskończenie odległa. „Dziwne – myślał – że po zupełnej beznadziejności tak szybko może się zjawić silne uczucie. Ale może to wcale nie jest dziwne; może tak właśnie musi być. Póki człowieka nurtują wątpliwości, niezdolny jest do wielu innych doznań; dopiero gdy już niczego nie oczekuje, staje się dostępny wszelkim uczuciom i wyzbywa się lęku".

Promień światła przemknął przez okno. Zniknął, potem znów zamigotał i zatrzymał się.

– Czy to już księżyc? – spytał Graeber.

– To niemożliwe. Światło księżyca nie bywa takie białe.

Usłyszeli czyjeś głosy. Elżbieta wstała i wsunęła stopy w pantofle. Podeszła do okna i wychyliła się. Nie szukała zarzutki ani szlafroka. Była piękna, wiedziała o tym i dlatego nie odczuwała wstydu.

– To brygada porządkowa obrony przeciwlotniczej. Mają ze sobą reflektor, łopaty i kilofy i pracują przy domu naprzeciwko. Sądzisz, że w piwnicy mogą być jeszcze zasypani?

– Czy w ciągu dnia kopali?

– Nie wiem. Nie było mnie w domu.

– Może chcą tylko naprawić przewody.

– Tak, może.

Elżbieta podeszła do łóżka.

– Nieraz po nalocie pragnęłam, żeby wrócić tutaj i zastać mieszkanie spalone. Mieszkanie, meble, suknie i wspomnienia. Wszystko. Czy ty to rozumiesz?

– Tak.

– Nie mam na myśli wspomnień po moim ojcu, lecz wszystko inne – strach, rozpacz i nienawiść. Gdyby dom się spalił, skończyłoby się i to – myślałam – i mogłabym zacząć żyć od nowa.

Blade światło z ulicy padało na jej ramiona. Słychać było głuche uderzenia kilofów i szuranie łopat.

– Podaj mi butelkę z umywalni – powiedział Graeber.

– Tę z „Germanii”?

– Tak. Wypijmy ją, nim wyleci w powietrze. I włóż do wody tę drugą, od Bindinga. Kto wie, kiedy będzie następny nalot. A te butelki pełne kwasu węglowego wybuchają już od samego

podmuchu. W domu są niebezpieczne jak granaty ręczne. Czy mamy kieliszki?

– Nie, tylko szklanki.

– Szklanki są w sam raz do szampana. W Paryżu też tak piliśmy.

– Byłeś w Paryżu?

– Tak. Na początku wojny.

Elżbieta przyniosła szklanki i usiadła przy nim. Ostrożnie otworzył butelkę. Wino, pieniąc się, spłynęło do szklanek.

– Jak długo byłeś w Paryżu?

– Kilka tygodni.

– Bardzo was tam nienawidzili?

– Nie wiem. Może. Nie zauważyłem. Nie chciałem zresztą tego widzieć. Wówczas wierzyliśmy jeszcze w większość tych rzeczy, które w nas wmawiano. Chcieliśmy szybko zakończyć wojnę i siedzieć przed kawiarnią w słońcu na ulicy, pić wino, którego smaku nie znaliśmy. Byliśmy bardzo młodzi.

– Młodzi... mówisz tak, jakby to było przed laty...

– Tak też się wydaje.

– A dzisiaj nie jesteś młody?

– Owszem, ale inaczej.

Elżbieta podniosła szklankę w stronę drgającego w oknie światła karbidowego, które padało z ulicy. Poruszyła nią lekko i obserwowała, jak perli się wino. Graeber widział jej ramiona, fale włosów, plecy i linię kręgosłupa o długich, łagodnych cieniach.

„Ona nie musi zaczynać życia od nowa – pomyślał. – Gdy jest naga, nie ma nic wspólnego z tym pokojem i ze swym zawodem, i z panią Lieser. Należy do tego migotania za oknem i do tej

niespokojnej nocy, do ślepego wzburzenia krwi i dziwnej obcości, która potem następuje, do ochrypłych nawoływań i głosów z ulicy, do życia, a może i do umarłych, których się wykopuje – ale nie należy do przypadku, do pustki i do bezmyślnej zatraty. Już nie! Wydaje się, jakby odrzuciła przebranie i nagle, bez zastanowienia kierowała się nakazami, o których wczoraj jeszcze nic nie wiedziała".

– Chciałabym być z tobą w Paryżu – powiedziała. – Chciałabym, żebyśmy teraz mogli tam pojechać i żeby nie było wojny. Wpuściliby nas?

– Może. W Paryżu nic nie zniszczyliśmy.

– A we Francji?

– Mniej niż w innych krajach. Tam wszystko odbyło się szybko.

– Może jednak zniszczyliście dosyć, aby nas nienawidzili jeszcze przez długie lata.

– Tak, możliwe. O wielu rzeczach zapomina się, gdy wojna trwa długo. Może nas nienawidzą.

– Chciałabym pojechać do jakiegoś kraju, gdzie nic nie zostało zniszczone.

– Niewiele znajdziesz takich krajów, które nie byłyby zniszczone – odparł Graeber. – Czy mamy jeszcze coś do picia?

– Tak, dosyć. Gdzie byłeś jeszcze?

– W Afryce.

– W Afryce także? Wiele widziałeś.

– Tak. Ale nie w taki sposób, o jakim dawniej marzyłem.

Elżbieta podniosła z podłogi butelkę i napełniła szklanki. Graeber przyglądał się jej. Wszystko wydawało się trochę nierealne, i to nie tylko dlatego, że wypili. Słowa przelatywały

w półmroku tu i tam i nie miały znaczenia, a to, co miało znaczenie, nie posiadało słów i nie można było o tym mówić. Przypominało to przybór i opadanie bezimiennej rzeki, a słowa krążyły po niej jak żagle.

– Gdzie jeszcze byłeś?

„Żagle – pomyślał Graeber. – Gdzie widziałem żagle na rzekach?”

– W Holandii – odparł. – Na samym początku wojny. Były tam łodzie płynące po kanałach i kanały tak płaskie i niskie, że wydawało się, jakby łodzie sunęły po lądzie. Płynęły bezgłośnie i miały wielkie żagle, i przedziwnie to wyglądało, gdy o zmierzchu sunęły przez kraj jak olbrzymie białe, niebieskie i czerwone motyle.

– Holandia... Może po wojnie będziemy mogli tam pojechać. Będziemy pili kakao i jedli biały chleb i dużo holenderskiego sera, a wieczorem przyglądali się łodziom.

„Jedzenie – pomyślał Graeber. – W czasie wojny wyobrażenia o szczęściu zawsze związane są z jedzeniem”.

– A może i tam nie będziemy mogli pojechać? – spytała.

– Chyba nie. Napadliśmy na Holandię bez uprzedzenia i zniszczyliśmy Rotterdam. Widziałem ruiny. Nie pozostał prawie ani jeden cały dom. Trzydzieści tysięcy zabitych. Obawiam się, że nas tam nie wpuszczą, Elżbieto.

Milczała przez jakiś czas. Potem uniosła nagle szklankę i cisnęła ją na podłogę. Szkło zabrzęczało i rozprysło się.

– Nigdzie nie możemy już jechać! – krzyknęła. – Po cóż więc marzymy! Nigdzie! Jesteśmy uwięzieni, odosobnieni i wyklęci!

Graeber usiadł na łóżku. W drgającym wapiennym świetle padającym z ulicy oczy jej błyszczały jak przejrzysty kryształ. Przechylił się ponad nią i spojrzał na podłogę. Odłamki szkła ciemno połyskiwały obrzeżami.

– Musimy zapalić światło i pozbierać je – powiedział. – Inaczej pokaleczymy sobie nogi. Poczekaj, zamknę najpierw okno.

Przeszedł przez poręcz łóżka. Elżbieta zapaliła światło i sięgnęła po szlafrok. W blasku lampy stawała się wstydliwa.

– Nie patrz na mnie – powiedziała. – Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Zazwyczaj nie jestem taka.

– Właśnie że taka jesteś. I masz rację. Nie pasujesz do tego otoczenia. Toteż bez skrupułów możesz od czasu do czasu coś stłuc.

– Chciałabym wiedzieć, do czego pasuję.

Graeber zaśmiał się.

– Czy ja wiem? Może do cyrku lub do barokowego pałacu, lub między stylowe meble, albo do namiotu. W każdym razie nie do tego białego panieńskiego pokoju. A ja pierwszego wieczoru sądziłem, że jesteś bezradna i potrzebujesz opieki!

– Bo tak też jest.

– Tacy jesteśmy wszyscy. Ale dajemy sobie radę również bez opieki i pomocy.

Rozłożył gazetę na podłodze, a drugą zgarniał odłamki szkła. Spojrzał przy tym na tytuły. *Dalsze skracanie frontów. Ciężkie walki pod Orłem.* Zwinął gazetę i wrzucił ją do kosza na papiery. Ciepłe światło pokoju wydawało się nagle podwójnie ciepłe. Z ulicy dobiegało stukanie i zgrzyt świdrów brygady porządkowej.

Na stole stały podarki Bindinga. „Nieraz myśli się o wielu sprawach równocześnie” – przeszło mu przez głowę.

– Uprzątnę szybko ze stołu – powiedziała Elżbieta. – Nie mogę już na to patrzeć.

– Gdzie chcesz to postawić?

– W kuchni. Ze schowaniem możemy zaczekać do jutrzejszego wieczoru.

– Jutro wieczorem niewiele z tego zostanie. Ale co będzie, jeśli pani Lieser wróci wcześniej?

– No to wróci wcześniej.

Graeber spojrzał na Elżbietę zaskoczony.

– Sama się sobie dziwię, jak bardzo zmieniam się z każdym dniem – powiedziała.

– Nie z każdym dniem, z każdą godziną.

– A ty?

– Ja również.

– Czy to dobrze?

– Tak. A jeśli nawet niedobrze, to też nie ma znaczenia.

– Nic już nie ma znaczenia, prawda?

– Chyba ma.

– Czas życia...

Elżbieta zgasiła światło.

– Możemy znów odsłonić grobowiec.

Graeber otworzył okno. Natychmiast wleciał wiatr. Firanki zafalowały.

– Oto księżyc – powiedziała Elżbieta.

Tarcza jego wynurzała się żglista i czerwona nad zniszczonym dachem przeciwległego domu. Była jak potwór wżerający się

w ulicę rozżarzonym pyskiem. Graeber wziął dwie szklanki i napełnił je do połowy koniakiem. Jedną podał Elżbiecie.

– Wypijmy teraz to. Wino nie smakuje w ciemności.

Księżyc wzniósł się wyżej, bardziej dostojny i złocisty. Przez jakiś czas leżeli w milczeniu. Elżbieta odwróciła głowę.

– Jacy my właściwie jesteśmy? – spytała. – Szczęśliwi czy nieszczęśliwi?

Graeber zastanowił się.

– Jedno i drugie. Tak już chyba musi być. Wyłącznie szczęśliwe są dzisiaj tylko krowy. Zresztą może i one już nie. Może już tylko kamienie.

– To także nie ma znaczenia, prawda?

– Nie.

– Czy cokolwiek ma jeszcze znaczenie?

– Tak. – Graeber patrzył w zimne, złociste światło, powoli wypełniające pokój. – Nie jesteśmy już umarli – powiedział. – I nie jesteśmy jeszcze umarli.

XVI

Była niedziela rano. Graeber znalazł się na Hakenstrasse. Zauważył, że w wyglądzie ruin coś się zmieniło. Zniknęła wanna oraz resztka schodów; wzdłuż muru przekopano wąską dróżkę wiodącą na podwórze, a stamtąd, w bok, w stronę szczątków domu. Wydawało się, jakby rozpoczęła tu pracę brygada porządkowa.

Przecisnął się przez odgruzowane wejście do na poły zasypanego pomieszczenia, w którym rozpoznał dawną pralnię domową. Dalej prowadził ciemny, niski korytarz. Graeber zapalił zapałkę i oświetlił wnętrze.

– Co pan tu robi? – krzyknął nagle ktoś za nim. – Niech pan natychmiast wyjdzie!

Obejrzał się. W ciemności nie mógł nikogo dojrzeć, więc zawrócił. W pralni stał mężczyzna wsparty na kulach. Miał na sobie cywilne ubranie, na które narzucił wojskowy płaszcz.

– Czego się pan tu kręci? – parsknął.

– Ja tutaj mieszkam. A pan?

– Tutaj mieszkam ja i nikt poza tym, zrozumiano? A pan na pewno nie! Po co pan tu myszkuje? Żeby kraść?

– Człowieku, nie denerwuj się – powiedział Graeber, spoglądając na kule i wojskowy płaszcz. – Moi rodzice mieszkali tutaj i ja również, póki nie poszedłem do Prusaków. Teraz już jesteś zadowolony?

– Każdy tak może mówić.

Graeber ujął kalekę za kule, odsunął go ostrożnie na bok i wyszedł z korytarza.

Na dworze spostrzegł jakąś kobietę nadchodzącą z dzieckiem. Za nią szedł drugi mężczyzna z kilofem w ręku. Kobieta wyszła z czegoś w rodzaju szopy skleconej za domem; mężczyzna zbliżał się z drugiej strony. Otoczyli Graebera.

– Co się stało, Otto? – spytał kalekę mężczyzna z kilofem.

– Przyłapałem go. Myszkował tutaj. Twierdzi, że jego rodzice tu mieszkali.

Mężczyzna z kilofem zaśmiał się ochryple.

– I co jeszcze?

– Nic – odparł Graeber. – Tylko tyle.

– Nic innego nie wpadło ci do głowy? – Mężczyzna ważył kilof w ręku i nagle uniósł go do góry. – Zmykaj! Liczę do trzech. Bo ci łeb rozwalę. Raz...

Graeber doskoczył z boku i uderzył. Gdy mężczyzna upadł, wyrwał mu kilof z ręki.

– Tak będzie lepiej. A teraz wołajcie policję, jeśli chcecie! Ale chyba nie chcecie, co?

Mężczyzna podniósł się powoli. Z nosa kapała mu krew.

– Nie radzę ci próbować jeszcze raz – powiedział Graeber. – U Prusaków nauczono mnie walki wręcz. A teraz powiedzcie, co wy tutaj robicie.

Kobieta wysunęła się do przodu.

– Mieszkamy tutaj. Czy to przestępstwo?

– Nie. A ja przyszedłem, bo moi rodzice tutaj mieszkali. Może to jest przestępstwo?

– Prawdę mówisz? – spytał kaleka.

– No chyba! Co tu można ukraść?

– Wystarczy dla kogoś, kto nie ma nic – odparła kobieta.

– Ale nie dla mnie. Przyjechałem na urlop i znów wracam na front. Widzieliście tę kartkę przed bramą na ulicy? Tę, na której ktoś poszukuje rodziców? To właśnie ja.

– To ty? – spytał kaleka.

– Tak, ja.

– To co innego. Rozumiesz, kolego, że człowiek staje się podejrzliwy. Zostaliśmy zbombardowani i ulokowaliśmy się tutaj. Gdzieś przecież trzeba mieszkać.

– Sami odkopaliście to wszystko?

– Częściowo. Inni nam trochę pomogli.

– Kto?

– Znajomi, którzy mają narzędzia.

– Znaleźliście trupy?

– Nie.

– Na pewno nie?

– Na pewno. My w każdym razie nie. Może dawniej ktoś tu był, ale my nie znaleźliśmy żadnych.

– To właściwie wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Po to nie trzeba było rozbijać człowiekowi głowy – powiedziała kobieta.

– To pani mąż?

– Co to pana obchodzi? To mój brat, nie mąż. Krwawi.

– Tylko z nosa.

– Z zębów też.

Graeber podniósł kilof.

– A to? Co chciał z tym zrobić?

– Nie uderzyłby pana.

– Droga pani – powiedział Graeber – nauczyłem się nie czekać, aż mnie ktoś uderzy.

Wielkim łukiem odrzucił kilof na ruiny. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Dziecko chciało już tam pobiec, aby się po niego wdrapać. Kobieta przytrzymała je. Graeber zauważył teraz wannę. Stała koło szopy. Schody zużyto prawdopodobnie na opał. Puste puszki od konserw, wieszaki do ubrań, pogięte naczynia kuchenne, szmaty, skrzynki i połamane meble leżały na kupie. Rodzina zbudowała tu sobie szopę, i wszystko, co zdołała wygrzebać z gruzów, uważała widocznie za mannę z nieba. Nie można im było brać tego za złe. Życie toczyło się dalej. Dziecko wyglądało zdrowo. Śmierć została przezwyciężona. W ruinach znów zamieszkali ludzie. Nie można im było brać tego za złe.

– Szybko się uwinęliście – powiedział.

– Gdy ktoś nie ma dachu nad głową, musi szybko pracować – odparł kaleka.

Graeber zabierał się do odejścia.

– Nie znaleźliście tu kotki? – spytał. – Takiej małej, czarnej w białe łatki?

– To nasza Roza – powiedziało dziecko.

– Nie – odparła kobieta mrukliwie. – Nie znaleźliśmy żadnej kotki.

Graeber zawrócił. W szopie gnieździło się prawdopodobnie więcej ludzi; inaczej nie zdołaliby w tak krótkim czasie tyle zrobić. Może pomogła im także brygada porządkowa. Nocą często wysyłano teraz więźniów z obozów koncentracyjnych do robót porządkowych w mieście.

Szedł z powrotem. Miał uczucie, jakby nagle stał się biedniejszy; ale nie wiedział dlaczego.

Trafił na zupełnie niezniszczoną ulicę. Nawet wielkie szyby wystawowe sklepów nie były stłuczone. Szedł przed siebie, nie myśląc o niczym. Nagle drgnął. Zobaczył, że ktoś idzie mu naprzeciw, i dopiero po chwili zorientował się, że to on sam zdąża ku sobie w skośnie ustawionym zwierciadle magazynu z konfekcją. Dziwne wrażenie – jakby widział sobowtóra i nie był już sobą, lecz tylko wspomnieniem, które można by wymazać, gdyby postąpił jeszcze choćby o krok dalej.

Stanął i wpatrywał się w swoje odbicie w zmatowiałym, pożółkłym lustrze. Było szare, blade i pomarszczone. Widział tylko oczodoły i ścielące się wokół nich cienie, które zakrywały oczy. Wydawało się, jakby ich już nie miał – a z lustra patrzyła na niego trupia czaszka. Ogarnął go nagle zimny, obcy strach. Nie była to panika ani bunt, ani dławiący, nagły krzyk życia, wzywający do ucieczki, obrony i czujności, lecz cichy, szarpiący, zimny, bezosobowy niemal strach, strach nie do zwalczenia, gdyż był niewidoczny i nieuchwytny, nadchodził jak gdyby z próżni, w której ustawiono gdzieś olbrzymie pompy bezgłośnie wysysające krew z jego żył i życie z kości. Widział jeszcze swój obraz w lustrze, ale miał wrażenie, że zaraz stanie się niewyraźny, falisty, że kontury jego rozpłyną się i obraz zniknie, wessany

przez milczące pompy, wycofany z powrotem z doczesności i przypadkowego kształtu, który przez krótki czas nazywał się Ernstem Graeberem; z powrotem do nieskończoności, która była nie tylko śmiercią, lecz czymś okrutnie gorszym: zagładą, rozpadem, kresem własnego ja, bezsensownym wirem atomów – nicością.

Stał tak przez jakiś czas, głęboko wstrząśnięty. „Co pozostanie? Co pozostanie, gdy mnie już nie będzie? Nic prócz przemijających wspomnień w myślach nielicznych osób, rodziców, jeśli jeszcze żyją, kilku kolegów, może Elżbiety – i na jak długo?" Spojrzał w lustro. Wydało mu się, że jest już lekki jak kawałek papieru, cienki, podobny do cienia i że najlżejszy powiew wiatru mógłby go unieść; miał uczucie, że jest już tylko wyssaną przez pompy pustą powłoką. Co z niego pozostanie? I czego mógłby się uchwycić, gdzie zarzucić kotwicę, gdzie znaleźć oparcie i coś, co by go trzymało, aby nie został całkowicie wymazany spośród żyjących?

– Ernst – powiedział ktoś za nim.

Odwrócił się raptownie. Przed nim stał jakiś mężczyzna bez nogi, wsparty na kulach. Przez chwilę Graeber myślał, że to kaleka z Hakenstrasse; potem poznał swego kolegę szkolnego Mutziga.

– Karol, to ty? Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Już od dawna. Prawie pół roku.

Popatrzyli na siebie.

– Tego się człowiek nie spodziewał, co? – powiedział Mutzig.

– Czego?

Mutzig uniósł kule i znów je opuścił.

– Tego.

– Przynajmniej wydostałeś się z tego gnoju. A ja znów muszę tam wracać.

– Zależy, jak się człowiek na to zapatruje. Jeżeli wojna potrwa jeszcze kilka lat, to miałem szczęście: a jeśli skończy się za sześć tygodni – przeklętego pecha.

– Dlaczego miałaby się skończyć za sześć tygodni?

– Nie wiem. Ja tylko mówię: jeżeli...

– To co innego.

– Dlaczego nas nie odwiedzisz? – spytał Mutzig. – Bergmann też tu jest. Obie ręce... po łokcie...

– Gdzie mieszkacie?

– W szpitalu miejskim. Oddział amputowanych. Zajmujemy całe lewe skrzydło. Wstąp kiedy na chwilę.

– Dobrze.

– Na pewno? Wszyscy tak mówią, a potem nikt nie przychodzi.

– Przyjdę z całą pewnością.

– Dobrze. Rozerwiesz się. Stanowimy wesołe towarzystwo. Przynajmniej w mojej izbie.

Znów popatrzyli na siebie. Nie widzieli się trzy lata, ale teraz powiedzieli sobie od razu wszystko, co można było powiedzieć.

– A więc bywaj zdrów, Ernst.

– I ty, Karol.

Uścisnęli sobie ręce.

– Czy wiesz, że Siebert nie żyje? – spytał Mutzig.

– Nie.

– Poległ przed sześcioma tygodniami. Leiner też.

– Leiner? O tym także nie wiedziałem.

– Leiner i Lingen. Polegli tego samego dnia. Brüning zwariował. Słyszałeś, że i Hollmann zginął?

– Nie.

– Bergmannowi ktoś powiedział... A więc bywaj zdrów, Ernst! I nie zapomnij nas odwiedzić.

Mutzig pokusztykał dalej.

„Mówi o zabitych jakby z pewną satysfakcją – pomyślał Graeber. – Może przynosi mu to ulgę w jego własnym nieszczęściu". Popatrzył za nim. Noga była amputowana wysoko, pod samą pachwiną. Mutzig był kiedyś najlepszym biegaczem w klasie. Graeber nie wiedział, czy ma mu współczuć, czy zazdrościć. Mutzig miał rację: wszystko zależy od tego, co ich jeszcze czeka.

Gdy wszedł do pokoju, Elżbieta siedziała na łóżku w białym płaszczu kąpielowym, wokół głowy owinęła sobie ręcznik jak turban. Siedziała piękna i cicha, zatopiona w myślach, podobna do wielkiego, jasnego ptaka, który wleciał przez okno i odpoczywa, aby za chwilę znów odfrunąć.

– Zużyłam cały tygodniowy przydział gorącej wody – powiedziała. – To wielki luksus. Pani Lieser dopiero narobi krzyku!

– Niech sobie krzyczy. Jej ciepła woda i tak niepotrzebna. Prawdziwe hitlerówki rzadko się kąpią. Czystość to żydowski nałóg.

Graeber podszedł do okna i wyjrzał. Niebo było szare, a ulica opustoszała. W oknie naprzeciwko stał jakiś owłosiony mężczyzna w szelkach i ziewał. Z innego okna dobiegały dźwięki fortepianu, a przenikliwy głos kobiecy wywodził gamy. Graeber wpatrywał się

w odkopane wejście do piwnicy i przypomniał sobie dziwny, zimny strach, który odczuł na ulicy przed sklepem z lustrem. Wzdrygnął się znowu. „Co pozostanie? Cośkolwiek powinno zostać – pomyślał – jakaś kotwica, która człowieka trzyma, by nie zginął i aby powrócił. Ale co? Elżbieta? Czy jest mi naprawdę bliska? Znam ją przecież od tak niedawna i znów odchodzę na długie lata. Czy mnie nie zapomni? Jak mógłbym ją zachować dla siebie, a siebie dla niej?”

Odwrócił się.

– Elżbieto, powinniśmy się pobrać.

– Pobrać? Dlaczego?

– Ponieważ to nie ma sensu; ponieważ znamy się dopiero od kilku dni i wkrótce znów będę musiał odejść; ponieważ nie wiemy, czy chcemy zostać razem, i wcale tego w tak krótkim czasie nie możemy wiedzieć. Dlatego.

– Uważasz, że powinniśmy to zrobić, ponieważ jesteśmy samotni i zrozpaczeni, i nie mamy nic więcej?

– Nie.

Milczała.

– Nie tylko dlatego – powiedział.

– Dlaczegóż więc?

Spojrzał na nią. Widział, jak oddycha. Wydała mu się nagle całkiem obca. Piersi jej unosiły się i opadały, jej ramiona były inne niż jego, jej ręce były inne, jej myśli, jej życie... nie zrozumiałaby go, jakżeby też mogła, sam przecież nie rozumiał, dlaczego nagle tego zapragnął.

– Jeżeli się pobierzemy, pani Lieser nic ci już nie zrobi. Jako żona żołnierza będziesz chroniona.

– Doprawdy?

– Tak. – Graeber zmieszał się pod jej spojrzeniem. – Przynajmniej trochę to pomoże.

– To nie jest wystarczający powód. Z panią Lieser dam sobie radę. Małżeństwo! Zresztą nie mamy już na to czasu.

– Dlaczego nie?

– Potrzebne są przecież dokumenty, pozwolenia, świadectwo aryjskości, orzeczenie lekarskie i kto wie, co jeszcze. To potrwa tygodnie.

„Tygodnie – pomyślał Graeber. – Tak lekko to powiedziała. Gdzie ja wtedy będę?”

– Z żołnierzami jest inaczej – oświadczył. – Śluby wojenne załatwia się szybciej. W ciągu kilku dni. Tak mi mówili koledzy z koszar.

– Tam ci to wpadło na myśl?

– Nie. Dopiero dzisiaj rano. Ale w koszarach często się o tym mówi. Wielu żołnierzy żeni się na urlopie. Właściwie dlaczego nie? Jeśli żołnierz frontowy bierze ślub, żona jego dostaje miesięczną rentę, dwieście marek, zdaje się. Dlaczego darować to państwu? Jeśli żołnierz nadstawia głowę, niech przynajmniej otrzyma to, co mu się należy. Tobie przydadzą się te pieniądze, a tak państwo je zatrzymuje. Racja?

– Jeśli się tak na to zapatrujesz, może to i racja.

– Ja też tak sądzę – powiedział Graeber z ulgą. – Poza tym istnieją jeszcze tak zwane pożyczki małżeńskie, tysiąc marek, zdaje mi się. Po ślubie będziesz mogła rzucić pracę w tej twojej fabryce płaszczy.

– I tak bym pracowała. To nie ma z tym nic wspólnego. Cóż bym zresztą robiła cały dzień, samotna?

– Tak.

Przez chwilę Graeber czuł się bezradny. „Co oni z nami wyprawiają? Jesteśmy młodzi, powinniśmy być szczęśliwi i przebywać razem. Co nas obchodzą wojny naszych ojców?”

– Wkrótce będziemy samotni – powiedział. – Ale jeśli się pobierzemy, będziemy to mniej odczuwali.

Elżbieta potrząsnęła głową.

– Nie chcesz?

– Wcale nie bylibyśmy mniej samotni – odparła. – Przeciwnie, jeszcze bardziej.

Graeber usłyszał znowu głos kobiety z przeciwka. Przerwała ćwiczenie gam i śpiewała teraz oktawy. Brzmiały jak krzyki, na które jedyną odpowiedzią było echo.

– Przecież to nie jest nieodwołalne, jeśli ci o to chodzi – powiedział. – Później zawsze możemy się rozwieść.

– Po cóż więc mamy się pobierać?

– Po cóż mamy darować coś państwu?

Elżbieta wstała.

– Wczoraj byłeś inny.

– Jak to – inny?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Nie mówmy o tym więcej. Jesteśmy razem, to wystarczy.

– Więc nie chcesz?

– Nie.

Spojrzał na nią. Coś się w niej zamknęło i odsunęło od niego.

– Do diabła! Miałem najlepsze zamiary.

Elżbieta uśmiechnęła się znowu.

– Tak już czasami bywa. Nie należy mieć zbyt dobrych zamiarów. Jest jeszcze coś do picia?

– Mamy śliwowicę.

– To z Polski?

– Tak.

– A nie mamy niczego, co nie byłoby łupem wojennym?

– Została jeszcze butelka kminkówki. Ta jest z Niemiec.

– Daj mi.

Graeber poszedł do kuchni po butelkę. Był zły na siebie. Chwilę stał przed półmiskami i podarunkami Bindinga w półmrocznym pomieszczeniu pachnącym odstałym jedzeniem i czuł się pusty i wypalony. Potem wrócił do pokoju.

Elżbieta stała przy oknie.

– Jak pochmurno – powiedziała. – Będzie padało. Szkoda!

– Dlaczego szkoda?

– To nasza pierwsza niedziela. Moglibyśmy gdzieś wyjść. Za miastem jest wiosna.

– Chciałabyś wyjść?

– Nie. Mnie wystarczy, że pani Lieser nie ma w domu. Ale tobie byłoby przyjemniej, niż siedzieć tutaj.

– Mnie to nie pociąga. Kilka lat spędziłem na łonie natury i na dłuższy czas mam jej dosyć. Moje marzenie o naturze to niezniszczony, ciepły pokój z całymi meblami. Taki jak tutaj. To dla mnie największa przygoda i nie mogę się nią dość nacieszyć. Ale jeśli wolisz, możemy pójść do kina.

Elżbieta potrząsnęła głową.

– Zostańmy więc w domu i nie wychodźmy nigdzie. Jeśli wyjdziemy, dzień rozpadnie się na kawałki i szybciej minie. A tak – będzie dłuższy.

Graeber podszedł do Elżbiety i wziął ją w ramiona. Czuł szorstki materiał płaszcza kąpielowego. Nagle spostrzegł, że oczy jej są pełne łez.

– Powiedziałem przedtem jakieś głupstwo?

– Nie.

– Musiałem cię jednak czymś urazić. Inaczej byś nie płakała!

Trzymał ją mocno. Ponad jej ramionami widział ulicę. Owłosiony mężczyzna w szelkach zniknął. Kilkoro dzieci bawiło się w wojnę w przekopie prowadzącym do piwnicy zawalonego domu.

– Nie smućmy się – powiedział.

Kobieta z przeciwka zaczęła od nowa. Śpiewała teraz pieśń Griega. „Ja kocham cię! Ja kocham cię! – wykrzykiwała rozedrganym, hałaśliwym głosem. – Ja kocham cię – wbrew czasom i niedoli. – Ja kocham cię!”

– Nie, nie będziemy się smucić – powiedziała Elżbieta.

Po południu zaczęło padać. Ściemniło się wcześnie, a niebo coraz bardziej zaciągało się chmurami. Leżeli na łóżku, nie paląc światła, okno było otwarte, a deszcz zacinający skośnie i blado wyglądał jak rozwiana, płynna ściana.

Graeber nasłuchiwał monotonnego szumu. Myślał o tym, że w Rosji rozpoczął się teraz okres roztopów, podczas którego wszystko tonie w bezdennym bagnie. Gdy wróci na front, wciąż jeszcze będzie tam błoto.

– Czy nie powinienem już pójść? – spytał. – Pani Lieser na pewno wkrótce wróci.

– Niech sobie wraca – mruknęła Elżbieta sennie. – Czy już tak późno?

– Nie wiem. Ale chyba wróci wcześniej z powodu deszczu.

– A może właśnie dlatego wróci później.

– To niewykluczone.

– Może z tego powodu wróci dopiero jutro rano – powiedziała Elżbieta i przytuliła twarz do jego ramienia.

– A może przejedzie ją samochód ciężarowy. Ale to by już był nadmiar szczęścia.

– Nie jesteś zbyt przyjazny dla ludzi.

Graeber popatrzył w szare strugi za oknem.

– Gdybyśmy byli małżeństwem, w ogóle nie potrzebowałbym odchodzić.

Elżbieta nie poruszała się.

– Dlaczego chcesz się ze mną żenić? Przecież ledwo mnie znasz.

– Znam cię dostatecznie długo.

– Jak długo? Zaledwie kilka dni.

– Nie kilka dni. Znam cię ponad rok. To dosyć długo.

– Jak to ponad rok? Przecież nie możesz doliczać czasów dzieciństwa. To zbyt odległe.

– Wcale też nie doliczam. Ale dostałem trzy tygodnie urlopu za dwa lata pobytu na froncie. Jestem tu już prawie dwa tygodnie. To mniej więcej odpowiada piętnastu miesiącom na froncie. Znam cię więc ponad rok – równowartość dwóch tygodni urlopu.

Elżbieta otworzyła oczy.

– O tym jeszcze nie pomyślałam.

– Ja też nie. To przyszło mi do głowy dopiero niedawno.

– Kiedy?

– Przedtem, gdy spałaś. W czasie deszczu i w ciemności różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy.

– Czy do tego musi padać deszcz lub być ciemno?

– Nie. Ale wtedy myśli się inaczej.

– Czy jeszcze coś przyszło ci do głowy?

– Tak. Że to takie cudowne – używać rąk i ramion nie tylko do strzelania i rzucania granatami.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego dziś w południe?

– W południe nie można tego powiedzieć.

– To byłoby lepiej, niż mówić o rencie miesięcznej i zapomogach małżeńskich.

Graeber podniósł głowę.

– To jest to samo, Elżbieto. Tylko wyrażone innymi słowami.

Mruknęła coś niezrozumiale.

– Słowa są nieraz czymś niezmiernie ważkim – powiedziała wreszcie. – Przynajmniej w tych sprawach.

– Nie jestem przyzwyczajony do mówienia. Ale jeszcze się nauczę. Potrzebuję tylko trochę czasu.

– Czas – westchnęła Elżbieta. – Tak mało go mamy, prawda?

– Tak. Wczoraj było jeszcze dużo czasu przed nami. A jutro będzie nam się zdawało, że to dzisiaj mieliśmy go tak wiele.

Graeber leżał cicho. Głowa Elżbiety spoczywała na jego ramieniu. Włosy jej ciemną falą spływały na białą poduszkę, a cienie deszczu przemykały po twarzy.

– Chcesz się ze mną ożenić. Skąd ty w ogóle wiesz, czy mnie kochasz?

– Jak możemy o tym wiedzieć? Na to potrzeba więcej czasu i przebywania razem.

– Może. Ale dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

– Ponieważ już nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Elżbieta milczała chwilę.

– Czy nie sądzisz, że to, co przytrafiło się tobie ze mną, mogło ci się przytrafić również z inną kobietą?

Graeber patrzył na szary, rozwiany dywan, który deszcz tkał za oknem.

– I to możliwe. Kto wie? Tylko że teraz, gdy to przytrafiło się z tobą, nie umiem sobie wyobrazić, że mogłoby kiedykolwiek przytrafić się z inną.

Elżbieta poruszyła głową na jego ramieniu.

– Trochę się już nauczyłeś. Mówisz inaczej niż w południe. Ale teraz jest noc. Czy sądzisz, że przez całe życie będę musiała czekać, aż zapadnie noc?

– Nie. Już ja się nauczę. A na razie nie będę wspominał o miesięcznych dodatkach.

– Ale mimo to nie zrezygnujemy z nich, prawda?

– Z czego?

– Z dodatków rodzinnych.

Graeber wstrzymał na chwilę oddech.

– A więc jednak się zgadzasz?

– Ponieważ znamy się już ponad rok, więc musimy to chyba zrobić. Zawsze zresztą będziemy mogli się rozwieść. A może nie?

– Nie.

Przytuliła się do niego i znowu zasnęła. On zaś długo jeszcze leżał, czuwając, i nasłuchiwał deszczu. Miał jej tyle rzeczy do powiedzenia.

XVII

Bierz wszystko, co chcesz, Ernst – powiedział Binding przez drzwi. – Czuj się jak u siebie w domu.

– Dziękuję, Alfons.

Graeber wyciągnął się w wannie. Jego mundur, szary, zielony i niepozorny jak stare szmaty, leżał w kącie, na krześle; obok wisiało niebieskie ubranie cywilne, o które wystarał się Reuter.

Łazienka Bindinga była obszerna, wyłożona zielonymi kafelkami i błyszczała porcelaną i niklowymi kranami – istny raj w porównaniu z prysznicami i cuchnącą środkami dezynfekcyjnymi łaźnią koszarową. Mydło pochodziło jeszcze z Francji, prześcieradła kąpielowe i ręczniki leżały ułożone w wysokie stosy, przewody wodociągowe nie ucierpiały od bomb, a gorącej wody było tyle, ile dusza zapragnie. Znalazła się nawet sól kąpielowa, duży flakon pełen ametystowych kryształków.

Graeber leżał w wodzie, nie myśląc o niczym, w zupełnym odprężeniu, i rozkoszował się szczęściem, jakie daje ciepło. Życie go nauczyło, że nie rozczarowują tylko rzeczy najprostsze: ciepło, woda, dach nad głową, chleb, cisza i ufność we własne ciało; i w ten właśnie sposób chciał spędzić resztę urlopu – bez rozmyślań,

w odprężeniu i tak szczęśliwy, jak tylko zdoła. Reuter miał rację: nieprędko dostanie znów urlop. Odsunął krzesło z mundurem, wziął garść soli kąpielowej i z zadowoleniem rozsypał wokół siebie w wodzie. To była garść luksusu, a tym samym pokoju – tak samo jak biało nakryte stoły w „Germanii", wino i przysmaki ich pierwszego tam wieczoru z Elżbietą.

Wytarł się i powoli zaczął się ubierać. Ubranie cywilne wydawało się lekkie i cienkie w porównaniu z ciężkim mundurem. Gdy był już całkiem ubrany, miał wrażenie, że jest jeszcze w bieliźnie, tak przyzwyczaił się do noszenia ciężkich butów, pasa i broni. Przypatrywał się swemu odbiciu w lustrze i nie mógł się poznać. Widział bardzo młodego chłopca, niemal młokosa, którego nie potraktowałby poważnie, gdyby go spotkał na ulicy.

– Wyglądasz, jakbyś szedł do pierwszej komunii – oświadczył Alfons. – Nie jak żołnierz. Co się z tobą stało? Żenisz się?

– Tak – odparł Graeber zaskoczony. – Skąd o tym wiesz?

Alfons zaśmiał się.

– Tak właśnie wyglądasz. Inaczej niż przedtem. Już nie jak pies, który szuka kości i nie wie, gdzie ją schował. Naprawdę się żenisz?

– Tak.

– Ależ, Ernst! Dobrze się nad tym zastanowiłeś?

– Nie.

Binding spojrzał na Graebera zdumiony.

– Już od wielu lat nie mam czasu dobrze się nad czymś zastanowić – powiedział Graeber.

Alfons wyszczerzył zęby. Potem uniósł głowę i pociągnął nosem.

– Co... – Węszył dalej. – To ty, Ernst? Do diabła, to chyba sól kąpielowa! Wziąłeś jej trochę? Pachniesz jak cały ogród fiołków.

Graeber powąchał swoją rękę.

– Nic nie czuję.

– Ty nie, ale ja tak. Poczekaj, aż trochę wywietrzeje. To podstępna mieszanina. Ktoś mi ją przywiózł z Paryża. Początkowo ledwo się czuje, a potem człowiek pachnie jak cała kwiaciarnia. Musimy to zneutralizować dobrym koniakiem.

Binding przyniósł butelkę i dwa kieliszki.

– *Prosit*, Ernst! A więc się żenisz! Serdeczne gratulacje! Ja, oczywiście, jestem i pozostanę kawalerem. Czy znam właściwie twoją przyszłą żonę?

– Nie. – Graeber wypił koniak. Był zły na siebie, że się wygadał, ale Binding go zaskoczył.

– Jeszcze jednego, Ernst! Nie codziennie się człowiek żeni!

– Dobrze.

Binding odstawił kieliszek. Był lekko wzruszony.

– Jeśli będziesz potrzebował jakiejkolwiek pomocy, pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na Alfonsa.

– Jakiej pomocy? Przecież to zupełnie prosta sprawa.

– U ciebie, tak. Jesteś żołnierzem i nie potrzebujesz żadnych innych dokumentów.

– Nie potrzebujemy oboje. To przecież ślub wojenny.

– Sądzę, że twoja żona musi jednak przedłożyć wymagane dokumenty. Zresztą przekonasz się sam. Jeśli to będzie za długo trwało, przyspieszymy sprawę. Mamy dobrych przyjaciół w gestapo.

– W gestapo? Co ma wspólnego gestapo ze ślubem wojennym? Przecież to ich nic nie obchodzi.

Alfons zaśmiał się dobrodusznie.

– Nie ma sprawy, która nie obchodziłaby gestapo! Ty, jako żołnierz, nie orientujesz się w tym. Zresztą nie potrzebujesz. Przecież nie masz zamiaru żenić się z Żydówką lub komunistką. A jednak będą chyba zasięgać informacji. Oczywiście to czysta formalność.

Graeber nie odpowiedział. Nagle ogarnęło go przerażenie. Jeśli będą zasięgać informacji, musi się wydać, że ojciec Elżbiety jest w obozie koncentracyjnym. Wcale o tym nie pomyślał. Skąd zresztą mógł wiedzieć?

– Jesteś tego pewien, Alfons?

Binding znów napełnił kieliszki.

– Tak przynajmniej sądzę. Ale nie przejmuj się. Przecież nie masz zamiaru skazić swojej aryjskiej krwi krwią podludzi i wrogów państwa. – Wyszczerzył zęby. – Wcześnie dostajesz się pod pantofel.

– Tak.

– No więc, *prosit*! Ostatnio poznałeś u mnie kilku ludzi z gestapo. Gdyby sprawa miała się przeciągnąć, oni nam pomogą ją przyspieszyć. To grube ryby. Zwłaszcza Riese, ten chudy w binoklach.

Graeber zapatrzył się przed siebie. Elżbieta poszła rano do ratusza, aby wystarać się o potrzebne dokumenty. Sam tego żądał. „Do diabła, co ja narobiłem! – pomyślał. – A jeśli teraz zwrócą na nią uwagę! Dotychczas pozostawiono ją w spokoju. A przecież stara zasada nakazuje kryć się, gdy niebezpieczeństwo

wisi w powietrzu! Jeśli sprawa dotrze do gestapo, mogą posłać Elżbietę do obozu tylko dlatego, że ojciec jej też tam siedzi". Czuł, że robi mu się gorąco. A jeśli będą zasięgać informacji? Na przykład u zasłużonego członka partii, pani Lieser?

Graeber wstał.

– Co ci jest? – spytał Binding. – Dlaczego nie wypiłeś? Czy to ze szczęścia stałeś się taki roztargniony?

Zaśmiał się głośno ze swego dowcipu. Graeber spojrzał na niego. Jeszcze przed paru minutami Alfons był tylko nieco nadętym, dobrodusznym znajomym; teraz przekształcił się nagle w przedstawiciela groźnej, nieobliczalnej władzy.

– *Prosit*, Ernst! – powiedział Binding. – Wypij. To dobry koniak. „Napoleon"!

– *Prosit*, Alfons!

Graeber odstawił kieliszek.

– Chcesz mi wyświadczyć przysługę? Daj mi dwa funty cukru z twoich zapasów. W dwóch torebkach. Po funcie w każdej.

– W kostkach?

– To obojętne. Byle cukier.

– Zgoda. Ale po co ci? Sam powinieneś być teraz dostatecznie słodki.

– Chcę kogoś przekupić.

– Przekupić? Ależ, chłopie, przecież my tego nie potrzebujemy! Znacznie prościej jest grozić. I skuteczniej. Mogę to za ciebie zrobić.

– W tym wypadku nie. To zresztą nie jest prawdziwe przekupstwo. Chcę tylko poprosić kogoś o pewną przysługę.

– Dobrze. A wesele wyprawimy u mnie, zgoda? Alfons jest dobrym świadkiem ślubnym.

Graeber zastanowił się szybko. Przed kwadransem wymówiłby się pod jakimkolwiek pozorem. Teraz nie miał odwagi.

– Nie będziemy wyprawiać hucznego wesela – powiedział.

– To już mnie pozostaw! Dzisiejszą noc prześpisz u mnie, dobrze? Po cóż miałbyś znowu wracać, wkładać mundur i pędzić do koszar? Lepiej zostań od razu tutaj. Dam ci klucz od furtki. Możesz wrócić, kiedy zechcesz.

Graeber wahał się przez chwilę.

– Dobrze, Alfons.

Binding promieniał.

– To rozsądne z twojej strony. Nareszcie będziemy mogli spokojnie pogadać. Dotychczas nie mieliśmy jeszcze okazji. Chodź, pokażę ci twój pokój. – Wziął mundur Graebera i popatrzył na kurtkę z odznaczeniami. – Opowiesz mi kiedyś, jak je wszystkie zdobyłeś. Przecież niemało musiałeś dokonać, aby na nie zasłużyć.

Twarz Bindinga przybrała nagle taki sam wyraz jak owego dnia, gdy esesowiec Heini plótł po pijanemu o swych wyczynach w SD.

– Nie ma o czym opowiadać – odparł Graeber. – Po prostu dostaje się je z biegiem czasu.

Pani Lieser przez chwilę wpatrywała się w cywilne ubranie Graebera; wreszcie go poznała.

– To pan? Przecież pan wie, że panny Kruse nie ma w domu.

– Tak, wiem o tym.

– No więc? – spytała wrogo.

Na jej brunatnej bluzce błyszczała szpilka ze swastyką. W prawym ręku trzymała ścierkę od kurzu jak broń.

– Chciałbym zostawić paczkę dla panny Kruse. Czy nie byłaby pani tak uprzejma zanieść ją do pokoju?

Pani Lieser spoglądała niezdecydowanie. W końcu wzięła torbę z cukrem, którą jej podał.

– Mam tu jeszcze drugą paczkę – powiedział Graeber. – Panna Kruse opowiadała mi, jak ofiarnie poświęca pani swój czas dla dobra ogółu. To funt cukru, nie mam z nim co zrobić. Pani dziecku przydałby się z pewnością. Może zechce go pani przyjąć.

Oblicze pani Lieser przybrało oficjalny wyraz.

– Nie potrzebujemy spekulanckich prezentów. Jesteśmy dumne, że wystarcza nam to, co nam przyznaje führer.

– Pani dziecko także?

– Moje dziecko także.

– Szanuję pani przekonania – powiedział Graeber, wpatrując się w brunatną bluzkę. – Gdyby każdy w ojczyźnie tak myślał, żołnierzom na froncie byłoby lżej. Ale to nie są spekulanckie zapasy, tylko cukier z paczek, które führer daje przybywającym z frontu żołnierzom dla ich rodzin. Moja rodzina zaginęła, więc może pani to przyjąć.

Twarz pani Lieser utraciła nieco ze swej surowości.

– Pan przyjechał z frontu?

– Oczywiście.

– Z Rosji?

– Tak.

– Mój mąż też jest w Rosji.

Graeber udał zainteresowanie, którego nie odczuwał.

– Na jakim odcinku?

– W grupie armii „Środek”.

– Dzięki Bogu, tam jest chwilowo spokojnie.

– Spokojnie? Tam bynajmniej nie jest spokojnie! Grupa armii „Środek” toczy ciężkie boje. Mój mąż znajduje się w pierwszej linii.

„Pierwsza linia – pomyślał Graeber. – Jakby tam jeszcze istniała pierwsza linia!” Przez chwilę kusiło go, aby wyjaśnić pani Lieser, jak naprawdę wyglądają sprawy za murem frazesów o honorze, führerze i ojczyźnie, ale natychmiast z tego zrezygnował.

– Miejmy nadzieję, że wkrótce przyjedzie na urlop – powiedział.

– Przyjedzie na urlop wtedy, kiedy nadejdzie jego kolej. Nie chcemy żadnych przywilejów. My – nie!

– Ja też się o to nie starałem – oświadczył Graeber oschle. – Przeciwnie. Ostatni urlop miałem przed dwoma laty.

– I przez cały ten czas był pan na froncie?

– Od samego początku. Jeśli nie byłem raniony.

Graeber przypatrywał się niezłomnej bojowniczce partyjnej. „Po cóż stoję tu i usprawiedliwiam się przed tą babą. Powinienem ją po prostu zastrzelić, tak jak to robi jej mąż, który prawdopodobnie jest w SD i morduje rosyjskich chłopów, aby zdobyć ową osławioną przestrzeń życiową dla führera”.

Z pokoju wyszła córka pani Lieser. Była to chuda dziewczynka o włosach bez połysku; przyglądała się Graeberowi, dłubiąc w nosie.

– Dlaczego włożył pan dziś cywilne ubranie? – spytała pani Lieser.

– Oddałem mundur do czyszczenia.

– Ach tak! Myślałam już...

Graeber nie dowiedział się, co myślała. Spostrzegł nagle, że wyszczerza ona w uśmiechu żółte zęby, i niemal się tego przeraził.

– A więc dobrze – powiedziała. – Dziękuję. Zużyję ten cukier dla dziecka.

Wzięła obie paczki i Graeber spostrzegł, że ważyła je w rękach, porównując. Wiedział, że natychmiast po jego wyjściu otworzy paczkę przeznaczoną dla Elżbiety, ale tego właśnie chciał. Ku swojemu zdumieniu znajdzie w niej drugi funt cukru i nic więcej.

– To dobrze, pani Lieser. Do widzenia.

– *Heil Hitler!* – Spojrzała na niego ostro.

– *Heil Hitler!* – odparł Graeber.

Wyszedł z domu. Obok bramy, oparty o mur, stał dozorca, niski mężczyzna z okrągłym brzuchem i zapadniętą piersią. Miał na sobie spodnie SA i buty z cholewami. Graeber zatrzymał się. I ten strach na wróble był teraz niebezpieczny.

– Piękną dziś mamy pogodę – powiedział Graeber, wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował dozorcę.

Ten chrząknął coś i wziął papierosa.

– Zwolniony? – zapytał, kosym spojrzeniem obrzucając cywilne ubranie Graebera.

Graeber potrząsnął głową. Zastanawiał się, czy ma wtrącić kilka słów o Elżbiecie, ale nie zrobił tego. Lepiej nie zwracać uwagi dozorcy.

– Za tydzień wracam na front. Po raz czwarty.

Dozorca ospale kiwnął głową. Wyjął papierosa z ust, obejrzał go i wypluł kilka okruchów tytoniu.

– Nie smakuje panu?

– O tak. Ale właściwie to ja palę cygara.

– Krucho teraz z cygarami, co?

– Niby tak.

– Mój znajomy ma jeszcze parę skrzynek. Przy najbliższej okazji sięgnę do nich i przyniosę panu kilka sztuk. Dobre cygara.

– Importowane?

– Prawdopodobnie. Nie znam się na tym. Z opaskami.

– Opaski jeszcze niczego nie dowodzą. Każde zielsko może mieć opaskę.

– Ale ten człowiek jest kreisleiterem. Pali tylko dobry tytoń.

– Kreisleiterem?

– Tak. To Alfons Binding. Mój serdeczny przyjaciel.

– Binding jest pańskim przyjacielem?

– Nawet starym przyjacielem z ławy szkolnej. Właśnie od niego wracam. On i sturmbannführer Riese z SS są moimi starymi kolegami. Idę teraz do Riesego.

Dozorca popatrzył na Graebera. Graeber zrozumiał to spojrzenie; dozorca nie pojmował, dlaczego radca sanitarny Kruse siedzi w obozie koncentracyjnym, jeśli Binding i Riese są przyjaciółmi Graebera.

– Pewne sprawy zostały już wyjaśnione – powiedział Graeber obojętnie. – W najbliższym czasie wszystko będzie w porządku. Niejeden się jeszcze zdziwi. Nie należy się zbytnio śpieszyć, prawda?

– Tak jest – przyświadczył dozorca z przekonaniem.

Graeber spojrzał na zegarek.

– Muszę już iść. A o cygarach nie zapomnę.

Poszedł dalej. „Całkiem niezły początek korupcji” – pomyślał. Wnet jednak znów chwycił go niepokój. A może popełnił błąd. Postępowanie jego wydało mu się nagle naiwne. Może wcale nie powinien był tego robić. Stanął i popatrzył na siebie. Przeklęte cywilne łachy! One są wszystkiemu winne. Chciał się wyzwolić spod przymusu, jaki narzuca regulamin wojskowy, skorzystać z odrobiny swobody, a tymczasem znalazł się od razu w świecie strachu i niepewności.

Zastanawiał się, co dalej robić. Elżbieta była nieosiągalna do wieczora. Przeklinał pośpiech, z jakim starał się uzyskać dokumenty. „Ochrona – pomyślał. – Jeszcze wczoraj rano chełpiłem się, że małżeństwo będzie dla niej ochroną – dzisiaj grozi jej niebezpieczeństwem”.

– Co to za błazeńskie kawały? – wrzasnął jakiś grubiański głos.

Podniósł głowę. Przed nim stał mały, gruby major.

– Nie zdaje pan sobie sprawy z powagi chwili, łobuzie?

Graeber spojrzał na niego zaskoczony – nagle zrozumiał. Oddał majorowi honory wojskowe, zapominając, że jest w cywilnym ubraniu. Stary potraktował to jako kpiny.

– Omyliłem się – powiedział Graeber. – Nie miałem nic złego na myśli.

– Co? Jeszcze ośmiela się pan robić głupie dowcipy? Dlaczego pan nie jest w wojsku?

Graeber uważniej przyjrzał się staremu. Był to ten sam major, który go już raz zwymyślał; owego wieczoru, gdy stał z Elżbietą przed jej domem.

– Taki dekownik powinien się zapaść pod ziemię ze wstydu, a nie wyprawiać błazeństwa – szczekał major.

– Niech pan się nie unosi – powiedział Graeber gniewnie. – I niech pan zmyka do swego lamusa.

Oczy starego przybrały obłędny niemal wyraz. Zatkało go, stał się czerwony jak rak.

– Każę pana aresztować – wykrztusił.

– Sam pan wie, że nie może pan tego zrobić. A teraz zostaw mnie pan w spokoju, mam inne zmartwienia.

– To przecież...

Major chciał znowu wybuchnąć, lecz nagle zbliżył się do Graebera i zaczął węszyć szeroko rozwartymi, owłosionymi nozdrzami. Wykrzywił twarz.

– Ach, teraz rozumiem – powiedział z obrzydzeniem. – Dlatego nie jest pan w mundurze! Trzecia płeć! Tfu, do diabła! Perfumowana dziwka! Męska kurwa!

Splunął, otarł siwe wąsy, rzucił Graeberowi spojrzenie pełne głębokiej odrazy i odszedł. Winna była sól kąpielowa. Graeber powąchał swoją rękę. Teraz i on poczuł. „Kurwa – pomyślał. – Niewiele mi do tego brakuje. Oto, co może zrobić z człowieka obawa o kogoś innego! Pani Lieser, dozorca... do czego jeszcze byłbym zdolny?! Cholernie szybko stoczyłem się z mojego piedestału cnoty!”

Stał naprzeciwko siedziby gestapo. W bramie wjazdowej młody esesowiec, ziewając, maszerował tam i z powrotem. Kilku oficerów SS, śmiejąc się, opuściło gmach. Potem nadszedł powoli starszy mężczyzna, zawahał się, spojrzał w górę na okna, przystanął i wyciągnął z kieszeni karteczkę. Przeczytał ją, obejrzał się, popatrzył w niebo i wreszcie z ociąganiem podszedł do

wartownika. Esesowiec obojętnie zerknął na wezwanie i wpuścił go.

Graeber wpatrywał się w okna na górze. Znów poczuł strach, duszący, cięższy i bardziej lepki niż przedtem. Znał wiele strachów: ostry i ciemny, tamujący oddech i paraliżujący, jak również ten ostatni, największy: strach człowieka przed śmiercią; ale ten był inny – pełzający, dławiący, nieokreślony i groźny, strach, który zdawał się brukać, oblepiać i rozkładać, nieuchwytny, któremu nie można się było oprzeć, strach bezsiły i żrącego zwątpienia, demoralizujący strach o innych, o niewinnych zakładników, bezprawnie prześladowanych, strach przed samowolą władzy i zmechanizowaną nieludzkością – był to czarny strach owych czasów.

Zawrócił. Czuł się bezradnie i nędznie. „Hirschland – pomyślał nagle – Hirschland też to znał! Hirschland, który został żołnierzem, aby uchronić swoją rodzinę, który zgłaszał się na ochotnika na patrole, ponieważ liczył, że odznaczenie pomoże mu wydobyć ojca z obozu koncentracyjnego; Hirschland, któremu obiecałem, że odwiedzę jego rodzinę". Gdzie schował karteczkę z adresem? Nagle wydało mu się, że to niezmiernie ważne pójść tam natychmiast – jakby to miało jakiś związek z Elżbietą i jakby przez to wszystkie jej sprawy mogły się ułożyć pomyślnie. To było dziecinne, ale jako żołnierz nauczył się wierzyć w niezwykłe zdarzenia. Przeszukał wszystkie kieszenie i wreszcie znalazł kartkę w książeczce wojskowej.

Był to niewielki trzypiętrowy dom. Graeber wdrapał się na trzecie piętro i zadzwonił. Zadzwonił jeszcze dwukrotnie. Wreszcie drzwi uchylono ostrożnie. Blada kobieta wyjrzała przez szparę.

– Czy zastałem panią Hirschland?

– Tak, to ja.

Patrzyła mu prosto w twarz bardzo jasnymi, nieruchomymi oczami.

– Jestem w jednej kompanii z pani synem – powiedział Graeber.

Przyglądała mu się nadal. Miała spojrzenie przerażonego zwierzęcia, osaczonego i gotowego do walki.

– Syn pani prosił mnie, abym panią odwiedził. Jestem tu na urlopie. Dlatego noszę cywilne ubranie.

– Ach tak... – Pani Hirschland szerzej otworzyła drzwi. – Tak, proszę... Proszę wejść, panie...

– Graeber. Ernst Graeber.

Zaprowadziła go do pokoju. Szła bezszelestnie i bardzo lekko. W pokoju, pod ścianą, stała szeroka kanapa na wysokich nóżkach, pokryta niebieską narzutą opadającą z przodu aż do podłogi. Graeber chciał usiąść na kanapie, ale pani Hirschland podsunęła mu krzesło.

– Tu będzie panu wygodniej. Ponieważ tamto... mamy tylko ten jeden pokój... tamto służy za łóżko.

Graeber usiadł na krześle. Pokój był czysty, umeblowany w stylu drobnomieszczańskim. Nad kanapą i na bocznych ścianach wisiało kilka obrazów.

– Jeszcze przed dwoma tygodniami byłem razem z pani synem – powiedział Graeber.

Pani Hirschland nie usiadła. Spojrzenie jej nic nie utraciło ze szklanej martwoty, ale ręce zadrżały niespokojnie.

– Może zechciałby pan... czy mogę... poczęstować pana...

Graeber uświadomił sobie nagle, że bardzo chce mu się pić.

– Dziękuję – powiedział. – Szklankę wody... jeśliby pani miała szklankę wody...

– Tak, oczywiście. – Pani Hirschland rozejrzała się po pokoju. – Tak, pójdę... do kuchni... w tej chwili... pójdę i przyniosę...

W drzwiach raz jeszcze się rozejrzała.

„Co jej jest?" – pomyślał Graeber. Przywykł do tego, że ludzie się boją, ale to było coś więcej niż zwykły strach.

Wstał i zaczął oglądać obrazy. Jeden przedstawiał kwitnący kasztan, drugi – profil florenckiej dziewczyny. Nad kanapą wisiał duży miedzioryt. Podszedł bliżej, aby mu się lepiej przyjrzeć, i potrącił nogą coś, co stało za zwisającą narzutą. Schylił się i uniósł narzutę, aby zobaczyć, czy czegoś nie przewrócił. Dwa wąskie tekturowe pudła zsunięte razem zajmowały całą niemal długość kanapy. Róg jednego wystawał. Gdy Graeber posunął je, dostrzegł w szparze między pudłami dziewczęcą rękę. Za pudłami, tuż przy ścianie, leżał ktoś z ręką przyciśniętą do ciała. Graeber opuścił narzutę i powrócił do swego krzesła.

Weszła pani Hirschland, niosąc na lakierowanej tacy mały kieliszek czerwonego wina; obok na talerzyku leżały dwa kawałki chleba.

– Proszę się poczęstować – powiedziała.

Graeber upił wina. Było bardzo słodkie i lepkie.

– Syn pani czuje się dobrze. Przed moim odjazdem wycofano nas na tyły. Wszystkich, pani syna również.

Pani Hirschland patrzyła na niego w milczeniu. Znowu upił trochę wina. Zdumiony był, że go nie pyta, gdzie stacjonują, jakie

mają wyżywienie, czy jest bardzo niebezpiecznie i o te wszystkie sprawy, o jakie zazwyczaj pytają matki.

– Powodziło mu się zatem dobrze?

– Tak dobrze, jak to możliwe na froncie. Właściwie tutaj jest niemal tak samo jak na froncie. Prawie tak samo niebezpiecznie.

Czekał dłuższą chwilę, ale pani Hirschland nie pytała o nic więcej.

„Może niepokoi się o dziewczynkę, którą ukrywa" – pomyślał Graeber.

– To doprawdy wszystko – powiedział w końcu zmieszany i wstał.

Pani Hirschland w milczeniu odprowadziła go do drzwi.

– Pani syn jest moim dobrym przyjacielem. Może chce pani przekazać mu jakąś wiadomość? Wracam za tydzień.

– Nie – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

– Mógłbym dla niego coś wziąć. List albo paczkę. Przyjdę po to przed odjazdem.

Potrząsnęła przecząco głową.

Graeber spojrzał na nią zdumiony. Zazwyczaj rodzice zachowywali się inaczej. Pomyślał, że mu nie wierzy, i wyciągnął książeczkę wojskową.

– Oto moje dokumenty... tylko przypadkowo jestem w cywilnym ubraniu...

Uniosła rękę, jakby chciała odepchnąć książeczkę, ale jej nie dotknęła.

– On nie żyje – szepnęła.

– Co?

Skinęła głową.

– Jak to możliwe? Gdy rozmawiałem z nim ostatnim razem...

– Nie żyje – szepnęła. – Cztery dni temu przyszło zawiadomienie. – Potrząsnęła gwałtownie głową, gdy chciał o coś zapytać. – Nie, proszę nie... niech mi pan wybaczy... wskutek tego... ja nie mogę... listy wciąż jeszcze od niego przychodzą... Jeden właśnie dzisiaj... nie, proszę...

Zamknęła drzwi. Graeber schodził po schodach. Usiłował przypomnieć sobie Hirschlanda. Bardzo mało o nim wiedział. Nie znał nawet jego imienia. Pomyślał o papierosach, które mu dał Hirschland. Szkoda, że nie zainteresował się nim bliżej. Szkoda również, że nie zainteresował się wielu innymi. Hirschland miał podłe życie. Teraz matka jego czuwa tam nad swym drugim, ukrywającym się dzieckiem. Może to córka z drugiego małżeństwa, która ma w sobie więcej żydowskiej krwi i grozi jej obóz koncentracyjny. Zatrzymał się na mrocznych schodach i nagle zupełnie już nie wiedział, co począć. Otoczyła go groźna i beznadziejna ciemność, wydawało się, jakby nie było już z niej ucieczki. „Jeżeli ktoś musi się ukrywać z takiego powodu – pomyślał – to jakże wiele zagraża Elżbiecie!”

Znalazł się w pobliżu fabryki na długo przed końcem pracy. Minęło sporo czasu, nim nadeszła Elżbieta. Zaczął się już niepokoić, czy nie została aresztowana, gdy wreszcie ją spostrzegł. Zdumiała się, zobaczywszy go w cywilnym ubraniu, i powiedziała ze śmiechem:

– Jakiś ty jeszcze młody!

– Nie czuję się młody. Czuję się, jakbym miał sto lat.

– Dlaczego? Co się stało? Musisz wcześniej wracać na front?

– Nie. Pod tym względem wszystko jest w porządku.

– A może czujesz się, jakbyś miał sto lat, ponieważ nosisz cywilne ubranie?

– Nie wiem. Wydaje mi się tylko, że wraz z tym przeklętym ubraniem nałożyłem na siebie wszystkie troski, jakie istnieją na świecie. Co załatwiłaś w sprawie dokumentów?

– Wszystko – odparła Elżbieta rozpromieniona. – Wykorzystałam nawet przerwę obiadową. Złożyłam podania o wszystkie dokumenty.

– Do diabła! A więc nic już nie można zrobić.

– Co jeszcze trzeba zrobić?

– Nic. Tylko nagle ogarnął mnie strach. Może źle robimy. Może ci to zaszkodzi?

– Mnie? Dlaczego?

Graeber zawahał się.

– Słyszałem, że nieraz zasięgają informacji w gestapo. Może z tego powodu lepiej byłoby nie ruszać tych spraw.

Elżbieta przystanęła.

– Co jeszcze słyszałeś?

– Nic. Tylko nagle zacząłem się bać.

– Sądzisz, że mogą mnie aresztować, ponieważ chcemy się pobrać?

– To nie.

– A więc co? Dowiedzą się, że mój ojciec siedzi w obozie koncentracyjnym?

– Nie, nie – przerwał Graeber. – O tym na pewno i tak wiedzą. Sądzę tylko, że byłoby lepiej nie zwracać na ciebie niczyjej uwagi. Gestapo jest nieobliczalne. Komuś tam może coś strzelić do głowy. Wiesz, jak to się dzieje. Ustawy dla nich nie istnieją.

Elżbieta milczała przez chwilę.

– Więc co mamy robić? – spytała wreszcie.

– Zastanawiałem się nad tym przez cały dzień. Myślę, że już nic nie poradzimy. Gdybyśmy teraz wycofali podanie, to dopiero zwróciłoby ich uwagę.

Skinęła głową i jakoś dziwnie na niego popatrzyła.

– Mimo to można spróbować.

– Za późno, Elżbieto. Musimy teraz ryzykować i odczekać.

Szli dalej. Fabryka stała na małym placyku i była dobrze widoczna. Graeber przyjrzał się jej dokładnie.

– Nigdy was nie bombardowano?

– Jeszcze nie.

– Budynek jest zupełnie odsłonięty. Łatwo rozpoznać, że to fabryka.

– Mamy wielkie schrony.

– Bezpieczne?

– Chyba tak. – Elżbieta nie patrzyła na niego.

– Na miłość boską, zechciej mnie dobrze zrozumieć – powiedział. – Nie boję się o siebie. Boję się tylko o ciebie.

– To zbyteczne.

– A ty się nie boisz?

– Przeżyłam wszystkie odmiany lęku, jakie tylko istnieją. Nie mam już miejsca na nowe.

– Ale ja tak. Kiedy człowiek kogoś kocha, doznaje wielu nowych obaw, o których przedtem nie miał pojęcia.

Elżbieta odwróciła się ku niemu. Uśmiechnęła się nagle. Spojrzał na nią i skinął głową.

– Tak, tak. Nie zapomniałem o tym, co wygadywałem jeszcze przedwczoraj. Czy koniecznie trzeba się o kogoś lękać, aby nabrać pewności, że się go kocha?

– Nie wiem. Ale myślę, że to pomaga.

– Przeklęte ubranie! Jutro się przebiorę. A już myślałem, że życie cywilów jest godne zazdrości.

Elżbieta zaśmiała się.

– Czy to zależy tylko od ubrania?

– Nie – powiedział z ulgą. – To dlatego, że znów żyję. Znów żyję i chcę żyć. A z tym łączy się chyba i strach. Mam za sobą paskudny dzień. Odkąd jesteś przy mnie, już mi lepiej, choć nic się przecież nie zmieniło. Zadziwiające, jak mało potrzeba, aby się bać.

– I aby kochać – powiedziała Elżbieta. – Chwała Bogu! – Szła obok niego lekko i beztrosko.

„Zmieniła się – pomyślał Graeber. – Zmienia się z każdym dniem. Dawniej ona żyła w strachu, a ja nie; teraz jest odwrotnie".

Minęli Hitlerplatz. Za kościołem czerwieniała potężna łuna.

– Gdzie się jeszcze pali? – spytała Elżbieta.

– Nigdzie. To tylko zorza wieczorna.

– Zorza wieczorna! O tym człowiek już zupełnie zapomina, prawda?

– Tak.

Szli dalej. Zorza wieczorna przybierała na sile i głębi. Oblewała ich twarze i dłonie. Graeber przyglądał się mijanym ludziom, ale teraz patrzył na nich inaczej niż poprzednio; każdy miał swój własny los. „Łatwo jest potępiać i być odważnym, gdy człowiek nic

nie ma – pomyślał. – Ale gdy już coś posiada, świat od razu się zmienia. Miłość czyni życie lżejszym i cięższym, a czasem nie do zniesienia. Odwaga zaś, choć wciąż ta sama, przybiera inny charakter i inną nazwę i właściwie dopiero teraz się zaczyna". Odetchnął głęboko. Miał wrażenie, jakby wrócił do schronu z długiego, niebezpiecznego patrolu na nieprzyjacielskim terenie; był teraz nie mniej zagrożony niż przedtem, ale jednak czuł się na chwilę bezpieczny.

– Dziwne – powiedziała Elżbieta. – Chyba jest już wiosna. Idziemy zrujnowaną ulicą i choć to zupełnie nieprawdopodobne, wydaje mi się, że czuję zapach fiołków...

XVIII

Böttcher pakował swoje rzeczy. Koledzy zebrali się wokół niego.

– Doprawdy ją znalazłeś? – spytał Graeber.

– Tak, ale...

– Gdzie?

– Na ulicy – odparł Böttcher. – Stała po prostu na rogu Bierstrasse i Kellerstrasse, obok dawnego sklepu z parasolami. W pierwszej chwili nawet jej nie poznałem.

– A gdzie była przez cały czas?

– W jakimś obozie koło Erfurtu. Posłuchajcie tylko! Stoi zatem obok sklepu z parasolami, a ja jej nie widzę. Przechodzę koło niej, a ona mnie woła: „Otto! Nie poznajesz mnie?" – Böttcher przerwał i rozejrzał się po izbie. – Bo też, koledzy, jak można poznać kobietę, która straciła osiemdziesiąt funtów wagi?

– Jak się nazywa obóz, w którym była?

– Nie wiem. Zdaje się, że obóz leśny numer dwa. Mogę ją zapytać. Ale słuchajcie wreszcie! Gapię się więc na nią i mówię: „Alma, to ty?" „Ja, Otto – odpowiada – wiesz, miałam takie przeczucie, że przyjedziesz na urlop, i dlatego wróciłam". A ja wciąż jeszcze gapię się na nią. Kobieta, dawniej okazała jak

perszeron, stoi tu, wychudzona, ledwo sto dziesięć funtów zamiast blisko dwustu, sam szkielet, suknie na niej wiszą jak na tyce do grochu! – Böttcher westchnął.

– Jakiego właściwie jest wzrostu? – spytał Feldmann zaciekawiony.

– Co?

– Jakiego wzrostu jest twoja żona?

– Mniej więcej metr sześćdziesiąt. Bo co?

– To znaczy, że ma teraz swoją normalną wagę.

– Normalną wagę? Człowieku, co ty wygadujesz? Nie dla mnie! Dla mnie jest chuda jak szkapa! Co mnie obchodzi twoja przeklęta normalna waga! Ja chcę mieć żonę taką jak dawniej, okazałą, z tyłkiem, na którym można było orzechy tłuc, a nie z zadkiem nędznym jak ziarnko kawy. Po to ja walczę? Za coś takiego?

– Walczysz za naszego ukochanego führera i za naszą drogą ojczyznę, a nie za wagę rzeźną twojej żony – powiedział Reuter. – Po trzech latach pobytu na froncie powinieneś o tym wiedzieć.

– Waga rzeźna? Kto tu mówi o wadze rzeźnej? – Böttcher spoglądał wściekle i bezradnie od jednego do drugiego. – To była żywa waga! A z całą resztą możecie mnie pocałować w...

– Milcz! – Reuter uniósł ostrzegawczo rękę. – Myśl sobie, co chcesz, ale nie mów tego! I bądź zadowolony, że twoja żona jeszcze żyje!

– Przecież jestem zadowolony! Ale czyż nie mogłaby żyć i nadal pozostać tęga jak dawniej?

– Ależ, Böttcher! – powiedział Feldmann. – Możesz ją przecież znowu utuczyć.

– Tak? A czym? Tą odrobiną, którą się dostaje na kartki?

– Wystaraj się o coś na lewo.

– Łatwo wam mówić! Wy tylko dajecie dobre rady! – oświadczył Böttcher rozgoryczony. – Ale mnie zostały już tylko trzy dni urlopu. Jak mam ją utuczyć w ciągu tych trzech dni? Choćby kąpała się w tranie i jadła siedem razy dziennie, może przytyć najwyżej o kilka funtów, a cóż to jest? Koledzy, jestem w rozpaczliwym położeniu!

– Dlaczego? Jeśli chodzi o tłuszcz, masz jeszcze tę grubą szynkarkę.

– W tym właśnie sęk. Myślałem, że jak wróci moja żona, od razu o tamtej zapomnę. Jestem domatorem i nie uganiam się za babami. A teraz szynkarka bardziej mi się podoba.

– Bo masz diablo płytką naturę – powiedział Reuter.

– Wcale nie jestem płytki! Przeżywam wszystko zbyt głęboko, to mój błąd. Inaczej byłbym zupełnie zadowolony. Ale tego wy, bałwany, nie rozumiecie!

Böttcher podszedł do swojej szafki i wrzucił resztę rzeczy do tornistra.

– A gdzie będziesz mieszkał z żoną? – spytał Graeber. – Masz jeszcze swoje dawne mieszkanie?

– Nie, skądże! Zbombardowane! Ale raczej wolę gnieździć się w jakiejś zrujnowanej piwnicy, niż zostać tu choćby jeden dzień dłużej. Całe nieszczęście w tym, że żona mi się już nie podoba. Kocham ją jeszcze, bezwarunkowo, przecież dlatego wziąłem z nią ślub, ale taka, jaka jest, po prostu mi się nie podoba. Nic na to nie poradzę. Co mam robić? Ona to, naturalnie, odczuwa.

– Jak długo masz jeszcze urlop?

– Trzy dni.

– Nie mógłbyś przez te kilka dni udawać?

– Kolego – odparł Böttcher spokojnie – może kobieta potrafi w łóżku udawać. Mężczyzna – nie. Wierzaj mi, byłoby już lepiej, gdybym odjechał, nie spotkawszy jej wcale. A tak to tylko oboje się męczymy.

Wziął swoje rzeczy i poszedł.

Reuter popatrzył za nim. Potem zwrócił się do Graebera:

– A ty? Jakie masz plany?

– Idę do komendy garnizonu. Dla pewności dowiem się jeszcze, czy nie potrzebują dodatkowych dokumentów.

Reuter wyszczerzył zęby.

– Pech twojego kolegi Böttchera nie przeraża cię, co?

– Nie. Mnie przerażają zupełnie inne rzeczy.

– Smród – powiedział pisarz w komendanturze. – Na froncie smród. Wiesz, co się robi w takiej sytuacji?

– Kryje się – odparł Graeber. – O tym wie każde dziecko. Ale co mnie to obchodzi! Mam urlop.

– Tobie się tylko zdaje, że masz urlop – poprawił go pisarz. – Ile to dla ciebie warte, jeśli ci pokażę rozkaz, który dzisiaj nadszedł?

– To zależy.

Graeber wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i położył na stole. Czuł ucisk w dołku.

– Smród – powtórzył pisarz. – Ciężkie straty. Trzeba niezwłocznie wysłać uzupełnienia. Urlopników, których nie zatrzymują tu ważne powody, mamy natychmiast odesłać z powrotem. Rozumiesz?

– Tak. Jakie są te ważne powody?

– Śmierć najbliższych, konieczność uregulowania pilnych spraw rodzinnych, ciężka choroba...

Pisarz sięgnął po papierosy.

– Ulotnij się! Stań się niewidzialny. Jeśli cię nie znajdą, nie będą cię mogli odesłać z powrotem. Unikaj koszar jak zarazy. Zamelinuj się gdzieś aż do końca urlopu. Wtedy się zgłosisz. Co ci mogą zrobić? Ukarać, że nie podałeś nowego adresu? I tak idziesz na front – i basta.

– Żenię się – powiedział Graeber. – Czy to powód?

– Żenisz się?

– Tak. Dlatego tu przyszedłem. Chciałbym się dowiedzieć, czy potrzebne są do tego jeszcze jakieś dokumenty prócz książeczki wojskowej?

– Ślub! To może być powód. Może, powiedziałem. – Pisarz zapalił papierosa. – Może być powód. Ale po co masz ryzykować. Jako żołnierz frontowy nie potrzebujesz specjalnych dokumentów. A jeślibyś potrzebował, przyjdź do mnie; załatwię ci od ręki, tak że nikt nic nie zmiarkuje. Masz porządny mundur? W tych łachach nie możesz przecież brać ślubu.

– Czy tutaj dałoby się coś wymienić?

– Idź do magazyniera. Powiedz mu, że się żenisz. I powiedz, że ja cię przysyłam. Masz jeszcze trochę dobrych papierosów?

– Nie. Ale może mi się uda zdobyć jeszcze paczkę.

– Nie dla mnie. Dla szefa.

– Zobaczę. Wiesz może, czy do wojennego ślubu narzeczona potrzebuje specjalnych dokumentów?

– Nie mam pojęcia. Ale sądzę, że nie. To powinni szybko załatwić. – Pisarz spojrzał na zegarek. – Idź zaraz do magazynu.

Szef tam teraz jest.

Graeber poszedł do wskazanego mu bloku; magazyn znajdował się na poddaszu. Feldfebel był gruby i miał oczy różnego koloru: jedno – nienaturalnie niebieskie, niemal liliowe jak fiołek, drugie – jasne, brązowe.

– Czego się tak gapicie? – warknął. – Nie widzieliście szklanego oka?

– Owszem. Ale nigdy o tak odmiennym kolorze.

– To nie moje, idioto! – Feldfebel wskazał na niebieskie błyszczące oko. – Pożyczyłem od kolegi. Moje upadło mi wczoraj na podłogę. Było brązowe. To świństwo nic niewarte. Należałoby je robić z celuloidu.

– Wtedy byłoby łatwopalne.

Feldfebel zlustrował odznaczenia Graebera i wyszczerzył zęby.

– To niby racja. Ale mimo to nie mam dla was munduru. Bardzo mi przykro. Wszystkie są jeszcze gorsze od waszego.

Spojrzał na Graebera przenikliwie niebieskim okiem. Brązowe patrzyło tępo. Graeber położył na stole paczkę papierosów od Bindinga. Feldfebel łypnął brązowym okiem, odszedł i powrócił z kurtką mundurową.

– To wszystko, co mam.

Graeber nawet nie dotknął kurtki. Wyjął z kieszeni małą, płaską butelkę koniaku, którą zabrał ze sobą na wszelki wypadek, i postawił obok papierosów. Feldfebel zniknął i wrócił z lepszą kurtką i prawie nowymi spodniami. Graeber sięgnął najpierw po spodnie, jego własne były mocno połatane. Odwrócił te nowe i zauważył, że magazynier położył je tak, aby zakryć wielką jak dłoń plamę. Popatrzył bez słowa na plamę, a potem na koniak.

– To nie krew – powiedział feldfebel. – To najlepszy gatunek oliwy. Żołnierz, który je nosił, przyjechał z Włoch. Trochę benzyny i plama zniknie.

– Jeśli to takie proste, dlaczego on sam ich nie wyczyścił, tylko je wymienił?

Feldfebel pokazał zęby w uśmiechu.

– Rozsądne pytanie. Ale tamten żołnierz chciał mundur śmierdzący frontem. Coś takiego jak wasz. Dwa lata siedział w jakiejś kancelarii w Mediolanie, a swojej narzeczonej pisał listy z frontu. Nie mógł przyjechać do domu w nowych spodniach, na które wylała się tylko miska sałaty. To najlepsze spodnie, jakie są w magazynie. Naprawdę.

Graeber mu nie wierzył; ale nie miał przy sobie nic więcej, aby wytargować coś lepszego. Mimo to potrząsnął głową.

– A więc dobrze – powiedział feldfebel. – Inna propozycja. Nie potrzebujecie wymieniać. Zostawcie sobie wasze stare łachy. W ten sposób otrzymacie dodatkowy mundur. Zgoda?

– Nie potrzebuje pan starego, żeby liczba się zgadzała?

Feldfebel machnął lekceważąco ręką. Jego niebieskie oko pochwyciło promień słońca, który wpadł przez zakurzone okno.

– Liczba już od dawna się nie zgadza. Co się w ogóle jeszcze zgadza? Może wy wiecie?

– Nie.

– No więc – powiedział feldfebel.

Przechodząc koło szpitala miejskiego, Graeber nagle się zatrzymał. Przypomniał sobie Mutziga. Obiecał, że go odwiedzi. Przez chwilę wahał się; ale w końcu wszedł. Ogarnęło go nagle przesądne uczucie, że przekupi los dobrym uczynkiem.

Amputowani zajmowali pierwsze piętro. Parter przeznaczono dla ciężko rannych i niedawno operowanych, którzy nie opuszczali łóżek; stąd można ich było szybciej znosić do schronów w czasie nalotów. Amputowani nie uchodzili za bezradnych, dlatego też ulokowano ich wyżej. Podczas alarmu mogli sobie wzajemnie pomagać. Beznogi kaleka obejmował za szyję dwóch bezrękich i ci znosili go do schronu, podczas gdy personel szpitalny zajęty był ratowaniem ciężko rannych.

– To ty? – powiedział Mutzig do Graebera. – Nigdy bym nie uwierzył, że się zjawisz.

– Ja też nie. Ale, jak widzisz, przyszedłem.

– To ładnie z twojej strony. Stockmann też jest z nami. Byliście razem w Afryce, prawda?

– Tak.

Stockmann stracił prawą rękę. Wraz z dwoma innymi kalekami grał w skata.

– Ernst – powiedział – co się z tobą dzieje? – Wzrok jego ślizgał się badawczo po Graeberze. Mimo woli szukał rany.

– Nic – odparł Graeber. Wszyscy mu się przyglądali tak samo jak Stockmann. – Mam urlop – powiedział zażenowany. Czuł się niemal winny, że nic mu nie jest.

– Myślałem, że dosyć oberwałeś w Afryce, aby na stałe wrócić do domu.

– Połatali mnie, a potem wysłali do Rosji.

– Miałeś szczęście. Właściwie – ja także. Wszyscy inni dostali się do niewoli. Już nie można ich było ewakuować. – Stockmann wymachiwał swym kikutem. – Jeśli takie coś można nazwać szczęściem.

Żołnierz siedzący pośrodku plasnął kartami w stół.

– Gramy czy ględzimy? – spytał grubiańsko.

Graeber zauważył, że tamten nie ma obu nóg. Amputowane były bardzo wysoko. U prawej ręki brakowało dwóch palców. Pozbawione rzęs powieki były nowe, czerwone i błyszczące; robiły wrażenie spalonych.

– Grajcie dalej – powiedział Graeber. – Mam czas.

– Jeszcze tylko tę rundkę – oświadczył Stockmann. – Zaraz skończymy.

Graeber przysiadł na oknie obok Mutziga.

– Nie zwracaj uwagi na Arnolda – szepnął Mutzig. – Ma dzisiaj swój zły dzień.

– To ten pośrodku?

– Tak. Wczoraj odwiedziła go żona. Po jej wizycie zawsze jest przez kilka dni w złym humorze.

– Co ty tam wygadujesz? – zawołał w ich stronę Arnold.

– Mówimy o dawnych czasach. To chyba wolno, nie?

Arnold warknął coś i grał dalej.

– Zazwyczaj jest tu całkiem przyjemnie i bardzo wesoło – zapewniał Mutzig skwapliwie. – Wiesz, Arnold był murarzem, dla niego to nie takie proste. A żona go zdradza; matka mu o tym powiedziała.

Stockmann cisnął karty na stół.

– Przeklęty pech! Solo żołędne było murowane. Kto by przypuszczał, że wszystkie trzy walety są na jednym ręku!

Arnold zachichotał i na nowo potasował karty.

– Czasem zastanawiamy się, co dla człowieka, który chce się żenić, byłoby lepsze – stracić rękę czy nogę – powiedział Mutzig. –

Stockmann powiada, że lepiej rękę. Ale jak jedną ręką trzymać kobietę w łóżku? A trzymać ją przecież trzeba.

– To nie takie ważne. Grunt, że żyjesz.

– Racja, ale nie możesz się tym pocieszać przez całe życie. A po wojnie to się zmieni; nie będziesz już bohaterem, tylko kaleką.

– Nie sądzę. Poza tym istnieją wspaniałe protezy.

– Nie to miałem na myśli – powiedział Mutzig. – Nie mówię o pracy.

– Właśnie dlatego musimy wygrać wojnę – oświadczył nagle Arnold głośno. Przysłuchiwał się rozmowie. – Niechaj inni też nadstawią gnaty. My zrobiliśmy dosyć. – Rzucił nieprzyjazne spojrzenie na Graebera. – Gdyby wszyscy dekownicy byli na froncie, nie musielibyśmy się stale cofać.

Graeber nie odpowiedział. Z amputowanymi nie można się spierać; kto stracił rękę lub nogę, zawsze ma rację. Można się sprzeczać z kimś, kto ma postrzał płuc albo chodzi z odłamkiem w żołądku i jest może jeszcze w większym stopniu kaleką; ale – choć to i dziwne – z amputowanym nie.

Arnold grał dalej.

– Jak sądzisz, Ernst – spytał Mutzig po chwili. – Mam dziewczynę w Monasterze; pisujemy do siebie. Ona przypuszcza, że dostałem postrzał w nogę. Nic jej o tym nie pisałem.

– Odczekaj jeszcze. I bądź zadowolony, że nie musisz wracać na front.

– Jestem zadowolony, ale nie mogę być nim wiecznie.

– Rzygać mi się chce, kiedy was słucham – powiedział do Mutziga jeden z kibiców siedzących koło karciarzy. – Uchlejcie się i zachowujcie jak mężczyźni.

Stockmann parsknął śmiechem.

– Czego się śmiejesz? – spytał go Arnold.

– Przyszło mi na myśl, co by to było, gdyby tej nocy rąbnęli w szpital ciężką bombę – tak w sam środeczek, że zostałaby z nas tylko marmolada; po cóż zaprzątaliśmy sobie głowy tymi wszystkimi troskami?

Graeber wstał. Zauważył, że kibicowi brak obu nóg. „Mina albo odmrożenie" – pomyślał machinalnie.

– Gdzie nasza obrona przeciwlotnicza? – warknął na niego Arnold. – Całej potrzebujecie na froncie? Tutaj prawie nic nie ma.

– Na froncie też nie.

– Co?

Graeber spostrzegł, że popełnił błąd.

– Na froncie czekamy na nową, tajną broń – powiedział. – Mają to być prawdziwe cuda.

– Do ciężkiej cholery, co ty wygadujesz? Tak wygląda, jakbyśmy przegrywali wojnę! Nic z tego! Myślisz, że chcę siedzieć w jakimś zasranym wózku i sprzedawać zapałki, jak ci po pierwszej wojnie? Mamy zagwarantowane prawa! Führer nam je obiecał! – Arnold wzburzony cisnął karty na stół.

– Nastaw radio – powiedział kibic do Mutziga. – Muzykę!

Mutzig przekręcił gałkę. Z głośnika wydarł się potok blaszanych słów. Kręcił dalej.

– Zostaw to! – zażądał Arnold gniewnie.

– Po co? Przecież to tylko gadanie.

– Zostaw, mówię ci! To przemówienie partyjne. Gdyby każdy stale tego słuchał, byłoby teraz z nami lepiej.

Mutzig westchnął i pokręcił gałką z powrotem. W izbie rozległ się ryk hurapatriotycznego przemówienia. Arnold słuchał, zaciskając usta. Stockmann dał znak Graeberowi i wzruszył ramionami. Graeber podszedł do niego.

– Wszystkiego dobrego, Stockmann – szepnął. – Muszę już iść.

– Masz coś lepszego do roboty, prawda?

– Nie. Ale już muszę iść.

Ruszył ku wyjściu. Spojrzenia pozostałych biegły za nim. Czuł się, jakby był nagi. Szedł przez salę powoli; sądził, że w ten sposób mniej będzie drażnił amputowanych. Wiedział jednak, że mu się przypatrują. Mutzig pokusztykał z nim do drzwi.

– Przyjdź znowu – powiedział w półmroku szarego korytarza. – Dzisiaj miałeś pecha. Na ogół jesteśmy znacznie weselsi.

Na ulicy zmierzchało już; Graebera znowu ogarnął strach o Elżbietę. Przez cały dzień starał mu się wymknąć. Teraz jednak w tym niepewnym świetle strach skradał się ku niemu ze wszystkich kątów.

Poszedł do Pohlmanna. Starzec otworzył mu natychmiast, jakby na kogoś czekał.

– Ach, to pan!

– Tak. Nie będę pana długo zatrzymywał. Chciałbym tylko o coś pana zapytać.

Pohlmann otworzył drzwi.

– Niech pan wejdzie. Lepiej nie stać na dworze. Ludzie nie powinni wiedzieć...

Przeszli do pokoju z lampą. Graeber poczuł świeży zapach dymu z papierosa. Pohlmann nie miał papierosa w ręku.

– O co pan chciał mnie zapytać?

Graeber obejrzał się.

– Czy to jedyny pokój, jaki pan ma?

– Dlaczego?

– Nie jest wykluczone, że będę musiał ukryć kogoś na kilka dni. Czy mógłbym go tu sprowadzić?

Pohlmann milczał.

– To nie jest ktoś poszukiwany. Chciałbym się tylko zabezpieczyć. Prawdopodobnie wcale to nie będzie potrzebne. Boję się o kogoś. Ale może to tylko urojenie.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

– Bo nie znam nikogo innego.

Graeber sam dokładnie nie wiedział, dlaczego przyszedł. Czuł jedynie, że na wszelki wypadek musi poszukać kryjówki.

– Kto to jest?

– Dziewczyna, z którą chcę się ożenić. Jej ojciec jest w obozie koncentracyjnym. Boję się, że ją również zabiorą. Ona nic nie zrobiła. Zresztą, może sobie to wszystko tylko uroiłem.

– Nic nie jest urojeniem w dzisiejszych czasach, a przezorność zawsze lepsza niż żal poniewczasie. Może pan dysponować tym pokojem, kiedy go pan będzie potrzebował.

Graeber poczuł, jak wzbiera w nim fala ciepła; odetchnął z ulgą.

– Dziękuję. Serdecznie dziękuję.

Pohlmann uśmiechnął się. Wyglądał teraz mniej zgrzybiale niż zazwyczaj.

– Dziękuję – powtórzył Graeber. – Mam nadzieję, że nie będę tego potrzebował.

Stali przed rzędami książek.

– Niech pan sobie wybierze, którą pan chce – powiedział Pohlmann łagodnie. – Książka pomaga nieraz przetrzymać wieczór.

Graeber potrząsnął głową.

– Mnie nie. Ale chciałbym jedno wiedzieć: jak można pogodzić te książki, tę poezję, tę filozofię – z nieludzkim okrucieństwem SA, obozami koncentracyjnymi i mordowaniem niewinnych ludzi?

– Tego nie można pogodzić. One tylko istnieją w tym samym czasie. Gdyby żyli autorzy tych książek, większość z nich także siedziałaby w obozach koncentracyjnych.

– Może.

– Chce się pan żenić?

Starzec zdjął z półki jakiś tom.

– Nie mogę dać panu nic innego. Niech pan weźmie tę książkę. To nie do czytania, to obrazki, tylko obrazki. Nieraz, gdy nie mogłem już czytać, oglądałem je całymi nocami. Obrazki i wiersze – tak było stale, póki miałem naftę. Potem, w ciemności, pozostawała już tylko modlitwa.

– Tak – odparł Graeber bez przekonania.

– Wiele o panu myślałem. I myślałem także o tym, o czym mi pan mówił ostatnio. Na to nie ma odpowiedzi. – Pohlmann urwał, a po chwili dodał cicho: – Jest tylko jedna. Trzeba wierzyć. Wierzyć. Cóż innego nam pozostaje?

– W co?

– W Boga. I w dobro, które tkwi w ludziach.

– Czy pan nigdy nie wątpił?

– Owszem, często. Jakżebym inaczej mógł wierzyć?

Graeber poszedł w stronę fabryki. Zerwał się wiatr i gnał strzępiaste chmury tuż nad dachami. Pluton żołnierzy obładowanych paczkami maszerował w półmroku przez plac. Droga ich prowadziła na dworzec i dalej – na front. „Niewiele brakowało, a znalazłbym się wśród nich” – pomyślał Graeber. Przed zburzonym domem spostrzegł ciemno wznoszącą się lipę i nagle w ramionach swoich i mięśniach poczuł takie samo silne tętnienie życia, jakiego doznał, gdy drzewo to zobaczył po raz pierwszy. „Dziwne. Współczuję Pohlmannowi i on nie może mi w niczym pomóc, ale zawsze, gdy od niego wracam, odczuwam życie głębiej i bliżej niż zwykle”.

XIX

Pani dokumenty? Proszę chwileczkę zaczekać.

Urzędnik zdjął okulary i spojrzał na Elżbietę. Następnie wstał powoli i poszedł za drewniane przepierzenie, oddzielające okienko od większej sali. Graeber obejrzał się. Za nimi stał tłum ludzi. Droga do wyjścia była zatarasowana.

– Idź w stronę drzwi – powiedział cicho do Elżbiety. – Zaczekaj tam. Jeśli zobaczysz, że zdejmuję czapkę, natychmiast idź do Pohlmanna. Nie troszcz się o nic, idź natychmiast, ja tam przyjdę.

Elżbieta zawahała się.

– Idź! – powtórzył niecierpliwie. – Możliwe, że ten stary cap po kogoś poszedł. Nie wolno nam ryzykować. Zaczekaj na ulicy.

– Może potrzebne mu tylko jakieś dodatkowe informacje?

– Zaraz się przekonamy. Powiem, że poczułaś się źle i wyszłaś zaczerpnąć powietrza. Idź, Elżbieto!

Stał przy okienku i patrzył za nią. Odwróciła się i uśmiechnęła. Potem zniknęła w tłumie.

– Gdzie jest panna Kruse?

Graeber drgnął.

– Zaraz przyjdzie. Czy wszystko w porządku?

Urzędnik skinął głową.

– Kiedy państwo chcecie wziąć ślub?

– Jak najprędzej. Pozostało mi już niewiele czasu. Mój urlop kończy się wkrótce.

– Jeśli państwo chcecie, możecie zaraz się pobrać. Papiery są gotowe. Z żołnierzami wszystko jest proste i idzie szybko.

Graeber spostrzegł, że urzędnik trzyma w ręku dokumenty i uśmiecha się. Graeber poczuł nagle, że słabnie. Krew uderzyła mu do głowy.

– Wszystko załatwione? – zapytał i zdjął czapkę, aby otrzeć pot z czoła.

– Wszystko załatwione – potwierdził urzędnik. – Gdzie jest panna Kruse?

Graeber położył czapkę na parapecie okienka. Obejrzał się, szukając Elżbiety. Sala pełna była ludzi, jej jednak nie widział. Potem zauważył, że czapka jego leży przy okienku; przypomniał sobie, że był to umówiony znak.

– Chwileczkę – powiedział szybko. – Zaraz ją przyprowadzę.

Spiesznie przepchnął się między ludźmi; może dogoni ją jeszcze na ulicy. Ale gdy dotarł do wyjścia, stała spokojnie za kolumną i czekała.

– Chwała Bogu, jesteś tutaj! Wszystko w porządku. Wszystko w porządku, Elżbieto.

Weszli z powrotem. Urzędnik wręczył Elżbiecie papiery.

– Czy pani jest córką radcy sanitarnego Kruse?

– Tak.

Graeber wstrzymał oddech.

– Znam pani ojca – powiedział urzędnik.

Elżbieta spojrzała na niego.

– Wie pan coś o nim? – spytała po chwili.

– Nie więcej niż pani. Nic pani o nim nie słyszała?

– Nie.

Urzędnik zdjął okulary. Miał wodnistoniebieskie oczy krótkowidza.

– Bądźmy dobrej myśli. – Podał rękę Elżbiecie. – Wszystkiego najlepszego. Sam się zająłem pani sprawą i załatwiłem ją na własną odpowiedzialność. Może pani jeszcze dzisiaj wziąć ślub. Ja już wszystko przygotuję. Jeśli pani chce, nawet zaraz.

– Zaraz – powiedział Graeber.

– Dziś w południe – odparła Elżbieta. – Czy byłoby możliwe o godzinie drugiej?

– Załatwię to pani. Państwo muszą pójść do sali gimnastycznej w szkole miejskiej. Tam mieści się obecnie Urząd Stanu Cywilnego.

– Dziękuję.

Zatrzymali się przy wyjściu.

– Dlaczego nie zaraz? – spytał Graeber. – Nic by już nie mogło stanąć na przeszkodzie.

Elżbieta uśmiechnęła się.

– Muszę mieć trochę czasu, aby się przygotować, Ernst. Nie rozumiesz tego?

– Tylko w połowie.

– Połowa wystarczy. Przyjdź po mnie kwadrans przed drugą.

Graeber zawahał się.

– Wszystko poszło tak gładko, a ja już wyobrażałem sobie najgorsze! Sam nie wiem, dlaczego tak się denerwowałem. Byłem

trochę śmieszny, prawda?

– Nie.

– Myślę, że jednak tak.

Elżbieta potrząsnęła głową.

– Ojciec także uważał, że ludzie, którzy go ostrzegają, są śmieszni, że w dzisiejszych czasach nic podobnego nie może się zdarzyć – a jednak się stało. Mieliśmy szczęście, Ernst, to wszystko.

O kilka ulic dalej Graeber znalazł zakład krawiecki. Siedział tam podobny do kangura mężczyzna i szył mundur.

– Czy może mi pan wyczyścić spodnie? – spytał Graeber.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Tu jest zakład krawiecki, nie pralnia.

– To widzę. Ale chodzi mi także o odprasowanie munduru.

– Tego, który pan ma na sobie?

– Tak.

Krawiec mruknął coś pod nosem i wstał. Obejrzał plamę na spodniach.

– To nie krew – powiedział Graeber – tylko oliwa. Wywabi pan benzyną.

– Jeśli pan tak dobrze wie, dlaczego pan sam tego nie zrobi? Takich plam benzyną się nie wyczyści.

– Bardzo możliwe. Pan zapewne lepiej się na tym zna. Ma pan coś, w co mógłbym się tymczasem przebrać?

Krawiec poszedł za kotarę i wrócił z parą kraciastych spodni i białą marynarką.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Graeber. – Mundur potrzebny mi jest do ślubu.

– Godzinę.

Graeber przebrał się.

– W takim razie wrócę za godzinę.

Kangur spojrzał na niego podejrzliwie. Spodziewał się, że Graeber poczeka w zakładzie.

– Mój mundur jest dobrym zastawem – oświadczył Graeber. – Nie ucieknę.

Krawiec wyszczerzył niespodziewanie zęby.

– Pana mundur stanowi własność państwa, młody człowieku. Ale może pan sobie iść. I niech się pan ostrzyże. To konieczne, jeśli pan bierze ślub.

– Słusznie.

Graeber poszedł do fryzjera. Przywitała go koścista kobieta.

– Mój mąż jest na froncie – powiedziała. – Zastępuję go przez ten czas. Niech pan usiądzie. Golenie?

– Strzyżenie. Czy pani to także potrafi?

– Mój Boże! Umiem to tak dobrze, że już niemal znowu zapomniałam. Czy umyć głowę? Mamy jeszcze doskonałe mydło.

– Owszem, proszę też umyć głowę.

Kobieta była dosyć silna. Przystrzygła Graeberowi włosy i dokładnie tarła mu głowę mydłem i szorstkim ręcznikiem.

– Życzy pan sobie brylantynę? – spytała. – Mamy francuską.

Graeber spojrzał półsennie w lustro i przeraził się. Miał wrażenie, że mu uszy urosły, tak krótko przystrzyżone miał włosy na skroniach.

– Brylantynę? – powtórzyła kobieta rozkazująco.

– Jaki ma zapach? – Graeber przypomniał sobie sól kąpielową Alfonsa.

– Zwykły zapach brylantyny. Jakiżby inny? To francuska.

Graeber wziął słoik i powąchał. Brylantynę czuć było starym zjełczałym tłuszczem. No tak, czasy zwycięstw dawno już minęły. Popatrzył na swoje włosy; tam, gdzie były dłuższe, sterczały kosmyki.

– Dobrze, niech będzie brylantyna. Ale tylko troszeczkę.

Zapłacił i poszedł z powrotem do krawca.

– Za wcześnie pan przyszedł – burknął kangur.

Graeber nie oponował. Usiadł i przyglądał się, jak krawiec prasuje. Było tu tak ciepło, że ogarnęła go senność. Wojna stała się nagle bardzo odległa. Muchy bzykały leniwie, żelazko syczało; maleńką izdebkę wypełnił niezwykły, dawno zapomniany spokój.

– To wszystko, co mogę zrobić.

Krawiec podał spodnie. Plama zniknęła niemal zupełnie.

– Wspaniale – powiedział Graeber. Spodnie czuć było benzyną; ale o tym nie wspomniał. Przebrał się szybko.

– Kto pana strzygł? – spytał krawiec.

– Pewna kobieta, której mąż jest na wojnie.

– Wygląda, jakby pan to sam robił. Czekaj pan. – Kangur przyciął mu kilka kosmyków. – Tak, teraz ujdzie.

– Ile płacę?

Krawiec machnął ręką.

– Tysiąc marek albo nic. A więc nic. Prezent ślubny.

– Dziękuję. Wie pan, gdzie tu jest jakaś kwiaciarnia?

– Na Spichernstrasse.

Sklep był otwarty. Stały w nim dwie kobiety i targowały się ze sprzedawczynią o wieniec.

– Prawdziwe szyszki jodłowe! – powiedziała sprzedawczyni. – One zawsze są droższe.

Jedna z kupujących spojrzała na nią z oburzeniem. Jej zwiotczałe, pomarszczone policzki drżały.

– To zdzierstwo – zawołała. – Zdzierstwo! Chodź, Mina! Gdzie indziej znajdziemy tańsze wieńce.

– Więc niech pani nie bierze – oświadczyła sprzedawczyni uszczypliwie. – Na ten towar nie brak amatorów.

– Przy tych cenach?

– A tak, przy tych cenach. Nigdy nie mam dosyć zapasów, moje panie, i co wieczór wszystko jest wyprzedane.

– W takim razie bogaci się pani na wojnie.

Obie kobiety wyszły z hałasem. Sprzedawczyni zaczerpnęła gwałtownie powietrza, jakby chciała za nimi coś zawołać; potem zwróciła się do Graebera. Dostała nagle wypieków na twarzy.

– A pan? Wieńce czy ozdoby na trumnę? Jak pan widzi, nie mamy wielkiego wyboru, ale wiązanki jedliny są bardzo ładne.

– Nie chcę nic na pogrzeb.

– Tylko co? – spytała sprzedawczyni zdumiona.

– Chciałbym kupić kwiaty.

– Kwiaty? Mam lilie...

– Nie lilie. Coś do ślubu.

– Lilie doskonale pasują do ślubu, proszę pana! To symbol niewinności i dziewictwa.

– No tak... Ale czy nie ma pani róż?

– Róż? O tej porze? Skąd? W cieplarniach hoduje się teraz warzywa. W ogóle trudno cokolwiek dostać.

Graeber chodził po sklepie. Wreszcie za jakimś wieńcem w kształcie swastyki znalazł pęk żonkili.

– Poproszę o te kwiaty.

Sprzedawczyni wyjęła je i otrząsnęła z wody.

– Muszę niestety zawinąć w gazetę. Nie mam już innego papieru.

– Nic nie szkodzi.

Graeber zapłacił i wyszedł. Z kwiatami w ręku poczuł się nieswojo. Zdawało mu się, że wszyscy na niego patrzą. Najpierw trzymał bukiet kwiatami w dół; potem wsadził go pod pachę. Spojrzał przy tym na gazetę, w którą bukiet był zawinięty. Obok żółtych płatków widniało zdjęcie jakiegoś człowieka z rozdziawionymi ustami. Była to fotografia przewodniczącego trybunału ludowego. Przeczytał tekst. Czterech ludzi stracono, ponieważ nie wierzyli już w zwycięstwo Niemiec. Ścięto im głowy toporem. Gilotynę zniesiono w Trzeciej Rzeszy już dawno. Była zbyt ludzka. Graeber zmiął gazetę i odrzucił ją precz.

Urząd Stanu Cywilnego mieścił się w sali gimnastycznej szkoły miejskiej. Za urzędnikiem zwisał szereg lin do wspinania, przymocowanych końcami do ściany, którą zdobił portret Hitlera w mundurze; poniżej widniała swastyka z niemieckim orłem.

Musieli zaczekać. Przed nimi stał żołnierz w średnim wieku. Obok niego kobieta, która miała na piersi złotą broszkę w kształcie żaglowca. Żołnierz wyraźnie się denerwował, kobieta zachowywała spokój. Uśmiechnęła się do Elżbiety, jakby były w zmowie.

– A świadkowie? – zapytał urzędnik stanu cywilnego. – Gdzie są wasi świadkowie?

Żołnierz speszył się. Nie miał świadków.

– Myślałem, że przy ślubach wojennych nie są potrzebni – wykrztusił wreszcie.

– Tego by jeszcze brakowało. U nas panuje porządek!

Żołnierz zwrócił się do Graebera:

– Może zechcesz nam pomóc, kolego? Ty i twoja pani? Tylko podpisać.

– Naturalnie. Potem wy podpiszecie dla nas. Ja też przypuszczałem, że nie potrzeba świadków.

– Któż by o tym myślał!

– Każdy, kto zna swoje obowiązki obywatelskie – powiedział urzędnik ostro. Zaniedbanie to potraktował niemal jako osobistą zniewagę. – Czy na front idziecie bez karabinu?

– Przecież to zupełnie coś innego – odparł żołnierz zdumiony. – Świadek ślubny to nie broń.

– Wcale tego nie twierdziłem. To było tylko porównanie. A więc jak? Ma pan świadków?

– Ten kolega i ta pani.

Urzędnik spojrzał niechętnie na Graebera. Nie podobało mu się, że sprawa została załatwiona w tak prosty sposób.

– Mają państwo dowody? – spytał Graebera z nadzieją w głosie.

– Tak. My też chcemy się pobrać.

Urzędnik mruknął coś i wziął dokumenty. Wpisał nazwiska Elżbiety i Graebera do rejestru.

– Proszę tu podpisać.

Wszyscy czworo podpisali.

– Gratuluję państwu w imieniu führera – powiedział urzędnik lodowatym tonem do żołnierza i jego żony. Potem zwrócił się do

Graebera. – Pańscy świadkowie?

Graeber wskazał na tamtych dwoje.

Urzędnik potrząsnął głową.

– Mogę się zgodzić tylko na jedną osobę z tych dwojga.

– Dlaczego? Przecież nas pan przyjął obydwoje.

– Państwo byliście jeszcze wolni. Ale ci dwoje są teraz małżeństwem. Jako świadków musi pan mieć dwie niespokrewnione ze sobą osoby. Żona nie wchodzi w rachubę.

Graeber nie wiedział, czy urzędnik ma rację, czy chce tylko robić trudności.

– A tu na miejscu nie znajdzie się ktoś, kto mógłby być świadkiem? – spytał. – Jakiś inny urzędnik?

– To do mnie nie należy – oświadczył urzędnik stanu cywilnego z cichym triumfem. – Jeśli państwo nie macie świadków, nie możecie wziąć ślubu.

Graeber rozejrzał się.

– O co chodzi? – spytał starszy mężczyzna, który podszedł i przysłuchiwał się rozmowie. – Potrzeba państwu świadka? Jestem do państwa dyspozycji.

Stanął obok Elżbiety. Urzędnik zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Ma pan dokumenty?

– Oczywiście! – Mężczyzna powolnym ruchem sięgnął do kieszeni i rzucił na stół legitymację. Urzędnik otworzył ją, zerwał się i wypalił:

– *Heil Hitler, Herr Obersturmbannführer!*

– *Heil Hitler!* – odparł obersturmbannführer niedbale. – A teraz skończcie już wreszcie z tą komedią, zrozumiano? Jakim prawem

odnosicie się w ten sposób do żołnierzy?

– Tak jest, *Herr Obersturmbannführer!* Proszę, zechce pan łaskawie podpisać.

Graeber spostrzegł, że jego drugim świadkiem został obersturmbannführer SS Hildebrandt. Pierwszym był saper Klotz. Hildebrandt uścisnął rękę Elżbiecie i Graeberowi, a następnie Klotzowi i jego żonie. Urzędnik wydobył teraz zza lin, które wyglądały jak stryczki, dwa egzemplarze książki Hitlera *Mein Kampf*.

– To dar państwa – oświadczył kwaśno, patrząc za Hildebrandtem. – Jest w cywilu, więc skąd mogłem wiedzieć!

Kierując się ku wyjściu, przeszli obok skórzanego kozła i drążków.

– Kiedy musisz wracać? – spytał Graeber sapera.

– Jutro. – Klotz mrugnął. – Już od dawna chcieliśmy to zrobić. Po co darować coś państwu? A jeśli dostanę w czapę, to Maria przynajmniej będzie zabezpieczona. Prawda?

– Chyba tak.

Klotz odpiął tornister.

– Pomogłeś mi, kolego. Mam tu dobrą kiełbasę serdelową. Niech wam będzie na zdrowie! Nic nie gadaj, jestem rolnikiem i nie brak mi tego. Właściwie chciałem ją dać urzędnikowi stanu cywilnego. Wyobraź sobie, temu bydlakowi!

– Tego bym nie robił w żadnym wypadku! – Graeber wziął kiełbasę. – W zamian za to przyjmij ode mnie tę książkę. Nie mam przy sobie innego prezentu dla ciebie.

– Ależ, kolego, przecież ja dostałem taką samą.

– Nic nie szkodzi, będziesz miał teraz dwie. Jedną możesz dać żonie.

Klotz oglądał egzemplarz *Mein Kampf*.

– Ładna oprawa. Doprawdy nie chcesz jej zatrzymać?

– Niepotrzebna mi. Mam w domu oprawną w skórę ze srebrnymi okuciami.

– To co innego. A więc wszystkiego dobrego!

– Nawzajem!

Graeber dogonił Elżbietę.

– Nic nie powiedziałem Bindingowi, żeby nie mieć go za świadka. Nie chciałem, aby obok naszych figurowało nazwisko jakiegoś kreisleitera. Zamiast tego złapaliśmy obersturmbannführera SS. Tak się kończą dobre zamiary.

Elżbieta wybuchnęła śmiechem.

– Za to biblię ruchu hitlerowskiego wymieniłeś na kiełbasę serdelową. To się wyrównuje.

Przecięli Marktplatz. Cokół pomnika, z którego pozostały już tylko nogi Bismarcka, został ponownie ustawiony. Nad kościołem Marii Panny krążyły gołębie.

„Właściwie powinienem być bardzo szczęśliwy” – pomyślał Graeber, patrząc na Elżbietę; ale nie odczuwał tego tak silnie, jak oczekiwał.

Leżeli na leśnej polanie za miastem. Między drzewami zwisał fioletowy opar. Na skraju lasu kwitły prymulki i fiołki. Powiał lekki wietrzyk. Elżbieta usiadła nagle.

– Co to jest tam w głębi? Wygląda jak zaczarowany las. A może ja śnię? Drzewa obwieszone są srebrem. Ty też to widzisz?

Graeber skinął głową.

– Wygląda jak włosy anielskie.

– Co to jest?

– Staniol. Albo bardzo cienkie aluminium pocięte w wąskie paski. Podobne do srebrnego papieru, w który opakowuje się czekoladę.

– Tak. Cały las jest tym obwieszony! Skąd się to wzięło?

– Lotnicy zrzucają je całymi pęczkami. Zagłusza to odbiór radiowy. Przypuszczam, że w ten sposób nie można już ustalić pozycji samolotów. Coś w tym rodzaju. Gdy pocięte paski staniolu powoli spływają w dół, przerywają lub zagłuszają odbiór radiowy.

– Szkoda – powiedziała Elżbieta. – Wygląda to zupełnie jak las przystrojonych świątecznie choinek. A tymczasem to także jest wojna. Myślałam, że raz wreszcie jej umknęliśmy.

Patrzyli w stronę lasu. Drzewa wokół polany obwieszone były paskami, które powiewały na gałęziach, błyszczały i wirowały na wietrze. Słońce przedarło się przez zwały chmur i przemieniło wszystko w migotliwą bajkę. To, co sfrunęło wśród szalejącej śmierci i przeraźliwego wycia zniszczenia, zwisało teraz z drzew bezgłośnie i połyskliwie, było srebrem i blaskiem, i wspomnieniem dziecięcych baśni i święta pokoju.

Elżbieta oparła się o Graebera.

– Przyjmijmy to tak, jak wygląda, nie zastanawiając się, co to oznacza w rzeczywistości.

– Dobrze. – Graeber wyjął z kieszeni płaszcza książkę od Pohlmanna. – Nie możemy wyjechać w podróż poślubną, Elżbieto. Ale Pohlmann dał mi tę książkę – album Szwajcarii. Kiedyś, po wojnie, pojedziemy tam i wszystko sobie powetujemy.

– Szwajcaria! Kraj, gdzie nocą pali się jeszcze światło.

Graeber otworzył książkę.

– W Szwajcarii też już nie ma światła. Mówiono o tym w koszarach. Nasz rząd wystosował ultimatum, żądając wygaszenia świateł. I Szwajcaria musiała się zgodzić.

– Dlaczego?

– Nie mieliśmy nic przeciwko temu, póki sami przelatywaliśmy nad Szwajcarią. Ale teraz przelatują nad nią także inni. Z bombami na Niemcy. Widząc oświetlone miasta, pilot łatwiej może się orientować. Dlatego.

– A więc i tam już się skończyło.

– Tak. Ale jedno przynajmniej wiemy na pewno: jeśli po wojnie pojedziemy kiedyś do Szwajcarii, wszystko tam będzie jeszcze dokładnie takie samo jak w tej książce. Gdybyśmy mieli tu album Włoch, Francji lub Anglii, nie bylibyśmy tego pewni.

– To samo byłoby z albumem Niemiec.

– Masz rację.

Przerzucali kartki.

– Góry – powiedziała Elżbieta. – Czy w Szwajcarii są tylko góry? Nie ma tam ciepła ani słońca?

– Owszem. Tutaj jest włoska Szwajcaria.

– Locarno. Tam odbyła się wielka konferencja pokojowa, prawda? Konferencja, na której postanowiono, że nigdy już nie będzie wojen.

– Tak mi się zdaje.

– Nie na długo to pomogło.

– Nie. Tutaj jest Locarno. Przyjrzyj się. Palmy, stare kościoły, a to Lago Maggiore. A tu są wyspy i azalie, i mimozy, i słońce, i pokój.

– Tak. Jaka to miejscowość?

– Porto Ronco.

– Dobrze – powiedziała Elżbieta sennie i odsunęła książkę. – Zapamiętajmy ją sobie. Pojedziemy tam kiedyś. Teraz nie chcę już podróżować.

Graeber zamknął album. Spojrzał na połyskujące srebro między drzewami, a potem otoczył Elżbietę ramieniem. Czuł, jak tuli się do niego, a wraz z nią – leśna ziemia, trawa i pnącze, i czerwony kwiat o wąskich, delikatnych płatkach, które stawały się coraz większe i większe, aż wypełniły sobą cały horyzont – i oczy jego się zamknęły.

Wiatr zamarł. Szybko się ściemniło. Z oddali dobiegało ciche dudnienie. „Artyleria – pomyślał Graeber w półśnie – ale skąd bije? Gdzie ja jestem? Gdzie front?" Potem, gdy poczuł obok siebie Elżbietę, odetchnął z ulgą. „Gdzie tu są stanowiska artylerii? To chyba ćwiczenia?"

Elżbieta poruszyła się.

– Gdzie są? – szepnęła sennie. – Bombardują czy lecą dalej?

– To nie samoloty.

Dudnienie powtórzyło się. Graeber usiadł i nasłuchiwał.

– To nie bomby ani działa, ani samoloty, Elżbieto – powiedział. – To burza.

– Czy nie za wcześnie?

– Burze nie stosują się do przepisów.

Spostrzegli teraz pierwsze błyskawice. Wydawały się blade i sztuczne po tym, co widywali w czasie innych burz, burz spowodowanych przez ludzi, a grzmot również trudno było

porównać z wyciem eskadry samolotów, a cóż dopiero z łoskotem bombardowania.

Zaczęło padać. Biegli przez polankę, chroniąc się pod jodłami. Cienie zdawały się biec za nimi. Szum deszczu w koronach drzew brzmiał jak dźwięk oklasków dalekiego tłumu; w płowym świetle Graeber spostrzegł, że włosy Elżbiety pełne są srebrnych nitek strąconych z gałęzi. Wyglądały jak siatka, w której więzły błyskawice.

Wyszli z lasu i natrafili na przystanek tramwajowy kryty daszkiem, pod którym tłoczyli się ludzie. Obok stało kilku esesowców. Byli młodzi i gapili się na Elżbietę.

Po półgodzinie deszcz ustał.

– Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy – powiedział Graeber. – W którą stronę iść?

– Na prawo.

Przecięli ulice i skręcili w mroczną aleję. Przed nimi długi szereg ludzi w pasiakach zajęty był układaniem rur.

Elżbieta wyprostowała się nagle i skierowała w stronę robotników. Szła powoli, tuż koło nich, zaglądając im w twarze, jakby kogoś szukała. Graeber zauważył teraz, że ludzie ci mieli numery na ubraniach; byli to więźniowie z obozu koncentracyjnego. Pracowali w milczeniu i prędko, nie podnosząc wzroku. Głowy ich wyglądały jak trupie czaszki, a ubrania luźno wisiały na wychudzonych ciałach. Dwóch omdlałych leżało koło zabitej deskami budki z wodą sodową.

– Hej, tam! – wrzasnął któryś z esesowców. – Jazda stąd! Tu nie wolno chodzić!

Elżbieta udawała, że nie słyszy. Tylko przyspieszyła kroku i wpatrywała się w martwe oblicza więźniów.

– Zawracać! Hej, tam! Natychmiast! Do diabła, czy pani nie słyszy?

Esesowiec zbliżał, się klnąc.

– O co chodzi? – spytał Graeber.

– O co chodzi? Macie watę w uszach czy co?

Graeber spostrzegł, że nadchodzi jeszcze jeden esesowiec, oberscharführer. Obawiał się zawołać Elżbietę – wiedział, że nie zawróci.

– Szukamy tu czegoś – powiedział do esesowca.

– Czego? Gadać mi tu zaraz!

– Zgubiliśmy broszkę. W kształcie żaglowca, wysadzaną brylantami. Przechodziliśmy tędy wczoraj wieczorem i prawdopodobnie tutaj zgubiliśmy. Może pan ją widział.

– Co?

Graeber powtórzył swoje kłamstwo. Zauważył, że Elżbieta minęła już połowę szeregu.

– Nic tutaj nie znaleziono – oświadczył oberscharführer.

– On coś kręci – powiedział esesowiec. – Ma pan dokumenty?

Przez chwilę Graeber patrzył na niego w milczeniu. Chętnie by go powalił na ziemię. Esesowiec nie miał więcej niż dwadzieścia lat. „Steinbrenner – pomyślał Graeber. – Heini. Ten sam typ".

– Mam nie tylko dokumenty, ale nawet bardzo dobre dokumenty – odparł. – A poza tym obersturmbannführer Hildebrandt jest moim dobrym przyjacielem, jeśli to pana interesuje.

Esesowiec zaśmiał się szyderczo.

– I co jeszcze? Führer może też?

– Führer nie.

Elżbieta dotarła już niemal do końca szeregu. Graeber powoli wyciągnął z kieszenie świadectwo ślubu.

– Niech pan ze mną podejdzie do latarni. Umie pan czytać? Widzi pan podpis mojego świadka? I datę? Dzisiejsza. Wystarczy to panu?

Esesowiec gapił się na dokument. Oberscharführer zajrzał mu przez ramię.

– To podpis Hildebrandta – potwierdził. – Poznaję. Ale mimo to nie wolno panu tędy chodzić. To wzbronione. Nic nie poradzimy. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej broszki.

Elżbieta skończyła przegląd.

– Mnie również – odparł Graeber. – Naturalnie, jeśli to zakazane, nie będziemy tu nadal szukali. Rozkaz to rozkaz.

Poszedł naprzód, aby dogonić Elżbietę. Oberscharführer nie odstępował go jednak.

– Może jeszcze znajdziemy tę broszkę. Dokąd ją odesłać?

– Do Hildebrandta, to najprostsze.

– Dobrze – powiedział oberscharführer z szacunkiem. – Nie znalazła pani? – spytał Elżbietę.

Spojrzała na niego, jakby zbudzona ze snu.

– Opowiedziałem panu oberscharführerowi o broszce, którą tu zgubiliśmy – zaczął szybko Graeber. – Jeśli ją znajdą, odeślą do Hildebrandta.

– Dziękuję – odparła Elżbieta zdumiona.

Oberscharführer skinął głową.

– Może pani na nas polegać! My, esesowcy, jesteśmy dżentelmenami.

Elżbieta obrzuciła wzrokiem więźniów. Oberscharführer to zauważył.

– Jeśliby któraś z tych świń ją ukryła, my i tak znajdziemy – oświadczył rycersko. – Będziemy ich rewidować, aż im się niedobrze zrobi.

Elżbieta drgnęła.

– Wcale nie jestem pewna, że ją tutaj zgubiłam. To mogło być tam dalej, w lesie. Sądzę nawet, że to raczej tam.

Oberscharführer wyszczerzył zęby. Elżbieta zaczerwieniła się.

– Chyba raczej w lesie – powtórzyła.

Oberscharführer wyszczerzył zęby jeszcze bardziej.

– Tamten teren już do nas nie należy – oświadczył.

Graeber stał tuż obok wychudłej czaszki jakiegoś schylonego więźnia. Wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął paczkę papierosów i upuścił ją na ziemię, odwracając się równocześnie.

– Jutro poszukamy w lesie – powiedział do oberscharführera. – Możliwe, że tam ją zgubiliśmy. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. *Heil Hitler!* I serdeczne życzenia z okazji ślubu.

– Dziękujemy.

Szli obok siebie w milczeniu, aż więźniowie zniknęli im z oczu. Perłowe pasmo chmur przeciągało po rozjaśnionym niebie jak klucz flamingów.

– Nie powinnam była tam chodzić – powiedziała Elżbieta. – Wiem o tym.

– To nie szkodzi. Człowiek już taki jest. Ledwo uda mu się uniknąć jednego niebezpieczeństwa, a już ryzykuje następne.

Skinęła głową.

– Uratowałeś nas tą historią z broszką. I Hildebrandtem. Jesteś doprawdy doskonałym kłamcą.

– To jedyne – odparł Graeber – co w ciągu ostatnich dziesięciu lat doprowadziliśmy do perfekcji. A teraz chodźmy do domu. Mam pełne urzędowe prawo zamieszkać u ciebie. Utraciłem mój dom w koszarach, a dzisiaj po południu wyprowadziłem się od Alfonsa; teraz chcę wreszcie pójść do domu. Chcę jak wielki pan wylegiwać się w łóżku, podczas gdy ty jutro rano pobiegniesz do pracy, aby zarobić na chleb dla rodziny.

– Nie idę jutro do fabryki. Dostałam dwa dni urlopu.

– I mówisz to dopiero teraz?

– Chciałam ci powiedzieć jutro rano.

Graeber potrząsnął głową.

– Tylko bez niespodzianek! Nie mamy na to czasu. Potrzebujemy każdej minuty, aby się cieszyć. I zaraz zaczynamy. Jest coś na śniadanie czy mam pójść do Alfonsa?

– Wystarczy nam.

– Dobrze. Urządzimy sobie huczne śniadanie. Jeśli chcesz, nawet przy dźwiękach marsza *Hohenfriedberger*. A gdy pani Lieser wpadnie do nas, pełna wściekłości i świętego oburzenia, podsuniemy pod jej rozczarowany, szpiclowski nos świadectwo ślubu. Ależ ona zrobi oczy, gdy zobaczy nazwisko naszego esesowskiego świadka!

Elżbieta uśmiechnęła się.

– Może wcale nie urządzi takiej awantury. Przedwczoraj, gdy dawała mi funt cukru, który zostawiłeś, powiedziała nagle, że

jesteś porządnym człowiekiem. Bóg wie skąd ta nagła zmiana! A może ty wiesz?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie – korupcja. To jest druga dziedzina, którą w ciągu ostatnich dziesięciu lat doprowadziliśmy do perfekcji.

XX

Nalot nastąpił w południe. Był szary, ciepły dzień, pełen bujnego rozkwitu i wilgoci. Chmury wisiały nisko, a płomienie wybuchów strzelały w górę, jak gdyby ziemia ciskała je z powrotem w niewidzialnego wroga, aby jego własną bronią strącić go w wir ognia i zniszczenia.

Była to pora przerwy obiadowej, a więc wzmożonego ruchu na ulicach. Komendant obrony przeciwlotniczej skierował Graebera do najbliższego schronu. Graeber przypuszczał, że skończy się na alarmie, gdy jednak usłyszał pierwsze wybuchy, zaczął przeciskać się przez tłum, aż dotarł do wyjścia. W chwili gdy otwarto drzwi, aby wpuścić ludzi, wyskoczył na ulicę.

– Wracaj pan! – krzyknął za nim komendant obrony przeciwlotniczej. – Nikomu nie wolno pozostawać na ulicy! Tylko służbie obrony przeciwlotniczej!

– Ja też jestem z obrony przeciwlotniczej!

Pobiegł w kierunku fabryki. Nie wiedział, czy zdoła dotrzeć do Elżbiety, ale wiedział, że fabryki stanowią główny cel nalotów, i chciał przynajmniej spróbować wydostać ją stamtąd.

Skręcił za róg. Przed nim, na końcu ulicy, uniósł się w górę jakiś dom. W powietrzu rozleciał się na kawałki, które w szalejącym huku zdawały się spadać cicho i powoli. Graeber leżał w rynsztoku, rękami przyciskając uszy. Podmuch następnej eksplozji chwycił go jak olbrzymia ręka i odrzucił o kilka metrów. Kamienie sypały się wokół niego jak deszcz. W ogólnym zgiełku one również spadały bezgłośnie. Podniósł się, zatoczył, potrząsnął głową, pociągnął się za uszy i uderzył w czoło, aby oprzytomnieć. Z minuty na minutę ulica przed nim zamieniała się w burzę płomieni. Nie mógł się przedostać; zawrócił.

Naprzeciw niemu pędzili ludzie z otwartymi ustami i przerażeniem w oczach. Krzyczeli coś, ale ich nie słyszał. Przebiegali obok niego jak głuchoniemi. Na końcu kuśtykał jakiś mężczyzna z drewnianą nogą, niosąc duży zegar z kukułką, którego ciężarki wlokły się po ziemi. Za nim gnał skulony owczarek. We wnęce domu stała pięcioletnia może dziewczynka. Przyciskała do siebie niemowlę. Graeber zatrzymał się.

– Leć do najbliższego schronu! – zawołał. – Gdzie twoi rodzice? Dlaczego cię tu zostawili?

Dziewczynka nawet nie podniosła głowy i coraz mocniej tuliła się do ściany. Graeber spostrzegł nagle komendanta obrony przeciwlotniczej, który bezgłośnie krzyczał coś do niego. Graeber odkrzyknął mu, sam siebie nie słysząc. Tamten krzyczał bezgłośnie nadal i dawał jakieś znaki. Graeber machnął ręką i wskazał na dzieci. Była to niesamowita pantomima. Komendant usiłował zatrzymać go jedną ręką, a drugą pochwycił dzieci. Graeber wyrwał się. W panującym tumulcie miał przez chwilę uczucie, że nic nie waży i może robić gigantyczne skoki, a zaraz

potem jakby był z miękkiego ołowiu i olbrzymie młoty rozbijały go na miazgę.

Szafa z otwartymi drzwiami pożeglowała nad nim niby niezgrabny, przedpotopowy ptak. Potężny prąd powietrza chwycił go i wcisnął w wir, z ziemi trysnęły płomienie, jaskrawa żółtość zalała niebo, spłonęła w jeszcze intensywniejszą biel i runęła w dół jak oberwanie chmury. Graeber oddychał ogniem, w płucach czuł żar. Upadł, wcisnął głowę w ramiona, wstrzymał oddech, aż głowa zdawała się pękać. Spojrzał w górę: do załzawionych, piekących oczu napływał powoli obraz, nabierał kształtu i wyostrzał się. Rozdarta, poplamiona ściana zawaliła się nad jakimiś schodami, a na schodach, nadziane na strzaskane stopnie, leżało ciało pięcioletniej dziewczynki w wysoko zadartej, krótkiej kraciastej spódniczce; gołe, rozrzucone nogi, ramiona rozłożone, jakby została ukrzyżowana, pierś przeszyta kawałkiem żelaznej poręczy, której drugi koniec sterczał jej z pleców. Obok niej, jakby miał o wiele więcej stawów niż za życia, leżał komendant obrony przeciwlotniczej, z urwaną głową, zwiotczały i prawie niespływający już krwią, skurczony, z nogami zarzuconymi na ramiona, jak martwy człowiek wąż. Niemowlęcia nie było widać. Zapewne ciśnięte zostało gdzieś w huragan, który teraz zawracał, gorący i płomienisty, gnając przed sobą ogień. Graeber usłyszał czyjś krzyk:

– Świnie! Świnie! Przeklęte świnie!

Spojrzał w niebo, obejrzał się i zdał sobie sprawę, że to on sam tak krzyczał.

Zerwał się i pobiegł dalej. Nie wiedział, w jaki sposób dotarł do placu, gdzie znajdowała się fabryka. Wydawała się nietknięta;

tylko po prawej stronie widniał świeży lej. Ani jeden z niskich, szarych budynków nie był trafiony. Zatrzymał go wartownik fabryczny.

– Moja żona tu jest! – krzyknął Graeber. – Puśćcie mnie do środka!

– Nie wolno! Idź pan do najbliższego schronu, tam po drugiej stronie. U wylotu ulicy.

– Do diabła, wszystko w tym kraju zabronione!

– Usuń się albo...

Wartownik pokazał w głąb podwórza. Stał tam niski, mały bunkier z żelazobetonu.

– Karabiny maszynowe! I straż! Tacy sami zasrani żołnierze jak i ty! Wejdź, jeśli chcesz, ty bałwanie! Zacznij wojnę domową! Tylko ciebie tu jeszcze brakowało!

Graeber nie czekał na dalsze wyjaśnienia; karabin maszynowy panował nad całym podwórzem.

– Straż! – powiedział wściekły. – Po co? Niedługo pilnować będziecie własnego gówna. Macie tu przestępców? Czego tu pilnujecie, tych waszych przeklętych płaszczy wojskowych?

– Więcej, niż ci się zdaje! – odparł tamten pogardliwie. – Nie tylko płaszcze wojskowe tu robimy! I nie tylko kobiety są tu zatrudnione. W zakładach amunicyjnych pracuje kilkuset więźniów z obozu koncentracyjnego. Zrozumiałeś wreszcie, ty frontowy ciołku?

– Tak. A jakie macie schrony?

– Co mnie obchodzą schrony? Ja muszę stać na ulicy. A co będzie z moją żoną w mieście?

– Czy wasze schrony są bezpieczne?

– Oczywiście. Przecież ludzie potrzebni są w fabryce. A teraz zmykaj! Nikomu nie wolno być na ulicy! Ci w głębi już coś zmiarkowali. Polują na sabotażystów!

Ciężkie wybuchy ustały. Tylko ogień artylerii przeciwlotniczej szalał nadal. Graeber przebiegł na ukos przez plac. Nie poszedł do najbliższego schronu, lecz przykucnął w świeżym leju na skraju placu. Wypłoszył go stamtąd straszliwy duszący smród. Wygramolił się na krawędź i leżał tam, obserwując fabrykę.

„To jest inna wojna – pomyślał. – Na froncie żołnierz musi uważać tylko na siebie, a jeśli ma brata w tej samej kompanii, to już wiele; ale tutaj każdy ma rodzinę i strzały wymierzone są nie tylko w niego; trafić mogą każdego z bliskich. To jest podwojona, potrojona, udziesięciokrotniona wojna". Stanęły mu przed oczyma zwłoki pięcioletniej dziewczynki, a potem inne, niezliczone; pomyślał o rodzicach, o Elżbiecie i poczuł skurcz nienawiści do ludzi, którzy to sprawili. Nienawiść ta nie zatrzymywała się na granicy jego kraju i daleka była od wszelkich rozważań i sprawiedliwości.

Zaczęło padać. Krople spływały przez cuchnące, zgwałcone powietrze jak srebrzyste strugi łez. Rozpryskiwały się o ziemię, zostawiając na niej ciemne plamy. Potem nadleciały nowe eskadry bombowców.

Miał wrażenie, że ktoś rozdziera mu pierś. Huk przekształcił się w metaliczne szaleństwo, potem część fabryki, czarna na tle wachlarzowato płonącego światła, uniosła się w powietrze i rozprysła, jakby jakiś olbrzym, bawiąc się pod ziemią, rzucał wysoko w górę zabawkami.

Graeber wpatrywał się w ogień, który wystrzelił białym, żółtym i zielonym płomieniem. Potem pobiegł z powrotem do bramy fabryki.

– Czego tu znowu chcesz?! – wrzasnął wartownik. – Nie widzisz, że w nas rąbnęli?

– Gdzie? W którą część? W oddział płaszczy?

– Płaszcze! Bzdura! Oddział płaszczy jest dalej, w głębi.

– Na pewno? Moja żona...

– Pocałuj mnie w dupę razem z twoją żoną! One są wszystkie w schronie! Mamy tu kupę rannych i zabitych! Daj mi spokój!

– Jak to rannych i zabitych? Przecież wszyscy są w schronie?

– Ale nie ci! To więźniowie. Oni nie są w schronie, to chyba jasne! A może przypuszczasz, że dla nich wybudowano specjalny schron?

– Nie – odparł Graeber. – Nie przypuszczam.

– No więc! Nareszcie zmądrzałeś. A teraz nie zawracaj mi głowy! Do diabła, stary żołnierz nie powinien być taki nerwowy. Poza tym chwilowo się uspokoiło. Może już na dobre.

Graeber spojrzał w górę. Szczekały tylko działa przeciwlotnicze.

– Posłuchaj, kolego! Chcę tylko jednego! Chcę wiedzieć, czy oddział płaszczy nie oberwał. Pozwól mi wejść do środka albo sam się zapytaj. Jesteś żonaty?

– No chyba. Przecież ci mówiłem. Myślisz, że nie mam pietra o żonę?

– Więc dowiedz się! Zrób to, a twojej żonie na pewno nic się nie stanie.

Wartownik pokiwał głową.

– Chłopie, masz fioła! A może jesteś Panem Bogiem? – Poszedł do swojej budki i po chwili wrócił. – Telefonowałem. Płaszcze są w porządku. Rąbnęło tylko w tych z obozu koncentracyjnego. A teraz zjeżdżaj! Jak długo jesteś żonaty?

– Pięć dni.

Wartownik wyszczerzył nagle zęby.

– Dlaczego mi od razu nie powiedziałeś? To co innego.

Graeber odszedł.

„Chciałem mieć coś, co by mnie trzymało – pomyślał. – Ale wcale nie przypuszczałem, że gdy się to ma, człowiek jest w dwójnasób wystawiony na ciosy".

Nalot się skończył. Miasto cuchnęło spalenizną i śmiercią i było pełne pożarów: czerwonych, zielonych, żółtych i białych. Niektóre z nich były tylko wężowym pełganiem płomieni ponad zwalonymi ruinami, inne strzelały z dachów wysoko do nieba; były ognie, które niemal pieszczotliwie owiewały stojące jeszcze frontony domów, nieśmiało i ostrożnie je obejmując, inne przemocą wybuchały z otworów okiennych. Były pojedyncze pożary i ściany ognia, huragany ognia; były płonące trupy i płonący żywi, którzy krzycząc, wypadali z domów i jak szaleni latali w koło, przewracali się i czołgali, jęcząc ochryple, a potem już tylko drgali i rzęzili, i cuchnęli spalonym mięsem.

– Pochodnie – powiedział ktoś stojący obok Graebera. – Nie można ich uratować. Spalą się żywcem. Opryskało ich to przeklęte świństwo z bomb zapalających; przepala wszystko – skórę, mięso i kości.

– Dlaczego nie można ich ratować?

– Dla każdego trzeba by mieć osobną gaśnicę, a i to nie wiem, czyby pomogło. To diabelstwo przeżera wszystko. Ach, te krzyki!

– Jeżeli nie można ich ratować, powinno się ich natychmiast zastrzelić.

– Strzelaj, a powieszą cię jako mordercę! I spróbuj trafić, kiedy latają w koło jak szaleni! Właśnie całe nieszczęście w tym, że tak pędzą! To dopiero czyni z nich pochodnie. Wiatr, rozumiesz! Biegają i to powoduje wiatr, a wiatr podsyca ogień i w mig stoją w płomieniach.

Graeber spojrzał na mężczyznę. Spod hełmu widać było głęboko osadzone oczy i usta, w których brakowało wielu zębów.

– Sądzisz, że powinni stać spokojnie?

– Teoretycznie byłoby lepiej. Stać albo próbować zdusić płomienie kocami lub czymś podobnym. Ale kto ma od razu koce pod ręką? Albo myśli o tym? I kto będzie spokojnie stał, kiedy płonie?

– Nikt. Kim właściwie jesteś? Z obrony przeciwlotniczej?

– Ale skąd! Należę do brygady pogrzebowej. Rannych, ma się rozumieć, też zabieramy, jeśli znajdziemy. Już jedzie nasz wóz. Nareszcie.

Graeber spostrzegł nadjeżdżający między ruinami wóz zaprzężony w siwka.

– Zaczekaj, Gustaw! – zawołał mężczyzna, z którym Graeber rozmawiał. – Tutaj się nie przedostaniesz. Musimy ich przenieść. Masz nosze?

– Dwie pary.

Graeber poszedł z nim. Za murem ujrzał trupy.

„Jak w rzeźni – pomyślał. – Nie, nie jak w rzeźni; rzeźnia jest porządniejsza, zwierzęta są poćwiartowane według przepisów, wykrwawione i wypatroszone”. Tutaj zwłoki były rozdarte, zmiażdżone, poszarpane, spalone i upieczone. Wisiały na nich jeszcze strzępki ubrań: rękaw wełnianego swetra, spódnica w grochy, pojedyncza nogawka z brązowego welwetu, biustonosz, w którym tkwiły czarne krwawe piersi. Z boku leżały martwe dzieci, jedno na drugim. Trafione zostały w piwnicy, która nie była dostatecznie umocniona. Ręce, stopy, zmiażdżone głowy z resztkami włosów, wykręcone nogi; a między nimi – teczka szkolna, koszyk z martwym kotem, bardzo blady chłopiec, biały jak albinos, martwy, choć bez rany, rozciągnięty, jakby jeszcze nie miał duszy i czekał, żeby go ożywiono, a przed nim zwłoki czarne, spalone niezbyt głęboko, ale równomiernie, prócz jednej nogi, czerwonej i pokrytej pęcherzami. Nie można już było rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta; narządy płciowe i piersi były zwęglone. Złoty pierścionek błyszczał jasno na czarnym pokurczonym palcu.

– Oczy – powiedział ktoś. – Pomyśleć, że oczy też się palą!

Zwłoki załadowano.

– Linda – zawodziła jakaś kobieta idąca za noszami. – Linda! Linda!

Zaświeciło słońce. Wilgotne od deszczu ulice błyszczały. Ocalałe drzewa połyskiwały, mokre i jasnozielone. Po deszczu światło było świeże i mocne.

– Tego się nigdy nie przebaczy! – zawołał ktoś za Graeberem.

Odwrócił się. Kobieta w czerwonym, kokieteryjnym kapelusiku wpatrywała się w dzieci.

– Nigdy! – powtórzyła. – Nigdy! Ani w tym, ani w przyszłym życiu!

Nadszedł patrol.

– Rozejść się! Nie zatrzymywać się! Jazda, rozejść się! Naprzód!

Graeber szedł dalej.

„Czego się nie przebaczy? – pomyślał. – Po tej wojnie będzie straszliwie dużo do przebaczenia – i nie do przebaczenia. Jedno pokolenie na to nie wystarczy". Widział więcej zabitych dzieci niż te – widział je wszędzie, we Francji, w Holandii, w Polsce, w Afryce, w Rosji; wszystkie miały matki, które po nich płakały, nie tylko niemieckie, oczywiście, jeśli jeszcze mogły płakać, a nie zostały uprzednio wymordowane przez SS. Ale dlaczego o tym myśli? Czyż przed godziną sam nie wołał: „Świnie! Świnie!", w stronę nieba, po którym krążyły samoloty?

Dom Elżbiety nie został trafiony, ale bomba zapalająca spadła o dwa domy dalej, wiatr przeniósł płomienie i teraz paliły się już dachy wszystkich trzech.

Dozorca stał na ulicy.

– Dlaczego nikt nie gasi? – spytał Graeber.

Dozorca wskazał szerokim gestem na miasto.

– Dlaczego nikt nie gasi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Czy nie ma wody?

– Trochę jeszcze jest. Ale nie ma ciśnienia. Kapie tylko. A do ognia nie możemy się zbliżyć. Dach może lada chwila runąć.

Na ulicy stały krzesła, walizy, kot w klatce na ptaki, obrazy i tobołki z odzieżą. Z okien dolnych pięter ludzie o spoconych,

podnieconych twarzach wyrzucali na dwór rzeczy zawinięte w koce i poduszki. Inni biegali po schodach tam i z powrotem.

– Myśli pan, że cały dom spłonie? – spytał Graeber dozorcę.

– Prawdopodobnie, jeśli straż pożarna wkrótce nie przyjedzie. Dzięki Bogu, nie ma wiatru. Na ostatnim piętrze otworzyliśmy wszystkie krany i usunęliśmy łatwopalne przedmioty. Nic więcej nie można było zrobić. Gdzie są właściwie te cygara, które mi pan obiecał? Przydałyby się teraz.

– Jutro – odparł Graeber. – Jutro na pewno.

Spojrzał w górę, na mieszkanie Elżbiety. Nie było jeszcze bezpośrednio zagrożone, dwa piętra dzieliły je od ognia. W oknie obok pokoju Elżbiety spostrzegł pomykającą tu i tam panią Lieser. Mozoliła się nad białym tłumokiem, w którym prawdopodobnie była pościel. W półmroku pokoju wyglądał jak nadmuchany upiór.

– Ja też pójdę pakować rzeczy – powiedział Graeber. – To nie zaszkodzi.

– Słusznie – odparł dozorca.

Na schodach jakiś mężczyzna w binoklach uderzył Graebera ciężkim kufrem w goleń.

– Bardzo przepraszam – powiedział uprzejmie w próżnię i pobiegł dalej.

Drzwi do mieszkania stały otworem. Korytarz zawalony był pakunkami. Pani Lieser przebiegła obok Graebera z zaciśniętymi wargami i łzami w oczach. Wszedł do pokoju Elżbiety i zamknął za sobą drzwi. Usiadł na krześle przy oknie i rozejrzał się. Mieszkanie tchnęło nagle przedziwnym, wyosobnionym spokojem. Graeber siedział przez chwilę bez ruchu, nie myśląc o niczym.

Potem poszukał walizek. Znalazł dwie pod łóżkiem i zastanawiał się, co zapakować.

Rozpoczął od sukien Elżbiety. Wyjął z szafy te, które uważał za najbardziej praktyczne. Potem otworzył komodę i wyjął bieliznę i pończochy. Między obuwie wsadził małą paczkę listów. Z ulicy dobiegały okrzyki i hałas. Wyjrzał. Nie była to jednak straż pożarna, tylko mieszkańcy wynoszący swoje rzeczy. Przed zburzonym domem naprzeciwko zobaczył kobietę w nurkowym futrze, siedzącą w czerwonym pluszowym fotelu; przyciskała do piersi małą walizeczkę. „Prawdopodobnie jej biżuteria" – pomyślał i zaczął szukać po szufladach biżuterii Elżbiety. Znalazł kilka drobiazgów: cieniutką złotą bransoletkę i starą broszkę z ametystem. Zapakował również złocistą suknię. Dotykając rzeczy Elżbiety, odczuwał odległą tkliwość – tkliwość i lekki wstyd, jakby robił coś niedozwolonego.

Zdjęcie ojca Elżbiety położył na wierzchu do drugiej walizki i zamknął ją. Potem usiadł w fotelu i rozejrzał się. Znowu ogarnął go przedziwny panujący tu spokój. Po chwili przypomniał sobie, że powinien zabrać pościel. Zawinął poduszki i kołdry w prześcieradła i związał tak, jak to robiła pani Lieser. Kładąc tłumok na podłodze, spostrzegł za łóżkiem swój tornister. Zapomniał o nim. Gdy go wyciągnął, stalowy hełm zagrzechotał po podłodze, jakby z dołu ktoś mocno stukał w sufit. Nogą przysunął go do rzeczy leżących przy drzwiach, a potem wyniósł wszystko na ulicę.

Domy wypalały się powoli. Straż pożarna nie przyjechała, kilka domów mieszkalnych to była zbyt drobna sprawa. Pierwszeństwo

miały płonące fabryki. Zresztą czwarta część miasta stała w płomieniach.

Pogorzelcy uratowali ze swego majątku tyle, ile tylko zdołali. Teraz nie wiedzieli, co z tym robić. Nie mieli środków transportowych ani dachu nad głową. Część ulicy przed płonącymi domami zamknięto. Dalej, po obu stronach, piętrzyły się rzeczy.

Na środku jezdni stały pluszowe fotele, skórzana kanapa, krzesła, pościel i dziecinna kołyska. Jakaś rodzina uratowała cztery krzesła i stół kuchenny i zasiadła wokół niego. Inna odgrodziła sobie kącik na ulicy i broniła go jak swojej własności przed każdym, kto chciał się tamtędy przecisnąć. Dozorca leżał na otomanie w tureckie wzory i spał. Oparty o ścianę domu stał portret Hitlera, stanowiący własność pani Lieser, która skuliła się na swojej pościeli, z dzieckiem na kolanach.

Graeber wywlókł z pokoju Elżbiety biedermeierowski fotel i usiadł w nim, ułożywszy blisko siebie walizki, tornister i resztę rzeczy. Chciał wstawić je do któregoś z nieuszkodzonych domów. W dwóch mieszkaniach w ogóle mu nie odpowiedziano, gdy zadzwonił, choć widział twarze za oknami. Do innych nie wpuszczono go, bo już były przepełnione. W ostatnim jakaś kobieta wrzasnęła na niego:

– Też się panu zachciewa! A później jeszcze tu zamieszkać, co?

Po tych nieudanych próbach zrezygnował. Gdy wrócił do swoich rzeczy, stwierdził, że w czasie jego nieobecności skradziono mu paczkę z chlebem i żywnością. Zauważył potem, że rodzina siedząca przy stole je po kryjomu.

Odwracali głowy, pakując kęsy do ust; ale mogło to być również ich jedzenie, którym nie chcieli się z nikim podzielić.

Nagle zobaczył Elżbietę. Przerwała kordon i stała na wolnej przestrzeni, opłomieniona blaskiem ognia.

– Elżbieto, jestem tutaj! – zawołał i zerwał się z fotela.

Odwróciła się. Nie od razu go spostrzegła. Stała ciemna na tle ognia i tylko włosy jej błyskały.

– Tutaj! – zawołał ponownie i pomachał ręką.

Podbiegła do niego.

– Jesteś tutaj! Chwała Bogu!

Przygarnął ją mocno.

– Nie mogłem przyjść po ciebie do fabryki. Musiałem pilnować rzeczy.

– Myślałam, że coś ci się stało.

– Dlaczego miałoby mi się coś stać?

– Przecież i tobie mogło się coś przytrafić!

Oddychała gwałtownie, wsparta o jego pierś.

– Do diabła, wcale mi to na myśl nie przyszło – odparł zaskoczony. – Ja tylko o ciebie się bałem.

Podniosła wzrok.

– Co tu się stało?

– Dach się zapalił.

– A ty? Taka byłam o ciebie niespokojna.

– A ja o ciebie. Usiądź tutaj. Odpocznij.

Wciąż jeszcze oddychała gwałtownie. Na brzegu chodnika spostrzegł wiadro z wodą, obok stała filiżanka. Zaczerpnął wody i podał filiżankę Elżbiecie.

– Masz, napij się.

– Hej tam! Panie! To nasza woda! – zawołała jakaś kobieta.

– I nasza filiżanka – dodał dwunastoletni piegowaty chłopiec.

– Wypij! – powiedział Graeber do Elżbiety i odwrócił się. – A jak jest z powietrzem? Także do was należy?

– Oddaj im ich wodę i filiżankę – powiedziała Elżbieta. – Albo lepiej wylej im całe wiadro na głowę.

Graeber przytknął jej filiżankę do ust.

– Nie, wypij. Biegłaś?

– Tak. Całą drogę.

Znów podszedł do wiadra. Kobieta, która przedtem upominała się o wodę, należała do rodziny siedzącej przy kuchennym stole. Graeber powtórnie napełnił filiżankę, wypił i postawił ją koło wiadra. Nikt nic nie powiedział, ale gdy Graeber odszedł, chłopiec szybko zabrał filiżankę.

– Świnie! – wrzasnął dozorca na ludzi siedzących przy stole. Obudził się, ziewnął i położył z powrotem.

Dach pierwszego domu zawalił się.

– Tu masz rzeczy, które dla ciebie zapakowałem – powiedział Graeber. – Prawie wszystkie twoje suknie, fotografię ojca i pościel. Spróbuję wydostać meble. Jeszcze nie jest za późno.

– Zostań tutaj. Niech się spalą.

– Dlaczego? Jeszcze czas.

– Niech się spalą. Wtedy wszystko się skończy. Tak będzie lepiej.

– Co się skończy?

– Przeszłość. Nic z nią nie możemy począć, obciąża nas tylko. Także to, co było w niej dobrego. Musimy zacząć od nowa. Przeszłość zbankrutowała. Już do niej nie powrócimy.

– Mogłabyś sprzedać meble.

– Tutaj? – Elżbieta rozejrzała się. – Nie będziemy urządzać licytacji na ulicy. Popatrz tylko! Za dużo jest mebli, a za mało mieszkań. Tak jeszcze długo pozostanie.

Deszcz znów zaczął podać grubymi, ciepłymi kroplami. Pani Lieser rozpięła parasol. Jakaś kobieta, która uratowała nowy kapelusz przybrany kwiatami i dla wygody włożyła go na głowę, zdjęła go teraz i schowała pod suknię. Dozorca obudził się znowu i kichnął. Hitler na olejnym portrecie pani Lieser zdawał się płakać kroplami deszczu. Graeber odpiął z tornistra swój płaszcz i płachtę brezentową. Płaszcz zarzucił Elżbiecie na ramiona, płachtą okrył pościel.

– Musimy się rozejrzeć za jakimś noclegiem.

– Może deszcz zagasi ogień. Gdzież będą spali ci wszyscy ludzie?

– Nie wiem. Zdaje się, że zapomniano o tej ulicy.

– Zostańmy tutaj. Mamy pościel, płaszcz i płachtę brezentową.

– Potrafiłabyś tak zasnąć?

– Sądzę, że można spać wszędzie, jeśli się jest zmęczonym.

– Binding ma wolny pokój. Ale tam byś nie chciała pójść, co?

Elżbieta potrząsnęła głową.

– No więc pozostaje tylko Pohlmann – oświadczył Graeber. – W jego katakumbach znajdzie się miejsce do spania. Pytałem go o to przed kilkoma dniami. Zbiorowe kwatery są na pewno wszystkie przepełnione – jeśli w ogóle jeszcze istnieją.

– Poczekajmy trochę. Nasze piętro jeszcze się nie pali.

Elżbieta siedziała na deszczu, okryta płaszczem wojskowym. Nie była przygnębiona.

– Chciałabym się czegoś napić – powiedziała. – Ale nie wody.

– Mamy tu coś. Przy pakowaniu znalazłem butelkę wódki ukrytą za książkami. Zapomnieliśmy o niej.

Graeber rozwiązał tłumok z pościelą. Butelkę schował między poduszki, dzięki temu złodziej jej nie znalazł. Zapakował też szklankę.

– Trzymaj. Musimy pić ostrożnie, żeby inni nie zauważyli. Bo pani Lieser gotowa nas zadenuncjować, że szydzimy z żałoby narodowej.

– Jeżeli się chce, żeby inni niczego nie zauważyli, nie należy być ostrożnym. To najlepszy sposób. – Elżbieta wzięła szklankę i wypiła. – Wspaniałe! Właśnie tego mi brakowało. Czuję się niemal jak w kawiarni na świeżym powietrzu. A co z papierosami?

– Zabrałem wszystkie, jakie były.

– Świetnie! Mamy więc to, czego nam potrzeba.

– Czy nie powinienem jednak wynieść trochę mebli?

– Już cię nie puszczą na górę. Zresztą, cóż byśmy z nimi robili? Nie możemy ich taszczyć ze sobą tam, gdzie dziś znajdziemy nocleg.

– Jedno z nas może ich pilnować, a drugie będzie szukało schronienia.

Elżbieta potrząsnęła głową i wypiła resztę wódki. W tej samej chwili runął dach jej domu. Mury zdawały się chwiać; potem zarwały się stropy górnych pięter. Zebrani na ulicy mieszkańcy jęknęli. Z okien tryskały iskry.

Płomienie lizały firanki.

– Nasze piętro jeszcze stoi – powiedział Graeber.

– Już niedługo – odparł za nim jakiś mężczyzna.

Graeber odwrócił się.

– Dlaczego?

– A dlaczego panu miałoby się lepiej powodzić niż nam? Na tym piętrze mieszkałem przez dwadzieścia trzy lata, młody człowieku. Teraz pali się. Dlaczego pańskie miałoby ocaleć?

Graeber spojrzał na mężczyznę; był chudy i łysy.

– Myślałem, że to kwestia przypadku, nie moralności.

– To kwestia sprawiedliwości. Jeśli pan wie, co to znaczy!

– Niezbyt dokładnie. Ale nie moja w tym wina. – Graeber uśmiechnął się złośliwie. – Ma pan widocznie ciężkie życie, jeśli pan jeszcze w to wierzy. Nalać panu wódki? To bardziej pomaga niż oburzanie się.

– Dziękuję! Niech pan sobie zatrzyma swoją wódkę! Będzie panu potrzebna, kiedy się pańska buda zawali.

Graeber odstawił butelkę.

– Może pójdziemy o zakład, że się nie zawali.

– Co?

– Pytam, czy chce się pan o to założyć?

Elżbieta roześmiała się. Mężczyzna z łysiną był oburzony.

– Pan chce iść o zakład, lekkomyślny durniu? A pani jeszcze się z tego śmieje? Doprawdy, daleko zaszliśmy!

– Dlaczego nie miałaby się śmiać? – spytał Graeber. – Lepiej śmiać się, niż płakać. Zwłaszcza że ani jedno, ani drugie nic nie pomoże.

– Powinniście się modlić!

Ściana górnego piętra runęła do środka i przebiła strop nad mieszkaniem Elżbiety. Pani Lieser szlochała spazmatycznie pod swoim parasolem. Rodzina przy kuchennym stole gotowała kawę

zbożową na maszynce spirytusowej. Kobieta w czerwonym pluszowym fotelu rozpostarła gazety na oparciach, aby osłonić fotel przed deszczem. Dziecko w kołysce krzyczało.

– Oto koniec naszej dwutygodniowej przystani – powiedział Graeber.

– To sprawiedliwość! – oświadczył łysy z satysfakcją.

– Trzeba się było założyć, byłby pan wygrał.

– Nie jestem materialistą, młody człowieku.

– Dlaczego więc lamentuje pan z powodu mieszkania?

– To był mój dom. Nie rozumie pan?

– Nie, nie rozumiem. Niemiecka Rzesza zbyt wcześnie uczyniła ze mnie podróżnika.

– Powinien pan być za to wdzięczny. – Łysy przejechał ręką po ustach i przełknął ślinę. – Zresztą, teraz nie miałbym nic przeciwko szklance wódki.

– Ale teraz już pan nie dostanie. Lepiej niech się pan pomodli.

Płomienie buchały z pokoju pani Lieser.

– Biurko się pali – szepnęła Elżbieta. – Biurko denuncjantki z całą zawartością.

– Miejmy nadzieję. Wylałem na nie butelkę nafty. Co teraz zrobimy?

– Poszukamy sobie jakiegoś schronienia. A jeśli nic nie znajdziemy, prześpimy się gdziekolwiek na ulicy.

– Na ulicy albo w parku. – Graeber popatrzył na niebo. – Od deszczu mamy płachtę brezentową. Nie najlepsza to ochrona, ale może znajdziemy jakiś daszek. Co zrobimy z fotelem i książkami?

– Zostawimy je tutaj. Jeżeli jutro rano jeszcze tu będą, pomyślimy, co dalej z nimi robić.

Graeber zarzucił na ramiona tornister i tłumok z pościelą. Elżbieta wzięła walizki.

– Daj mi je – powiedział. – Jestem przyzwyczajony do dźwigania.

Górne piętra obu sąsiednich domów runęły. Płonące kawałki drewna rozprysnęły się na wszystkie strony. Pani Lieser pisnęła i podskoczyła; rozżarzony węgielek przeleciał nad odgrodzoną ulicą i trafił ją w twarz. Teraz płomienie trysnęły także z pokoju Elżbiety. Potem zarwał się sufit.

– Możemy iść – powiedziała Elżbieta.

Graeber popatrzył na okno.

– To były dobre dni.

– Najlepsze. Ale już chodźmy.

Blask ognia czerwono oświecał twarz Elżbiety. Szli między krzesłami. Większość ludzi siedziała w milczeniu, zrezygnowana. Jakiś mężczyzna położył obok krzesła paczkę książek i czytał. Dwoje przytulonych do siebie staruszków przycupnęło na bruku. Nakryli się peleryną i wyglądali jak smutny nietoperz o dwóch głowach.

– To jednak dziwne, jak łatwo człowiek rozstaje się z czymś, o czym wczoraj jeszcze myślał, że nie będzie mógł się od tego oderwać – powiedziała Elżbieta.

Graeber raz jeszcze spojrzał za siebie. Piegowaty chłopiec, który zabrał filiżankę, rozsiadł się w biedermeierowskim fotelu.

– Ukradłem teczkę pani Lieser, podczas gdy ona biegała tam i z powrotem. Pełno w niej papierów. Rzucimy ją gdzieś w ogień. Może uratuje to kogoś przed obozem koncentracyjnym.

Elżbieta skinęła głową. Nie obejrzała się już.

Graeber długo pukał. Wreszcie potrząsnął drzwiami. Nikt nic otwierał. Wrócił do Elżbiety.

– Pohlmanna nie ma w domu. Albo nie chce nikomu otwierać.

– Może już tu nie mieszka?

– Dokąd miałby się przenieść? Nigdzie nie ma miejsca. Przekonaliśmy się o tym w ciągu ostatnich trzech godzin. Możliwe tylko... – Graeber ponownie podszedł do drzwi. – Nie, gestapo tu nie było, wówczas inaczej by wszystko wyglądało. Co mamy robić? Chcesz iść do schronu?

– Nie. Czy nie możemy tu gdzieś zostać?

Graeber rozejrzał się badawczo. Zapadła noc, a na tle posępnej czerwieni nieba sterczały czarne i zębate ruiny.

– Tutaj zachował się kawałek sufitu – powiedział. – Pod spodem jest sucho. Jedną stronę mógłbym zawiesić płachtą brezentową, a drugą płaszczem.

Wyciągnął bagnet i opukał ów kawałek sufitu. Trzymał się. Graeber poszukał w ruinach i znalazł kilka żelaznych prętów, które wbił w ziemię. Na nich rozwiesił płachtę brezentową.

– To jest zasłona. Płaszcz z drugiej strony stworzy z tego coś w rodzaju namiotu. Co o tym sądzisz?

– Mam ci pomóc?

– Nie. Uważaj na rzeczy, to wystarczy.

Oczyścił podłogę z gruzu i kamieni. Potem wniósł walizki i rozłożył pościel. Tornister ustawił u wezgłowia.

– Teraz mamy schronienie – powiedział. – Mieszkałem już gorzej. Ty chyba jeszcze nie.

– Najwyższy czas, żebym się przyzwyczaiła.

Graeber wypakował płaszcz deszczowy Elżbiety, kuchenkę spirytusową i butelkę spirytusu.

– Chleb mi ukradli. Ale w tornistrze pozostało jeszcze trochę konserw.

– Czy mamy coś, w czym moglibyśmy gotować?

– Moją menażkę. A wody deszczowej jest wszędzie dosyć. Mamy też resztkę wódki. Dodam do niej wrzątku i przyrządzę ci coś w rodzaju grogu. To chroni przed przeziębieniem.

– Wolę samą wódkę.

Graeber zapalił kuchenkę spirytusową. Słabe niebieskie światło rozjaśniło namiot. Otworzyli puszkę z fasolką, podgrzali ją i zjedli z resztą kiełbasy, którą dostali od świadka ślubnego, Klotza.

– Zaczekamy jeszcze na Pohlmanna czy pójdziemy spać? – spytał Graeber.

– Kładźmy się, jestem zmęczona.

– Musimy spać w ubraniach. Potrafisz?

– Jestem dostatecznie zmęczona.

Elżbieta zdjęła pantofle i postawiła je obok tornistra, aby ich nikt nie ukradł. Zwinęła pończochy i schowała do kieszeni. Graeber nakrył ją.

– Jak się czujesz?

– Jak w hotelu.

Położył się obok niej.

– Martwisz się z powodu mieszkania?

– Nie. Liczyłam się z tym od pierwszych nalotów. Wtedy się martwiłam. Wszystko, co było potem, to darowany czas.

– Słusznie. Ale czy zawsze można tak trzeźwo żyć, jak to sobie człowiek postanawia?

– Nie wiem – mruczała sennie, przytulona do jego ramienia. – Może, gdy już nie ma nadziei. Ale teraz wszystko jest inaczej.

Spała, oddychając regularnie i spokojnie. Graeber leżał jeszcze jakiś czas, czuwając. Myślał o tym, że nieraz na froncie, kiedy mówiło się o nieosiągalnych marzeniach, jednym z nich było właśnie to – dach nad głową, posłanie, kobieta i spokojna noc.

XXI

Zbudziły go czyjeś ostrożne kroki skrzypiące po gruzie. Bezszelestnie wysunął się spod kołdry. Elżbieta poruszyła się przez sen. Graeber wyjrzał za płachtę brezentową. Mógł to być Pohlmann, ale równie dobrze złodzieje lub gestapo – przychodzili zazwyczaj o tej porze. Jeśli to gestapo, należy uprzedzić Pohlmanna, by nie wracał do domu.

W ciemności dostrzegł dwie postacie. Skradał się za nimi, jak mógł najciszej. Nie włożył butów. Mimo to o kilka metrów dalej potrącił luźno wystający kawałek muru, który od razu się oberwał. Graeber skulił się. Jedna z postaci zawróciła.

– Jest tam kto? – Był to głos Pohlmanna.

Graeber podniósł się.

– To ja, panie profesorze, Ernst Graeber.

– Graeber? Co się stało?

– Nic. Tylko zostaliśmy zbombardowani i nie wiedzieliśmy, dokąd się udać. Myślałem, że może pan nas przyjmie na jedną lub na dwie noce.

– Kogo?

– Moją żonę i mnie. Ożeniłem się przed kilkoma dniami.

– Zapewne, zapewne. – Pohlmann zbliżył się. W ciemności twarz jego połyskiwała bardzo blado. – Czy pan mnie widział, gdy wracałem?

Graeber zawahał się przez sekundę.

– Tak – powiedział wreszcie. Nie miało sensu zachowywać zbędnej ostrożności ani ze względu na Elżbietę, ani też na tamtego mężczyznę, który przyczaił się teraz gdzieś w ruinach.

– Tak – powtórzył. – Może mi pan ufać.

Pohlmann potarł czoło.

– Oczywiście, oczywiście. – Wahał się przez chwilę. – Pan widział, że nie byłem sam?

– Tak.

Pohlmann jak gdyby się zdecydował.

– A więc... niech pan idzie. Na noc, powiedział pan. Nie mam wiele miejsca, ale... przede wszystkim chodźmy stąd.

Skręcili za róg.

– Wszystko w porządku – powiedział Pohlmann w ciemność.

Jakiś mężczyzna wynurzył się z ruin. Pohlmann otworzył drzwi i wpuścił Graebera i tamtego do mieszkania. Potem zamknął od wewnątrz.

– Gdzie jest pańska żona?

– Śpi na dworze. Przynieśliśmy pościel i sporządziliśmy sobie coś w rodzaju namiotu.

Pohlmann zatrzymał się w ciemności.

– Muszę pana uprzedzić. Jeśli was tu znajdą, może to być bardzo niebezpieczne.

– Wiem o tym.

Pohlmann chrząknął.

– Niebezpieczne z mojego powodu. Jestem podejrzany.

– To właśnie miałem na myśli.

– Brał pan także pod uwagę pańską żonę?

– Tak – odparł Graeber po chwili.

Drugi mężczyzna stał za Graeberem w milczeniu. Teraz słychać było, jak oddycha. Pohlmann ruszył przodem, a gdy drzwi zamknięto i zaciągnięto zasłony, zapalił maleńką lampkę.

– Nie należy wymieniać nazwisk – powiedział. – Lepiej, gdy się ich nie zna, nie można wtedy nic zdradzić. Ernst i Józef – to wystarczy.

Wydawał się bardzo wyczerpany. Józef był mężczyzną mniej więcej czterdziestoletnim, o pociągłej, żydowskiej twarzy. Robił wrażenie zupełnie spokojnego i uśmiechał się do Graebera. Powoli otrzepał ubranie z wapiennego pyłu.

– U mnie nie jest już bezpiecznie – powiedział Pohlmann i usiadł. – Mimo to Józef musi tu dzisiaj zostać. Mieszkanie, w którym był wczoraj, już nie istnieje. W ciągu dzisiejszego dnia poszukamy czegoś innego. Tutaj już nie jest bezpiecznie, Józefie. Tylko dlatego.

– Wiem – odparł Józef. Miał głos bardziej głęboki, niż można się było spodziewać.

– A pan? – spytał Pohlmann Graebera. – Pan wie, że jestem podejrzany, i wie pan także, co to znaczy, jeśli zastaną pana w nocy u kogoś, kto jest podejrzany, w towarzystwie kogoś, kto jest poszukiwany.

– Tak.

– Przypuszczam, że dzisiejszej nocy nic się nie stanie. W mieście panuje zbyt wielki rozgardiasz. Ale nigdy nie wiadomo.

Chce pan zaryzykować?

Graeber milczał. Pohlmann i Józef spojrzeli po sobie.

– Ja sam nie mam nic do stracenia – powiedział Graeber. – Za kilka dni i tak wracam na front. Co innego moja żona. Ona tu pozostaje. Nad tym się nie zastanowiłem.

– Nie powiedziałem tego, aby pana odprawić.

– Wiem.

– Możecie jako tako przenocować na dworze? – spytał Józef.

– Owszem. Jesteśmy zabezpieczeni przed deszczem.

– Lepiej więc tam zostańcie. W ten sposób nie będziecie mieli z nami nic wspólnego. Jutro wczesnym rankiem wstawi pan tu swoje rzeczy. O to panu przecież głównie chodzi, prawda? Chociaż może je pan zostawić także w kościele Świętej Katarzyny. Tamtejszy zakrystian pozwala, to porządny człowiek. Kościół jest częściowo zburzony, ale podziemne krypty zachowały się jeszcze. Niech pan tam zaniesie swoje rzeczy. W ten sposób będzie pan mógł w ciągu dnia swobodnie szukać jakiegoś mieszkania.

– On ma chyba rację, Ernst – powiedział Pohlmann. – W tych sprawach Józef orientuje się lepiej niż my.

Graeber poczuł nagłą falę sympatii do tego utrudzonego starego człowieka, który mu teraz, jak przed wielu laty, znowu mówił po imieniu.

– Ja też tak sądzę – powiedział. – Bardzo mi przykro, że pana przestraszyłem.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, niech pan przyjdzie jutro rano. Proszę zapukać dwa razy długo i dwa razy krótko. Ale nie głośno, już ja usłyszę.

– Dobrze, dziękuję.

Graeber poszedł z powrotem. Elżbieta spała jeszcze. Przebudziła się tylko na chwilę, gdy się kładł, i zaraz znowu zasnęła.

Obudziła się o szóstej. Na ulicy turkotał przejeżdżający wóz. Przeciągnęła się.

– Spałam cudownie. Gdzie jesteśmy?

– Na Jahnplatz.

– Aha! A gdzie spędzimy dzisiejszą noc?

– Zobaczymy w ciągu dnia.

Położyła się z powrotem. Szczeliną między płachtą brezentową a płaszczem wpadała smuga chłodnego porannego światła. Ptaki świergotały. Elżbieta odchyliła płaszcz. Poranne niebo było żółte i błyszczące.

– Cygańskie życie – powiedziała. – Pełne przygód.

– Tak – odparł Graeber. – Potraktujmy je w ten sposób. W nocy widziałem się jeszcze z Pohlmannem. Możemy go zbudzić, jeśli będziemy czegoś potrzebowali.

– Niczego nam nie potrzeba. Czy mamy jeszcze kawę? Chyba możemy tutaj gotować.

– To na pewno zabronione, jak wszystko, co rozsądne. Ale nic to nas nie obchodzi, jesteśmy Cyganami.

Elżbieta rozczesywała włosy.

– W misce za domem jest czysta woda deszczowa – powiedział Graeber. – Wystarczy, aby się trochę obmyć.

Elżbieta włożyła żakiet.

– Pójdę tam. Czuję się jak na wsi. Woda z pompy. Dawniej uważano, że to romantyczne, prawda?

Graeber zaśmiał się.

– Ja jeszcze teraz uważam to za romantyczne w porównaniu z naszym życiem w Rosji. Wszystko zależy od tego, z czym się porównuje.

Zwinął pościel, potem zapalił kuchenkę spirytusową i postawił na niej menażkę z wodą. Nagle przypomniał sobie, że nie zabrał z mieszkania kartek żywnościowych. Elżbieta właśnie powróciła. Jej twarz była pogodna i młoda.

– Masz przy sobie swoje kartki żywnościowe? – spytał.

– Nie. Leżały w biurku koło okna. W małej przegródce.

– Do diabła, zapomniałem je zabrać. Że też o tym nie pomyślałem! Miałem przecież dosyć czasu.

– Pamiętałeś o całej masie ważniejszych rzeczy. Na przykład o mojej złocistej sukni. Po prostu złożymy dzisiaj wniosek o nowe kartki. Często się teraz zdarza, że giną w ogniu.

– To może potrwać całą wieczność. Pedanterią niemieckiego urzędnika nie wstrząśnie nawet koniec świata.

Elżbieta roześmiała się.

– Zwolnię się na godzinę z fabryki, żeby to załatwić. Dozorca wyda mi zaświadczenie, że zostałam zbombardowana.

– Masz zamiar iść dzisiaj do fabryki?

– Muszę. Zbombardowane mieszkanie nie jest usprawiedliwieniem; to stało się już rzeczą codzienną.

– Z największą chęcią podpaliłbym tę przeklętą fabrykę.

– Ja również. Ale wtedy wysłano by nas gdzie indziej, gdzie jest jeszcze gorzej. Nie chciałabym robić amunicji.

– Dlaczego po prostu nie opuścisz pracy? Skąd będą wiedzieli, co się z tobą wczoraj stało? Mogłaś zostać raniona przy ratowaniu swoich rzeczy.

– Musiałabym tego dowieść. Mamy fabrycznych lekarzy i policję. Jeśli wykryją, że ktoś oszukuje, sypią się kary: praca dodatkowa, odebranie urlopu, a gdy i to nie pomaga – dokształcający kurs wychowania narodowego w obozie koncentracyjnym. A po powrocie stamtąd nikt już nigdy nie uchyla się od pracy.

Elżbieta zalała gorącą wodą namiastkę kawy w pokrywce od menażki.

– Nie zapominaj, że dopiero co miałam trzy dni urlopu. Nie należy zbyt wiele wymagać.

Graeber zdawał sobie sprawę, że nie chciała tego robić ze względu na ojca. Miała nadzieję, że w ten sposób zdoła mu pomóc. Była to pętla, która zaciskała się na szyi każdego.

– Ach, ci bandyci! – zawołał. – Co oni z nas wszystkich zrobili!

– Wypij swoją kawę i nie złość się. Nie mamy już na to czasu.

– O to właśnie chodzi, Elżbieto.

Skinęła głową.

– Ja wiem. Zostało nam niewiele czasu, a mimo to jesteśmy tak mało razem. Twój urlop się kończy, a większą jego część straciliśmy na czekanie. Powinnam być bardziej odważna i póki tu jesteś, nie chodzić do fabryki.

– Jesteś dostatecznie odważna. A zawsze lepiej czekać, niż nie mieć nic, na co by można czekać.

Pocałowała go.

– Szybko się nauczyłeś znajdować właściwe słowa. Ale teraz muszę już uciekać. Gdzie spotkamy się wieczorem?

– Tak, gdzie? Teraz nie mamy już gdzie. Musimy znów zaczynać od początku. Przyjdę po ciebie do fabryki.

– A jeśli coś stanie na przeszkodzie? Nalot albo jeśli ulica będzie zamknięta?

Graeber namyślał się.

– Zapakuję potem wszystko i zaniosę do kościoła Świętej Katarzyny. Tam wyznaczymy sobie drugie miejsce spotkania.

– Czy kościół otwarty jest w nocy?

– Bo co? Przecież nie wrócisz nocą?

– Nigdy nie wiadomo. Kiedyś musieliśmy sześć godzin siedzieć w piwnicy. Najlepiej byłoby mieć kogoś, u kogo w ostateczności można by zostawić wiadomość. Nie wystarczy już wyznaczanie sobie miejsc spotkania.

– Na wypadek gdyby jednemu z nas coś się przytrafiło?

– Tak.

Graeber skinął głową. Wiedział, jak łatwo można się zgubić.

– Na dzisiaj możemy wyznaczyć sobie Pohlmanna. Albo nie, to nie jest pewne miejsce. – Zastanowił się. – Binding – powiedział nagle z ulgą. – Ten jest pewny. Pokazałem ci jego dom. Wprawdzie on jeszcze nie wie, że już się pobraliśmy, ale to nic nie szkodzi. Wstąpię do niego i powiem mu.

– Pójdziesz, aby go znów ograbić?

Graeber zaśmiał się.

– Właściwie nie chciałem już tego robić. Ale musimy mieć coś do jedzenia. W ten sposób człowiek znów staje się przekupny.

– Czy na dzisiejszą noc także tutaj zostaniemy?

– Spodziewam się, że nie. Przez cały dzień będę miał dosyć czasu, aby coś znaleźć.

Twarz jej spochmurniała na chwilę.

– To prawda. No, trzeba już iść.

– Spakuję szybko rzeczy, odstawię je do Pohlmanna i odprowadzę cię.

– Nie mamy już na to czasu. Muszę pędzić. A więc do wieczora. Fabryka, kościół Świętej Katarzyny albo Binding. Co za interesujące życie!

– Do diabła z takim interesującym życiem – powiedział Graeber.

Patrzył za nią, gdy szła przez plac. Poranek był przejrzysty, a niebo czyste i bardzo błękitne. Rosa błyszczała na ruinach jak srebrna pajęczyna. Elżbieta odwróciła się i pomachała ręką. Potem pobiegła szybko dalej. Graeber lubił sposób, w jaki chodziła. Stawiała stopy jedną przed drugą, jakby szła koleiną. Taki chód miały tubylcze kobiety, które widział w Afryce. Raz jeszcze skinęła mu ręką i zniknęła między domami po drugiej stronie placu. „Zupełnie jak na froncie – pomyślał. – Człowiek się z kimś rozstaje i nigdy nie wie, czy go znów zobaczy. Do diabła z takim interesującym życiem!”

O ósmej wyszedł Pohlmann.

– Chciałem się dowiedzieć, czy macie coś do jedzenia. Kawałek chleba mógłbym odstąpić...

– Dziękuję. Mieliśmy dosyć. Czy mogę na razie zostawić u pana pościel i walizki? Pójdę do kościoła Świętej Katarzyny.

– Oczywiście.

Graeber wniósł rzeczy. Józefa nie było.

– Możliwe, że nie będzie mnie w domu, gdy pan wróci – powiedział Pohlmann. – Niech pan zastuka dwa razy długo i dwa razy krótko. Józef usłyszy.

Graeber otworzył walizkę.

– To zupełnie cygańskie życie. Nie spodziewałem się tego.

Pohlmann uśmiechnął się znużony.

– Józef żyje tak od trzech lat. Przez kilka miesięcy nocował tylko w tramwajach. Jeździł ciągle w koło. W tym czasie mógł spać tylko na siedząco i zawsze tylko przez kwadrans. Tak było, nim zaczęły się u nas naloty. Teraz to już niemożliwe.

Graeber wyjął z walizki puszkę z mięsem i wręczył ją Pohlmannowi.

– Mogę się bez niej obejść. Niech pan ją da Józefowi.

– Mięso? Czy pan sam nie potrzebuje?

– Nie. Niech mu pan ją da. Tacy ludzie jak on muszą przeżyć. W przeciwnym razie co się stanie, gdy to wszystko kiedyś się wreszcie skończy? Jak to w ogóle wtedy będzie? Czy pozostanie dosyć uczciwych ludzi, aby zacząć wszystko od nowa?

Starzec milczał przez długą chwilę. Potem podszedł do stojącego w kącie globusa i obrócił go.

– Niech pan spojrzy. Ten mały kawałek świata – to Niemcy. Można go niemal przykryć kciukiem. Bardzo mała cząstka świata.

– To prawda. Ale z tej małej cząstki świata zawojowaliśmy bardzo duży szmat świata.

– Zgoda. Zawojowaliście, ale nie przekonaliście.

– Jeszcze nie. Ale co by się stało, gdybyśmy go mogli utrzymać? Przez dziesięć lat. Dwadzieścia. Pięćdziesiąt. Zwycięstwa i powodzenie stanowią straszliwie skuteczne argumenty. Przekonaliśmy się o tym we własnym kraju.

– Nie zwyciężyliśmy.

– To nie dowód.

– To jest dowód – powiedział Pohlmann. – I nawet bardzo ważki. – Jego ręka o grubych, nabrzmiałych żyłach nadal obracała globus. – Świat... Świat nie stoi w miejscu. Jeśli przez jakiś czas wątpi się w swój kraj, trzeba wierzyć w świat. Możliwe jest zaćmienie słońca, ale nie wieczna noc. Nie na naszej planecie. Tych spraw nie należy upraszczać i od razu rozpaczać... – Odsunął globus. – Pyta pan, czy dosyć pozostanie uczciwych ludzi, aby zacząć od nowa. Kościół rozpoczął z kilkoma rybakami, garstką wierzących w katakumbach i tymi, którzy przeżyli na arenach Rzymu.

– Tak. A hitlerowcy – z kilkoma bezrobotnymi fanatykami w pewnej monachijskiej knajpie.

Pohlmann uśmiechnął się.

– Ma pan słuszność. Ale nigdy jeszcze nie istniała tyrania, która utrzymałaby się przez dłuższy czas. Rozwój ludzkości nie przebiegał gładko, lecz wśród nieustannych wstrząsów, pchnięć, nawrotów i kurczów. Naszym błędem była zbytnia pycha; mniemaliśmy, że już przezwyciężyliśmy naszą krwawą przeszłość. A oto widzimy, że nie wolno się nam nawet za nią obejrzeć, bo znów nas doścignie. – Sięgnął po kapelusz. – Muszę już iść.

– Zwracam panu książkę o Szwajcarii – powiedział Graeber. – Przemokła trochę na deszczu. Zgubiłem ją, ale odszukałem i uratowałem.

– Niepotrzebnie ją pan ratował. Marzeń nie trzeba ratować.

– Przeciwnie – powiedział Graeber. – Cóż by innego?

– Wiarę. Marzenia powstaną nowe.

– Miejmy nadzieję. Inaczej można by się powiesić.

– Jaki pan jeszcze młody – powiedział Pohlmann. – Ale co ja mówię? Pan naprawdę jest jeszcze bardzo młody. – Włożył płaszcz. – Dziwne, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie zawsze młodość.

– Ja również – odparł Graeber.

Józef był dobrze poinformowany. Zakrystian kościoła Świętej Katarzyny brał rzeczy na przechowanie. Graeber zostawił tam swój tornister. Następnie poszedł do urzędu kwaterunkowego; przeniesiono go i ulokowano teraz w gabinecie przyrodniczym jakiejś szkoły. Stały tu jeszcze stojaki z mapami i oszklona szafa z preparatami w spirytusie. Kilka słoików wykorzystała urzędniczka jako przyciski do akt. Były w nich żmije, jaszczurki i żaby. Prócz tego była tu jeszcze wiewiórka o szklanych oczach, trzymająca orzeszek między łapkami. Urzędniczka, uprzejma siwowłosa kobieta, powiedziała:

– Wciągnę pańskie nazwisko na listę osób poszukujących mieszkania. Czy ma pan jakiś stały adres?

– Nie.

– W takim razie proszę przy sposobności znów tu wstąpić.

– Czy to ma jakiś sens?

– Najmniejszego. Przed panem jest sześć tysięcy zgłoszeń. Niech pan raczej sam postara się coś znaleźć.

Wrócił na Jahnplatz i zapukał do drzwi Pohlmanna. Nikt nie odpowiedział. Przeczekał chwilę, po czym poszedł na Marienstrasse, aby sprawdzić, co tam pozostało.

Dom Elżbiety wypalił się aż do parteru, gdzie mieszkał dozorca. Widać, że była tu straż pożarna. Zewsząd ściekała jeszcze woda. Z mieszkania Elżbiety nie pozostało już nic. Zniknął także fotel, który stał na ulicy. W rynsztoku poniewierała się para

rękawiczek, to wszystko. Za firankami mieszkania na parterze dostrzegł Graeber dozorcę. Przypomniał sobie, że obiecał mu cygara. Wydawało się to bardzo odległe i już niepotrzebne; chociaż nigdy nie wiadomo. Postanowił pójść do Alfonsa i wziąć kilka. Zresztą i tak potrzebował czegoś na kolację.

Tylko ten jeden dom został trafiony, nic więcej. Ogrody tonęły w porannym świetle, brzozy kołysały się na wietrze, lśniły złociste żonkile, a pierwsze drzewa kwitły, jakby pokryła je chmara białych i różowych motyli; tylko dom Bindinga stanowił bezładną kupę gruzów zawieszonych nad lejem w ogrodzie, na którego dnie w płytkiej wodzie odbijało się niebo. Graeber stał przez chwilę, patrzył i nie dowierzał własnym oczom. Nie wiadomo dlaczego przekonany był zawsze, że Alfonsowi nic nie może się stać. Powoli podszedł bliżej. Basenik dla ptaków zrzucony był z podstawy i strzaskany. Drzwi wejściowe zwieszały się między krzakami bzu. Rogi jelenie, rozrzucone na trawniku, robiły wrażenie, jakby pogrzebane tu były zwierzęta. Wysoko na drzewach zawisł dywan niby lśniąca chorągiew jakiegoś barbarzyńskiego zdobywcy. Butelka koniaku „Napoleon", stojąca prosto i równo na kwietniku, wyglądała jak ciemna tykwa, która w ciągu nocy tam wyrosła. Graeber podniósł ją, obejrzał i schował do kieszeni. „Piwnica prawdopodobnie wytrzymała – pomyślał – i Alfons został odkopany". Przeszedł na tyły domu. Wejście kuchenne ocalało. Otworzył drzwi. W środku coś się poruszyło.

– Pani Kleinert? – spytał.

Odpowiedział mu głośny szloch. Kobieta podniosła się i wyszła na dwór z na poły zawalonej kuchni.

– Biedny pan! Był taki dobry!

– Co mu się stało? Raniony?

– Nie żyje. Zabity, panie Graeber. A przecież tak bardzo kochał życie!

– Nie żyje?

– Tak. Nie można tego pojąć, prawda?

Graeber skinął głową. Śmierci nigdy nie można pojąć, nawet jeśli się ją widzi tak często.

– Jak to się stało? – spytał.

– Zszedł do piwnicy. Ale piwnica nie wytrzymała.

– Była zbyt słaba na ciężkie bomby. Dlaczego nie poszedł do schronu na Seidelplatz? To przecież kilka minut stąd.

– Myślał, że nic się nie stanie. A poza tym... – Pani Kleinert zawahała się. – Była tu pewna pani.

– Co? Już w południe?

– Jeszcze wciąż tu była. Od ubiegłego wieczoru. Wysoka blondynka. Pan kreisleiter lubił wysokie blondynki. Właśnie podawałam im do stołu kurę, gdy rozpoczął się nalot.

– Czy ta pani też została zabita?

– Tak. Oni nawet nie byli jeszcze ubrani, pan Binding był w piżamie, a ta pani w cienkim jedwabnym szlafroku. Tak ich znaleziono. Nic już na to nie mogłam poradzić. Że też przytrafiło mu się to w piżamie, a nie w mundurze!

– Nie wiem, czy tak nie było dla niego lepiej, jeśli już miał umrzeć – powiedział Graeber. – To się stało po obiedzie?

– Tak. Po bardzo sutym. Z winem i jego ulubionym deserem, szarlotką z kremem.

– No, widzi pani, pani Kleinert. Więc to była cudowna śmierć. Ja też chciałbym tak umrzeć, gdy nadejdzie mój czas. Z tego

powodu doprawdy nie powinna pani płakać.

– Ale za wcześnie go to spotkało.

– Sądzę, że zawsze jest za wcześnie. Nawet jeśli się ma dziewięćdziesiąt lat. Kiedy będzie pogrzeb?

– Pojutrze o dziewiątej. Już jest w trumnie. Chce go pan zobaczyć?

– Gdzie leży?

– Tutaj. W piwnicy z zapasami, bo tam chłodno. Trumnę już zamknięto. Ta część domu nie jest tak uszkodzona. Tylko front został zupełnie zniszczony.

Przez kuchnię przeszli do piwnicy. Skorupy zmieciono do kąta na kupkę. Czuć było rozlanym winem i konfiturami. Pośrodku, na ziemi, stała brązowa trumna. Wokół, na półkach, widać było poprzewracane i porozrzucane słoje z kompotami i konserwami.

– Skąd pani tak szybko zdobyła trumnę? – spytał Graeber.

– Partia się o nią wystarała.

– Czy wyprowadzenie zwłok nastąpi stąd?

– Tak. Pojutrze o dziewiątej.

– Przyjdę.

– Nasz pan na pewno się ucieszy.

Graeber spojrzał na panią Kleinert.

– W zaświatach – dodała. – Zawsze pana bardzo cenił.

– Właściwie dlaczego?

– Mówił, że pan jest jedynym, który nigdy nic od niego nie chciał. I dlatego, że pan przez cały czas był na froncie.

Graeber stał chwilę przed trumną. Czuł tylko jakiś niejasny żal i wstydził się wobec tej płaczącej kobiety, że nic więcej nie odczuwa.

– Co pani teraz zrobi z tym wszystkim? – zapytał, obrzucając wzrokiem półki.

Pani Kleinert ożywiła się.

– Niech pan weźmie, ile pan potrzebuje, panie Graeber. Potem wszystko i tak przejdzie w obce ręce.

– Niech pani to zatrzyma dla siebie. Przecież większość konserw sama pani zrobiła.

– Dla siebie odstawiłam już coś niecoś. Tak dużo nie potrzebuję. Niech pan weźmie, co pan chce, panie Graeber. Ci z partii, którzy tu byli, i tak już wybałuszali ślepia. Lepiej, żeby za dużo nie znaleźli. Bo jeszcze pomyślą, że pan kreisleiter gromadził zapasy.

– Tak to wygląda.

– No właśnie. Kiedy tamci znów przyjdą, wszystko wpadnie w obce ręce. A pan był przecież prawdziwym przyjacielem pana Bindinga. Panu na pewno użyczyłby więcej niż innym.

– Czy on nie ma rodziny?

– Ma ojca. Ale pan wie, jak oni ze sobą żyli. Dla niego i tak dosyć zostanie. W drugiej piwnicy ocalało jeszcze trochę butelek. Niech pan weźmie, co pan potrzebuje.

Pobiegła wzdłuż półek, wybierając puszki. Ustawiła je na trumnie i chciała iść po następne, zorientowała się jednak, zdjęła wszystko z trumny i zaniosła do kuchni.

– Chwileczkę, pani Kleinert – powiedział Graeber. – Jeśli już mam coś brać, to wybierajmy rozsądnie. – Popatrzył na puszki. – Na przykład holenderskich szparagów nie potrzeba. Sardynki w oliwie mogą zostać, zawekowana golonka również.

– Słusznie. Już zupełnie straciłam głowę.

Ustawiła cały stos na krześle w kuchni.

– O wiele za dużo – powiedział Graeber. – Jak się z tym wszystkim zabiorę?

– Niech pan przyjdzie dwa lub trzy razy. Dlaczego ma to wpaść w obce ręce, panie Graeber? Pan jest żołnierzem, ma pan więc do tego większe prawo niż ci hitlerowcy, którzy siedzą tutaj na ciepłych posadkach!

„To prawda – pomyślał Graeber. – Elżbieta i Józef, i Pohlmann mają takie samo prawo; byłbym osłem, gdybym z tego nie skorzystał. Alfonsowi już i tak nic nie zaszkodzi ani nie pomoże". Dopiero później, gdy oddalił się od ruin domu, przyszło mu na myśl, iż właściwie przypadkowi jedynie zawdzięcza, że nie mieszkał u Alfonsa i nie został z nim pogrzebany.

Otworzył mu Józef.

– Ależ szybko! – powiedział Graeber.

– Widziałem pana. – Józef wskazał mały otwór w drzwiach. – Niedawno go wyborowałem. Bardzo praktyczne.

Graeber położył paczkę na stole.

– Byłem w kościele Świętej Katarzyny. Zakrystian powiedział, że możemy tam przenocować. Dziękuję panu za radę.

– Czy mówił pan z młodym zakrystianem?

– Nie, ze starym.

– Stary jest dobry. Przez tydzień pozwolił mi mieszkać w kościele w przebraniu swego pomocnika. Potem przeprowadzono nagłą rewizję. Ukryłem się w organach i w ten sposób ocalałem. Zadenuncjował mnie młody zakrystian. To antysemita; religijny antysemita. Coś takiego również istnieje. Ponieważ przed dwoma tysiącami lat zabiliśmy Chrystusa.

Graeber otworzył paczkę, potem wyjął z kieszeni puszki sardynek i śledzi. Józef przyglądał się temu spokojnie. Twarz jego nie zmieniła wyrazu.

– Istny skarb – powiedział.

– Podzielimy się.

– Ma pan aż tyle?

– Jak pan widzi. Odziedziczyłem to po pewnym kreisleiterze. Czy to panu robi jakąś różnicę?

– Wprost przeciwnie, dodaje swoistego pieprzyku. Tak dobrze zna pan kreisleiterów, że dostaje pan od nich podobne prezenty?

– Tak, tego dobrze znałem. Był człowiekiem nieszkodliwym i dobrodusznym.

Józef nic nie odpowiedział.

– Nie wierzy pan, że można być człowiekiem dobrodusznym i kreisleiterem równocześnie?

– A pan wierzy?

– To może się zdarzyć. Jeśli ktoś jest pozbawiony charakteru albo tchórzliwy lub słaby i tylko dlatego współpracuje.

– Czy w ten sposób zostaje się kreisleiterem?

– I to jest możliwe.

– Dziwne – powiedział Józef z uśmiechem – na ogół uważa się, że morderca musi być zawsze i wszędzie mordercą – niczym więcej. A wystarczy przecież, jeśli będzie nim tylko od czasu do czasu i tylko w małej cząstce swej istoty, aby spowodował straszliwe nieszczęścia. Prawda?

– Tak – odparł Graeber. – Hiena zawsze pozostanie hieną. Człowiek jest bardziej skomplikowany.

Józef skinął głową.

– Bywają komendanci obozów koncentracyjnych posiadający poczucie humoru i esesowscy strażnicy, którzy w swoim gronie są dobroduszni i koleżeńscy. Bywają też zwolennicy obozów, którzy dostrzegają w nich tak zwane dobre strony, a nie zwracają uwagi na okropności lub też traktują je jako przejściową jedynie i twardą konieczność. Ludzie o elastycznym sumieniu.

– I ci, którzy się boją.

– I ci, którzy się boją – przyświadczył Józef grzecznie.

Graeber milczał.

– Chciałbym panu pomóc – powiedział wreszcie.

– Niewiele można zrobić. Jestem samotny. Albo mnie złapią, albo przeżyję. – Józef mówił tak obojętnie, jakby chodziło o kogoś obcego.

– Nie ma pan krewnych?

– Miałem. Brata, dwie siostry, ojca, żonę i dziecko. Nie żyją. Dwoje zatłuczono na śmierć, jeden zmarł śmiercią naturalną, reszta zginęła w komorze gazowej.

– W obozie koncentracyjnym?

– W obozie koncentracyjnym – powiedział Józef grzecznie i zimno. – Istnieją tam doskonałe urządzenia.

– A pan zdołał się wydostać?

– Tak, zdołałem się wydostać.

Graeber spojrzał na Józefa.

– Jakże pan musi nas nienawidzić!

Józef wzruszył ramionami.

– Nienawidzić! Któż sobie może pozwolić na taki luksus! Nienawiść czyni człowieka nieostrożnym.

Graeber popatrzył na okno, za którym piętrzył się gruz zwalonego domu. Słabe światło małej lampki zdawało się przygasać. Łyskało na globusie, który Pohlmann odsunął w kąt pokoju.

– Pan idzie z powrotem na front? – spytał Józef uprzedzająco grzecznie.

– Tak, walczyć o to, by zbrodniarze, którzy pana prześladują, jeszcze jakiś czas pozostali u władzy. Może właśnie dostatecznie długo, aby mogli pana złapać i powiesić.

Józef skinął głową potakująco i milczał.

– Wracam, bo w przeciwnym razie rozstrzelano by mnie – ciągnął Graeber.

Józef nie odpowiedział.

– Wracam, bo gdybym zdezerterował, aresztowano by moich rodziców i żonę, wysłano ich do obozu lub zamordowano.

Józef milczał.

– Wracam i wiem, że moje argumenty nie są żadnymi argumentami, a jednak są argumentami milionów ludzi. Jakże pan musi nami gardzić!

– Niech pan nie będzie taki zarozumiały – powiedział Józef cicho.

Graeber wpatrywał się w niego zdumiony. Nie rozumiał.

– Kto tu mówi o pogardzie? – ciągnął Józef. – Dlaczego to dla pana takie ważne? Czy ja pogardzam Pohlmannem? Czy gardzę ludźmi, którzy mnie ukrywają, choć co noc ryzykują własne życie? Czy żyłbym jeszcze, gdyby nie oni? Jaki pan naiwny!

Nagle uśmiechnął się znowu. Był to upiorny uśmiech, który przemknął mu po twarzy, nie mając z nią nic wspólnego.

– Odbiegamy od tematu. Nie należy za dużo mówić ani rozmyślać. Jeszcze nie teraz – to osłabia. Nie należy też wspominać. Za wcześnie na to wszystko. W niebezpieczeństwie należy myśleć tylko o tym, w jaki sposób się ratować. – Wskazał na konserwy. – Te rzeczy pomagają. Wezmę je, dziękuję.

Ustawił puszki z tyłu za książkami. Robił to dziwnie niezręcznie, Graeber spostrzegł, że końce palców ma okaleczone i pozbawione paznokci.

Józef zauważył jego spojrzenie.

– Mała pamiątka po obozie. Niedzielna rozrywka pewnego scharführera. Nazywał to zapalaniem świeczek choinkowych. Ostro zastrugane zapałki. Wolałbym, żeby zrobił to z palcami u nóg. Mniej by było widoczne. A tak – łatwo mnie rozpoznać. Nie wszędzie przecież można nosić rękawiczki.

Graeber wstał.

– Czyby to panu pomogło, gdybym dał panu mój stary mundur i książeczkę wojskową? Można by zmienić w niej, co potrzeba. Ja bym powiedział, że się spaliła.

– Nie, dziękuję. Na najbliższy okres stanę się Rumunem. Pohlmann to wymyślił i zorganizował. W takich sprawach jest bardzo zręczny. Nie wygląda na to, prawda? Będę Rumunem, członkiem Żelaznej Gwardii, przyjacielem partii. Podobny jestem do Rumuna. I moje obrażenia łatwiej można będzie w ten sposób wytłumaczyć. Spowodowane przez komunistów. Chce pan od razu zabrać swoją pościel i walizki?

Graeber zrozumiał, że Józef pragnie się go pozbyć.

– Pan tu jeszcze zostaje? – spytał.

– Bo co?

Graeber podsunął w jego stronę swoją część konserw.

– Mogę dostać więcej. Pójdę po drugą porcję.

– Już i tego jest za wiele. Nie wolno mi obarczać się dużym bagażem. Muszę iść. Nie mogę dłużej czekać.

– Papierosy! Zapomniałem o papierosach. Pełno ich tam. Pójdę i przyniosę.

Twarz Józefa zmieniła się, złagodniała. Znikł z niej wyraz napięcia.

– Papierosy – powiedział, jakby mówił o przyjacielu. – To co innego. One są ważniejsze od jedzenia. Na nie, oczywiście, zaczekam.

XXII

Sporo osób czekało już w krużganku kościoła Świętej Katarzyny. Wszyscy niemal siedzieli na walizkach lub koszach, otoczeni węzełkami i pakunkami. Większość stanowiły kobiety i dzieci. Graeber przyłączył się do nich ze swoimi walizkami i tłumokiem z pościelą. Obok niego siedziała jakaś stara kobieta o końskiej twarzy.

– Żeby nas tylko nie wywieźli jak uchodźców! – powiedziała. – Słyszy się o tym różne historie. Baraki, mało jedzenia, a chłopi są skąpi i źli.

– Wszystko mi jedno! – odparła chuda dziewczyna. – Byle się stąd wydostać. Wszystko lepsze od śmierci. Obowiązani są zatroszczyć się o nas. Straciliśmy cały dobytek. Muszą się o nas zatroszczyć.

– Przed kilkoma dniami przejeżdżał tędy pociąg z uchodźcami z Nadrenii. Jak oni wyglądali! Jechali do Meklemburgii. Meklemburgia? Tam są bogaci chłopi.

– Bogaci chłopi! – Kobieta o końskiej twarzy zaśmiała się gniewnie. – Harować trzeba u nich, aż człowiekowi ręce odpadają.

A w zamian dają tylko trochę jedzenia. Gdyby führer o tym wiedział!

Graeber popatrzył na kobietę o końskiej twarzy i na chudą dziewczynę. Za nimi przez otwartą romańską kolumnadę przeświecała pierwsza zieleń katedralnego ogrodu. Narcyzy kwitły u stóp kamiennych posągów zdobiących krużganek. Drozd przysiadł na rzeźbie przedstawiającej biczowanie Chrystusa i śpiewał.

– Muszą nas bezpłatnie zakwaterować – oświadczyła chuda dziewczyna. – U takich, którzy mają dosyć. Jesteśmy ofiarami wojny!

Nadszedł zakrystian. Był to szczupły mężczyzna z obwisłym czerwonym nosem i opadającymi ramionami. Graeber nie mógł sobie wyobrazić, że człowiek ten ma odwagę ukrywać ludzi poszukiwanych przez gestapo.

Zakrystian wpuścił zebranych. Każdemu wręczył numerek na jego dobytek, a karteczki z tym samym numerem przyczepił do zawiniątek i walizek.

– Niech pan nie przychodzi zbyt późno wieczorem – powiedział do Graebera. – W kościele jest mało miejsca.

– Mało miejsca? – Kościół Świętej Katarzyny był rozległym budynkiem.

– Tak. Nawy kościelnej nie wolno używać jako schronienia. Tylko pomieszczenia pod nią i boczne ganki.

– A gdzie śpią ludzie, którzy później przychodzą?

– W krużgankach, które się jeszcze uchowały. Niektórzy nocują w ogrodzie klasztornym.

– Czy pomieszczenia pod nawą kościelną chronią przed bombami?

Zakrystian łagodnie popatrzył na Graebera.

– Kiedy budowano ten kościół, nie myślano jeszcze o czymś podobnym. Było to w epoce mrocznego średniowiecza.

Twarz o czerwonym nosie, pozbawiona wszelkiego wyrazu, nawet najmniejszym drgnieniem nie zdradzała swych myśli.

„Zrobiliśmy wielkie postępy w maskowaniu się – pomyślał Graeber. – Niemal każdy z nas jest mistrzem".

Przez ogród i krużganki przeszedł na ulicę. Kościół był poważnie uszkodzony; jedna wieża zawaliła się i światło dzienne niemiłosiernie oświecało wnętrze, wycinając z mrocznej ciemności szerokie, jasne pasy. Część okien również była wytłuczona. Siedziały w nich wróble i ćwierkały. Sąsiadujące z kościołem seminarium duchowne leżało w gruzach. Tuż obok znajdował się schron przeciwlotniczy. Graeber wszedł do środka. Ta rozbudowana stara piwnica na wino należała dawniej do kościoła. Zachowały się tu jeszcze stojaki pod beczki. Powietrze było wilgotne, chłodne i aromatyczne. Zapach wina, który nagromadził się tu w ciągu stuleci, jak gdyby nadal triumfował nad zapachem strachu nocnych bombardowań. W głębi bunkra na suficie z ciosowych głazów spostrzegł Graeber kilka ciężkich żelaznych pierścieni. Przypomniał sobie, że miejsce to, nim zostało piwnicą na wino, było izbą tortur dla czarownic i kacerzy. Podciągano ich do góry za ręce, nogi obciążano żelazem i szarpano rozżarzonymi obcęgami dopóty, dopóki się nie przyznali. Następnie tracono ich w imię Boga i chrześcijańskiej miłości bliźniego. „Niewiele się zmieniło – pomyślał. – Katowskie pachołki w obozach

koncentracyjnych mają wspaniałe wzory do naśladowania. A syn cieśli z Nazaretu – osobliwych następców".

Szedł przez Adlerstrasse. Była szósta wieczór. Cały dzień szukał jakiegoś pokoju, nic jednak nie znalazł. Zmęczony postanowił na dzisiaj zrezygnować. Dzielnica była bardzo zniszczona, ruiny przy ruinach. Kroczył między nimi przygnębiony. Nagle ujrzał coś, co w pierwszej chwili wydało mu się złudzeniem. Pośród zniszczenia stał mały dom; stary, trochę pochylony, ale zupełnie nieuszkodzony. Otaczał go ogród z kilkoma zieleniejącymi drzewami i krzakami, wszystko nienaruszone. Graeber miał wrażenie, że napotkał oazę na pustyni ruin. Nad płotem ogrodu zieleniły się krzewy bzu, ani jedna łata parkanu nie była połamana. O dwadzieścia kroków dalej, po obu stronach, zaczynało się znów księżycowe pustkowie; ale ten mały stary ogród i ten mały stary dom ocalały jakimś cudem, który czasami towarzyszy zniszczeniu.

„Gospoda i restauracja Witte" – głosił napis nad wejściem.

Furtka do ogrodu stała otworem. Wszedł do środka. Nie zdziwiło go już, że ani jedna szyba w oknach nie jest wybita. Tak musiało być. Cud oczekuje zawsze u skraju rozpaczy. Brązowo-biały pies myśliwski leżał przed drzwiami i spał. Na grządkach kwitły narcyzy, fiołki i tulipany. Graeberowi wydawało się, że to wszystko już kiedyś widział, ale nie przypominał sobie, kiedy – prawdopodobnie bardzo dawno temu. A może tylko mu się śniło. Przestąpił próg.

Izba szynkowa była pusta. Na półkach stało jeszcze tylko parę kieliszków, ani jednej butelki. Kran do piwa lśnił czystością, ale sitko pod nim było suche. Pod ścianami stały krzesła i trzy stoły.

Nad środkowym wisiał obraz przedstawiający tyrolski pejzaż z grającą na cytrze dziewczyną, nad którą nachyla się myśliwy. Nigdzie nie dostrzegł Graeber portretu Hitlera; wcale się go też nie spodziewał.

Weszła starsza kobieta. Miała na sobie spłowiałą niebieską bluzkę z wysoko podwiniętymi rękawami. Nie powiedziała: „*Heil Hitler*", powiedziała: „Dobry wieczór" – i doprawdy było w tym trochę z wieczoru. Po dniu wypełnionym uczciwą pracą życzyła dobrego wieczoru. „Tak niegdyś bywało" – pomyślał Graeber. Chciał się tylko czegoś napić, od kurzu ruin zaschło mu w gardle, ale teraz wydało mu się nagle bardzo ważne spędzić tu wieczór z Elżbietą. Czuł, że będzie to dobry wieczór, poza obrębem ciemnego kręgu, który otaczał zaczarowany ogród aż po horyzont.

– Czy można by u pani zjeść kolację? – zapytał.

Kobieta zawahała się.

– Mam kartki – powiedział szybko. – Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli tu z żoną zjeść kolację. Może nawet w ogrodzie. To jeden z ostatnich dni mojego urlopu. Mam kartki żywnościowe dla nas obojga. Jeśli pani chce, przyniosę konserwy na wymianę.

– Mamy tylko zupę z soczewicy. W zasadzie nie wydajemy już posiłków.

– Zupa z soczewicy, to wspaniale. Dawno już jej nie jadłem.

Kobieta uśmiechnęła się. Był to spokojny uśmiech, który zdawał się powstawać sam przez się.

– Jeśli to panu wystarczy, proszę przyjść. Będziecie państwo mogli siedzieć w ogrodzie, jeśli zechcecie. Albo tu, gdy zrobi się chłodniej.

– W ogrodzie. Jest jeszcze dość widno. Możemy przyjść o ósmej?

– Kiedy pan zechce. Na zupę z soczewicy nie trzeba przychodzić tak punktualnie.

Pod tabliczką na domu rodziców tkwił list. Był to list od jego matki. Przesłano go z frontu. Graeber rozerwał kopertę. List był krótki. Matka pisała, że ojciec i ona następnego dnia opuszczą miasto z transportem. Nie wie jeszcze dokąd. Niech się jednak nie trwoży. To tylko ze względów bezpieczeństwa.

Spojrzał na datę. Matka pisała na tydzień przed jego urlopem. O nalotach nie wspominała ani słowa; była ostrożna, bała się cenzury. Wydawało się nieprawdopodobne, że dom został zbombardowany właśnie ostatniego wieczoru. Zapewne nastąpiło to wcześniej; inaczej nie wyznaczono by ich do transportu.

Powoli złożył list i schował do kieszeni. A więc jego rodzice żyją! Był teraz tego pewny, jeśli w ogóle można czegokolwiek być pewnym! Obejrzał się. Coś niby falista ściana ze szkła zapadała się przed nim w ziemię, a Hakenstrasse wyglądała nagle tak, jak wszystkie inne zbombardowane ulice. Strach i męka otaczające dom numer osiemnaście rozwiały się bezgłośnie. Nic więcej już tu nie było prócz gruzów i ruin, tak jak wszędzie.

Odetchnął głęboko. Nie czuł radości, tylko wewnętrzne wyzwolenie. Ciężar, który go wciąż i wszędzie przytłaczał, został nagle zdjęty z jego ramion. Nie myślał o tym, że w czasie urlopu nie zobaczy już chyba rodziców; długa niepewność grzebała tę nadzieję. Wystarczało mu, że żyją. Żyją – tym samym coś się zakończyło, a on był wolny.

W czasie ostatniego nalotu na Hakenstrasse padło kilka bomb. Dom, z którego został tylko fronton, zawalił się. Drzwi z „dziennikiem ruin” ustawiono teraz nieco dalej, między

rumowiskiem. Graeber zastanawiał się właśnie, co się stało ze zwariowanym komendantem obrony przeciwlotniczej, gdy go ujrzał nadchodzącego z przeciwnej strony.

– Nasz żołnierz! – powiedział komendant. – Wciąż jeszcze tutaj!

– Tak. Pan także, jak widzę!

– Znalazł pan swój list?

– Owszem.

– Przyszedł wczoraj po południu. Teraz już chyba można skreślić pana z drzwi? Miejsce jest nam pilnie potrzebne. Czeka na nie pięć zgłoszeń.

– Jeszcze nie – powiedział Graeber. – Za parę dni.

– Najwyższy czas – oświadczył komendant tak ostro i surowo jak nauczyciel przemawiający do nieposłusznego dziecka. – Mieliśmy do pana wiele cierpliwości.

– Czy pan jest redaktorem tej gazety?

– Komendant obrony przeciwlotniczej jest wszystkim. Pilnuje porządku. Mamy tu pewną wdowę, której troje dzieci zaginęło w czasie ostatniego nalotu. Pańskie miejsce potrzebne nam na jej ogłoszenie.

– Więc niech pan je zajmie. Poczta przychodzi do mnie, jak widzę, i tak pod adresem tamtej ruiny.

Komendant odczepił z drzwi kartkę i oddał Graeberowi. Ten chciał ją podrzeć, lecz komendant przytrzymał go za rękę.

– Zwariował pan, żołnierzu? Tego nie wolno niszczyć. W ten sposób można zniszczyć własne szczęście. Raz uratowani zawsze będą uratowani, jak długo zachowa pan tę kartkę. Doprawdy, pan jest jeszcze początkujący!

– Tak – powiedział Graeber, złożył kartkę i schował. – Chciałbym też nim pozostać, jak długo się da. Gdzie pan teraz mieszka?

– Musiałem się przeprowadzić. Znalazłem komfortowy loch piwniczny. Mieszkam tam jako sublokator mysiej rodziny. Bardzo interesujące.

Graeber popatrzył na niego. Wychudła twarz starego nic nie zdradzała.

– Mam zamiar założyć stowarzyszenie – oświadczył komendant. – Stowarzyszenie ludzi, których rodziny zostały zasypane. Musimy się trzymać razem, inaczej miasto nic nie zrobi. Każde miejsce, gdzie leżą zasypani, powinno być przynajmniej pobłogosławione przez księdza, żeby to była poświęcona ziemia. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem.

– No więc. Są ludzie, którzy uważają to za niedorzeczność. Pan, oczywiście, nie ma już teraz powodów, aby zostać naszym członkiem. Dostał pan swój przeklęty list.

Jego wynędzniała twarz zmieniła się. Rozdarł ją wyraz nieopanowanego bólu i wściekłości. Odwrócił się gwałtownie i oddalił, ciężko stąpając.

Graeber popatrzył za nim, po chwili zaś ruszył dalej. Postanowił nie mówić Elżbiecie, że jego rodzice żyją.

Szła sama przez plac, mała i zupełnie zagubiona. O zmierzchu plac przed fabryką wydawał się większy niż zazwyczaj, a stojące w głębi niskie budynki jeszcze bardziej surowe i beznadziejne.

– Dostałam urlop – powiedziała bez tchu. – Już znowu.

– Na jak długo?

– Trzy dni. Trzy ostatnie dni.

Zamilkła. Oczy jej przepełniły się łzami.

– Wytłumaczyłam im dlaczego. Natychmiast dali mi te trzy dni. Może każą mi je później odpracować, ale to obojętne. Wszystko jest obojętne, co będzie potem. Nawet lepiej, jeśli będę miała dużo pracy...

Graeber nie odpowiedział. Jak ciemny meteor uderzyła nagle i w niego świadomość, że muszą się rozstać. Wiedział o tym przez cały czas, jak wie się o wielu rzeczach, nie zdając sobie sprawy z ich znaczenia i nie odczuwając ich w pełni. Tyle jeszcze dzieliło go od tej chwili. Teraz świadomość rozstania pojawiła się nagle, wielka i pełna zgrozy, i rozsiewała blade, przenikliwe, trupie światło – jak promienie Roentgena, które przenikają wdzięki i powab życia, pozostawiając tylko nędzną resztę i przymus.

Spojrzeli po sobie. Oboje odczuwali to samo. Stali na pustym placu, patrzyli na siebie i każde z nich wiedziało, jak cierpi drugie. Zdawało im się, że zataczają się targani burzą, ale stali bez ruchu. Rozpacz, przed którą bezustannie uciekali, wreszcie ich dopadła i teraz ujrzeli siebie takimi, jakimi będą naprawdę: Graeber widział Elżbietę samotną, w fabryce, w schronie lub w jakimś pokoju, wyczekującą bez wielkiej nadziei; a ona widziała jego, jak powraca w niebezpieczeństwo, do walki za sprawę, w którą już nie wierzy. Rozpacz wstrząsała nimi, a jednocześnie runęła na nich jak ulewa zgubna tkliwość, której nie mogli się poddać, czuli bowiem, że ich zmiażdży, jeśli jej ulegną. Byli bezradni. Nic nie mogli uczynić. Musieli czekać, aż sfolguje.

Graeber miał wrażenie, że minęła cała wieczność, nim zdołał przemówić. Spostrzegł, że w oczach Elżbiety nie ma już łez. Nie

poruszała się, łzy jak gdyby spłynęły do wewnątrz.

– Więc jeszcze kilka całych dni spędzimy razem – powiedział.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Tak. Począwszy od jutrzejszego wieczoru.

– Wspaniale. To tak, jakbyśmy mieli jeszcze kilka tygodni, licząc po staremu, kilka tygodni, w których miałabyś wolne tylko wieczory.

– Tak.

Poszli dalej. W pustych otworach okiennych wypalonego domu wisiała resztka zorzy wieczornej jak zapomniana zasłona.

– Dokąd idziemy? – spytała Elżbieta. – I gdzie będziemy spali?

– W krużgankach kościoła. Albo w ogrodzie klasztornym, jeśli będzie dosyć ciepło. A teraz idziemy na zupę z soczewicy.

Między ruinami wyłoniła się restauracja Witte. Graeberowi wydawało się przez chwilę dziwne, że jeszcze nie zniknęła. Było to tak nieprawdopodobne jak fatamorgana. Podeszli do furtki.

– Co ty na to powiesz? – spytał.

– Wygląda jak oaza pokoju, którą ominęła wojna.

– Prawda? I niech tak zostanie jeszcze przez dzisiejszy wieczór.

Z kwietników unosił się silny zapach ziemi. Ktoś je niedawno podlewał. Wokół domu biegał pies myśliwski, merdając ogonem. Oblizywał pysk, jakby się właśnie nażarł.

Pani Witte w białym fartuchu wyszła im naprzeciw.

– Chcą państwo zostać w ogrodzie?

– Tak – odparła Elżbieta. – I chętnie bym się umyła, jeśli to możliwe.

– Oczywiście.

Pani Witte zaprowadziła Elżbietę po schodkach na górę. Graeber przeszedł obok kuchni do ogrodu. Przygotowano tu dla nich dwa krzesła i stół nakryty obrusem w biało-czerwoną kratę. Stały na nim szklanki, talerze i lekko spotniała karafka z wodą. Spragniony wypił szklankę wody. Była zimna i smakowała mu bardziej niż wino. Ogród okazał się większy, niż to wyglądało z zewnątrz. Krzewy białego i niebieskiego bzu oraz kilka starych drzew okrytych młodym listowiem otaczało niewielki trawnik pełen świeżej zieleni.

Elżbieta wróciła.

– Jakim cudem to znalazłeś?

– Przypadkiem. Jakże inaczej można odkryć coś podobnego?

Szła po trawie, dotykając pączków na krzewach.

– Kwiaty bzu. Są jeszcze zielone i gorzkie, ale niedługo zakwitną.

– Tak – powiedział Graeber. – Zakwitną. Za kilka tygodni.

Podeszła do niego. Pachniała mydłem, świeżą wodą i młodością.

– Ślicznie jest tutaj. Dziwne, ale mam wrażenie, że już tu kiedyś byłam.

– Ja też miałem takie wrażenie.

– Zdaje mi się, że to wszystko już kiedyś było. Ty i ja, i ten ogród, i że brakuje jeszcze tylko jakiejś błahostki, jakiegoś drobnego faktu, abym mogła sobie dokładnie przypomnieć, jak to wówczas było. – Oparła głowę na jego ramieniu. – Ale to nigdy nie nastąpi. Człowiek zawsze zatrzymuje się tuż przed poznaniem tajemnicy. Kto wie, może naprawdę kiedyś już to wszystko przeżyliśmy i przeżywamy wciąż na nowo.

Pani Witte przyniosła wazę z zupą.

– Dam pani od razu nasze kartki żywnościowe – powiedział Graeber. – Niewiele nam pozostało, część się spaliła. Ale te chyba wystarczą.

– Wszystkich nie potrzebuję – oświadczyła pani Witte. – Soczewicę mamy od dawna. Wezmę tylko parę kuponów na kiełbasę. Resztę państwu zwrócę. Może chcieliby się państwo czegoś napić? Jest jeszcze kilka butelek piwa.

– Wspaniale. Właśnie na piwo mamy ochotę.

Zorza wieczorna była już tylko bladą smugą. Nagle odezwał się drozd. Graeber przypomniał sobie, że już przed południem słyszał śpiew drozda. Tamten siedział na jednej ze stacji drogi krzyżowej. Od tego czasu wiele się wydarzyło. Podniósł pokrywę wazy.

– Kiełbasa. Dobra serdelowa kiełbasa. I soczewica na gęsto. Pyszne jedzenie!

Napełnił talerze i przez chwilę zdawało mu się, że ma dom, ogród, żonę i stół, i jedzenie, że jest bezpieczny i że zapanował już pokój.

– Elżbieto – powiedział – gdybyś mogła podpisać pakt, że przez następne dziesięć lat będziesz żyła tak jak teraz, wśród ruin i w tym ogrodzie, i my oboje razem – podpisałabyś?

– Natychmiast. Nawet i na dłużej.

– Ja również.

Pani Witte podała piwo. Graeber otworzył butelkę i napełnił szklanki. Wypili. Piwo było zimne i dobre. Jedli zupę. Jedli powoli, spokojnie – i patrzyli na siebie.

Ściemniło się. Reflektor przeciął niebo, grzebał w chmurach i prześliznął się dalej. Drozd umilkł. Zapadła noc.

Pani Witte podeszła, aby ponownie napełnić wazę.

– Państwo za mało zjedli – powiedziała. – Młodzi ludzie powinni dużo jeść.

– Zjedliśmy, ile byliśmy w stanie. Waza jest prawie pusta.

– Przyniosę państwu jeszcze trochę sałaty. I kawałek sera.

Ukazał się księżyc.

– Teraz mamy już wszystko – powiedziała Elżbieta. – Księżyc, ogród i najedliśmy się, i jeszcze cały wieczór przed nami. Jest tak pięknie, że niemal nie można tego znieść.

– Tak żyli ludzie dawniej. I nie znajdowali w tym nic nadzwyczajnego.

Skinęła głową i obejrzała się.

– Stąd nie widać ani jednej ruiny. Ogród jest tak położony, że nie można ich dostrzec. Drzewa je zasłaniają. I pomyśleć, że istnieją całe kraje spokojne jak ten ogród!

– Pojedziemy tam po wojnie. Zobaczymy niezniszczone miasta, które będą wieczorami oświetlone, i nikt nie będzie odczuwał strachu przed bombami. Będziemy spacerowali przed pełnymi świateł wystawami sklepów i będzie tak jasno, że wreszcie zdołamy rozpoznać nocą nasze twarze na ulicy jak w biały dzień.

– Czy nas tam wpuszczą?

– Na wycieczkę? Czemu nie? Na przykład do Szwajcarii.

– Musielibyśmy mieć franki szwajcarskie. Skąd je weźmiemy?

– Zabierzemy ze sobą aparaty fotograficzne i tam je sprzedamy. Za to będziemy mogli żyć przez parę tygodni.

Elżbieta roześmiała się.

– Albo klejnoty lub futra, których nie mamy.

Pani Witte przyniosła sałatę i ser.

– Podoba się państwu tutaj?

– Tak, bardzo. Czy możemy jeszcze trochę posiedzieć?

– Jak długo państwo zechcą. Przyniosę jeszcze kawę. Zbożową, oczywiście.

– I kawa na dodatek. Żyjemy dzisiaj jak książęta – powiedział Graeber.

Elżbieta roześmiała się znowu.

– Jak książęta żyliśmy na początku. Zajadaliśmy gęsie wątróbki i kawior i piliśmy reńskie wino. Teraz żyjemy jak ludzie. Tak, jak chcemy żyć w przyszłości. Czy życie nie jest piękne?

– Tak, Elżbieto.

Graeber przyjrzał się jej. Gdy wychodziła z fabryki, wyglądała na zmęczoną, teraz zupełnie odżyła. To zawsze szło u niej szybko; niewiele było jej do tego potrzeba.

– Pięknie będzie żyć – powiedziała. – Tak mało zaznaliśmy dobrego, prawie nic. Właśnie dlatego tyle jeszcze mamy przed sobą. Co dla innych ludzi jest zrozumiałe samo przez się, dla nas będzie wielką przygodą. Choćby powietrze, którego nie czuć już spalenizną. Albo kolacja bez kartek żywnościowych. Sklepy, w których można kupić, co się chce; miasta, które nie są zniszczone. Albo mówić, nie rozglądając się przedtem na wszystkie strony. Nie bać się już! Długo to potrwa, ale powoli strach będzie malał i malał, a nawet jeśli od czasu do czasu powróci, człowiek poczuje się szczęśliwy, gdyż uświadomi sobie od razu, że już nie potrzebuje się niczego obawiać. Prawda?

– Tak – odparł Graeber z wysiłkiem. – Tak, Elżbieto. Jeśli w ten sposób na to patrzeć, czeka nas jeszcze wiele szczęścia.

Siedzieli bardzo długo. Graeber zapłacił za kolację i pani Witte poszła spać. Mogli więc jeszcze pozostać jakiś czas.

Księżyc uniósł się wyżej. Nocny zapach ziemi i młodych liści stał się silniejszy i w spokojnym powietrzu pokonał na chwilę woń pyłu i gruzu, która ciągle wisiała nad miastem. W zaroślach przemknął kot polujący na szczury. Szczurów było teraz znacznie więcej niż dawniej; pod ruinami znajdowały obfity żer.

Elżbieta i Graeber wyszli o jedenastej. Mieli uczucie, że opuszczają wyspę.

– Przyszliście za późno. Wszystkie miejsca są już zajęte – powiedział na ich widok zakrystian.

Był to inny niż z rana, młodszy, gładko wygolony, sztywny i pełen godności. „Prawdopodobnie to on zadenuncjował Józefa" – pomyślał Graeber.

– Czy nie możemy się przespać w ogrodzie klasztornym?

– Na osłoniętych miejscach wszędzie już śpią ludzie. Dlaczego nie pójdziecie do miejskich punktów noclegowych?

O dwunastej w nocy było to zupełnie idiotyczne pytanie.

– Większą ufność pokładamy w Bogu – odparł Graeber.

Zakrystian popatrzył na niego przenikliwie.

– Jeśli chcecie tu zostać, musicie spać na dworze.

– To nie szkodzi.

– Jesteście małżeństwem?

– Tak. Bo co?

– Bo tutaj jest dom boży. Ludzie, którzy nie są poślubieni, nie mogą tu spać razem. W krużganku mamy osobny oddział dla mężczyzn i osobny dla kobiet.

– Nawet jeśli są małżeństwem?

– Nawet i wtedy. Krużganek stanowi część kościoła. Tu nie miejsce na rozkosze zmysłowe. Wy oboje nie wyglądacie na

małżeństwo.

Graeber wyciągnął świadectwo ślubu. Zakrystian nałożył niklowe okulary i czytał w świetle wiecznej lampki.

– Od bardzo niedawna – powiedział wreszcie.

– Pod tym względem nie ma w katechizmie żadnych przepisów.

– Czy wzięliście także ślub kościelny?

– Słuchaj pan – powiedział Graeber. – Jesteśmy zmęczeni. Moja żona ciężko pracowała. Idziemy teraz spać do ogrodu klasztornego. Jeśli pan ma coś przeciwko temu, spróbuj nas pan wypędzić. Ale niech pan przyprowadzi więcej ludzi. To nie będzie takie łatwe.

Koło nich stanął nagle jakiś duchowny. Zbliżył się bezszelestnie.

– O co chodzi?

Zakrystian wyłożył całą sprawę. Duchowny przerwał mu po kilku zdaniach.

– Böhmer, nie udawajcie Boga wszechmocnego. I tak już źle, że ludzie muszą spać tutaj. – Zwrócił się do Graebera. – Jeśli jutro nie znajdzie pan mieszkania, niech pan przyjdzie do mnie o dziewiątej wieczorem na Domhof, numer siódmy. Proboszcz Biedendieck. Moja gospodyni już was gdzieś ulokuje.

– Bardzo dziękuję.

Biedendieck kiwnął głową i poszedł dalej.

– Jazda, podoficerze Pana Boga! – powiedział Graeber do zakrystiana. – Major wydał panu rozkaz. Musi pan słuchać. Kościół jest jedyną dyktaturą, która z powodzeniem utrzymała się poprzez stulecia. Którędy się idzie do ogrodu klasztornego?

Kościelny poprowadził ich przez zakrystię. W ciemności połyskiwały ornaty. Minęli drzwi, przeszli przez korytarz

i znaleźli się w ogrodzie.

– Tylko nie rozkładajcie się na grobach kanoników katedralnych – warknął Böhmer. – Zostańcie po tamtej stronie, obok krużganku. Nie wolno wam też spać razem. Tylko obok siebie. Każde posłanie musi być oddzielne. I nie wolno się rozbierać.

– Butów też nie wolno zdjąć?

– Buty można.

Poszli we wskazanym kierunku. Z krużganków dobiegał wielogłosowy koncert chrapania. Graeber rozpostarł na trawie płachtę brezentową i koce. Spojrzał na Elżbietę. Śmiała się.

– Z czego się śmiejesz? – spytał.

– Z zakrystiana. I z ciebie.

– Dobrze. – Graeber ustawił walizki pod murem, a z tornistra sporządził coś w rodzaju wezgłowia. Nagle w rytmiczne chrapanie wdarł się kobiecy krzyk:

– Nie! Nie! O... – i zamarł w bełkocie.

– Cicho! – parsknął ktoś. Kobieta krzyknęła znowu. – Cicho! Do stu piorunów! – wrzasnął tamten. Krzyk urwał się, jakby zdławiony.

– Tacy właśnie jesteśmy, my, naród panów! – powiedział Graeber. – Nawet przez sen słuchamy każdego rozkazu.

Położyli się. Przy ścianie byli niemal sami. Tylko w obu kątach ciemne pagórki wskazywały, że i tam śpią ludzie. Księżyc stał za zrujnowaną wieżą, rzucając promień światła na stare groby. Kilka z nich zapadło się. To nie bomby je zniszczyły; trumny były zmurszałe i osunęły się. Pośrodku ogrodu, między krzakami dzikich róż, wznosił się wielki krzyż. Wokół niego, wzdłuż ścieżki,

stały kamienne stacje drogi krzyżowej. Elżbieta i Graeber leżeli między stacją biczowania a stacją korony cierniowej. Przed każdą grupą znajdował się klęcznik. Z tyłu, w drugim czworoboku, jaśniały kolumny i łuki krużganku otwartego od strony ogrodu.

– Chodź do mnie – powiedział Graeber. – Do diabła z zarządzeniami tego ascetycznego zakrystiana!

XXIII

Jaskółki polatywały wokół zburzonej wieży. Pierwsze promienie słońca iskrzyły się na krawędziach potłuczonych dachówek. Graeber wypakował kuchenkę spirytusową. Nie wiedział, czy wolno tu gotować, toteż postępował w myśl starej zasady żołnierskiej: działać, nim ktokolwiek zabroni. Wziął menażkę i poszedł na poszukiwanie wody. Za stacją ukrzyżowania znalazł kran. Spał tam z otwartymi ustami mężczyzna o rudym zaroście. Miał tylko jedną nogę; odpiętą protezę położył obok siebie. W porannym świetle błyszczała niklowymi krzyżulcami jak jakaś maszyna. Graeber spojrzał w otwartą kolumnadę krużganków. Zakrystian mówił prawdę: kobiety i mężczyźni leżeli osobno. Na południowej stronie spały same kobiety.

Gdy wrócił, Elżbieta już się obudziła. Twarz jej miała wygląd świeży i wypoczęty; nie jak te blade oblicza, które widział w krużgankach.

– Wiem, gdzie będziesz mogła się umyć – powiedział. – Idź tam, nim inni przypuszczą szturm. Świątobliwe organizacje mają zawsze marne urządzenia sanitarne. Chodź, pokażę ci łazienkę kanoników.

Zaśmiała się.

– Lepiej zostań tutaj i uważaj na kawę, bo inaczej nie znajdziemy jej potem. Już ja sama trafię do umywalni. Którędy się tam idzie?

Opisał jej drogę. Poszła na przełaj przez ogród. Spała tak spokojnie, że suknia jej prawie nie była zgnieciona. Spoglądał za nią. Nagle zrozumiał, jak bardzo ją kocha.

– A więc gotuje pan w ogrodzie bożym! – Świątobliwy zakrystian nadszedł, skradając się na filcowych podeszwach. – I to pod stacją bolesnego koronowania!

– A gdzie jest radosne? Mogę tam pójść.

– Tu jest wszędzie poświęcona ziemia. Nie widzi pan, że tam pogrzebani są kanonicy?

– Na niejednym już cmentarzu siedziałem i gotowałem – powiedział Graeber spokojnie. – Ale niech mi pan powie, dokąd mamy w takim razie pójść? Jest tu gdzieś jakaś kantyna lub kuchnia polowa?

– Kantyna? – Zakrystian żuł to słowo jak nadgniły owoc. – Tutaj?

– To nie byłby zły pomysł.

– Może dla takich pogan jak pan. Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy inaczej myślą. Restauracja na Chrystusowej ziemi! Co za bluźnierstwo!

– To wcale nie jest bluźnierstwo. Chrystus nakarmił kilka tysięcy ludzi paroma chlebami i rybami, o tym powinien pan wiedzieć. Ale On na pewno nie był takim napuszonym krukiem jak pan! A teraz odfruń pan! Jest wojna, może pan o tym nie wie?

– Powiadomię proboszcza Biedendiecka o pańskim świętokradztwie!

– Proszę bardzo! Wyrzuci pana na zbity łeb!

Zakrystian, wściekły, odszedł spokojnie w swoich filcowych pantoflach. Graeber otworzył paczkę kawy ze spuścizny po Bindingu i powąchał. Była to prawdziwa kawa. Zaparzył ją i aromat, który się rozszedł, wywołał natychmiastowy skutek. Zza grobu kanoników jakiś mężczyzna uniósł głowę i zaczął węszyć. Potem kichnął, wstał i podszedł bliżej.

– Dałby pan filiżankę?

– Odwal się – powiedział Graeber. – To dom boży; tu nie daje się jałmużny, tu się tylko przyjmuje.

Elżbieta wróciła. Krok jej był lekki i swobodny, jakby szła na spacer.

– Skąd masz kawę? – spytała.

– Od Bindinga. Musimy ją szybko wypić, inaczej opadną nas wszyscy z krużganku.

Promień słońca wędrował po obrazach bolesnego koronowania. Przed stacją biczowania kwitły fiołki. Graeber wyjął z tornistra chleb i masło.

– Prawdziwe masło – powiedziała Elżbieta. – Też od Bindinga?

– Wszystko od niego. Dziwne, stale okazywał mi życzliwość, a ja go nigdy nie lubiłem.

– Może właśnie dlatego tak postępował. To się podobno zdarza.

Elżbieta siedziała na tornistrze obok Graebera.

– Kiedy miałam siedem lat, marzyłam o takim właśnie życiu.

– A ja chciałem zostać piekarzem.

Zaśmiała się.

– Zostałeś za to kwatermistrzem. I jakim doskonałym! Która godzina?

– Zapakuję wszystko i odprowadzę cię do fabryki.

– Nie. Posiedźmy tu na słońcu, jak długo się da. Pakowanie i odnoszenie rzeczy zabiera dużo czasu; musielibyśmy długo czekać w kolejce, aby wszystko odstawić na dół. Krużganek jest pełen ludzi. Możesz to zrobić potem, kiedy już pójdę.

– Dobrze. Jak myślisz, wolno tu palić?

– Nie. Ale ty się i tak tym nie przejmujesz.

– Nie. Korzystajmy, póki czas, zanim nas stąd wyrzucą. Wkrótce to nastąpi. Spróbuję znaleźć dzisiaj jakieś lokum, gdzie nie musielibyśmy spać w ubraniach. Do proboszcza Biedendiecka nie pójdziemy w żadnym razie, prawda?

– Nie. Raczej już z powrotem do Pohlmanna.

Słońce wzniosło się wyżej. Rozjaśniło portyk, a kolumny rzucały cień na mury. Ludzie chodzili między nimi tam i z powrotem, jak za kratami ze światła i cieni. Dzieci płakały. W kącie ogrodu jednonogi kaleka przypiął swoją protezę i naciągnął na nią spodnie. Graeber spakował chleb, masło i kawę.

– Jest za dziesięć ósma – powiedział. – Musisz już iść. Przyjdę po ciebie pod fabrykę, Elżbieto. Na wszelki wypadek mamy dwa punkty spotkania: przede wszystkim ogród pani Witte; a jeśli nie tam, to tutaj.

– Dobrze. – Elżbieta wstała. – To już ostatni raz opuszczam cię na cały dzień.

– Za to wieczorem późno pójdziemy spać; spędzimy razem wiele godzin. W ten sposób nadrobimy stracony czas.

Pocałowała go i szybko odeszła. Graeber usłyszał nagle czyjś śmiech. Odwrócił się rozgniewany. Jakaś młoda kobieta stała między kolumnami. Przed sobą, na murku, postawiła chłopczyka, który targał ją rączkami za włosy. Śmiała się wraz z nim. Graebera i Elżbiety nawet nie zauważyła.

Spakował rzeczy, po czym poszedł wypłukać menażkę. Kaleka pobiegł za nim. Noga jego stukała i skrzypiała.

– Hej, kolego!

Graeber przystanął.

– To ty gotowałeś kawę? – spytał inwalida.

– Tak. Wypiliśmy ją.

– To się rozumie. – Mężczyzna miał bardzo duże niebieskie oczy. – Chodzi mi o fusy z kawy. Jeśli je chcesz wyrzucić, daj lepiej mnie. Można je raz jeszcze zaparzyć.

– Tak, naturalnie. – Graeber wyskrobał fusy. Potem zabrał swoje rzeczy i zaniósł na miejsce, gdzie je przechowywano. Oczekiwał starcia z pobożnym zakrystianem. Ale zamiast niego był teraz ten drugi, z czerwonym nosem. Zalatywało od niego winem mszalnym. Nie powiedział nic.

Dozorca siedział w oknie swego mieszkania w wypalonym domu. Skinął na Graebera, gdy go spostrzegł. Graeber wszedł do mieszkania.

– Ma pan dla nas pocztę?

– Tak. Dla pańskiej żony. List adresowany jest jeszcze do panny Kruse. To chyba w porządku, co?

– Tak.

Graeber wziął list. Zauważył, że dozorca dziwnie mu się przypatruje. Spojrzał na list i zdrętwiał, widząc pieczątkę

gestapo. Odwrócił kopertę. Była zaklejona, ale można było poznać, że ktoś ją otwierał.

– Kiedy przyszedł? – spytał.

– Wczoraj wieczorem.

Graeber oglądał kopertę. Był pewien, że dozorca czytał list. Dlatego też rozerwał kopertę. Znalazł w niej wezwanie dla Elżbiety na godzinę jedenastą trzydzieści rano. Popatrzył na zegarek, dochodziła dziesiąta.

– Dobrze – powiedział. – Nareszcie! Dawno już na to czekałem. – Schował list. – Jest jeszcze coś poza tym?

– Czy to nie wystarczy? – spytał dozorca, przyglądając mu się badawczo.

Graeber zaśmiał się.

– Wie pan może o jakimś mieszkaniu dla nas?

– Nie. Pan jeszcze potrzebuje mieszkania?

– Ja nie. Ale moja żona.

– Tak? – powiedział dozorca bez przekonania.

– Tak. Zapłacę dobre odstępne.

– Tak? – powtórzył dozorca.

Graeber wyszedł. Czuł, że dozorca spogląda za nim z okna. Przystanął i udawał, że z zainteresowaniem obserwuje szkielety dachów. Potem wolnym krokiem ruszył dalej.

Za najbliższym rogiem natychmiast wyciągnął list z kieszeni. Był to drukowany formularz, z którego nic nie dało się wywnioskować. Nawet podpis był drukowany. Tylko nazwisko Elżbiety i datę wypisano na maszynie, która literę „A” wybijała za wysoko.

Wpatrywał się w kartkę. Czworokątna ósemka szarego taniego papieru drzewnego przesłoniła nagle cały świat. Unosiła się z niej niepojętna groźba. Pachniała śmiercią.

Stał przed kościołem Świętej Katarzyny. Nie wiedział, jak się tu znalazł.

– Ernst – szepnął ktoś za nim.

Odwrócił się gwałtownie. Był to Józef. Miał na sobie płaszcz wojskowego kroju; nie zwracając więcej uwagi na Graebera, wszedł do kościoła. Graeber rozejrzał się i w minutę później podążył za nim. Znalazł go w pustej ławce koło zakrystii. Józef uczynił ostrzegawczy ruch. Graeber zbliżył się do ołtarza, obejrzał się, zawrócił i uklęknął obok Józefa.

– Pohlmann został aresztowany – szepnął Józef.

– Co?

– Pohlmann. Dzisiaj rano zabrało go gestapo.

W pierwszej chwili Graeber pomyślał, że aresztowanie Pohlmanna ma jakiś związek z listem do Elżbiety.

– A więc Pohlmann także – powiedział wreszcie.

Józef podniósł szybko wzrok.

– Kto jeszcze poza nim?

– Moja żona dostała wezwanie do gestapo.

– Na kiedy?

– Na dzisiaj przed południem, na godzinę jedenastą trzydzieści.

– Ma pan to wezwanie przy sobie?

– Tak, proszę.

Graeber podał Józefowi list.

– Jak to się stało z Pohlmannem? – spytał.

– Nie wiem. Nie było mnie w domu. Gdy przyszedłem, poznałem po kamieniu, który leżał inaczej niż przedtem, co się stało. Pohlmann kopnął go na bok, wychodząc. Był to jeden z naszych umówionych znaków. W godzinę później zobaczyłem, że książki jego ładują na wóz.

– Czy miał u siebie coś obciążającego?

– Nie sądzę. Wszystko, co mogło być niebezpieczne, zakopane jest gdzie indziej. Nawet konserwy.

Graeber popatrzył na papier w ręku Józefa.

– Właśnie chciałem do niego pójść – powiedział. – Miałem się go poradzić, co robić.

– Dlatego też przyszedłem. Jakiś gestapowiec czatuje z pewnością w jego mieszkaniu. – Józef oddał Graeberowi wezwanie. – Co pan teraz zrobi?

– Nie wiem. Przed chwilą to dostałem. A co pan by zrobił?

– Uciekłbym – odparł Józef bez namysłu.

Graeber wpatrywał się w półmrok, w którym jaśniały ołtarze.

– Pójdę najpierw sam i spytam, czego chcą – powiedział.

– Nie udzielą panu informacji, jeśli wzywają pańską żonę.

Graeber uczuł, jak go przenika dreszcz. Ale Józef był tylko rzeczowy, nic więcej.

– Gdyby chcieli zabrać moją żonę, aresztowaliby ją jak Pohlmanna. Tu chodzi o coś innego. Dlatego zdecydowałem się tam pójść. Może to nic ważnego – powiedział Graeber bez przekonania. – W takim wypadku błędem byłoby uciekać.

– Czy pańska żona jest Żydówką?

– Nie.

– To co innego. Żydzi zawsze powinni uciekać. Czy pańska żona nie mogła gdzieś wyjechać?

– Nie. Ma przydział pracy. To łatwo sprawdzić.

Józef zastanowił się.

– Możliwe, że wcale nie chcą jej aresztować. Pan ma rację, mogli to zrobić wprost. Jak pan sądzi, dlaczego ją wzywają?

– Jej ojciec jest w obozie koncentracyjnym. A ktoś, z kim razem mieszkała, mógł był ją zadenuncjować. Możliwe też, że zwrócono na nią uwagę w związku z naszym ślubem.

Józef zamyślił się znowu.

– Niech pan zniszczy wszystko, co ma z tym jakikolwiek związek. Listy, pamiętniki i temu podobne. A potem niech pan tam idzie. Pan sam. O to panu przecież chodzi, prawda?

– Tak. Powiem, że list otrzymałem dopiero dzisiaj i że nie zdążyłem porozumieć się z żoną.

– Tak będzie najlepiej. Niech pan spróbuje dowiedzieć się, czego od niej chcą. Panu nic nie zrobią. Przecież pan i tak musi wracać na front. Nie będę więc pana zatrzymywać. Jeśli pan szuka kryjówki dla żony, mogę panu podać adres. Ale najpierw niech pan tam idzie. Aż do popołudnia będę tutaj – Józef zawahał się chwilę – w konfesjonale proboszcza Biedendiecka. Tam gdzie wywieszona jest tabliczka „Nieobecny”. To zapewni mi kilka godzin snu.

Graeber wstał i wyszedł. Po chłodnym półmroku panującym w kościele oślepił go przed drzwiami blask słońca; był tak jaskrawy, jakby go chciał prześwietlić i sam stał się narzędziem gestapo. Graeber powoli kroczył ulicami. Miał uczucie, że idzie pod szklanym kloszem. Wszystko dokoła było teraz obce

i nieosiągalne. Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku wydała się nagle symbolem osobistego bezpieczeństwa i wzbudziła w nim bolesną zazdrość. Mężczyzna siedzący na ławce i czytający gazetę był obrazem nieosiągalnej beztroski, a grupka ludzi, która śmiejąc się, rozmawiała z sobą – robiła wrażenie zjaw z innego, utraconego nagle świata. Tylko nad nim wisiał posępny cień strachu, który go wyosobniał jak trędowatego.

Wszedł do gmachu gestapo i okazał wezwanie. Esesowiec kazał mu iść korytarzem do bocznego skrzydła. W przejściach unosił się zapach akt, niewietrzonych biur i koszar. Musiał zaczekać w pokoju, w którym znajdowali się już trzej inni mężczyźni. Jeden z nich stał przy oknie wychodzącym na podwórze. Założył ręce do tyłu i palcami prawej bębnił po grzbiecie lewej ręki jak na pianinie. Dwaj inni siedzieli na krzesłach i patrzyli przed siebie. Jeden, łysy, stale zakrywał dłonią zajęczą wargę; drugi miał wąsik jak Hitler i gąbczastą, bladą twarz. Obrzucili wchodzącego szybkim spojrzeniem i zaraz odwrócili wzrok.

Nadszedł jakiś esesowiec w okularach. Wszyscy zerwali się natychmiast. Graeber był najbliżej drzwi.

– Czego pan tu chce? – spytał go esesowiec nieco zdumiony. Żołnierze podlegali zazwyczaj sądownictwu wojskowemu.

Graeber okazał kartkę.

– Przecież nie o pana tu chodzi – powiedział esesowiec. – Wezwanie jest dla panny Kruse...

– To moja żona. Pobraliśmy się przed kilkoma dniami. Ona pracuje w fabryce państwowej. Myślałem, że mógłbym to za nią załatwić.

Graeber wyciągnął świadectwo ślubu, które przezornie zabrał ze sobą. Esesowiec dłubał niezdecydowanie w uchu.

– No, w ostateczności nie mam nic przeciwko temu. Pokój siedemdziesiąty drugi. Podziemie.

Zwrócił papiery. „Podziemie” – pomyślał Graeber. We wszystkich pogłoskach, które krążyły wokół budynku gestapo, właśnie podziemie miało najgorszą sławę.

Zszedł po schodach. Dwaj ludzie, którzy właśnie wchodzili, popatrzyli na niego z zazdrością. Sądzili, że wraca już na wolność, podczas gdy oni mieli jeszcze wszystko przed sobą.

Pokój siedemdziesiąt dwa okazał się dużą salą z półkami i oddzielnym pomieszczeniem na biuro. Znudzony urzędnik wziął wezwanie. Graeber wyjaśnił mu, dlaczego przyszedł, i okazał swoje papiery.

Urzędnik skinął głową.

– Czy może pan pokwitować za żonę?

– Tak.

Urzędnik podsunął mu przez stół dwa papierki.

– Niech pan tu pokwituje, a na dole dopisze: mąż Elżbiety Kruse, datę i Urząd Stanu Cywilnego, gdzie braliście ślub. Drugi formularz może pan sobie zabrać.

Graeber podpisywał powoli. Nie chciał okazać, że czyta, co było wydrukowane; ale nie chciał też podpisywać na ślepo. Urzędnik szukał tymczasem na jednej z półek.

– Do diabła, gdzie są te prochy? – zawołał wreszcie. – Holtmann, znowu narobiliście bałaganu. Przynieście paczkę Kruse.

Ktoś chrząknął za przepierzeniem. Graeber spostrzegł, że pokwitował odbiór prochów więźnia obozu koncentracyjnego Bernharda Krusego. A na drugim formularzu przeczytał, że Bernhard Kruse zmarł na atak serca.

Urzędnik znikł za przegródką. Po chwili wrócił ze skrzynką od cygar owiniętą w mały kawałek brązowego papieru i związaną sznurkiem. Na bokach miała wydrukowany napis „Claro", widać też było część barwnego zamknięcia skrzynki z czerwono-złotym herbem, który dzierżył palący fajkę Indianin.

– Tutaj są prochy – powiedział urzędnik i spojrzał sennie na Graebera. – Panu jako żołnierzowi nie potrzebuję chyba mówić, że nakazane jest absolutne milczenie. Żadnych nekrologów w gazetach ani zawiadomień rozsyłanych pocztą. Żadnych uroczystości żałobnych. Milczenie. Zrozumiano?

– Tak.

Graeber wziął skrzynkę i wyszedł.

Postanowił nic nie mówić Elżbiecie. W ostateczności niech się dowie później. Zresztą to jest nieprawdopodobne, gestapo nie zawiadamia dwukrotnie. Na razie wystarczy, że musi ją zostawić samą: powiedzieć jej o śmierci ojca byłoby zbędnym okrucieństwem.

Szedł powoli w kierunku kościoła Świętej Katarzyny. Ulice wydawały mu się nagle znów pełne życia. Groźba minęła, przekształciła się w śmierć. To jednak była obca śmierć. A do obcej śmierci już przywykł. Ojca Elżbiety znał tylko z czasów dzieciństwa.

Pod pachą czuł skrzynkę od cygar. Prawdopodobnie nie zawierała wcale prochów Krusego. Holtmann mógł się łatwo

pomylić, a trudno przecież przypuszczać, żeby w obozie koncentracyjnym poświęcano tym sprawom szczególną uwagę. Przy masowym paleniu zwłok było to zresztą niemożliwe. Któryś z palaczy zgarnął szuflą garść popiołu i zapakował – to wszystko. Graeber nie pojmował, po co to w ogóle robią. Było to połączenie nieludzkości z biurokracją, która nieludzkość tę czyniła jeszcze bardziej nieludzką.

Zastanawiał się, co zrobić z prochami. Mógł je zakopać gdzieś wśród ruin, dosyć nadarzało się po temu okazji. Mógł również zanieść je na cmentarz; ale wtedy potrzebne byłoby zezwolenie i grób i Elżbieta dowiedziałaby się o tym.

Wszedł do kościoła i zatrzymał się przed konfesjonałem proboszcza Biedendiecka. Wisiała tam tabliczka „Nieobecny". Uchylił zieloną zasłonę. Józef nie spał i siedział w ten sposób, że mógł kopnąć Graebera w brzuch i natychmiast uciekać. Graeber poszedł dalej, do ławki koło zakrystii. Po chwili zjawił się Józef. Graeber pokazał mu skrzynkę od cygar.

– O to chodziło. Prochy jej ojca.

– Nic więcej?

– To wystarczy. Dowiedział się pan jeszcze czegoś o Pohlmannie?

– Nie.

Obaj spojrzeli na paczkę.

– Skrzynka od cygar – powiedział Józef. – Najczęściej biorą stare pudełka albo puszki blaszane lub papierowe torby. Skrzynka od cygar to już prawie jak trumna. Gdzie ją pan chce zostawić? Tu, w kościele?

Graeber potrząsnął głową. Przyszło mu nagle na myśl, co zrobi.

– W ogrodzie klasztornym – powiedział. – To jest przecież jakby rodzaj cmentarza.

Józef skinął głową.

– Czy mógłbym jeszcze coś dla pana zrobić? – spytał Graeber.

– Niech pan wyjdzie bocznymi drzwiami i sprawdzi, czy na ulicy nie ma czegoś podejrzanego. Muszę już iść; o pierwszej służbę obejmuje zakrystian-antysemita. Jeśli w ciągu pięciu minut pan nie wróci, to znaczy, że ulicy jest wolna.

– Dobrze.

Graeber stał w słońcu. Po chwili z kościoła wyszedł Józef. Mijając Graebera, mruknął:

– Wszystkiego dobrego!

– Wszystkiego dobrego!

Graeber zawrócił. O tej porze ogród klasztorny był pusty. Dwa żółte motyle z czerwonymi punkcikami na skrzydełkach igrały nad krzewem okrytym małymi białymi kwiatami. Krzak stał nad grobem kanonika Aloysiusa Blümera. Graeber podszedł bliżej i zbadał ziemię. Trzy groby zapadły się, mogiła Blümera jednak w taki sposób, że pod pokrywą darni prawdopodobnie utworzyła się dziura. Było to odpowiednie miejsce.

Napisał na karteczce, że skrzynka zawiera prochy katolickiego więźnia obozu koncentracyjnego. Zrobił to na wypadek, gdyby ją miano znaleźć. Kartkę wsunął pod brązowy papier opakowania. Następnie wyciął bagnetem kawałek murawy i powiększył ostrożnie szczelinę w ziemi tak, żeby móc wsunąć skrzynkę. Łatwo to poszło. Dziurę zasypał potem wydobytą ziemią i nakrył trawą.

Bernhard Kruse, jeśli to był on, znalazł w ten sposób miejsce w poświęconej ziemi, u stóp wysokiego dostojnika kościelnego.

Graeber odszedł i usiadł na murze krużganku. Kamienie nagrzane były od słońca. „Może to świętokradztwo – pomyślał. – A może tylko zbędny sentymentalizm. Bernhard Kruse był katolikiem, a Kościół zabrania katolikom palenia zwłok; ale chyba w tym wypadku Kościół tego nie potępi ze względu na specyficzne okoliczności. A jeśli skrzynka zawiera nie prochy Krusego, lecz różnych ofiar, może także protestantów i ortodoksyjnych żydów, to chyba i w tym wypadku nie będzie to miało znaczenia. Ani Jehowa, ani Bóg protestantów lub katolików nie będzie zgłaszał zbyt wiele sprzeciwów".

Spojrzał na grób, w którym skrzynka od cygar leżała jak kukułcze jajo w cudzym gnieździe. Przez całą drogę nic prawie nie odczuwał; ale teraz, gdy wszystko już minęło, ogarnęła go głęboka, bezgraniczna gorycz. Było to więcej niż tylko myśl o zmarłym. Był w tym Pohlmann i Józef, i wszystkie nieszczęścia, które widział, i wojna, a także jego własny los.

Wstał. W Paryżu widział grób Nieznanego Żołnierza, wspaniały, pod Łukiem Triumfalnym, na którym wyryto daty wielkich bitew Francji, i nagle wydało mu się, że ten zapadły kawałek murawy z płytą kanonika Blümera i znajdująca się pod nią skrzynka od cygar jest czymś podobnym, a może nawet jeszcze większym – bez tęczy sławy i bitew.

– Gdzie będziemy dzisiaj spali? – spytała Elżbieta. – W kościele?

– Nie. Stał się cud. Byłem u pani Witte, ma wolny pokój. Córka jej wyjechała przed kilkoma dniami na wieś. Zamieszkamy tam,

a gdy wyjadę, będziesz chyba mogła zatrzymać ten pokój. Zaniosłem tam już wszystkie nasze rzeczy. Dostałaś urlop?

– Tak. Już nie wracam do fabryki. A ty nie będziesz musiał na mnie czekać.

– Chwała Bogu! Uczcimy to dzisiaj wieczorem! Całą noc się nie położymy, a jutro możemy spać do południa.

– Tak. Będziemy siedzieli w ogrodzie, aż pojawią się wszystkie gwiazdy. Ale przedtem kupię sobie nowy kapelusz. Dziś jest odpowiedni po temu dzień.

– Po co ci kapelusz? Chcesz go wieczorem nosić w ogrodzie?

Elżbieta zaśmiała się.

– Może. Ale to nie takie ważne. Najważniejsze, że się go kupuje. To symboliczny akt. Kapelusz jest jak sztandar. Kupuje się go, kiedy się jest szczęśliwym albo nieszczęśliwym. Ty tego nie rozumiesz, prawda?

– Nie. Ale chodźmy go kupić. Uczcimy nim twoją wolność. To ważniejsze od kolacji! Czy sklepy są jeszcze otwarte? A masz kartę odzieżową?

– Tak. I wiem, gdzie można dostać kapelusze.

– Doskonale. Kupimy kapelusz do twojej złocistej sukni.

– Do niej nie potrzeba. To suknia wieczorowa. Po prostu kupimy jakikolwiek kapelusz. To naprawdę konieczne. Tym samym zerwę z fabryką.

Część wystawy sklepowej ocalała. Reszta zabita była deskami. Zajrzeli do środka. W oknie leżały dwa kapelusze: jeden przybrany sztucznymi kwiatami, drugi – kolorowymi piórami. Graeber przyglądał się im bez entuzjazmu; nie mógł sobie

wyobrazić w nich Elżbiety. Nagle spostrzegł, że siwowłosa kobieta zamierza właśnie zamknąć drzwi.

– Szybko! – powiedział.

Sklep był zaciemniony. Właścicielka zaprowadziła ich do tylnego pokoiku i natychmiast wdała się z Elżbietą w rozmowę, z której Graeber nic nie rozumiał. Usiadł na kruchym, złoconym krzesełku koło drzwi. Właścicielka zapaliła światło nad lustrem i zaczęła wyjmować z pudeł kapelusze i materiały. Szary sklep zamienił się nagle w zaczarowaną grotę. Na barwnej tkaninie brokatów zapłonęła czerwień, błękit, róż i biel kapeluszy, jakby to były korony przymierzane przed jakimś tajemniczym świętem. W powodzi światła Elżbieta poruszała się przed lustrem, jakby zstąpiła właśnie z portretu, a półmrok spowijający resztę pokoju zamykał się za nią niby kotara. Graeber siedział cicho i obserwował scenę, która wydawała mu się nierealna po wszystkim, co wydarzyło się w ciągu dnia. Widział Elżbietę po raz pierwszy całkowicie wyrwaną z czasu, była sobą, oddana naturalnej i głębokiej zarazem zabawie, oblana światłem, tkliwością i miłością, poważna i skupiona jak Amazonka, która przegląda broń przed walką. Słyszał cichą rozmowę obu kobiet, nie przysłuchując się jej; dobiegała doń jak szmer źródła; widział jasny krąg otaczający Elżbietę, jakby to ona go rozsiewała; kochał ją, pożądał i zapomniał o wszystkim, zatopiony w cichym szczęściu, za którym czatowała niepojęta groźba utraty, czyniąc je jeszcze głębszym, jeszcze bardziej promiennym i tak cennym i przelotnym, jak błyski światła na jedwabiach i brokatach.

– Czapeczka – powiedziała Elżbieta. – Prosta, złota czapeczka ściśle przylegająca do głowy.

XXIV

W oknie stały gwiazdy. Dzikie wino wiło się wokół małego czworokąta, a kilka zwisających gron chwiało się na wietrze jak ciemne wahadło bezgłośnego zegara.

– Ja nie płaczę naprawdę – powiedziała Elżbieta. – A jeśli płaczę, nie zwracaj na to uwagi. To nie ja, to tylko coś we mnie, co pragnie się wydostać. Nieraz nie pozostaje człowiekowi nic prócz łez. To nie żal, jestem szczęśliwa.

Leżała w jego ramionach z głową przytuloną do jego piersi. Szerokie łóżko ze starego, ciemnego drewna orzechowego miało wysokie, wygięte oparcie. W kącie pokoju stała orzechowa komoda, a pod oknem stół z dwoma krzesłami. Na ścianie wisiała oszklona gablotka, a w niej stary wianek ślubny ze sztucznego mirtu, obok zaś lustro, w którym to ciemno, to jasno odbijały się winne grona i rozwiane blade światło zza okna.

– Jestem szczęśliwa – powiedziała Elżbieta. – W ciągu ostatnich tygodni tyle się wydarzyło, że nie mogę wszystkiego ogarnąć. Próbowałam, ale nie potrafię. Dzisiejszej nocy musisz mieć do mnie wiele cierpliwości.

– Chciałbym cię wywieźć z miasta gdzieś na wieś.

– Wszystko mi jedno, gdzie będę, jak odjedziesz.

– To wcale nie wszystko jedno. Wsie nie są bombardowane.

– Kiedyś wreszcie przestaną nas bombardować. Z miasta i tak nic już prawie nie zostało. Póki pracuję w fabryce, nie mogę wyjechać. Szczęśliwa jestem, że mam ten zaczarowany pokój. I panią Witte. – Oddychała spokojnie. – Zaraz dojdę ze sobą do ładu. Nie myśl, że to histeria, jestem szczęśliwa. Ale to niepewne szczęście. Niejednostajne, krowie szczęście.

– Krowie szczęście – powiedział Graeber. – Któż tego pragnie?

– Nie wiem. Sądzę jednak, że mogłabym cieszyć się nim przez dłuższy czas.

– Ja również. Nie chcę się tylko do tego przyznać, bo na razie jest dla nas nieosiągalne.

– Dziesięć lat spokojnego, dobrego, jednostajnego mieszczańskiego, krowiego szczęścia – sądzę nawet, że przez całe życie też nie byłoby tego za wiele!

Graeber zaśmiał się.

– To dlatego, że prowadzimy tak przeklęcie interesujące życie. Nasi przodkowie myśleli inaczej, łaknęli przygód i nienawidzili swego krowiego szczęścia.

– My nie. My staliśmy się znowu skromnymi ludźmi, którzy mają skromne pragnienia. – Elżbieta spojrzała na niego. – Chcesz już spać? Spać przez całą noc bez przerwy? Kto wie, kiedy znowu będziesz miał taką okazję, jeżeli jutro wieczorem odjeżdżasz?

– Wyśpię się w drodze. Kilka dni potrwa, nim dojadę na miejsce.

– Będziesz miał czasem łóżko?

– Nie. Od jutra w najlepszym razie dostanę od czasu do czasu pryczę lub siennik ze słomą. Człowiek szybko się do tego przyzwyczaja. To nie takie straszne. Zbliża się lato. Rosja tylko w zimie jest wstrętna.

– Może będziesz musiał tam przeżyć jeszcze jedną zimę.

– Jeśli nadal będziemy się tak cofać, to zimą znajdziemy się w Polsce, a może nawet w Niemczech. Tam nie ma takich mrozów. Zresztą do tego zimna jestem już przyzwyczajony.

„Teraz zapyta, kiedy znów przyjadę na urlop – pomyślał. – Chciałbym już to mieć za sobą. Musi o to zapytać, a ja muszę odpowiedzieć; żeby to już prędzej minęło. Mam uczucie, że jestem tu już tylko małą cząstką mojej istoty, ta zaś jakby obnażona była ze skóry, a mimo to nie dawała się zranić. A jednak jest bardziej wrażliwa niż otwarta rana". Spojrzał na kołyszące się za oknem winne grona i na przemykające w lustrze srebrne i szare smugi i wydawało mu się, że gdzieś zupełnie blisko kryje się jakaś tajemnica, która musi się za chwilę odsłonić.

Potem usłyszeli wycie syren.

– Zostańmy tutaj – powiedziała Elżbieta. – Nie chce mi się ubierać i biec do schronu.

– Dobrze.

Graeber podszedł do okna, odsunął stół i wyjrzał. Noc była jasna i nieruchoma. Ogród lśnił w świetle księżyca. Cudowna noc do marzeń i dobra noc do bombardowań. Ujrzał wychodzącą z domu panią Witte. Twarz jej była bardzo blada. Otworzył okno.

– Chciałam już państwa obudzić! – krzyknęła poprzez hałas.

Graeber skinął głową.

– Schron... Leibnizstrasse... – dosłyszał.

Kiwnął ręką. Zobaczył potem, że zawróciła do domu. Odczekał jeszcze minutę, ale nie wyszła powtórnie. Ona także pozostała w domu. Wcale się nie dziwił. Tak właśnie powinno być. Nie potrzebowała wychodzić – ogród i dom zdawały się chronione przez tajemniczą magię; jakby miały pozostać bezgłośne i nietknięte pośród wycia, które rozszalało się ponad nimi. Drzewa stały cicho wokół bladego srebra murawy. Krzaki nie poruszały się. Nawet winorośl za oknem przestała się kołysać. Małą wysepkę pokoju oblewało światło księżyca, tworząc nad nią szklany schron, od którego odbijał się huragan zniszczenia.

Graeber odwrócił się. Elżbieta usiadła na łóżku. Ramiona jej połyskiwały blado, a w miejscach, gdzie się zaokrąglały, otaczały je miękkie cienie. Piersi miała jędrne i śmiałe, wydawały się większe, niż były w istocie. Usta jej były ciemne, a oczy bardzo przejrzyste i niemal bezbarwne. Ręce wsparła za sobą na poduszkach i siedziała na łóżku, jakby nagle przybyła z daleka. Przez chwilę była tak samo obca, cicha i tajemnicza jak ten rozświetlony księżycem ogród na dole, który chronił ich przed końcem świata.

– Pani Witte także została w domu – powiedział.

– Chodź.

Idąc w stronę łóżka, widział odbicie swej twarzy w szarosrebrzystym zwierciadle. Nie poznał jej. Była to obca twarz.

– Chodź – powtórzyła Elżbieta.

Pochylił się nad nią. Objęła go ramionami.

– Wszystko jedno, co się stanie – powiedziała.

– Nic się nie może stać – odparł. – Tej nocy nic. – Nie wiedział, skąd ma tę pewność. Łączyła się w jakiś sposób z ogrodem i światłem, i lustrem, i ramionami Elżbiety, i wielkim, rozległym spokojem, który go nagle bez reszty przepełnił. – Nic się nie może stać – powtórzył.

Chwyciła kołdrę i zrzuciła ją na podłogę. Leżała naga; z bioder wystrzelały nogi, silne i długie, o toczonych udach; ciało jej od ramion i piersi zwężało się ku płaskiemu brzuchowi, jakby wzbierało i z obu stron spływało w trójkąt łona. Nie było to już ciało dziewczęcia, lecz młodej kobiety.

Czuł ją w swoich ramionach. Wtuliła się w niego, miał uczucie, że tysiące rąk obejmują go, trzymają i niosą. Przywarł do niej blisko i szczelnie. Nie było to już podniecenie pierwszego dnia, lecz powolny, potęgujący się żar krwi, szumiący w żyłach i spalający wszystko – słowa, granice, widnokrąg i wreszcie jego samego...

Uniósł głowę, nasłuchiwał. Powracał z daleka, nie wiedział, jak długo był nieobecny. Na dworze panowała cisza. Pomyślał, że to złudzenie, i leżał, nasłuchując dalej. Nic nie słyszał – ani wybuchów, ani ognia dział przeciwlotniczych. Zamknął oczy i zapadł w sen. Potem obudził się znowu.

– Nie nadlecieli, Elżbieto – powiedział.

– Nadlecieli – szepnęła.

Leżeli obok siebie. Graeber spojrzał na kołdrę leżącą na podłodze, na lustro i otwarte okno. Początkowo sądził, że ta noc nigdy się nie skończy, ale teraz czuł, jak czas powoli spływa w ciszę. Winorośl za oknem znowu kołysała się na wietrze, jej cienie pomykały po lustrze – rozpoczął się oddalony zgiełk.

Graeber popatrzył na Elżbietę. Leżała z zamkniętymi oczyma. Usta jej były otwarte, oddychała głęboko i spokojnie. Jeszcze nie powróciła. On już powrócił. Już znowu myślał. Ona zawsze dłużej była nieobecna. „I ja chciałbym się tak móc zatracić. Całkowicie i na długo". Było to coś, czego jej zazdrościł, za co ją kochał i co go trochę przerażało. Przebywała gdzieś, dokąd nie mógł za nią podążyć, a w każdym razie nie na długo; i możliwe, że to go właśnie przerażało. Poczuł się nagle osamotniony i w jakiś dziwny sposób upośledzony. Elżbieta otworzyła oczy.

– Gdzie są samoloty?

– Nie wiem.

Odgarnęła włosy.

– Głodna jestem.

– Ja także. Mamy mnóstwo dobrych rzeczy.

Graeber wstał i wziął konserwy, które przyniósł z piwnicy Bindinga.

– Jest tu kura, cielęcina, a nawet kawałek zająca – i na dodatek kompot.

– Zjedzmy zająca i kompot.

Graeber otworzył słoiki. Zadowolony był, że Elżbieta mu nie pomaga, tylko leży w łóżku i czeka. Nie znosił kobiet, które owiane jeszcze tajemnicą i mrokiem natychmiast znów przemieniają się w skrzętne gospodynie.

– Wstyd mnie ogarnia za każdym razem, gdy patrzę na te wszystkie rzeczy – powiedział. – Niezbyt dobrze odnosiłem się do Alfonsa.

– Za to on na pewno źle odnosił się do kogoś innego. To się wyrównuje. Byłeś na jego pogrzebie?

– Nie. Zebrało się tam pełno umundurowanych członków partii. Nie poszedłem z nimi. Wysłuchałem tylko przemówienia obersturmbannführera Hildebrandta. Powiedział, że wszyscy powinniśmy brać przykład z Alfonsa i wypełnić jego ostatnią wolę. Miał na myśli bezwzględną walkę z wrogiem.

W rzeczywistości ostatnia wola Bindinga była zupełnie inna. Znaleziono go w piżamie z jakąś blondynką w nocnej koszuli.

Graeber wyłożył mięso i kompot na dwa talerze, które dała im pani Witte, pokrajał chleb i otworzył butelkę wina. Elżbieta podniosła się. Stała naga koło łóżka.

– Doprawdy, nie wyglądasz, jakbyś od miesięcy siedziała zgarbiona przy szyciu wojskowych płaszczy – powiedział. – Raczej jakbyś codziennie uprawiała gimnastykę.

– Gimnastykę? Gimnastykę uprawia się tylko wtedy, gdy się jest w rozpaczy.

– Doprawdy? Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

– Tylko wtedy – powiedziała Elżbieta. – Człowiek gimnastykuje się tak długo, aż nie może się schylać, biega, aż jest śmiertelnie zmęczony, dziesięć razy dziennie sprząta pokój, szczotkuje włosy, aż go boli głowa, i tak dalej.

– To pomaga?

– Tylko w przedostatnim stadium rozpaczy. Wtedy, gdy się nie chce myśleć. W ostatnim – nic już nie pomaga; pozostaje tylko rezygnacja.

– A potem?

– Potem trzeba czekać, aż życie znów człowieka gdzieś wyniesie. Mam na myśli życie, które każe ci oddychać. Nie to, które daje pełnię życia.

Graeber uniósł kieliszek.

– Sądzę, że jak na nasze lata zbyt dobrze znamy rozpacz. Zapomnijmy o niej.

– Zbyt dobrze też umiemy zapominać – powiedziała Elżbieta. – O tym też zapomnijmy.

– Dobrze. Niech żyje pani Kleinert, która przyrządziła tego zająca!

– I niech żyje pani Witte, która nam dała ten ogród i ten pokój!

Wypili. Wino było zimne, aromatyczne i młode. Graeber ponownie napełnił kieliszki. Księżyc odbijał się w nich złociście.

– Mój ukochany – powiedziała Elżbieta. – Jak to dobrze nie spać w nocy. O wiele łatwiej się wtedy rozmawia.

– To prawda. W nocy jesteś tylko zdrową, młodą kobietą, nie szwaczką szyjącą płaszcze wojskowe. A ja nie jestem żołnierzem.

– W nocy człowiek jest tym, czym właściwie być powinien; a nie tym, czym się stał.

– Może. – Graeber popatrzył na zająca, kompot i chleb. – Sądząc z tego, dosyć powierzchowni z nas ludzie. W nocy nie robimy prawie nic innego, tylko śpimy i jemy.

– I kochamy się. A to nie jest powierzchowne.

– I pijemy.

– I pijemy – powiedziała Elżbieta, podnosząc ku niemu kieliszek.

Graeber zaśmiał się.

– Właściwie powinniśmy być teraz sentymentalni i smutni i prowadzić poważne rozmowy. Zamiast tego zjedliśmy pół zająca, uważamy, że życie jest cudowne, i dziękujemy za to Bogu.

– Przecież tak chyba lepiej?

– To jedyne, co można zrobić. Jeśli się nie ma wymagań, wszystko jest darem.

– Nauczyłeś się tego na froncie?

– Nie, tutaj.

– To dobrze. To właściwie jest wszystko, czego się trzeba nauczyć, prawda?

– Tak. Prócz tego człowiek potrzebuje jeszcze tylko trochę szczęścia.

– Czyż i tego nie mieliśmy?

– Tak. Mieliśmy wszystko, co można było mieć.

– Nie smucisz się, że to już minęło?

– Wcale nie minęło. Zmienia się tylko.

Spojrzała na niego.

– A jednak jestem smutny – powiedział. – Jestem tak smutny, iż zdaje mi się, że jutro umrę, gdy cię opuszczę. Ale potem przychodzi mi na myśl, że tylko wtedy nie byłbym smutny, gdybym ciebie nie spotkał. Wtedy nie byłbym smutny, lecz odjechałbym znów pusty i obojętny. A kiedy o tym pomyślę, smutek przestaje być smutkiem. To jest czarne szczęście. Odwrotna strona szczęścia.

Elżbieta wstała.

– Może nie wyraziłem tego właściwie – powiedział Graeber. – Ale rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem. I zupełnie dobrze to wyraziłeś. W ogóle nie można tego lepiej wyrazić. Wiedziałam, że to powiesz.

Podeszła do niego. Czuł jej bliskość. I nagle nie miała już żadnego imienia i miała wszystkie imiona świata. Przez chwilę zapłonęło w nim jakieś nieznośne białe światło i zrozumiał, że

wszystko to jest jednym i tym samym – pożegnanie i powrót, posiadanie i utrata, życie i śmierć, przeszłość i przyszłość, i że zawsze i wszędzie znajduje się kamienne oblicze wieczności, którego nie można wymazać; potem ziemia wysklepiła się pod nim, uczuł jej kulistość pod stopami, jakby musiał skoczyć i rzucić się naprzód, trzymał Elżbietę w ramionach i runął wraz z nią i w nią...

Było to ostatnie popołudnie. Siedzieli w ogrodzie. Koło nich przemknęła kotka; brzemienna i całkowicie sobą zaprzątnięta, na nikogo nie zwracała uwagi.

– Mam nadzieję, że będę miała dziecko – powiedziała nagle Elżbieta.

Graeber spojrzał na nią zdumiony.

– Dziecko? Dlaczego?

– Dlaczego nie?

– W obecnych czasach? Sądzisz, że będziesz miała dziecko?

– Mam nadzieję.

– Zdaje mi się, że powinienem teraz coś powiedzieć lub zrobić, Elżbieto, pocałować cię, okazać radosne zdumienie i tkliwość. Ale nie mogę. Zaskoczyłaś mnie. Dotychczas nie pomyślałem jeszcze o dziecku.

– Wcale też nie musisz. To ciebie nie obchodzi. Zresztą sama jeszcze nie wiem...

– Dziecko! Przyjdzie na świat akurat w porę na nową wojnę, tak jak my na obecną. Pomyśl o nędzy, wśród której się urodzi!

Kotka wróciła. Skradała się teraz w stronę kuchni.

– Codziennie rodzą się dzieci – powiedziała Elżbieta.

Graeber pomyślał o Hitlerjugend i o dzieciach, które denuncjowały swoich rodziców.

– Po cóż o tym mówimy? – powiedział. – Na razie to przecież tylko życzenie. Prawda?

– Czy nigdy nie chciałbyś mieć dziecka?

– Nie wiem. Może, gdy nastanie pokój. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Wszystko dokoła nas tak jest przepojone trucizną, że przez długie lata ziemia będzie jej pełna. Jak można w tych warunkach myśleć o dziecku?

– Właśnie dlatego.

– Dlaczego?

– Aby je przeciwko tej truciźnie wychować. Co by się stało, gdyby ludzie, którzy przeciwni są temu wszystkiemu, co się teraz dzieje, nie chcieli mieć dzieci? Czyż powinni je mieć tylko barbarzyńcy? Któż więc zaprowadziłby znowu ład na świecie?

– Czy właśnie dlatego pragniesz dziecka?

– Nie. Tylko teraz przyszło mi to na myśl.

Graeber milczał. Nie znajdował odpowiedzi na jej argumenty. Miała rację.

– Zaskoczyłaś mnie – powiedział. – Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do tego, że jestem żonaty, a już muszę się decydować, czy chcę mieć dziecko czy nie.

Elżbieta zaśmiała się i wstała.

– Nie zauważyłeś przy tym najprostszej rzeczy: bynajmniej nie chodzi mi o dziecko w ogóle, lecz o dziecko od ciebie. A teraz idę omówić z panią Witte kolację. Będzie to arcydzieło z konserw.

Graeber siedział sam w ogrodzie. Niebo pełne było czerwonawo oświetlonych chmurek. Dzień przeminął. Był to kradziony dzień.

Graeber przekroczył urlop o dwadzieścia cztery godziny. Pozostał jeszcze, choć odmeldował się już w komendanturze. Już wieczór i za godzinę musi odejść.

Raz jeszcze poszedł na pocztę, ale od rodziców nie było żadnej nowej wiadomości. Załatwił, co mógł załatwić. Pani Witte zgodziła się, aby Elżbieta nadal u niej mieszkała. Zbadał piwnicę domu; nie była dosyć głęboka, aby zapewnić bezpieczeństwo, ale solidnie zbudowana. Obejrzał także schron publiczny na Leibnizstrasse – równie dobry jak większość innych w mieście. Spokojnie oparł się o poręcz krzesła. Z kuchni dobiegał go brzęk naczyń. Długi był ten urlop. Trzy lata, a nie trzy tygodnie. Nieraz wprawdzie wydawały mu się niezbyt pewne i pospiesznie zbudowane na chwiejnym gruncie; ale chciał wierzyć, że dawały mu dostateczną ostoję.

Słyszał głos Elżbiety. Pomyślał o tym, co mówiła na temat dziecka. Miał wrażenie, jakby nagle wybito w ścianie otwór, za którym pojawił się skrawek przyszłości, kołyszący się niepewnie jak ogród. Graeber nigdy nie wybiegał myślą poza tę ścianę. Wprawdzie gdy tu przyjechał, chciał coś znaleźć, uchwycić i posiąść, aby coś pozostało po nim, gdy znów wyjedzie, coś, co by utrwaliło jego nazwisko i jego samego. Nigdy jednak nie łączył z tym myśli o dziecku. Spoglądał w mrok zwieszający się między krzakami bzu. Jakże nieskończone staje się istnienie, jeśli myślą wybiega się w przyszłość, jakże dziwnym uczuciem jest świadomość, że życie może trwać dalej poza ścianą, przed którą się dotychczas zatrzymywał, i że to, co dotychczas uważał niemal za pospiesznie zdobyty łup, może stać się jeszcze kiedyś spokojnym posiadaniem, przekazywanym obcej, nienarodzonej jeszcze istocie, w przyszłości niemającej kresu i przepełnionej

tkliwością, jakiej nigdy nie zaznał. Jakież to daje perspektywy, ile przeczuć; jak bardzo tego pragnął i nie pragnął, a jednak pragnął – tego biednego, a mimo to pocieszającego złudzenia nieśmiertelności!

– Pociąg odjeżdża o szóstej – powiedział. – Załatwiłem już wszystkie swoje sprawy. Teraz muszę iść. Nie odprowadzaj mnie na dworzec. Chcę zachować cię we wspomnieniach taką, jaka jesteś tutaj, a nie w ścisku i zakłopotaniu na dworcu. Ostatnim razem odprowadziła mnie matka. To było straszne dla niej i dla mnie. Dłuższy czas trwało, nim się z tego otrząsnąłem, a później, gdy ją wspominałem, zawsze widziałem płaczącą, zmęczoną, spoconą kobietę na peronie, a nie moją matkę, jaką była naprawdę. Rozumiesz mnie?

– Tak.

– No, to dobrze. Więc zróbmy tak. I ty nie powinnaś mnie widzieć wówczas, gdy będę już tylko numerem i obładowanym jak osioł żołnierzem. Chcę od ciebie odejść tak, jak tu jesteśmy. A teraz weź te pieniądze; tyle mi pozostało. Na froncie nie są mi potrzebne.

– Nie chcę pieniędzy. Na moje potrzeby dosyć zarabiam.

– Na froncie nie mogę ich wydać. Weź i kup sobie za nie suknię. Jakąś bezsensowną, niepraktyczną, piękną suknię do małej, złotej czapeczki.

– Za te pieniądze będę ci posyłała paczki.

– Nie posyłaj mi paczek. Na froncie mamy więcej jedzenia niż wy tutaj. Kup sobie za to suknię. Nauczyłem się czegoś, gdy kupowałaś kapelusz. Przyrzeknij mi, że kupisz sobie suknię. Nie

jakąś praktyczną, lecz właśnie zupełnie niepotrzebną. A może na to nie wystarczy?

– Wystarczy, nawet jeszcze zostanie na parę pantofli.

– To doskonale. Kup sobie parę złotych pantofelków.

– Dobrze – powiedziała Elżbieta. – Złote pantofelki na wysokich obcasach, lekkie jak piórko. Wybiegnę w nich na twoje spotkanie, gdy znów przyjedziesz.

Graeber wyjął z tornistra ciemno malowaną ikonę, którą przywiózł dla matki.

– Znalazłem ją w Rosji. Zatrzymaj to sobie.

Nie dotknęła obrazu. Na twarzy jej odmalowało się nagle przerażenie.

– Nie, Ernst. Daj ją komuś innemu. Albo zabierz ze sobą. To jest zbyt... zbyt pożegnalne. Zabierz ją z powrotem.

Obejrzał ikonę.

– Znalazłem ją w zniszczonym domu. Może to nie przynosi szczęścia. Nigdy o tym nie pomyślałem. – Zapakował ją z powrotem. Wyobrażała świętego Mikołaja na złotym tle, w otoczeniu licznych aniołów.

– Jeśli chcesz, mogę to zanieść do kościoła – powiedziała Elżbieta. – Do tego, gdzie spaliśmy. Do kościoła Świętej Katarzyny.

„Do tego, gdzie spaliśmy – pomyślał Graeber. – Wczoraj było to jeszcze takie bliskie; a teraz jest nieskończenie dalekie".

– Oni tego nie przyjmą – powiedział. – To inna odmiana religii. A ziemscy administratorzy Boga miłości nie są zbyt tolerancyjni.

Pomyślał, że obrazek mógł był włożyć do grobu kanonika Blümera razem z prochami Krusego. Ale bardzo możliwe, że

byłoby to jeszcze jednym świętokradztwem.

Nie obejrzał się. Szedł niezbyt wolno i niezbyt szybko. Tornister był ciężki, a ulica bardzo długa. Gdy minął przecznicę, wydało mu się, że mija wiele przecznic. Przez chwilę czuł jeszcze zapach włosów Elżbiety; potem zagłuszył go swąd starych pożarów, parność późnego popołudnia i ckliwy, zgniły odór rozkładu, który z nadejściem cieplejszej pogody wydobywał się z ruin.

Minął skarpę. Jedna strona lipowej alei była zwęglona; druga – zieleniła się. Rzekę tarasował gruz, słoma, worki, resztki balustrady i stare łóżka, a między tym wszystkim leniwie pełzała woda. „Gdyby teraz nastąpił nalot – pomyślał Graeber – musiałbym iść do schronu i miałbym powód, aby się spóźnić na pociąg. Co by powiedziała Elżbieta, gdybym się nagle znów przed nią zjawił?" Zastanawiał się nad tym – nie wiedział. Ale wszystko, co teraz było dobre, prawdopodobnie przemieniłoby się w ból. Zupełnie jak na dworcu, gdy pociąg odjeżdża z opóźnieniem i człowiek ma jeszcze pół godziny, które musi zapełnić rozmową pełną zakłopotania. Poza tym nic by nie zyskał, podczas nalotu pociąg i tak by nie odjechał, toteż musiałby na niego zdążyć.

Dotarł do Bramschestrasse. Stąd rozpoczął swą pierwszą wędrówkę do miasta. Autobus, który go wówczas przywiózł, stał już i czekał. Wdrapał się do środka. Po dziesięciu minutach odjechali. Dworzec w ostatnim czasie przeniesiono gdzie indziej. Tym razem był to sam dach z falistej blachy, pomalowany w barwy ochronne. Po jednej stronie rozpięto szare płótno, a obok, dla zamaskowania, zasadzono sztuczne drzewa i zbudowano szopę, z której wyglądała drewniana krowa. Na łące pasły się dwa stare konie.

Pociąg już podstawiono. Część wagonów oznaczona była tabliczkami: „Tylko dla wojska”. Straż kontrolowała papiery. Nic nie powiedziała na to, że Graeber spóźnił się o dzień. Wsiadł do wagonu i zajął miejsce przy oknie. Po chwili weszło jeszcze trzech ludzi: podoficer, frajter z blizną na twarzy i artylerzysta, który natychmiast zabrał się do jedzenia. Na peron zajechała kuchnia polowa. Zjawiły się dwie młode kobiety ze służby pomocniczej i jedna starsza, z żelazną broszką w kształcie swastyki.

– Spójrzcie – powiedział podoficer. – Przywieźli kawę.

– Nie dla nas – odparł frajter. – To dla rekrutów, którzy po raz pierwszy wyruszają na front. Słyszałem to przedtem. Na dodatek będzie jeszcze przemówienie. Dla nas już tego nie robią.

Przyprowadzono gromadę uchodźców. Odliczono ich i ustawiono w dwóch szeregach; w rękach trzymali tekturowe pudła i walizki i gapili się na kocioł z kawą. Nadeszło kilku oficerów SS w eleganckich butach z cholewami i spodniach do konnej jazdy – przechadzali się wzdłuż peronu jak bociany. Do przedziału weszło dalszych trzech urlopników. Jeden z nich otworzył okno i wychylił się. Przed wagonem stała kobieta z dzieckiem. Graeber popatrzył na dziecko, a następnie na kobietę. Miała pomarszczoną szyję, obrzmiałe powieki, chude, obwisłe piersi i ubrana była w wyblakłą letnią sukienkę w niebieskie wiatraki. Wszystko wydawało się znacznie bardziej wyraźne niż zwykle – światło i całe otoczenie.

– A więc, Henryku – powiedziała kobieta.

– Tak, uważaj na siebie, Mario. Pozdrów wszystkich.

– Tak.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Kilku ludzi z instrumentami muzycznymi ustawiło się na środku peronu.

– Z fasonem – odezwał się frajter. – Młode mięso armatnie wyrusza na front z muzyką. Myślałem, że to już dawno skasowano.

– Mogliby i nam dać trochę kawy – odparł podoficer. – Jesteśmy przecież starymi wojakami i też jedziemy na front!

– Poczekaj do wieczora. Dostaniesz ją wtedy jako zupę.

Rozległy się kroki maszerujących i głosy komendy. Nadeszli rekruci, prawie wszyscy bardzo młodzi; było wśród nich tylko paru krzepkich starszych ludzi – prawdopodobnie z SA lub SS.

– Niewielu z nich musi się golić – powiedział frajter. – Popatrzcie na tych szczeniaków! Same dzieciaki! I na takich mamy na froncie polegać.

Rekruci sformowali się. Podoficerowie krzyczeli. Potem nastąpiła cisza. Ktoś przemawiał.

– Zamknij okno – powiedział frajter do żołnierza, którego żona stała na peronie.

Tamten nie odpowiedział. Głos mówcy grzechotał nadal, jakby wydobywał się z blaszanego kubła. Graeber oparł się o ścianę wagonu i przymknął oczy. Henryk nadal stał przy oknie. Nie słyszał słów frajtra. Zmieszany, z głupim i smutnym wyrazem twarzy wpatrywał się w Marię. Maria tak samo wpatrywała się w niego. „Dobrze, że Elżbiety tu nie ma” – pomyślał Graeber.

Wreszcie głos zamilkł. Czterej muzykanci zagrali *Deutschland, Deutschland über alles*, a następnie *Horst-Wessel-Lied.* Odegrali obie pieśni szybko i z każdej tylko po jednej strofce. W przedziale

nikt się nie poruszył. Frajter dłubał w nosie i bez większego zainteresowania oglądał wynik tej operacji.

Rekruci wsiedli do swych wagonów. Za nimi podążył kocioł z kawą. Po jakimś czasie wrócił pusty.

– To kurwy! – odezwał się podoficer. – My, starzy żołnierze, możemy umierać z pragnienia.

Siedzący w kącie artylerzysta przestał na chwilę jeść.

– Co? – spytał.

– Kurwy, powiedziałem. Co tam żresz? Cielęcinę?

Artylerzysta odgryzł kawałek kanapki.

– Świnia – powiedział.

– Świnia... – Podoficer rozejrzał się po siedzących w przedziale. Szukał poparcia. Artylerzysta wcale się tym nie przejmował.

Henryk wciąż jeszcze stał przy oknie.

– Pozdrów też ciotkę Bertę – powiedział do Marii.

– Tak.

Umilkli znowu.

– Dlaczego nie odjeżdżamy? – spytał ktoś. – Przecież już po szóstej.

– Może czekamy jeszcze na jakiegoś generała.

– Generałowie latają samolotami.

Czekali jeszcze pół godziny.

– No, więc idź już, Mario – powtarzał Henryk od czasu do czasu.

– Mogę zaczekać.

– Mały musi zjeść kolację.

– Jeszcze zdąży.

Znów milczeli przez jakiś czas.

– Pozdrów też Józefa – powiedział wreszcie Henryk.

– Tak, dobrze. Powtórzę mu.

Artylerzysta wypuścił potężny wiatr, westchnął głośno i natychmiast zasnął.

Pociąg, jakby tylko na to czekał, ruszył powoli.

– No, to pozdrów wszystkich, Mario.

– Ty także, Henryku.

Pociąg toczył się szybciej. Maria biegła obok wagonu.

– Uważaj na małego!

– Tak, tak. A ty na siebie.

– Dobrze, dobrze!

Graeber widział pod oknem stroskaną twarz kobiety. Biegła, jakby szło o jej życie, aby jeszcze przez dziesięć sekund wpatrywać się w męża. A potem nagle spostrzegł Elżbietę. Stała za szopą dworcową. Z pociągu nie można jej było uprzednio dojrzeć. Wątpił tylko przez moment, zaraz jednak ujrzał jej twarz wyraźniej. Była tak bezgranicznie zrozpaczona, że wydawała się bez życia. Zerwał się i chwycił Henryka za kołnierz.

– Puść mnie do okna!

Zapomniał nagle o wszystkim. Nie rozumiał, dlaczego poszedł na dworzec sam. Nic już nie rozumiał. Musiał ją widzieć. Musiał wołać. Nie powiedział jej najważniejszej rzeczy.

Szarpał Henryka za kark. Ten nadal wychylał się przez okno wparty od zewnątrz łokciami w ramę okienną.

– Pozdrów też Lizę – krzyczał poprzez turkot.

– Puść mnie! Precz od okna! Moja żona tam stoi!

Graeber zarzucił Henrykowi ręce na ramiona i szarpnął. Henryk kopnął w tył i trafił Graebera w goleń.

– I uważaj dobrze na wszystko! – krzyknął.

Kobiety nie było już słychać. Graeber kopnął Henryka w kolano i szarpnął za ramiona. Tamten nie ustępował. Wymachiwał jedną ręką, a łokciami i drugą ręką trzymał się okna. Pociąg zakręcał. Ponad głową Henryka widział Graeber Elżbietę. Bardzo już oddalona i bardzo mała, stała samotnie przed szopą. Pomachał ku niej ponad płową jak słoma, szczeciniastą głową Henryka. Może Elżbieta zobaczy jeszcze rękę; ale nie zobaczy już, kto macha. Nadleciała grupa domów i przysłoniła dworzec.

Henryk oderwał się powoli od okna.

– Ty przeklęty... – zaczął Graeber wściekle i urwał.

Henryk odwrócił się. Grube łzy spływały mu po twarzy. Graeber opuścił rękę.

– Ach, gówno!

– Coś podobnego! – powiedział frajter.

XXV

Po dwóch dniach Graeber odnalazł swój pułk i zameldował się w kancelarii kompanii. Feldfebla nie było. Tylko pisarz siedział bezczynnie przy stole. Wieś leżała o sto dwadzieścia kilometrów na zachód od ostatnich pozycji, które znał Graeber.

– Jak tu jest? – spytał.

– Zasranie. Jak przeszedł urlop?

– Tak sobie. Gorąco tu było?

– Jeszcze jak! Sam widzisz, gdzie się teraz znajdujemy.

– Gdzie kompania?

– Jeden pluton kopie rowy. Drugi grzebie zabitych. Wrócą w południe.

– Dużo się zmieniło?

– Sam zobaczysz. Nie wiem, kto tu jeszcze był, kiedy odjeżdżałeś. Dostaliśmy sporo rekrutów. Dzieciaki. Padają jak muchy w zimie. Nie mają pojęcia o wojnie. Mamy nowego sierżanta-szefa. Stary nie żyje. Gruby Meinert.

– Był na linii?

– Nie. W latrynie go trzepnęło. Wyleciał w powietrze z całym kramem. – Pisarz ziewnął. – Sam zobaczysz, co się dzieje.

Dlaczego nie postarałeś się w ojczyźnie dostać w tyłek małym, przyjemnym odłamkiem bomby?

– Tak – powiedział Graeber. – Właśnie. Najlepsze pomysły przychodzą do głowy, kiedy już jest za późno.

– Ja bym spokojnie wrócił o kilka dni później. Nikt by w tym bałaganie nie zauważył...

– To także wpada człowiekowi na myśl dopiero po powrocie.

Graeber szedł przez wieś. Podobna była do tej, w której ostatnio stacjonował. Wszystkie te wioski były do siebie podobne, wszystkie – jednakowo zniszczone. Różnica polegała jedynie na tym, że teraz znikł już prawie cały śnieg. Wszystko było mokre i zabłocone: buty zapadały głęboko, a ziemia trzymała je mocno, jakby chciała wciągnąć w głąb. Na głównej ulicy ułożono deski; chlupotały w wodzie, a gdy stąpnęło się na jeden koniec, drugi unosił się do góry, ociekając błotem.

Słońce świeciło i było dość ciepło. Graeberowi wydawało się, że jest tu znacznie cieplej niż w Niemczech. Nasłuchiwał odgłosów frontu. Silny ogień artyleryjski dudnił, nabrzmiewał i opadał. Graeber odszukał piwnicę, którą mu wskazał pisarz, i złożył swoje rzeczy na wolnym miejscu. Wściekał się, że nie przekroczył urlopu jeszcze o jeden lub dwa dni. Miał wrażenie, że naprawdę nikt go tutaj nie potrzebuje. Znów wyszedł na dwór. Za wsią wykopano rowy strzeleckie; wypełniała je teraz woda, a ściany pozapadały się. W kilku miejscach zbudowano małe bunkry betonowe. W wilgotnym krajobrazie wznosiły się jak nagrobki.

Graeber zawrócił. Na głównej ulicy spostrzegł dowódcę kompanii; Rahe balansował na deskach jak bocian w rogowych okularach. Graeber zameldował się u niego.

– Mieliście szczęście – powiedział Rahe. – Zaraz po waszym odjeździe wstrzymano urlopy. – Spojrzał na Graebera jasnymi oczami. – Opłaciło się?

– Tak – odparł Graeber.

– To dobrze. Całkiem ugrzęźliśmy tu w błocie. To są tymczasowe stanowiska. Cofniemy się prawdopodobnie na rezerwowe pozycje, które teraz zbudowano. Widzieliście je? Musieliście tamtędy przejeżdżać.

– Nie, nie widziałem.

– Nie?

– Nie, panie poruczniku.

– Znajdują się mniej więcej o czterdzieści kilometrów stąd.

– Chyba minęliśmy je w nocy. Cały czas spałem.

– To możliwe. – Rahe znów popatrzył badawczo na Graebera, jakby chciał go jeszcze o coś spytać. Potem dodał: – Dowódca waszego plutonu, podporucznik Müller, został zabity. Macie teraz podporucznika Massa.

– Tak jest.

Rahe grzebał laską w mokrej glinie.

– Póki to błoto nie obeschnie, ciężko będzie Rosjanom posuwać się naprzód z artylerią i czołgami. Daje nam to czas na przegrupowanie. Wszystko ma swoje dobre i złe strony, prawda? Dobrze, że wróciliście, Graeber. Potrzeba nam starych żołnierzy, aby przeszkolić trochę młode rezerwy. – Nadal grzebał w glinie. – Jak było w domu?

– Podobnie jak tutaj. Częste naloty.

– Doprawdy? Tak źle?

– Nie wiem, jak źle w porównaniu z innymi miastami. Ale co kilka dni był przynajmniej jeden nalot.

Rahe spojrzał na Graebera, jakby oczekiwał, że ten jeszcze coś powie. Ale Graeber milczał.

W południe wrócili inni.

– Nasz urlopnik! – powiedział Immermann. – Chłopie, po co wróciłeś do tego gówna? Dlaczego nie zdezerterowałeś?

– Dokąd? – spytał Graeber.

Immermann podrapał się w głowę.

– Do Szwajcarii – powiedział wreszcie.

– O tym nie pomyślałem, ty cwaniaku. A przecież do Szwajcarii odchodzą codziennie specjalne luksusowe pociągi dla dezerterów. Na dachach mają wymalowany czerwony krzyż i nie są bombardowane. A wzdłuż całej granicy szwajcarskiej stoją bramy triumfalne z napisem „Witajcie!" Masz jeszcze jakieś pomysły, ty bałwanie? I odkąd to pozwalasz sobie mówić w ten sposób?

– Zawsze sobie pozwalałem. Tylko zapomniałeś o tym w ojczyźnie, gdzie wszyscy mówią szeptem. Cofamy się, bracie, uciekamy niemal. Co sto kilometrów ton się zmienia, staje się swobodniejszy.

Immermann zaczął czyścić mundur z błota.

– Müller zabity – powiedział – Meinecke i Schröder w lazarecie. Mücke dostał postrzał w brzuch. Podobno wykitował w Warszawie. Kto tu jeszcze był ze starych? Ach, prawda, Berning – stracił prawą nogę. Wykrwawił się.

– Hirschland – powiedział Graeber.

– Hirschland? Co się z nim stało?

– On też nie żyje.

– Zawracanie głowy. Przecież siedzi tam, po prawej stronie.

Graeber spojrzał. Rzeczywiście, Hirschland siedział na starej beczce, czyszcząc menażkę. „Do diabła – pomyślał. – Co to ma znaczyć?”

– Jego matka otrzymała zawiadomienie, że został zabity. Muszę go zapytać.

Podszedł do Hirschlanda.

– Byłem u twojej matki.

– Naprawdę? Nie zapomniałeś? Nie przypuszczałem, że to zrobisz.

– Dlaczego nie?

– Nie jestem przyzwyczajony, żeby ludzie o mnie pamiętali.

Graeber pomyślał, że i on prawie o tym zapomniał.

– Jak się czuje? Jak jej się powodzi? – spytał Hirschland. – Powiedziałeś, że jestem zdrów?

– Słuchaj, twoja matka przypuszcza, że ty nie żyjesz. Otrzymała zawiadomienie z kompanii.

– Co? To niemożliwe!

– Sama mi powiedziała.

– Ależ ja piszę do niej prawie codziennie.

– Przekonana jest, że to listy, które pisałeś przedtem. Jakim cudem to się stało? Przecież tu nie ma dwóch Hirschlandów.

– Nie. Ktoś musiał to zrobić umyślnie.

– Nikt by czegoś podobnego nie zrobił umyślnie.

– Nie? Steinbrenner też nie?

– On jeszcze żyje?

– Oczywiście. A po śmierci feldfebla został na dwa dni odkomenderowany do kancelarii, bo pisarz zachorował.

– Ależ to byłoby ohydne fałszerstwo.

– Tak.

– Nie przypuszczam, żeby Rahe podpisywał takie listy.

– Moja matka nie zna jego podpisu. Każdy podpis ma dla niej takie samo znaczenie.

Cała historia wydała się nagle Graeberowi bardziej prawdopodobna.

– Co za świński kawał – mruknął. – Trudno w to uwierzyć. Dlaczego właściwie ten bękart to zrobił?

– Dla kawału. Żeby mnie „wychować". Przecież w moich żyłach płynie żydowska krew. Co matka mówiła?

– Była spokojna. Musisz ją natychmiast zawiadomić. Napisz jej, co ci powiedziałem. Na pewno przypomni sobie, że u niej byłem.

– Długo to potrwa, nim dostanie mój list.

Graeber spostrzegł, że wargi Hirschlanda drżą.

– Chodźmy do kancelarii – powiedział. – Zażądamy, żeby wysłano sprostowanie albo depeszę. W przeciwnym razie pójdziemy do Rahego.

– Nie możemy tego zrobić.

– Dlaczego nie? Możemy zrobić jeszcze więcej. Możemy zrobić raport na Steinbrennera.

– Nie. Ja tego nie mogę zrobić. Nie mam dowodów. A jeślibym nawet... Nie, nie mogę złożyć skargi. Ja nie. Rozumiesz?

– Tak, Hirschland – powiedział Graeber ponuro. – Ale nie zawsze tak będzie.

Po kolacji spotkał Steinbrennera, który był opalony i pogodny. Wyglądał jak osmalony słońcem gotycki anioł.

– Jakie są nastroje w ojczyźnie? – spytał.

Graeber odstawił menażkę.

– Gdy przyjechaliśmy na granicę, zawołał nas pewien kapitan SS i pouczył, że pod najsurowszą karą nie wolno powiedzieć ani słowa o sytuacji w ojczyźnie.

Steinbrenner zaśmiał się.

– Ja sam jestem z SS. Mnie możesz powiedzieć.

– Byłbym skończonym osłem. „Najsurowsza kara" to znaczy – być rozstrzelanym za sabotowanie ducha wojennego Rzeszy.

Steinbrenner przestał się śmiać.

– Mówisz tak, jakby nie wiem co było do opowiadania. Jakby tam już nastąpiła katastrofa!

– Ja nic nie mówię. Powtarzam tylko, co nam oświadczył kapitan SS.

Steinbrenner uważnie popatrzył na Graebera.

– Ożeniłeś się?

– Skąd ty o tym wiesz?

– Ja wiem wszystko.

– Dowiedziałeś się w kancelarii. Nie udawaj ważniaka. Często tam bywasz, prawda?

– Wtedy, kiedy zachodzi potrzeba. Jak pojadę na urlop, też się ożenię.

– Tak? Wiesz już z kim?

– Z córką obersturmbannführera w moim mieście rodzinnym.

– Naturalnie!

Steinbrenner nie zrozumiał ironii.

– Połączenie krwi jest pierwszorzędne – oświadczył, całkowicie zaabsorbowany swoimi planami. – Nordycko-fryzyjska z mojej i reńsko-dolnosaksońska z jej strony. Rodzina nam pomoże,

a prócz tego dostaniemy subwencję rasową od państwa. Dzieci oczywiście będą miały w przyszłości specjalne przywileje w kształceniu się – partia już to zapewni. Za pięć lat moja żona, jako wzorowa matka, godna będzie zająć odpowiedzialne stanowisko w Niemieckiej Organizacji Kobiecej. Jeśli będziemy mieli dwojaczki lub trojaczki, może już za dwa albo trzy lata, sam führer zostanie ich ojcem chrzestnym. Przy piątym dziecku zostanie nim już bezwarunkowo. A wówczas mam zapewnioną wspaniałą karierę. Wyobraź sobie tylko!

– Tak. Wyobrażam sobie.

– Doborowe hodowanie rasy! Musimy nie tylko wytępić Żydów, ale również zastąpić ich Niemcami czystej krwi. Nową rasą panów.

– Dużo Żydów wymordowałeś?

Steinbrenner wyszczerzył zęby.

– Gdybyś mógł zajrzeć do mojej kartoteki, nie pytałbyś. To były czasy! – Nachylił się poufale do Graebera. – Złożyłem podanie o przeniesienie. Z powrotem do dywizji SS. Tam się więcej dzieje i są większe szanse. Wszystko się tam odbywa na większą skalę. Nie urządzają nudnych sądów wojennych dla każdego zawszonego Rosjanina. Rozwalają ich całymi grupami. Nie tak dawno trzystu polskich i rosyjskich partyzantów w ciągu jednego popołudnia! Sześciu ludzi dostało za to Żelazne Krzyże. Tutaj wpadnie człowiekowi w ręce najwyżej kilku parszywych partyzantów, a za to nie można przecież dostać odznaczenia. Od czasu twojego wyjazdu nie zlikwidowaliśmy więcej niż pół tuzina. W batalionach niszczycielskich i w Służbie Bezpieczeństwa SS likwidują ich od razu całymi setkami. Tam można do czegoś dojść!

Graeber wpatrywał się w czerwony rosyjski wieczór. Kilka wron fruwało wokół jak ciemne gałgany. Steinbrenner był doskonałym wytworem partii: doskonale zdrowy, doskonale fizycznie wyćwiczony, doskonale pozbawiony wszelkiej własnej myśli i doskonale nieludzki. Był automatem, dla którego czyszczenie karabinu, musztra i zabijanie stanowiły jedno i to samo.

– To ty wysłałeś matce Hirschlanda zawiadomienie o jego śmierci? – spytał Graeber.

– Kto ci powiedział?

– Wiem o tym.

– Nic nie wiesz. Skąd mógłbyś wiedzieć?

– Dowiedziałem się. Dobry kawał!

Steinbrenner zaśmiał się. Nie zrozumiał ironii. Jego ładna twarz promieniała zadowoleniem.

– Ty też tak uważasz? Wyobrażam sobie minę tej starej baby! I nic mi nie mogą zrobić. Hirschland będzie się wystrzegał cokolwiek powiedzieć. A jeśliby nawet powiedział – to była po prostu omyłka! Zawsze może się zdarzyć.

Graeber popatrzył mu prosto w oczy.

– Masz silne nerwy!

– Nerwy? Do tego nie potrzeba silnych nerwów. Wystarczy poczucie humoru.

– Mylisz się. Konieczne są silne nerwy. Każdy, kto coś takiego zrobi, zawsze wkrótce umiera. Wszyscy o tym wiedzą.

Steinbrenner zaśmiał się głośno.

– Bzdura! Bajdurzenie starych bab!

– Wcale nie bajdurzenie starych bab. Każdy, kto to robi, wyzywa własną śmierć. To stwierdzony fakt!

– Słuchaj no – powiedział Steinbrenner. – Chyba sam w to nie wierzysz?

– Owszem. Ty także powinieneś wierzyć. To stare germańskie wierzenie. Nie chciałbym być w twojej skórze.

– Zwariowałeś? – Steinbrenner wstał. Już się nie śmiał.

– Znałem dwóch ludzi, którzy zrobili coś podobnego. Wkrótce potem obaj polegli. Inny miał szczęście, otrzymał tylko postrzał w genitalia; został impotentem. Może i tobie uda się tak tanio wymigać. Naturalnie, z dwojaczków lub trojaczków nic już wtedy nie będzie. Ale oczywiście ktoś inny może to za ciebie zrobić. Dla partii ważna jest jedynie czystość krwi, a nie osoba.

Steinbrenner wpatrywał się w Graebera.

– Jakiż z ciebie nieczuły osioł! Czy ty naprawdę zawsze taki byłeś? Zresztą to wszystko bzdura, bzdura do kwadratu!

Jeszcze przez chwilę stał, wahając się. Potem odszedł. Graeber położył się. Front dudnił. Latały wrony. I nagle wydało mu się, że wcale stąd nie odjeżdżał.

Pełnił wartę od północy do drugiej nad ranem. Szedł dokoła wsi. Ruiny czarno odcinały się na tle fajerwerków frontu. Niebo drżało, jaśniało i ciemniało od ognia wystrzałów artyleryjskich. W lepkim błocie buty wydawały westchnienia jak dusze potępieńców.

Ból zjawił się nagle i niespodzianie. W czasie podróży Graeber o niczym już nie myślał i popadł w zupełne otępienie. Teraz, nagle i nieoczekiwanie, przeszył go ból, jakby noże rozrywały go na strzępy.

Przystanął i czekał. Nie poruszał się. Czekał, aż noże zaczną się w niego wwiercać, aż ból zamieni się w mękę, otrzyma imiona,

a wraz z imionami stanie się uchwytny i rozsądek zdoła go uciszyć lub przynajmniej pozwoli znieść z rezygnacją.

To jednak nie nastąpiło. Nie czuł nic prócz wyraźnego bólu utraty; utraty na zawsze. Między tym, co było, a tym, co jest, nie znajdował pomostu. Posiadał i utracił. Nasłuchiwał wewnętrznego głosu. Przecież gdzieś musi być jeszcze jakiś oddźwięk, jakieś echo nadziei musi jeszcze gdzieś pokutować. Nic nie znalazł; tylko pustkę i niewypowiedziany ból.

„Za wcześnie – pomyślał. – To powróci później, gdy ból minie". Próbował zakląć przeszłość, nie chciał jej utracić, pragnął ją utrwalić, nawet gdyby ból stać się miał nie do zniesienia. „To powróci, jeśli tylko wytrwam" – pomyślał. Wymieniał imiona i próbował wywołać wspomnienia. Jakby za mgłą ukazała mu się pełna rozpaczy twarz Elżbiety, taka, jaką widział po raz ostatni. Wszystkie inne jej twarze rozpłynęły się; tylko ta jedna była wyraźna. Usiłował wyobrazić sobie ogród i dom pani Witte. Udało mu się, ale miał wrażenie, jakby uderzał w klawisze fortepianu, z którego nie wydobywa się żaden dźwięk. „Co to ma znaczyć? – pomyślał. – Może jej się coś stało. Może straciła przytomność. Może właśnie w tej chwili dom się zawalił. Może nie żyje".

Wyszarpnął buty z błota. Mokra ziemia westchnęła. Czuł, jak go oblewa pot.

– Zmęczysz się – powiedział ktoś.

Był to Sauer. Stał w kącie zburzonej stajni.

– Poza tym słychać cię na kilometr – oświadczył. – Co ty robisz. Gimnastykujesz się?

– Jesteś żonaty, Sauer?

– No pewnie. Jak się ma gospodarstwo, trzeba być żonatym. Bez kobiety w gospodarstwie nie dasz rady.

– Dawno już jesteś żonaty?

– Piętnaście lat. Dlaczego?

– Jak to jest, gdy się jest tak długo żonatym?

– Chłopie, co to za pytanie! Jak ma być?

– Czy to jest jak kotwica, która cię trzyma? Coś, o czym wciąż myślisz i dokąd pragniesz wrócić?

– Kotwica? Dlaczego kotwica? Pewnie, że o tym myślę. Przez cały dzisiejszy dzień, jeśli chcesz wiedzieć. Już wiosna, czas siać i sadzić! Człowiek zupełnie głupieje, kiedy o tym myśli.

– Nie pytam o gospodarstwo. Pytam o twoją żonę.

– To idzie w parze. Właśnie ci tłumaczę. Bez kobiety gospodarstwo nic niewarte. Ale co z tego masz? Nic prócz zmartwień. A na dodatek ten Immermann stale człowiekowi wmawia, że jeńcy wojenni włażą do łóżka każdej kobiety, która jest sama. – Sauer wytarł nos. – To duże, dwuosobowe łóżko – dodał, nie wiadomo dlaczego.

– Immermann plecie głupstwa.

– On powiada, że kobieta, która choć raz żyła z mężczyzną, długo bez niego nie wytrzyma. Że prędko wyszuka sobie innego.

– Ach, gówno! – powiedział Graeber, wściekły nagle. – Ten przeklęty bałwan myśli, że wszyscy ludzie są jednakowi. Idiotyczne gadanie!

XXVI

Nie poznawali się nawzajem. Nie odróżniali już nawet swych mundurów. Często jedynie po hełmach, głosach i mowie poznawali, że to swoi. Okopy dawno się już zawaliły. Front stanowiła nieregularna linia bunkrów i lejów, która zmieniała się ustawicznie. Nie było już nic prócz deszczu, wycia, nocy, błysków eksplozji i fruwającego błota. Niebo się zawaliło. Strzaskały je szturmowce rosyjskie. Z ulewnym deszczem waliły na głowy meteoryty bomb i granatów.

Reflektory jak białe psy szarpały stargane chmury. Ogień dział przeciwlotniczych trzaskał wśród grzmotów rozdygotanego horyzontu. Płonące samoloty spadały w dół, a złoty grad amunicji świetlnej gonił za nimi i ginął w nieskończoności. Żółte i białe rakiety świetlne wisiały w przestrzeni i gasły, jakby zanurzone w głębokiej wodzie. Potem rozpoczął się od nowa huraganowy ogień.

Był to już dwunasty dzień. W ciągu pierwszych trzech front trzymał się jeszcze. Otoczone zasiekami bunkry przetrwały ogień artyleryjski bez większych uszkodzeń. Potem padły zewnętrzne blokhauzy. Czołgi przerwały front, ale o kilka kilometrów dalej

artyleria przeciwpancerna zaryglowała wyłom. Czołgi płonęły w porannej szarzyźnie; kilka z nich przewróciło się, jeszcze przez jakiś czas mełło gąsienicami jak leżące na grzbiecie olbrzymie chrabąszcze. Wysłano karne kompanie, aby ułożyły dojazdy z okrąglaków i naprawiły połączenia telefoniczne. Pracowali niemal bez osłony. W ciągu dwóch godzin stracili przeszło połowę ludzi. Chmary bombowców wyłaniały się z szarego nieba i krążąc nisko i ociężale, atakowały bunkry. Szóstego dnia połowa bunkrów stała się niezdatna do walki; można je było wykorzystać jedynie dla osłony. Siódmej nocy Rosjanie ruszyli do szturmu, zostali jednak odparci. Potem lunął taki deszcz, jakby zbliżał się nowy potop. Żołnierzy nie można już było rozpoznać. Pełzali w lepkich, gliniastych lejach jak insekty, które przybrały tę samą barwę ochronną. Jedynym oparciem kompanii były już tylko dwa wyposażone w karabiny maszynowe, zniszczone blokhauzy, za którymi stało kilka miotaczy min. Pozostali żołnierze przycupnęli w lejach i za szczątkami murów. Jednego bloku bronił Rahe, drugiego – Mass.

Bronili ich przez trzy dni. Drugiego dnia byli już prawie bez amunicji; Rosjanie mogliby swobodnie przemaszerować. Ale atak nie nastąpił. Późnym zmierzchem nadleciało kilka niemieckich samolotów, które zrzuciły amunicję i żywność. Część zrzutów załoga zebrała. Nocą nadeszły posiłki. Bataliony robocze ukończyły budowę drogi z okrąglaków. Podwieziono broń i karabiny maszynowe. W godzinę później nastąpił niespodziewany atak, bez przygotowania artyleryjskiego. Rosjanie wyłonili się nagle o pięćdziesiąt metrów przed liniami. Część granatów ręcznych nie wybuchła. Rosjanie przedarli się.

W błyskach eksplozji Graeber spostrzegł przed sobą hełm, a pod nim białka oczu, rozwarte usta, a wyżej, jakby sękaty żywy konar – uniesione do rzutu ramię; strzelił, wyrwał stojącemu obok rekrutowi granat ręczny, z którym tamten nie mógł sobie poradzić, i rzucił. Granat wybuchł.

– Odkręcaj zapłony, idioto! – wrzasnął Graeber na rekruta. – Dawaj! Nie odciągaj!

Następny granat nie eksplodował. „Sabotaż – przemknęło Graeberowi przez myśl. – Sabotaż więźniów, który teraz kieruje się przeciwko nam!" Rzucił następny, skulił się, ujrzał nadlatujący granat rosyjski i zagrzebał się w błocie; uczuł podmuch wybuchu jak chlaśnięcie batem i plusk błota, które go uderzyło. Sięgnął za siebie i krzyknął:

– Jazda! Prędko! Dawaj! – A gdy ręka jego pozostała pusta, odwrócił głowę i spostrzegł, że nie było tu rekruta, a błoto na jego ręku to kawały ludzkiego mięsa. Zsunął się w dół, szukał, znalazł pas, wyrwał pozostałe dwa granaty, zauważył cienie pomykające nad brzegiem leja, skaczące, biegnące dalej; skulił się...

„Niewola – pomyślał. – Niewola. Wpadłem". Ostrożnie wyczołgał się na skraj leja. Błoto chroniło go, póki leżał bez ruchu. W blasku rakiety świetlnej zobaczył klejące się wszędzie szczątki rekruta; nogę, gołe ramię, rozszarpane ciało. Chłopak dostał granatem w brzuch; ciało jego wchłonęło wybuch i uratowało Graebera.

Graeber leżał, nie wychylając głowy ponad skraj leja. Widział karabin maszynowy strzelający z prawego blokhauzu. Później karabin zaczął strzelać także z lewego. Póki strzelały, nie był zgubiony. Trzymały odcinek pod ogniem krzyżowym. Rosjanie już się nie pokazali. Widocznie tylko część ich się przedarła. „Muszę

się dostać za blokhauz” – pomyślał. Bolała go głowa, był na poły ogłuszony, ale w głębi czaszki zachował zdolność jasnego, ścisłego i przenikliwego myślenia. To właśnie stanowiło różnicę między doświadczonym żołnierzem a rekrutem; u rekruta wszystko zamieniało się w panikę, dlatego łatwiej ginął. Na wypadek gdyby powrócili Rosjanie, Graeber miał zamiar udawać zabitego. Trudno byłoby odkryć go w błocie. Lecz im bliżej zdoła pod osłoną ognia dotrzeć do blokhauzu, tym lepiej będzie dla niego później.

Prześliznął się do następnego dołu, stoczył na dno – woda zalała mu usta. Po chwili poczołgał się dalej. W następnym leju leżały dwa trupy. Zaczekał. Potem usłyszał huk granatów i ujrzał wybuch w pobliżu lewego bunkra. Rosjanie przedarli się tam i atakowali teraz z dwóch stron. Migotały wystrzały karabinów maszynowych. Po jakimś czasie detonacje granatów ustały, ale z blokhauzu strzelano nadal. Graeber pełzł dalej. Wiedział, że Rosjanie powrócą. Będą szukali żołnierzy w dużych lejach; w mniejszych był bardziej bezpieczny. Dotarł do jednego z nich i położył się na dnie. Spadł krótkotrwały, rzęsisty deszcz. Ogień karabinów maszynowych zamierał. Znów odezwały się działa. Celny pocisk trafił w prawy blokhauz; wydawało się, że wyleciał w powietrze. Ranek nadszedł mokry i późny.

Graeberowi udało się przedostać jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Za rozwalonym czołgiem natknął się na Sauera i dwóch rekrutów. Nos Sauera krwawił. Granat wybuchł bardzo blisko nich. Jeden z rekrutów miał rozdarty brzuch. Wnętrzności wypłynęły na wierzch. Deszcz padał teraz do środka. Nie mieli czym opatrzyć rannego. Było to zresztą bezcelowe. Im prędzej umrze, tym lepiej. Drugi rekrut złamał nogę, wpadł do leja.

Trudno zrozumieć, jak mógł złamać nogę w miękkim błocie. W pękniętym przez środek wypalonym czołgu widać było czarne szkielety załogi. Jeden zwieszał się górną połową ciała na zewnątrz. Twarz miał tylko na wpół spaloną; druga połowa była nabrzmiała, czerwona i fioletowa, i popękana. Zęby świeciły przy tym biało jak lasowane wapno.

Przedostał się do nich łącznik z lewego bunkra.

– Zbiórka koło bunkra – wycharczał. – Czy tam w lejach jest jeszcze ktoś?

– Nie mam pojęcia. Gdzie sanitariusze?

– Zabici lub ranni.

Żołnierz poczołgał się dalej.

– Sprowadzimy ci sanitariusza – powiedział Graeber do rekruta, któremu deszcz padał do brzucha. – Albo przyniesiemy opatrunki. Wrócimy tu.

Rekrut nie odpowiedział. Leżał w rozmiękłej glinie, bardzo mały, z pobladłymi wargami.

– Po tym błocie nie możemy cię ciągnąć na płachcie – zwrócił się Graeber do drugiego, ze złamaną nogą. – Oprzyj się na nas i spróbuj skakać na zdrowej nodze.

Wzięli go między siebie i potykając się, przemykali od dołu do dołu. Długo to trwało. Rekrut jęczał, gdy padali na ziemię. Noga wykręciła się. Nie mógł już dalej iść. Zostawili go za kawałkiem muru w pobliżu bunkra i położyli jego hełm na murze, aby sanitariusze mogli go odnaleźć. Obok leżeli dwaj Rosjanie; jeden miał urwaną głowę, drugi przewrócił się na brzuch, a glina pod nim była czerwona.

Zobaczyli jeszcze więcej Rosjan. Potem natknęli się na swoich poległych. Rahe był ranny. Lewą rękę miał prowizorycznie zabandażowaną. Trzej ciężko ranni leżeli na deszczu, przykryci płachtą brezentową. Zabrakło już materiałów opatrunkowych. W godzinę później nadleciał junkers i zrzucił kilka paczek. Spadły zbyt daleko, za liniami rosyjskimi.

Nadeszło jeszcze siedmiu żołnierzy. Reszta zebrała się w prawym bunkrze. Podporucznik Mass poległ. Feldfebel Reinecke objął komendę. Pozostało im już niewiele amunicji. Miotacze min były zniszczone. Ale dwa ciężkie i dwa lekkie karabiny maszynowe funkcjonowały jeszcze.

Przedarło się do nich dziesięciu ludzi z karnej kompanii. Przynieśli amunicję i konserwy i zabrali rannych. Mieli ze sobą nosze. O sto metrów dalej dwaj z nich wylecieli w powietrze. Przez cały ranek ogień artyleryjski odcinał wszelką niemal łączność.

W południe przestało padać. Wyjrzało słońce. Natychmiast zrobiło się gorąco. Błoto zeskorupiało.

– Będą atakować lekkimi czołgami – powiedział Rahe. – Do diabła, gdzie nasze działa przeciwpancerne? Musimy je mieć, bez nich jesteśmy zgubieni.

Ogień nie ustawał. Po południu nadleciał znowu transportowy junkers eskortowany przez messerschmitty. Pojawiły się szturmowce rosyjskie i przypuściły atak. Dwa zostały zestrzelone. Potem spadły dwa messerschmitty. Junkers nie zdołał się przedrzeć. Zrzucił swój ładunek daleko na tyłach. Messerschmitty walczyły; choć szybsze od Rosjan, musiały zawrócić, gdyż rosyjskich samolotów było trzy razy więcej.

Następnego dnia trupy zaczęły cuchnąć. Graeber siedział w bunkrze. Zostało ich już tylko dwudziestu dwóch. Tyle samo mniej więcej zebrał Reinecke po drugiej stronie. Pozostali byli zabici lub ranni. Przedtem było ich stu dwudziestu.

Graeber siedział i czyścił broń. Pokrywało ją błoto. Nie myślał o niczym innym. Zamienił się w automat. Nie pamiętał o przeszłości. Siedział i czekał, spał i budził się, i był gotów się bronić.

Czołgi ukazały się następnego ranka. Przez całą noc artyleria, miotacze min i karabiny maszynowe ryglowały linię. Przewody telefoniczne reperowano kilkakrotnie, lecz wciąż na nowo były przerywane. Zapowiedziane posiłki nie mogły się przedostać. Niemiecka artyleria była już bezsilna. Rosyjski ogień okazał się śmiertelny. Bunkier trafiony został jeszcze dwukrotnie, ale wciąż się trzymał. Nie był to już właściwie bunkier, lecz betonowy kloc zataczający się w błocie jak okręt targany burzą. Pół tuzina bliskich eksplozji wstrząsnęło nim w posadach. Żołnierze przewracali się na ściany, gdy unosił go wybuch.

Graeber nie miał czym opatrzyć powierzchownego postrzału w ramię. Miał jeszcze trochę koniaku i oblał nim ranę. Bunkier nadal kołysał się i dygotał. Nie był już okrętem wstrząsanym burzą, lecz łodzią podwodną z martwymi maszynami, przewalającą się na dnie morza. Czas także już nie istniał. Został zgładzony. Graeber przykucnął w ciemności i czekał. Nie było już w Niemczech miasta, w którym żył przed paru tygodniami. Nigdy nie było też urlopu. Ani Elżbiety. Wszystko to wydawało się tylko szalonym urojeniem między śmiercią a śmiercią – półgodzinnym

obłędnym snem, w którym rakieta wzbiła się do nieba i zagasła. Istniał już tylko bunkier.

Lekkie czołgi rosyjskie przedarły się. Między nimi i za nimi szła piechota. Kompania przepuściła czołgi i wzięła piechotę w dwa ognie. Rozgrzane lufy karabinów maszynowych paliły dłonie. Strzelali nadal. Rosyjska artyleria nie mogła ich teraz razić. Dwa czołgi zawróciły, podjechały bliżej i otworzyły ogień. Mogły to robić bezkarnie, bunkier nie miał się już czym bronić. Czołgi były zbyt ciężkie dla karabinów maszynowych. Celowali w szczeliny, ale trafić w nie można było tylko przypadkiem. Czołgi wycofały się spod ognia, wciąż strzelając. Bunkier dygotał. Beton odpryskiwał całymi kawałami.

– Granaty! – krzyknął Reinecke. Związał je w pęk, przewiesił sobie przez ramię i poczołgał się ku wejściu. Po następnej salwie wypełzł na zewnątrz, kryjąc się za bunkrem.

– Dwa karabiny maszynowe, ostrzeliwać czołgi! – rozkazał Rahe.

Usiłowali osłonić Reineckego, który chciał podkraść się z boku, aby pękiem granatów rozerwać gąsienice czołgów. Było to prawie beznadziejne przedsięwzięcie. Rozpoczął się nękający ogień rosyjskich karabinów maszynowych.

Po chwili jeden z czołgów przestał strzelać. Nikt nie zauważył eksplozji.

– Trafiony! – ryknął Immermann.

Karabiny maszynowe skierowały ogień na drugi czołg, który zawrócił i zniknął.

– Sześć przedarło się! – krzyknął Rahe. – Będą tędy wracać. Wszystkie karabiny maszynowe – krzyżowy ogień. Musimy

zatrzymać piechotę.

– Gdzie Reinecke? – spytał Immermann, gdy znów zdolni byli myśleć.

Nikt nie wiedział. Reinecke nie wrócił.

Trzymali się przez całe popołudnie. Bunkry powoli rozsypywały się w proszek, ale z obu jeszcze strzelano, choć coraz rzadziej. Nie starczało amunicji. Żołnierze jedli konserwy i pili wodę z lejów. Hirschland dostał postrzał w dłoń.

Słońce paliło. Niebo pokrywały wielkie, lśniące chmury. Bunkier czuć było krwią i prochem. Leżące dokoła trupy pęczniały. Kto mógł, spał. Nie wiedzieli, czy już są odcięci, czy też jeszcze mają łączność.

Wieczorem ogień wzmógł się. Potem nagle zamilkł prawie zupełnie. Wypadli z bunkra, oczekując ataku. Nie nastąpił. Nie nastąpił przez dwie godziny. Te dwie spokojne godziny zżarły więcej ich energii niż bitwa.

O trzeciej nad ranem bunkier był już tylko masą skłębionej stali i betonu. Musieli go opuścić i wycofać się. Mieli sześciu zabitych i trzech rannych. Ranionego w brzuch wlekli jeszcze ze sobą kilkaset metrów; potem umarł.

Rosjanie znów atakowali. Kompania miała już tylko dwa karabiny maszynowe. Ostrzeliwali się, ukryci w leju. Potem cofnęli się dalej. Rosjanie uważali ich za silniejszych, niż byli w istocie; to ich uratowało. W czasie drugiego postoju padł Sauer. Dostał postrzał w głowę, zginął na miejscu. Trochę później, gdy biegł skulony, poległ Hirschland. Powoli obrócił się i znieruchomiał. Graeber zaciągnął go do leja. Hirschland osunął się i stoczył na dno. Pierś miał rozdartą pociskami. Obmacując go,

Graeber znalazł zakrwawiony portfel, który schował do kieszeni. Teraz nie trzeba już było pisać do jego matki, że żyje.

Dotarli do drugiej linii. Po jakimś czasie nadszedł rozkaz dalszego wycofania się. Kompanię zluzowano. Frontem stała się teraz druga linia.

Zebrali się o kilka kilometrów dalej. Kompania liczyła wtedy już tylko trzydziestu ludzi. Następnego dnia uzupełniona została do stu dwudziestu.

Graeber odnalazł Fresenburga w szpitalu polowym. Był to nędznie wyposażony barak. Fresenburg miał strzaskaną lewą nogę.

– Chcą ją amputować – powiedział. – Jakiś tam parszywy młodszy lekarz. Nic innego nie potrafi. Nie zgodziłem się i jutro mają mnie odtransportować. Lepiej, żeby najpierw obejrzał nogę jakiś bardziej doświadczony człowiek.

Leżał na łóżku polowym; druciany kosz chronił kolano. Łóżko stało koło otwartego okna. Widać było przez nie skrawek płaskiej równiny i łąkę kwitnącą czerwono, żółto i niebiesko. W pokoju śmierdziało. Stały tu jeszcze trzy łóżka.

– Co porabia Rahe? – spytał Fresenburg.

– Dostał postrzał w ramię. Kość nieuszkodzona.

– Jest w szpitalu?

– Nie. Został z kompanią.

– Tak sobie pomyślałem. – Fresenburg wykrzywił twarz. Jedna połowa uśmiechała się; druga, ta z blizną, pozostała drętwa. – Wielu nie chce wracać. Rahe też.

– Dlaczego?

– Zrezygnował. Stracił już nadzieję. I wiarę.

Graeber spojrzał na pergaminową twarz przyjaciela.

– A ty?

– Nie wiem. Najpierw z tym trzeba zrobić porządek. – Wskazał na druciany kosz.

Ciepły powiew z łąki wpadł przez okno.

– Dziwne, co? – odezwał się Fresenburg. – Gdy leżał śnieg, myśleliśmy, że w tym kraju nigdy nie nadejdzie lato. A potem nagle nadeszło. I od razu zbyt gorące.

– Tak.

– Jak było w domu?

– Nie wiem. Nie mogę tych rzeczy ze sobą pogodzić. Urlopu i tego, co jest tutaj. Dawniej potrafiłem, teraz już nie. To zbyt krańcowe. Sam już nie wiem, co jest rzeczywistością.

– Kto to wie?

– Sądziłem, że wiem. W domu wszystko wydaje się proste. Teraz już nic nie pojmuję. To zbyt krótko trwało i zbyt odległe od tego, co jest tutaj. W domu myślałem nawet, że nie będę już zabijał.

– Wielu już tak myślało.

– Tak. Bardzo cię boli?

Fresenburg potrząsnął głową.

– W tej budzie mają coś, czego się człowiek nie spodziewał: morfinę. Zrobiono mi zastrzyk, jeszcze działa. Bóle odczuwam, ale tak, jakby je miał ktoś inny. Pozostała mi jeszcze jedna lub dwie godziny do myślenia.

– Czy przyjedzie pociąg sanitarny?

– Jest tu sanitarka. Dowiezie nas do najbliższej stacji.

– Wkrótce żadnego z nas już tu nie będzie – powiedział Graeber. – Teraz i ty odchodzisz.

– Może połatają mnie jeszcze raz i wrócę.

Spojrzeli po sobie. Obaj wiedzieli, że to nieprawda.

– Chciałbym w to wierzyć – powiedział Fresenburg. – Przynajmniej jeszcze przez tę jedną lub dwie godziny, póki działa morfina. Życie bywa czasem diablo krótkie, co? A potem następuje inne, o którym zupełnie nic się nie wie. To moja druga wojna.

– Co będziesz później robił? Już wiesz?

Fresenburg uśmiechnął się przelotnie.

– Nie wiem nawet, co tamci ze mną zrobią. Muszę najpierw odczekać. Nie myślałem, że się stąd wydostanę. Zawsze sądziłem, że tutaj już będzie ze mną koniec. A teraz trzeba się pogodzić z myślą, że jestem tylko kaleką. Nie wiem, czy to lepsze. Tamto wydawało się łatwiejsze. Człowiek skończyłby z tym całym świństwem i nic by go już nie obchodziło; zapłaciłby swoją cenę i miał spokój. A teraz znów trzeba zaczynać od początku. Człowiek łudzi się, że śmierć wszystko wymaże – i tak dalej. To nieprawda. Jestem zmęczony, Ernst. Spróbuję zasnąć, zanim poczuję, że jestem kaleką. Trzymaj się.

Wyciągnął rękę do Graebera.

– Ty także – powiedział Graeber.

– Oczywiście. Płynę teraz z prądem. Prymitywny pęd życia. Przedtem było inaczej. Ale może to było tylko oszustwo. Zawsze jednak tkwił w tym jeszcze jakiś ułamek skrytej nadziei. To jednak nic. Człowiek wciąż zapomina, że sam może ze sobą skończyć. Możliwość tę otrzymaliśmy w darze razem z naszym tak zwanym rozumem.

Graeber potrząsnął głową.

Fresenburg uśmiechnął się swym półuśmiechem.

– Masz rację – powiedział. – Tego nie zrobimy. Raczej postaramy się, aby to wszystko nigdy już nie mogło się powtórzyć. I aby to urzeczywistnić, gotów byłbym nawet ponownie chwycić za broń.

Głowa jego opadła na poduszkę. Wyglądał na bardzo wyczerpanego. Gdy Graeber znalazł się przy drzwiach, Fresenburg zamknął już oczy.

Graeber poszedł z powrotem do swojej wsi. Blada zorza wieczorna barwiła niebo. Deszcz przestał padać. Błoto wysychało. Na zapuszczonych polach wyrosły kwiaty i chwasty. Front huczał. Wszystko wydało się nagle bardzo obce i pozbawione wszelkiej więzi. Graeber znał to uczucie; często go doznawał, gdy budził się w nocy i nie wiedział, gdzie jest; zupełnie jakby wypadł z tego świata i bujał gdzieś samotnie w ciemności. Nie trwało to długo. Zawsze znajdował drogę powrotu; ale za każdym razem pozostawało dziwne, lekkie uczucie, że kiedyś nie odnajdzie już tej powrotnej drogi.

Nie doznawał przy tym strachu; wzdrygał się tylko jak małe dziecko opuszczone na olbrzymim stepie, z którego każda droga ucieczki była stokrotnie za długa. Wsunął ręce do kieszeni i rozejrzał się. Wokół widział od dawna znany obraz: ruiny, nieuprawione pola, rosyjski zachód słońca; a po przeciwnej stronie – rozpoczynające się płowe łyskanie frontu. Był to, jak zawsze, ten sam obraz, a wraz z nim ów beznadziejny chłód, który przeszywał serce.

W kieszeni namacał listy Elżbiety. Promieniowały z nich ciepło, tkliwość i słodkie wzruszenie miłości. Nie były one jednak lampą łagodnie rozświetlającą uporządkowany dom, lecz błędnymi ognikami nad bagnem, a im dalej usiłował za nimi gonić, tym bardziej grząskie wydawało się bagno. Chciał ustawić lampę, aby odnaleźć drogę powrotu; ale ustawił ją, zanim zbudował dom. Ustawił ją w ruinie; nie zdobiła jej, tylko czyniła jeszcze bardziej beznadziejną. W ojczyźnie o tym nie wiedział. Poszedł za światłem, nie pytał o nic i chciał wierzyć, że wystarczy za nim iść. Okazało się, że to nie wystarczy.

Póki mógł, bronił się przed przyznaniem do tego. Niełatwo było pogodzić się z myślą, że to, co miało go trzymać i nieść, jeszcze bardziej go izoluje. Nie sięgało dostatecznie głęboko. Wzruszało serce, ale go nie trzymało. To małe, prywatne szczęście nie mogło się utrzymać, tonęło w bezdennym bagnie powszechnego nieszczęścia i rozpaczy. Wyjął listy Elżbiety i czytał je, a czerwony odblask zachodzącego słońca oblewał kartki. Znał je na pamięć, odczytywał ponownie i znów czyniły go jeszcze bardziej samotnym, niż był przedtem. Tamto trwało za krótko, a to tutaj za długo. Życie żołnierza liczy się według czasu jego pobytu na froncie, a nie według urlopów.

Schował listy z powrotem. Dołączył je do listów rodziców, które odebrał w kancelarii. Nie było sensu nad tym rozmyślać. Fresenburg słusznie powiedział: wystarczy iść krok za krokiem. Nie należy rozwiązywać zagadki bytu, kiedy się jest w niebezpieczeństwie. „Elżbieta. Dlaczego myślę o niej jak o czymś utraconym? Mam przecież tutaj jej listy! Ona żyje!”

Zbliżał się do wsi. Rozciągała się posępna i spustoszona. Wszystkie te wioski wyglądały podobnie, jakby już nigdy nie miały być odbudowane. Aleja brzozowa prowadziła do ruin białego domu. Dawniej był tu ogród, gdzieniegdzie kwitły jeszcze kwiaty, a nad zaśmieconym stawem stał posążek grającego na flecie fauna; nikt jednak nie przychodził na jego uroczystą biesiadę. Tylko kilku rekrutów przetrząsało sad w poszukiwaniu niedojrzałych czereśni.

XXVII

Partyzanci! – Steinbrenner oblizał wargi i popatrzył na Rosjan. Stali na wiejskim placu. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich była młoda. Miała okrągłą twarz i wystające kości policzkowe. Wszystkich czworo dostarczono rankiem.

– Nie wyglądają na partyzantów – powiedział Graeber.

– A jednak są. Po czym możesz poznać, że tak nie jest?

– Nie wyglądają na to. Wyglądają jak biedni chłopi!

Steinbrenner zaśmiał się.

– Gdyby sądzić z wyglądu, w ogóle nie byłoby przestępców.

„To prawda – pomyślał Graeber. – Ty sam jesteś tego najlepszym przykładem". Spostrzegł zbliżającego się Rahego.

– Co mamy z nimi zrobić? – spytał dowódca kompanii.

– Schwytano ich tutaj – odparł feldfebel. – Musimy ich zamknąć, aż nadejdą dalsze rozkazy.

– Na Boga, mamy dosyć kłopotów na głowie. Dlaczego nie odsyłamy ich do pułku?

Rahe nie oczekiwał odpowiedzi. Pułk nie miał już stałego miejsca postoju. W najlepszym wypadku sztab przysłałby kogoś,

aby przesłuchał Rosjan, a następnie wydałby zarządzenie, co z nimi dalej począć.

– Za wsią znajdują się zabudowania dawnego dworu – zameldował Steinbrenner. – Jest tam szopa, która ma okratowane okna i żelazne drzwi z zamkiem.

Rahe obrzucił go badawczym spojrzeniem. Wiedział, o czym myśli Steinbrenner. Pod jego eskortą Rosjanie podjęliby zwykłą próbę ucieczki, a to oznaczałoby ich koniec. Za wsią łatwo to było upozorować.

Rahe rozejrzał się.

– Graeber – powiedział – zajmijcie się tymi ludźmi. Steinbrenner zaprowadzi was do tej szopy. Sprawdźcie, czy jest pewna. Zostawcie tam straż i zameldujcie mi potem. Weźcie ludzi ze swego oddziału. Ponosicie całą odpowiedzialność. Tylko wy – dodał.

Jeden z jeńców kulał. Starsza kobieta miała żylaki. Młodsza szła boso. Za wsią Steinbrenner pchnął młodszego z więźniów.

– Hej ty! Biegnij!

Mężczyzna odwrócił się. Steinbrenner parsknął śmiechem i machnął ręką.

– Biegnij! Biegnij! Jazda! Wolny!

Starszy mężczyzna powiedział coś po rosyjsku. Tamten nie pobiegł. Steinbrenner nadepnął mu na pięty.

– Biegnij, ścierwo!

– Zostaw – powiedział Graeber. – Słyszałeś, co Rahe rozkazał.

– Możemy ich tu puścić – szepnął Steinbrenner. – Mam na myśli mężczyzn. Dziesięć kroków, a potem strzelamy. Kobiety zamkniemy. Młodszą weźmiemy sobie na noc.

– Daj im spokój. I zmykaj. Ja tu dowodzę.

Steinbrenner obserwował łydki młodej kobiety. Ubrana była w krótką spódnicę, a nogi miała opalone i muskularne.

– Tak czy owak, będą rozstrzelani – oświadczył. – Albo my to zrobimy, albo SD. Z tą młodą możemy się jeszcze zabawić. Tobie łatwo mówić. Dopiero wróciłeś z urlopu.

– Zamknij pysk i pomyśl o swojej narzeczonej! Córce obersturmbannführera SS! – powiedział Graeber. – Rahe kazał ci zaprowadzić nas do szopy, to wszystko.

Szli aleją w stronę białego domu.

– To tutaj – oświadczył Steinbrenner ponuro i wskazał na dobrze zachowaną, niewielką murowaną przybudówkę. Drzwi z żelaznych prętów można było zamknąć z zewnątrz na kłódkę.

Graeber obejrzał przybudówkę. Prawdopodobnie służyła kiedyś za stajnię lub szopę. Podłoga była cementowa. Bez narzędzi więźniowie nie mogli się stąd wydostać; a już przedtem zrewidowano ich, czy nie mają nic przy sobie.

Otworzył drzwi i kazał im wejść. Dwaj rekruci, którzy przyszli wraz z nimi jako straż, stali z gotowymi do strzału karabinami. Więźniowie weszli do szopy jeden za drugim. Graeber zamknął i sprawdził kłódkę. Trzymała.

– Jak małpy w klatce – wyszczerzył zęby Steinbrenner. – Banana! Banana! Chcecie banana, małpy?

Graeber zwrócił się do rekrutów.

– Zostaniecie tu na straży. Jesteście odpowiedzialni za więźniów. Później was zluzują. Czy któryś z was mówi po niemiecku? – spytał Rosjan.

Nie odpowiedzieli.

– Później postaramy się dla was o trochę słomy. Chodź – powiedział Graeber do Steinbrennera.

– Postaraj się dla nich jeszcze o pierzyny.

– Chodź! A wy uważajcie tu!

Zameldował się u Rahego i oświadczył, że więzienie jest pewne.

– Weźcie kilku żołnierzy i obejmijcie straż – powiedział Rahe. – Za kilka dni, gdy sytuacja trochę się uspokoi, mam nadzieję, że pozbędziemy się tych ludzi.

– Tak jest.

– Potrzeba wam więcej niż dwóch żołnierzy?

– Nie. Szopa jest pewna. Mógłbym ich sam pilnować, gdybym został tam na nocleg. Nikt się nie wydostanie.

– Dobrze. Tak też zrobimy. Rekrutów potrzebujemy tutaj, aby ich jeszcze naprędce trochę przeszkolić w technice bojowej. Komunikaty... – Rahe urwał. Źle wyglądał. – Sami zresztą wiecie, co się święci. Idźcie więc.

Graeber zabrał swoje rzeczy. Znał teraz tylko niewielu żołnierzy ze swojego plutonu.

– Zrobili z ciebie dozorcę? – spytał Immermann.

– Tak. Tam będę się mógł przynajmniej wyspać. Lepsze to niż szkolenie tych smarkaczy.

– Nie będziesz miał na to wiele czasu. Wiesz, co się dzieje na froncie?

– Wygląda na plajtę.

– Walczymy, skracając linie. Rosjanie wszędzie przerwali front. Od godziny nadchodzą zasrane wiadomości – wielka ofensywa. A tu jest przecież równina. Nie ma nawet gdzie się utrzymać. Tym razem musimy się cofnąć daleko do tyłu.

– Sądzisz, że zrobimy koniec, gdy dojdziemy do granicy Niemiec?

– A ty tak sądzisz?

– Nie.

– Ja też nie. Kto miałby u nas zrobić koniec? Sztab generalny na pewno nie weźmie tego na siebie. – Immermann wykrzywił się w uśmiechu. – Podczas ostatniej wojny udało im się zwalić odpowiedzialność na nowy rząd tymczasowy, który w tym właśnie celu sami utworzyli. Ci idioci nadstawili głowy, podpisali zawieszenie broni i w osiem dni później zostali oskarżeni o zdradę kraju. Dzisiaj tak nie będzie. Totalny rząd – totalna klęska. Nie istnieje druga partia do prowadzenia rokowań.

– Oprócz komunistów – powiedział Graeber z goryczą. – Dosyć często mi to tłumaczyłeś. Ale mnie nie odpowiadają metody żadnej dyktatury, ani tej, ani tamtej. Idę spać. Jedyne, czego bym pragnął w życiu, to myśleć, co chcę, mówić, co chcę, i robić, co chcę. Ale od czasu, gdy rządzą nami mesjasze, stanowi to znacznie większe przestępstwo niż morderstwo.

Wziął tornister i udał się do kuchni polowej. Wyfasował tam grochówkę, chleb i porcję kiełbasy na kolację; dzięki temu nie potrzebował już wracać do wsi.

Popołudnie było dziwnie spokojne. Rekruci przynieśli słomę i poszli sobie. Choć front huczał, wydawało się, że dzień upłynie spokojnie. Przed szopą rozciągał się zdziczały trawnik, podeptany i zryty granatami; mimo to zielenił się, a na skraju dawnej dróżki rosło kilka kwitnących krzaków.

W ogrodzie, za brzozową aleją, odkrył Graeber mały, częściowo zachowany pawilon, z którego mógł obserwować szopę. Znalazł

tam nawet kilka książek. Oprawione były w skórę i ozdobione wyblakłymi złoceniami. Deszcz i śnieg tak je zniszczyły, że tylko jedną jeszcze dało się odczytać. Gruby tom zdobiły romantyczne sztychy wyidealizowanych krajobrazów. Tekst był francuski. Graeber powoli przerzucał kartki. Stopniowo uległ urokowi ilustracji. Rozbudziły w nim bolesną i beznadziejną tęsknotę, która utrzymała się jeszcze długo po zamknięciu książki.

Aleją brzozową poszedł w stronę stawu. Wśród śmieci i wodorostów przysiadł tam grający na flecie faun. Brakowało mu jednego rogu, ale poza tym przetrzymał rewolucję, komunizm i wojnę. Pochodził, podobnie jak książki, z legendarnych czasów sprzed pierwszej wojny, gdy Graebera nie było jeszcze na świecie. Graeber urodził się po pierwszej wojnie, wyrósł w nędzy okresu inflacji i niepokojów lat powojennych i przebudził się w czasie nowej wojny. Okrążył staw, minął pawilon i powrócił do więźniów. Przyjrzał się żelaznym drzwiom. Znać było, że nie wykonano ich dla tej szopy, lecz później dopiero założono. Może dawny właściciel tej posiadłości sam kiedyś oczekiwał za nimi śmierci. Stara kobieta spała. Młoda przykucnęła w kącie. Obaj mężczyźni stali, wpatrując się w południe. Dziewczyna patrzyła przed siebie. Starszy Rosjanin obserwował Graebera. Ten odwrócił się i położył na trawie.

Po niebie przeciągały chmury. W koronach brzóz świergotały ptaki. Niebieski motyl kołysał się nad lejami od granatów z kwiatka na kwiatek. Po chwili przyleciał drugi. Bawiły się ze sobą i goniły nawzajem. Dudnienie frontu narastało. Oba motyle parzyły się i złączone pofrunęły przez gorące, rozsłonecznione powietrze. Graeber zasnął.

Wieczorem rekrut przyniósł jedzenie dla więźniów. Była to grochówka z obiadu rozcieńczona wodą. Rekrut czekał, aż więźniowie zjedzą, po czym zabrał miski. Przyniósł też dla Graebera jego przydział papierosów – więcej niż zwykle. Był to zły znak. Lepsze jedzenie i więcej papierosów dawano jedynie, gdy nadchodziły ciężkie dni.

– Na dziś wieczór wyznaczono nam dwie godziny dodatkowej służby – powiedział rekrut. Spojrzał poważnie na Graebera. – Ćwiczenia bojowe, rzut granatem i walka na bagnety.

– Dowódca kompanii wie, co robi. Bynajmniej nie chce was gnębić.

Rekrut skinął głową. Przyglądał się Rosjanom jak zwierzętom w ogrodzie zoologicznym.

– To są ludzie – powiedział Graeber.

– Tak, Rosjanie.

– Zgoda, Rosjanie. Weź karabin i trzymaj go w pogotowiu. Wypuścimy kobiety, jedną po drugiej.

Graeber powiedział przez kraty:

– Wszyscy do lewego kąta. Niech tu podejdzie stara kobieta. Potem następni wyjdą za potrzebą.

Stary Rosjanin powiedział coś do pozostałych. Usłuchali. Rekrut trzymał karabin w pogotowiu. Stara kobieta podeszła do drzwi. Graeber wypuścił ją i znów zamknął kratę. Kobieta zaczęła płakać. Sądziła, że będzie rozstrzelana.

– Powiedz, że nic jej nie zrobimy. Ma tylko załatwić swoją potrzebę – zwrócił się Graeber do starego Rosjanina.

Tamten przemówił do niej. Przestała płakać. Graeber i rekrut zaprowadzili ją za róg, gdzie zachowały się dwie ściany domu.

Poczekali, aż wróci, a następnie wypuścili młodą. Szła szybko i lekko. Z mężczyznami sprawa była łatwiejsza. Wyprowadził ich za przybudówkę, nie spuszczając z oczu. Młody rekrut z powagą trzymał karabin gotowy do strzału; wysunął dolną wargę, pełen gorliwości i skupienia. Odprowadził ostatniego mężczyznę i zamknął kłódkę.

– To było denerwujące – powiedział.

– Doprawdy? – Graeber odstawił karabin. – Możesz już odejść.

Poczekał, aż rekrut sobie pójdzie. Potem wyciągnął papierosy i dał staremu po jednym dla każdego. Potarł zapałkę i wsunął ją przez kraty. Wszyscy palili. Papierosy żarzyły się w półmroku, oświecając twarze. Graeber spojrzał na młodą Rosjankę i odczuł nagle nieznośną tęsknotę za Elżbietą.

– Pan... dobry – powiedział stary Rosjanin, śledząc jego wzrok. Przywarł twarzą do żelaznych prętów. – Wojna przegrana... dla Niemców... pan dobry człowiek – mówił cicho.

– Bzdura.

– Dlaczego nie... nas wypuścić... iść z nami? – Pomarszczona twarz starego odwróciła się na chwilę ku młodej Rosjance, a następnie znów do Graebera. – Iść z nami... Marusia... schowa... dobre miejsce... żyć. Żyć... – powtórzył natarczywie.

Graeber potrząsnął głową... „To nie jest wyjście – pomyślał. – To nie. Ale jakie jest wyjście?”

– Żyć... nie zginąć... tylko niewola... – szeptał Rosjanin. – Pan też żyć... dobrze u nas... my niewinni.

Brzmiało to prosto. Graeber odwrócił się. Brzmiało to prosto w łagodnym, zanikającym świetle wieczoru. „Oni chyba naprawdę są niewinni. Nie znaleziono przy nich broni i nie wyglądają na

partyzantów. Oboje starzy na pewno nie. Gdybym ich wypuścił, uczyniłbym coś przynajmniej. Uratowałbym kilku niewinnych ludzi. Ale pójść z nimi nie mogę. Tego się boję równie silnie jak tego, przed czym uciekam". Chodził w koło. Znów podszedł do fontanny. Brzozy odcinały się teraz czarno na tle nieba. Zawrócił. W ciemnościach szopy żarzył się jeszcze papieros. Za prętami blado jaśniała twarz starego Rosjanina.

– Żyć... – powiedział. – Dobrze... u nas...

Graeber wsunął resztę swoich papierosów w wielką dłoń Rosjanina. Potem podał mu jeszcze kilka zapałek.

– Masz... palcie... na noc...

– Żyć... pan młody... dla pana wojna skończona... pan dobry człowiek... my niewinni, żyć... pan... my... wszyscy...

Był to cichy, głęboki głos. Zachwalał życie jak pokątny handlarz masło, jak prostytutka miłość. Tkliwie, natarczywie, nęcąco i fałszywie. Jakby je miał na sprzedaż. Graeber czuł, jak głos ten nim targa.

– Zamknij gębę! – krzyknął na starego. – Dosyć tego gadania, bo zamelduję o tym. A wtedy koniec z wami!

Znów podjął obchód. Łoskot frontu spotężniał. Ukazały się pierwsze gwiazdy. Poczuł się nagle bardzo osamotniony i zapragnął leżeć znów w ziemiance wśród smrodu i chrapania kolegów. Miał wrażenie, jakby został przez wszystkich opuszczony i teraz sam musiał powziąć jakąś decyzję.

Położył się w pawilonie na słomie i próbował zasnąć. „Może zdołają uciec – pomyślał – tak, żebym tego nie zauważył". Nic nie pomagało. Wiedział, że nie mogą tego zrobić. Zatroszczyli się o to ludzie, którzy przebudowali szopę.

Front stawał się coraz bardziej niespokojny. Samoloty huczały wśród nocy. Terkotały karabiny maszynowe. Potem dobiegły głuche odgłosy eksplodujących bomb. Graeber nasłuchiwał. Hałas wzmagał się. „Gdybyż zdołali się wydostać!" – pomyślał znowu. Wstał i podszedł do przybudówki. Panowała tam cisza. Więźniowie zdawali się spać. Potem jednak dojrzał niewyraźnie twarz starego Rosjanina i zawrócił.

Po północy nabrał pewności, że na froncie toczy się zażarta bitwa. Ciężka artyleria wstrzeliwała się daleko poza linie. Pociski padały już blisko wsi. Graeber wiedział, jak słabe są ich własne pozycje. Śledził poszczególne etapy walki. Wkrótce do ataku ruszą czołgi. Ziemia drżała teraz pod huraganowym ogniem. Grzmoty przewalały się od horyzontu do horyzontu. Czuł bitwę każdą cząstką swego ciała. Czuł, że wkrótce go dosięgnie, a mimo to w wirze piorunów i błyskawic zdawała się w przedziwny sposób krążyć wokół niego, wokół tego małego białego budynku, w którym przycupnęło czworo Rosjan – jakby w całym tym cyklonie zniszczenia i śmierci oni właśnie stali się nagle punktem centralnym i jakby wszystko zależało od tego, co się z nimi stanie.

Chodził tam i z powrotem, zbliżał się do szopy i zawracał, macał klucz w kieszeni, przewracał się na słomie i dopiero nad ranem zapadł nagle w ciężki, niespokojny sen.

Zerwał się, gdy już szarzało. Na froncie rozpętało się piekło. Ogień artylerii obejmował już wieś i sięgał poza nią. Graeber popatrzył na przybudówkę. Kraty były w porządku. Za nimi poruszali się Rosjanie. Potem spostrzegł nadbiegającego Steinbrennera.

– Odwrót! – krzyczał Steinbrenner. – Rosjanie się przedarli. Zbiórka we wsi. Prędko! Straszny bałagan! Bierz swoje rzeczy! –

Zbliżył się. – Tamtych szybko zlikwidujemy.

Graeber poczuł gwałtowne bicie serca.

– Gdzie masz rozkaz? – spytał.

– Rozkaz? Chłopie, gdybyś wiedział, co się dzieje we wsi, nie pytałbyś już o rozkazy! Nie słyszałeś tu odgłosów ofensywy?

– Tak.

– No, to sam wiesz. Jazda! Myślisz, że będziemy taszczyć ze sobą tę bandę? Załatwimy się z nimi przez kraty.

Niebieskie oczy Steinbrennera błyszczały. Skóra na nosie była napięta. Sięgnął ręką do pasa.

– Ja tu ponoszę odpowiedzialność – powiedział Graeber. – Jeśli nie masz rozkazu, to się wynoś.

Steinbrenner się zaśmiał.

– Dobrze. Więc sam ich rozwal.

– Nie – powiedział Graeber.

– Ktoś musi ich zlikwidować. Nie możemy ich wlec ze sobą. Usuń się ze swoimi delikatnymi nerwami. Idź naprzód, ja cię zaraz dogonię.

– Nie – powiedział Graeber. – Nie zastrzelisz ich.

– Nie? – Steinbrenner uniósł brwi. – Nie? – powtórzył powoli. – Wiesz, co mówisz?

– Tak, wiem.

– Mówisz, że wiesz? A więc wiesz także, że ty...

Twarz Steinbrennera zmieniła się. Sięgnął po rewolwer. Graeber podniósł karabin i strzelił. Steinbrenner zatoczył się i upadł. Wydał westchnienie jak dziecko. Rewolwer wypadł mu z ręki.

Graeber wpatrywał się w leżące na ziemi ciało. Pocisk artyleryjski przeleciał z wyciem nad ogrodem. Graeber ocknął się, podszedł do szopy, wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi.

– Idźcie – powiedział.

Rosjanie spojrzeli na niego. Nie dowierzali mu. Odrzucił karabin.

– Idźcie, idźcie – powiedział niecierpliwie, pokazując puste ręce.

Młodszy Rosjanin ostrożnie wysunął nogę. Graeber odwrócił się. Poszedł z powrotem na miejsce, gdzie leżał Steinbrenner.

– Morderca – powiedział, nie wiedząc, kogo ma na myśli. Wpatrywał się w Steinbrennera. Nie czuł nic. – Morderca – powtórzył, mając na myśli Steinbrennera i siebie samego, i wielu innych.

Nagle myśli jego zaczęły gonić jedna za drugą. Wydawało się, że odwalony został jakiś głaz. Coś rozstrzygnęło się ostatecznie. Nie czuł już żadnego ciężaru, tylko jakąś dziwną lekkość. Wiedział, że powinien coś zrobić, ale miał wrażenie, że musi się czegoś przytrzymać, aby nie odlecieć. Kręciło mu się w głowie. Ostrożnie poszedł brzozową aleją naprzód. Musiał robić coś nieskończenie ważnego, ale nie mógł tego sprecyzować, jeszcze nie. Było to zbyt odległe i zbyt nowe, i tak oczywiste, że sprawiało ból.

Zobaczył Rosjan. Biegli, schyleni, całą grupą, kobiety na przedzie. Jeden z mężczyzn odwrócił się i dostrzegł Graebera. W ręku miał karabin. Uniósł go i wycelował. Graeber ujrzał czarny wylot lufy, który stawał się coraz większy, chciał wołać, tyle jeszcze miał prędko i głośno do powiedzenia...

Nie poczuł kuli. Nagle ujrzał tylko przed sobą trawę, jakąś roślinę tuż przed oczami, na wpół zdeptaną, o czerwonawych

kwiatach i delikatnych płatkach, które stawały się coraz większe; kiedyś już tak było, ale nie wiedział kiedy. Roślina chwiała się, a głowa jego opadała powoli i na tle zwężającego się widnokręgu widział już tylko ją jedną, bezgłośną, zrozumiałą samą przez się, dającą ukojenie i spokój niezmiennością prostych rzeczy; stawała się większa i większa, aż wypełniła całe niebo – i oczy jego się zamknęły.

Czas życia i czas śmierci

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
XIII
XIV
XV
XVI
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI

XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Zeit Zu Leben Und Zeit Zu Sterben*

Copyright © 1954 by New York University, successor-in-interest to the literary rights of The Estate of the Late Paulette Goddard Remarque

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© Alfred Eisenstaedt/Time & Life Pictures/Getty Images/Flash Press Media

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Czas życia i czas śmierci, wyd. XI, Poznań 2013)

ISBN 978-83-7818-295-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl